



R O C Z N I K
KOLBUSZOWSKI



NR 5 • ROK 2001

REGIONALNE TOWARZYSTWO KULTURY IM. J. M.
GOSLARA W KOLBUSZOWEJ

ROCZNIK KOLBUSZOWSKI

Nr 5

ROK 2001

KOLBUSZOWA 2001

REDAKCJA:
Zarząd Regionalnego Towarzystwa
im. J.M. Goslara

RECENZJA WYDAWNICZA dr
Eugeniusz Szal

REDAKTOR WYDANIA
mgr Marian Piórek

REDAKTOR GRAFICZNY:
Jarosław Hrycyszyn

PROJEKT OKŁADKI
Benedykt Popek

WYDAWCA:
REGIONALNE TOWARZYSTWO KULTURY im.

ISSN - 0860-4585

Juliana Goslara w Kolbuszowej

Nakład: 350 egz.

Skład, łamanie i druk: "ABAKUS", 36-100 Kolbuszowa, ul. Wiktora 21

Spis treści

WSTĘP	5
Rozdział I	
WOJNA I OKUPACJA NIEMIECKA WE WSPOMNIENIACH ORAZ W RELACJACH (1939 -1944)	7
1. Halina Dudzińska, Wspomnienia o wrześniu 1939 roku (w 60-tą rocznicę)	9
2. Wspomnienia i relacje	51
Tadeusz Biesiadecki	51
Maria Gródecka, z domu Serwańska	55
Józef Jadach	57
Barbara Krudysz	59
Emilia Opalińska	65
Władysław Ozimek	69
Jan Styga	73
Janina Urban	75
Franciszek Serafin, ps. "Platon"	79
3. Władysław Puzio, Klęska wrześniowa 1939 roku w mojej pamięci i obecnej ocenie	83
Rozdział II	
W NIEWOLI ROSYJSKIEJ I SOWIECKIEJ	95
1. Adam Nowak z Lipnicy, Moje wspomnienia	97
2. Józef Maziarz z Huciny, Wspomnienie z deportacji do ZSRR z lat 1940-1946	141
3. Maria Skowrońska - Klinke z Kolbuszowej Dolnej, Wspomnienie z deportacji do ZSRR /1944-1946/	145
4. Antoni Magda z Trzęsówki, Wspomnienie z pobytu w łagrach Związku Radzieckiego w latach 1944-1946	157
Rozdział III	
MOJA MAŁA I WIELKA OJCZYŻNA 'POLSKA'	171
1. Halina Dudzińska, Rodzina Bytnarów	173
2. Zdzisława Józefa Rechul - Bytnar, Moja rodzinna ulica - kolbuszowskie Nowe Miasto w początkach obecnego stulecia	183
Pierwsze lata Prywatnego Gimnazjum w Kolbuszowej /1911-1916/	203
Rozdział IV	
ARTYKUŁY I RECENZJE	209
1. Anna Maruť, Zarys działalności Ludowego Zespołu Sportowego Werynianka w latach 1946 - 1995	211
2. Marian Piórek, Dr Kazimierz Aleksander Skowroński - historyk, nauczyciel i regionalista 1907 - 1974	239
3. Marian Piórek, Recenzja książki Krzysztofa Ożoga, Dzieje parafii Górnio 1599-1999	247

Wstęp

Do rąk czytelnika oddajemy kolejny numer "Rocznika Kolbuszowskiego" numer 5. To wydanie miało być w całości poświęcone dziejom okupacji niemieckiej na terenie miasta Kolbuszowej i regionu kolbuszowskiego. Z uwagi na to, że mało wpłynęło opracowań dotyczących proponowanego tematu, redakcja zmuszona była opublikować inne materiały z dziejów miasta i okolic. Będą one ważnym przyczynkiem do poznania przeszłości tych terenów.

W większości tego "Wydawnictwa" zajmuje tematyka dotycząca lat wojny i okupacji przedstawiona we wspomnieniach i relacjach. Piszą m.in. Halina Dudzińska, Władysław Puzio. Wiele wspomnień i relacji zebrał Antoni Stapor a dotyczą takich ludzi, jak: Tadeusza Biesiadeckiego, Marii Gródeckiej z d. Serwańskiej, Józefa Jadacha, Barbary Krudysz, Emilii Opalińskiej, Władysława Ozimka, Jana Stygi i Janiny Urban - mieszkańców miasta Kolbuszowej i wsi Kolbuszowa Dolna. Wspomnienie Franciszka Serafina - długoletniego nauczyciela i dyrektora szkoły m.in. w Weryni i Dzikowcu do redakcji dostarczył jego krewniak Paweł Serafin - uczeń ZSR w Weryni, ratując je przed zniszczeniem po śmierci brata swojego dziadka.

O niewoli rosyjskiej i sowieckiej opisuje w swych wspomnieniach Adam Nowak z Lipnicy, żołnierz armii austriackiej. Można z tej lektury dowiedzieć się na czym polegał "bolszewizm" jako jeden z odłamów ideologii komunistycznej w wydaniu Lenina. Ten prosty żołnierz, późniejszy wójt gminy zbiorowej w Dzikowcu w latach 1935-1939 i zwolennik Józefa Piłsudskiego oddaje te czasy jako "autentik". Przychodzą następne czasy -druga wojna światowa i jej konsekwencje dla Polski. Wielu a nawet tysiące Polaków cierpi a to tylko z tego względu, że przebywali na terenach wschodnich Rzeczypospolitej, podejmowali walkę z okupantem niemieckim i los im nie sprzyjał. Zostali przesiedleni albo wywiezieni do bolszewickich łagrów. Piszą o tym Józef Maziarz, Maria Skrowrońska- Klinke i Antoni Magda.

Bardzo cenne wspomnienia zebrała i oddała do publikacji H. Dudzińska a dotyczą Zdzisławy Józefy Rechul- Bytnarowej, matki osławionego Jana Bytnara "Rudego" - żołnierza Szarych Szeregów. Szczególnie interesujące są opisy Nowego Miasta - jednej z ulic Kolbuszowej z początku lat XX wieku.

W ostatnim rozdziale swoje artykuły prezentują Anna Marut o historii klubu sportowego LZS "Werynianka" z pobliskiej Weryni, nauczycielka wychowania fizycznego i sportu w Kosowach i Trześni oraz Marian Piórek. Ten ostatni pisze o doktorze Kazimierzu Aleksandrze Skowrońskim -

historyku, nauczycielu i regionaliście, wielce zasłużonego dla naszego Towarzystwa Kultury im. J.M. Goslara, miasta Kolbuszowej i całego powiatu kolbuszowskiego oraz przedstawia recenzję książki prof, dr hab. Krzysztofa Ożoga o dziejach parafii Górno w latach 1599-1999, wydanej w 1999 r.

Najważniejszą sprawą dla Zarządu i członków Towarzystwa Kultury im. J.M. Goslara jest wydanie kolejnej publikacji "Rocznika Kolbuszowskiego" za rok 2000 i systematyczne kontynuowanie tego "Wydawnictwa".

mgr Marian Piórek

Rozdział I

Wojna i okupacja niemiecka we wspomnieniach oraz w relacjach (1939-1944)

Halina Dudzińska

Wspomnienia o wrześniu 1939 roku (w 60-tą rocznicę)

Wspomnienia i relacje

Tadeusz Biesiadecki

Maria Gródecka, z domu Serwańska

Józef Jadach

Barbara Krudysz

Emilia Opalińska

Władysław Ozimek

Jan Styga

Janina Urban

Franciszek Serafin, ps. "Platon"

Władysław Puzio

Klęska wrześniowa 1939 roku w mojej pamięci i obecnej ocenie

*Wspomnienia o wrześniu 1939 roku
(w sześćdziesiątą rocznicę)*

W dniu 1 września 1939 r. sześćdziesiąt lat temu, o świcie, potężne armie III Rzeszy Niemieckiej napadły na zachodnie i północne granice państwa polskiego, II Rzeczypospolitej, rozpoczynając wojnę, która stała się światową. Niemcy były wówczas krajem zamieszkałym przez osiemdziesiąt milionów ludzi, w większości wojowniczych i zaborczych, realizujących interesy swojego wysoko rozwiniętego pod względem gospodarczym i militarnym państwa. Znajdowały się one dodatkowo w agresywnym sojuszu z Japonią, Związkiem Radzieckim oraz Włochami. II Rzeczypospolita Polska zaś dopiero przed dwudziestu laty odrodziła się z ponad stuletniej niewoli niemieckiej i rosyjskiej, była słaba politycznie i zacofana gospodarczo. Przed wojną mieszkało w niej trzydzieści pięć milionów ludności, niejednorodnej pod względem narodowym. Armia jej, stosunkowo dosyć liczna, nie była nowocześnie wyposażona i nie mogła się równać z armią niemiecką - nowoczesną, zmechanizowaną, wyposażoną w miażdżącą siłę ognia. Polska piechota, jak sama nazwa na to wskazuje, maszerowała na piechotę, podczas gdy niemiecka była przewożona samochodami ciężarowymi. Polskie Wojsko posiadało zaledwie czterysta pięćdziesiąt czołgów i to lekkiego typu, podczas gdy niemiecka dywizja pancerna liczyła ich czterysta, a takich dywizji mieli Niemcy kilka, zorganizowanych razem z dywizjami lekkimi, mającymi po sto czołgów i przewożonych na platformach samochodowych, w korpusy pancerne. Armia niemiecka posiadała także silne lotnictwo, które z miejsca podjęło bombardowanie polskich dróg, linii i stacji kolejowych, rozrywając polską łączność i dezorganizując obronę. Liczba polskich samolotów bojowych równa była liczbie czołgów¹.

W chwili niemieckiej agresji, Wojsko Polskie podjęło obronę Ojczyzny. Było one podzielone na siedem armii, a każda z nich miała wyznaczony do obrony wielokilometrowy odcinek na zachodniej i północnej granicy Polski. Istniały armie: Armia "Pomorze", Armia "Modlin", Armia "Poznań", Armia "Łódź", Armia "Kraków", Armia "Karpaty" i odwodowa Armia "Prusy". Składały się one, przeważnie z trzech - czterech dywizji piechoty,

¹ Olgierd Terlecki, *Najkrótsza historia drugiej wojny światowej*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972, s. 40-44. Władysław Steblik, *Armia "Kraków" 1939*, Warszawa 1975, s. 7, 31.

z brygady kawalerii, z brygad Batalionów Obrony Narodowej, Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP), z pułków artylerii ciężkiej i lekkiej oraz z pułku lotniczego lub z eskadr lotniczych. Dywizja piechoty powinna była liczyć prawie piętnaście tysięcy żołnierzy, ale przeważnie polskie dywizje były mniejsze. Dzieliły się one na pułki, te z kolei na bataliony, bataliony na kompanie, kompanie na plutony, plutony na drużyny. Artyleria była zorganizowana w pułki, dywizjony i baterie. Lotnictwo również składało się z pułków a te z eskadr. Eskadra lotnicza miała dziesięć - dwanaście samolotów, latających kluczami - po trzy. W Wojsku Polskim były dwie brygady. Pierwszą z nich była 10 Brygada Kawalerii Zmotoryzowanej (10 BKZmot.), złożona z dwóch pułków czołgów i pułku strzelców konnych. Sztab tej Brygady stacjonował przed wojną w Rzeszowie, a pułki w Łańcucie, Żurawicy, Bakończycach koło Przemyśla oraz w Stryju na Podolu. Była to najlepsza i najnowocześniejsza polska jednostka wojskowa. Druga - Warszawska Brygada Pancerno - Motorowa dopiero się formowała.

Wymienione wyżej armie polskie podjęły w obliczu agresji niemieckiej obronę zachodniej i północnej granicy kraju. Liczba żołnierzy była jednak za mała dla należytego obstawienia linii frontu, a uderzenia najeźdźcy - miażdżące. Oddziały polskie nie wytrzymały naporu. Wróg przerywał ich pozycje obronne i wdzierał się w głąb Polski. Dowódcy armii, bojąc się otoczenia i całkowitego zniszczenia swoich ugrupowań, zaczęli już w drugim dniu walk, 2 września, cofać się z linii granicznych bardziej na południe czy na wschód - licząc, że tam nastąpi koncentracja poszczególnych armii i skuteczniejsza akcja obronna. Obawiali się oni wystąpienia ZSRR przeciw Rzeczypospolitej. Agresja ta nastąpiła 17 września.

W dniu 3 września rządy Francji i Wielkiej Brytanii, które wcześniej zawarły z władzami polskimi sojusze obronne, wypowiedziały wojnę Niemcom. Jednak mimo tego aktu zachodni alianci byli bezczynni, nie przysłali Polsce natychmiastowej pomocy zbrojnej. Polacy sami zmagali się z niemiecką nawałą.

Południowo-zachodniego, uprzemysłowionego bastionu II Rzeczypospolitej broniła Armia "Kraków". Była ona największa i najsilniejsza z siedmiu armii. Dowódcą jej był generał Antoni Szylling, a linia obrony zaczynała się pod Częstochową na północy i sięgała pod Zakopane na południu. Stykała się z liniami obrony: Armii "Łódź" i Armii "Karpaty". W skład Armii "Kraków" wchodziły: 6 Dywizja Piechoty (6 DP) - krakowska, dowodzona przez gen. Bernarda Monda; 7 Dywizja Piechoty (7 DP) - częstochowska, dowodzona przez gen. Janusza Gąsiorowskiego; 21 Dywizja Piechoty Górskiej (21 DPG) - bielska, dowodzona przez gen. Józefa Kustronia; 23 Dywizja Piechoty (23 DP) - katowicka, dowodzona przez gen. Jana Jagmin- Sadowskiego; Krakowska Brygada Kawalerii, dowodzona przez gen. Zygmunta Piaseckiego; 45 rezerwowa Dywizja Piechoty (45 DP); 1 Brygada Górską Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP), złożona z Batalionów

Obrony Narodowej z Podhala, Śląska i innych stron Polski, oraz grupy forteczne, czyli bataliony zapasowe ze Śląska i z Krakowa.

Na wiosnę 1939 r., wydzielono z Armii "Kraków", w celu sprawniejszego dowodzenia i działania, dwie grupy operacyjne: Grupa Operacyjna "Śląsk" (GO "Śląsk"), dowodzoną przez gen. Jana Jagmin- Sadowskiego i Grupę Operacyjną "Bielsko" (GO "Bielsko"), dowodzoną *przez* gen. Mieczysława Borutę- Spiechowicza. Do GO "Bielsko" należały: 6 DP, 21 DPG i 1 Brygada Górską. W pierwszym dniu wojny Naczelny Wódz marszałek Edward Śmigły- Rydz przydzielił Armii "Kraków" 10 BKZmot. Weszła w skład GO "Bielsko". Już w czasie działań wojennych GO "Śląsk" nazwano GO "Jagmin", a GO "Bielsko" - GO "Boruta"².

W GO "Bielsko" czy "Boruta", znajdowały się dwa bataliony, których szlak bojowy prowadził przez ziemię kolbuszowską i które tutaj walczyły z Niemcami. Były to: batalion "Wołożyn" KOP z Suchej na Podhalu i 4 krakowski batalion forteczny. Pierwszym dowodził kapitan Piotr Tymkiewicz, drugim (na terenie Kolbuszowej) - porucznik Andrzej Krawiec.

Południa Polski - Podkarpacia broniła Armia "Karpaty", dowodzona przez gen. Kazimierza Fabrycego. Była ona mała i późno zorganizowana. W skład jej wchodziły: 2 i 3 Brygada Górską KOP; GO "Jasło", złożona z podkarpackich Batalionów Obrony Narodowej, a od wybuchu wojny także 11 Karpacka i 24 jarosławska Dywizja Piechoty oraz dwie eskadry lotnicze: 31 eskadra z Poznania i 56 eskadra z Lidy na ziemi nowogródzkiej. Po przylocie do Małopolski 31 eskadra, mająca kryptonim "Motyl 10", znalazła sobie lotnisko polowe koło wsi Werynia pod Kolbuszową. Druga eskadra wybrała sobie lotnisko w Mrowli koło Rzeszowa³.

Przyjrzyjmy się działaniom obronnym Armii "Kraków". Oddziały jej, będące na linii granicznej, dzielnie walczyły z wrogiem w dwóch pierwszych dniach wojny. Niemcy skierowali przeciwko nim duże siły. Były wśród nich dwa korpusy pancerne: XVI Korpus, skierowany na Częstochowę i XXII Korpus, który wyszedł ze Słowacji, z Przełęczy Jabłonkowskiej i uderzał na Jabłonków i Czarny Dunajec - nieco na zachód od Zakopanego. XXII Korpus składał się z 2 dywizji pancernej, z 4 dywizji lekkiej i z 1 brygady górskiej. Z tych jednostek najbardziej interesuje nas 2 dywizja pancerna, gdyż ona przybyła na ziemię kolbuszowską w dniu 9 września w godzinach przedpołudniowych, w drugą wojenną sobotę i walczyła z zastanymi tutaj oddziałami polskimi, z batalionem "Wołożyn" i 4 krakowskim batalionem fortecznym. Z pierwszym z nich toczyła pod Kolbuszową, pod wsiami Świerczów i Kolbuszowa Dolna od szosy wiodącej do Mielca. Z 4 krakowskim batalionem fortecznym walczyła w centrum Kolbuszowej.

Niemieccy napastnicy przerwali linię obrony Armii "Kraków" na jej północnym odcinku, pod Częstochową, miażdżąc i wyniszczając prawie zu-

2 Władysław Steblik, Armia "Kraków" 1939, Warszawa 1974, s. 7, 31.

3 Ryszard Dalecki, Armia "Karpaty", Rzeszów 1989, s. 32.

pełnie polską 7 DP. Ruszyli w głąb kraju. Na południowym odcinku drogę najeżdźcom z XXII Korpusu Pancernego zastępowała głównie 10 BKZmot. ze swoimi czołgami. Pierwszą walkę stoczyła pod Jordanowem. Ale i ona nie wytrzymała naporu niemieckiego ognia i musiała się cofać. Biła się potem pod Myślenicami i Bochnią.

Gen. Antoni Szylling już 2 września zrozumiał, że jego Armia może zostać przy granicy otoczona i rozbita. Zwrócił się więc do Naczelnego Wodza z prośbą o pozwolenie na wycofanie Armii bardziej na wschód. Otrzymał odpowiedź pozytywną na odwrót Armii "Kraków" na linię rzek: Nida w Kieleckiem i środkowy oraz dolny Dunajec, w okolicę Tarnowa. Tu, według życzenia Marszałka, miał być zorganizowany nowy front. Jednak Niemcy do tego nie dopuścili.

Gen. Szylling chciał nadać akcji wycofywania się Armii "Kraków" charakter zorganizowany. Oddziały GO "Jagmin" dostały rozkaz maszerowania, poczynając od nocy z 2 na 3 września, nad Nidę wzdłuż lewego, zachodniego brzegu Wisły. Spełniały rozkaz. Oddziały GO "Boruta" szły nad Dunajec wzdłuż prawego, wschodniego brzegu wiślanego, porośniętego przez Puszcze Niepołomicką, gdzie dróg jest mało. Wszędzie drogę wojsku tarasowały masy uciekinierów - cywilów z Polski zachodniej, opanowane paniką, strachem przed Niemcami. Za wojskiem podążali hitlerowcy, nękając Polaków wojną podjazdową. Polacy musieli wyrywać się z okrażenia.

W dniu 7 września GO "Boruta" została okrażona nad dolnym Dunajcem, na północny zachód i na północ od Tarnowa. Na Dunajcu według życzenia Naczelnego Wodza miał być front. Nie powstał on z tego względu, że E. Rydz-Śmigły połączył Armię "Kraków" i Armię "Karpaty" w Armię "Małopolska", a jej dowódca gen. K. Fabrycy postanowił utworzyć front na Sanie i wycofał znad środkowego Dunajca ustawioną już tam 24 DP. GO "Boruta" ściągająca nad dolny Dunajec, poza Tarnów, w okolicę Radłowa, Zabna i Biskupic, miała odsłonięte, przed Niemcami, wschodnie skrzydło. Na tym skrzydle pojawili się Niemcy z XXII Korpusu Pancernego i ich 7 dywizja piechoty. Do powstania dramatycznej sytuacji GO "Boruta" nad dolnym Dunajcem przyczyniła się też z konieczności 10 BKZmot. Do wieczora dnia 6 września osłaniała ona cofające się prawe, wschodnie skrzydło "Boruty", walcząc z 2 dywizją pancerną i 4 dywizją lekką (z XXII Korpusu). Po bitwie pod Bochnią w dniu 6 września 10 BKZmot. zabrakło benzyny. Następnego dnia z rana jej dowódca pułkownik Stanisław Maczek uzyskał pozwolenie gen. Boruty- Spiechowicza, będącego w Żabnie, na udanie się Brygady, będącej w okolicy Radłowa, na północny wschód od Tarnowa, w celu zdobycia benzyny i uporządkowania sił, w rejon Radomyśla Wielkiego, miasteczka położonego w odległości trzydziestu kilometrów na północny wschód od Tarnowa, znajdującego się już w powiecie mieleckim, niedaleko od Kolbuszowej. 10 BKZmot. pojechała 7 września do Radomyśla, a postępujące za nią jednostki XXII Korpusu zajęły Tarnów. 4

dywizja lekka wyjechała z tego miasta dobrą, nie bronioną drogą, zdobywać Dębicę i Rzeszów, a 2 dywizja pancerna udała się za 10 BKZmot. nad dolny Dunajec, pod Żabno i Biskupice, gdzie ściągały właśnie, w dniu 7 września oddziały GO "Boruta"⁴. Niemiecka dywizja sprawiła im, w tym dniu i w nocy, straszliwą rozprawę. Oddziały polskie musiały wyrwać się z okrążenia. Jedne zdążyły przejechać na prawy brzeg Dunajca, po moście pod Biskupicami, inne musiały przepływać wpław przez tę rzekę. Większość ich wyrwała się, ale była już okaleczona. Powstało dużo "odprysków", pogubionych żołnierzy. Wszyscy dążyli do Radomyśla Wielkiego, a stamtąd pod Ulanów, nad dolny San. Za nimi postępowali Niemcy, 2 dywizja pancerna i jakaś piechota. Front przyszedł, w ten zakątek Polski, na ziemię powiatu mieleckiego i kolbuszowskiego.

Wiadomo ze wspaniałej książki "Armia "Kraków" 1939", wydanej w 1975r., napisanej przez Władysława Steblika, rodem z Żywca, przedwojennego kapitana ze sztabu Armii "Kraków", że oddziały "Boruty" z Radomyśla Wielkiego nad San wędrowały trzema szlakami. Jeden wiódł przez Szczucin nad Wisłą, Baranów i Tarnobrzeg. Nim poszło najwięcej oddziałów. Drugi wiódł do Tarnobrzega przez Mielec i Majdan Królewski, a trzeci prowadził przez ziemię powiatu kolbuszowskiego i przez miasto Kolbuszowa. Z Radomyśla Wielkiego do Kolbuszowej można jechać okreśną, lepszą drogą, przez Mielec, a potem przez wsie: Przyłęk, Kosowy, Siedlanka, Swierczów i Kolbuszowa Dolna. Można również jechać bliższą drogą. Zaczyna się ona około 10 kilometrów przed Mielcem, pod wsią Rzemień i prowadzi przez wsie: Dobrynin, Niwiska, Trześń i Nowa Wieś. Ta droga we wrześniu 1939 r. była śródleśna i niesamowicie piaszczysta. Dzisiaj jest już wybrukowana. W omawianym czasie oddziały polskie przemieszczały się obiema drogami.

10 BKZmot. będąc w Radomyślu Wielkim otrzymała rozkaz udania się do Rzeszowa, dla jego obrony. Przejechała ona w nocy z 7 na 8 września przez Mielec i Kolbuszowę do Głogowa pod Rzeszów. Nie zdążyła już bronić tego miasta. Zajęła go 4 dywizja lekka. 10 BKZmot. udała się pod Jarosław i broniła go. Według W. Steblika, przez Kolbuszowę przesuwali się: część krakowskiej Brygady Kawalerii, części 202 pułku piechoty z 21 DPG, niektóre baterie 6 DP i 21 DPG, niektóre bataliony I Brygady Górskiej i trzy szpitale polowe, szpital 6 DP, 21 DPG i szpital odwodowy⁵. Z Kolbuszowej udawały się one przez Werynię, Dzikowiec, Raniżów, Sokołów Młp., Leżajsk czy Rudnik nad Sanem pod Ulanów.

Wymienione oddziały wojskowe przechodziły tak jak 10 BKZmot. w nocy z 7 na 8 i w dniu 8 września, a niektóre oddziały jeszcze z rana czy do południa następnego dnia przez ziemię powiatu kolbuszowskiego. Wymieniony powiat posiadał dwa miasta, raczej wtedy miasteczka, Kolbuszo-

4 W. Steblik, op. cit., s. 235.

5 W. Steblik, op.cit., s.s. 258, 259, 342.

we i Sokołów, nazywany dzisiaj Małopolskim oraz siedem gmin: Kolbuszowa Dolna, Kolbuszowa Górna, Cmolas, Dzikowiec, 'Majdan Królewski, Raniżów i Sokołów. Mieszkało w nim ponad siedemdziesiąt tysięcy ludzi, z tego prawie siedem tysięcy żyło w dwóch wymienionych miasteczkach. Reszta mieszkała na wsi, utrzymując się głównie z drobnych gospodarstw rolnych. Powiat był biedny. Leżał na terenie dawnej Puszczy Sandomierskiej, miał i ma ubogą, piaszczystą ziemię, gęsto zalesioną. Przemysł stanowiły - jedna gorzelnia Jerzego Marii hrabiego Tyszkiewicza w Kolbuszowej, oraz kilka cegielni i tartaków. Nie posiadał on ani skrawka linii kolejowej. Najbliższa stacja dla kolbuszowian znajdowała się w Sędziszowie, oddalonym o dwadzieścia kilometrów. Następne były w Mielcu, oddalonym o dwadzieścia siedem kilometrów, w Rzeszowie, oddalonym o trzydzieści kilometrów. Do Tarnobrzega jest z Kolbuszowej czterdzieści kilometrów. Wówczas podróże odbywały się furmankami konnymi. Wprawdzie w Kolbuszowej, w II Rzeczypospolitej, panowie Wacław Osiniak i Leon Zieliński założyli Spółkę Autobusową i utrzymywali kursy do wymienionych miast, ale bilety za przejazd były drogie i na tę formę komunikacji mogli sobie pozwolić tylko znaczniejsi urzędnicy i bogatsi Żydzi. Ci ostatni mieszkali w miastach. We wsiach żyli tylko w pojedynczych rodzinach.

Centrum powiatu kolbuszowskiego stanowiła Kolbuszowa. Leży ona na płaskowyżu, w otoczeniu lasów i w kotlinie, nad małą rzeką Nil. Miasto wciśnięte jest pomiędzy dwa wzgórza. Wzgórze od strony zachodniej, przez które prowadzi droga do Nowej Wsi, Trześni, Niwisk, Rzemienia, Przecławia, Radomyśla Wielkiego i dalej do Dębicy, oraz wzgórze od strony północno-wschodniej, przez które ciągnie się droga do Weryni, Raniżowa, Sokołowa Młp. i dalej do Leżajska, Rudnika nad Sanem i Stalowej woli. Jeżeli mowa o drogach, to można wspomnieć, że miasto wyrosło przy skrzyżowaniu lokalnych, dawniej puszczańskich dróg. Przechodzą przez nie drogi: z Mielca do Rzeszowa, z Sandomierza i Tarnobrzega również do Rzeszowa, oraz droga do Sędziszowa i do Sokołowa Młp. Trasy te schodzą się przy kolbuszowskim rynku. W Kolbuszowej mieszkało wtedy około 3200 mieszkańców. Nieco więcej niż połowę z nich stanowili Polacy - katolicy, nieco mniej niż połowę - Żydzi. Kolbuszowianie - katolicy byli w części inteligentami - urzędnikami, a w większości mieszczanami - rzemieślnikami i drobnymi rolnikami. Żydzi przeważnie utrzymywali się z prowadzenia handlu a częściowo i z rzemiosła. Nad miastem górował rzymskokatolicki kościół parafialny, mający za patronów Wszystkich Świętych. Były w mieście dwie szkoły powszechne, męska i żeńska oraz gimnazjum. Działały polskie i żydowskie organizacje polityczne i społeczne. Żywe były wówczas wśród mieszkańców uczucia patriotyczne i istniały bliskie kontakty z 17 pułkiem piechoty WP, stacjonującym w Rzeszowie.

Co roku, na wiosnę, żołnierze z 17-mnastki wędrowali przez Kolbuszowę na poligon, a jesienią wracali do koszar. Nauczyciele z Kolbuszowej i

ze szkół wiejskich organizowali wtedy przywitania i pożegnania wojskowych. W Kolbuszowej uroczystości te odbywały się na rynku, leżącym przy południowym boku kościoła parafialnego pod wezwaniem Wszystkich Świętych, wśród kwiatów i dźwięków orkiestry. Na pięknym, kolbuszowskim stadionie były też organizowane, każdego lata, obozy dla kandydatów na oficerów, uczących się w szkołach podchorążych. Oddział obozowiczów chodził po ulicach miasta śpiewając. Wieczorami podchorążowie odwiedzali domy, w których mieszkały panny. Kilku kolbuszowian: Zdzisław Gródecki, Wincenty Gumiński, Adam Miś, Tadeusz Zach, służyło w oddziale 10 BKZmot., stacjonującym w Żurawicy koło Przemyśla. Wymykali się na przepustki do domów motocyklem z przyczepą lub willisem i urządzali w Kolbuszowej, przejażdżki dzieciom. Był i kolbuszowianin - lotnik, czasem krążący w samolocie nad rodzinną miejscowością. Wielu osobom życie wydawało się, wtedy, takie przyjemne i wesołe.

Aż tu nagle, w dniu 1 września 1939 r. wybuchła wojna. Ruch wojenny w Kolbuszowej rozpoczęła, jak i w całej Polsce, mobilizacja, ogłoszona 24 sierpnia. Powołani spieszyli do wojska. Pozostałych ogarnął niepokój.

Ruch wzmógł się, gdy 27 sierpnia przyleciał, na skraj Weryni, na nieco więcej niż kilometr od Kolbuszowej - "Motyl 10", czyli przybyła 31 Eskadra Lotnicza z Poznania, przeznaczona dla Armii "Karpaty". O eskadrze tej pisali, w ostatnich latach, różni autorzy. Tutaj, zostanie ona przedstawiona na podstawie książeczki "Front bez myśliwców" pana Wacława Króla, wydanej w Warszawie, w 1979 r. Oto wypisy z niej:

W dniu 26 sierpnia 1939 r., 31 eskadra, stojąca na lotnisku "Ławica" pod Poznaniem dostała rozkaz przelotu na lotnisko 6 Pułku Lotniczego w Skniłowie pod Lwowem. Liczyła ona jedenaście samolotów, dziesięć samolotów typu - PZL P-23 "Karaś" i jeden samolot łącznikowy typu - RWD-8. Dowódcą Eskadry był kpt. Witalis Nikonow, pewnie Polak, pochodzenia białoruskiego. Eskadra miała personel latający i o wiele większy personel naziemny, swoją obsługę techniczną. Personel latający tworzyło trzydziestu pięciu lotników, oficerów czy podoficerów, pilotów, obserwatorów i strzelców pokładowych. Załogę każdego "Karasia" stanowiło trzech lotników, pilot, obserwator i strzelec pokładowy. Dowódcą załogi bywał przeważnie oficer - obserwator. Piloci bywali, na ogół, podoficerowie po szkołach lotniczych dla małoletnich. Strzelcy pokładowi rekrutowali się z żołnierzy służby czynnej, wybranych przez komisje lekarskie i przeszkoleni na odpowiednich kursach. Załoga techniczna obsługująca eskadrę, liczyła ponad sto osób, różnego rodzaju mechaników. Wojsko jest olbrzymią maszyną i bardzo kosztowną.

Zastępcą kpt. W. Nikonowa, d-cy eskadry był porucznik obserwator (por. obs.) Henryk Możdżeń. Oficerem operacyjnym był por. obs. Tadeusz Kołodziejski. Lotnikami obserwatorami byli: por. Antoni Soroko, por. Kazimierz Joszt, por. Jerzy Sukiennik, por. Leon Nowicki, ppor. Wacław Białkiewicz,

ppor. Olgierd Łuczkowski, ppor. Adam Szajdzicki, ppor. Stefan Pstrokoński, ppor. Marian Wojtowicz, ppor. Stefan Szczepański, podchorąży (pchor.) Stefan Pigłowski, pchor. Marian Pszeny. Lotnikami - pilotami byli: ppor. Józef Wroński, ppor. Jan Orzechowski, podchorąży (pchor.) Stefan Maciejewski, pchor. Stefan Makarewicz, st. sierż. Konstanty Korzeniowski, kpr. Ignacy Rabiega, kpr. Franciszek Sobkowiak, kpr. Jan Wiensko, kpr. Andrzej Kuźniacki, kpr. Jan Daczka, kpr. Leon Kegel, kpr. Edmund Rozmia-rek,. Lotnikami - strzelcami pokładowymi byli: kpr. Stanisław Lis, kpr. Stefan Jarzębowski, kpr. Józef Starosta, kpr. Józef Rek, kpr. Feliks Zemler, st. sierż. Józef Skorczyk i st. szer. Czesław Pelik.

"Motyl 10" przyleciał, dnia 27 sierpnia 1939 roku z Poznania do Skniłowa. Jego obsługa techniczna pojechała na samochodach. W Skniłowie płk Tuśkiewicz, dowódca lotnictwa Armii "Karpaty" dał kpt. Wasylowi Nikonowowi polecenie udania się do Weryni koło Kolbuszowej w celu znalezienia tam - lotniska polowego dla swojej eskadry. Eskadra ta została przydzielona do Armii "Karpaty". Kpt. Nikonow zaraz przyleciał z por. Możdżeniem, na RWD-8, na poszukiwanie. W Weryni wybrał na lotnisko kawał równego pola, leżącego na wzgórzu od strony północnej, obok pałacu Jerzego Marii hrabiego Tyszkiewicza, właściciela majątku ziemskiego w Kolbuszowej i w Weryni. Ściągała się już i obsługa techniczna. Pomieszczenia dla lotników znalazły się w pałacu, dla personelu technicznego w pobliskich zabudowaniach folwarcznych.

Pole, wybrane na lotnisko, należało wyrównać. Por. Możdżeń pojechał, na motocyklu, do Kolbuszowej, szukać pomocy. Udzielił mu jej burmistrz, Wiktor Winiarski. W dwie godziny zajęły na wzgórze dwa walce ściągnięte z reperowanej szosy i pole "zaroilo" się od młodych ludzi, od lotników i przysłanych im ku pomocy kolbuszowskich gimnazjalistów. Praca trwała dwa dni i w dniu 30 sierpnia przyleciało, na gotowe lotnisko dziewięć "Karasi" ze Skniłowa. Dziesiąty uległ, po drodze, awarii. Lotnisko było dobre, równe i twarde. Zaraz na nim zapanował stan wojenny. Lotnicy studiowali mapy terenu i odbywali loty rozpoznawcze. Zaznajamiali się z ludźmi z Weryni i z Kolbuszowej. W Kolbuszowej dotarli na plebanie i zawarli przyjaźń z młodymi księżmi - wikariuszami.

Być może, że wieść o wojnie usłyszeli jako pierwsi na terenie Kolbuszowej i Weryni, lotnicy z Weryni. Jak pisze W. Król, 1 września o godz. 6⁰⁰ rano w weryńskim pałacu w pokoju kpt. Witalisa Nikonowa, zadzwonił telefon. Kapitan już nie spał. Telefonował płk Tuśkiewicz ze Skniłowa z wiadomością o wojnie. Pułkownik kazał ogłosić alarm w eskadrze i przygotować ją do działań wojennych. Rozkaz został wykonany. W krótkim czasie dwa pierwsze "Karasi" wyleciały na rozpoznanie sytuacji w stronę Karpat, ku granicy ze Słowacją. Badali zgrupowania wojska, robili zdjęcia i szkice. Chociaż "Karasi" nie były bombowcami, ich lotnicy mieli z sobą bomby. W następnych dniach, gdy lecieli na rozpoznanie, umocowywali je

do skrzydeł swoich samolotów i spuszczali, gdy mogli, na pozycje nieprzyjacielskie.

Już w dniu 3 września Eskadrę "Motyl 10" spotkało pierwsze wielkie nieszczęście. W służbie dla Polski straciło życie trzech jej lotników. Raniutko tego dnia jeden "Karaś" wyleciał ku granicy słowackiej. Szybował za nisko nad Zakładami Azotowymi w Mościcach koło Tarnowa i został wzięty przez pomyłkę przez załogę przeciwlotniczą w tej fabryce, za samolot nieprzyjacielski. Zaczęto strzelać do niego i trafiono go. "Karaś" zapalił się. Lotnicy nie zdążyli się uratować. Zginęli razem z samolotem: por. obs. Henryk Możdżeń, z-ca dowódcy eskadry, ppor. obs. Stefan Pstrokoński i kpr. pilot Jan Wiensko. Nie pozostał po nich nawet ślad. Pamięć tych Polaków powinna być utrwalona, na zawsze w Weryni czy w Kolbuszowej.

W innym dniu sześć "Karasi" z Weryni poleciało w okolice Nowego Targu spuścić na Niemców parę bomb. Wykonały zadanie, ale dostały się w wir walki. Zostały postrzelone. Jeden "Karaś" musiał lądować w drodze powrotnej. Załogę jego stanowili: por. obs. Antoni Soroko, kpr. pilot Ignacy Rabiega i pchor. obs. Stefan Pigłowski. Na szczęście ci lotnicy przeżyli, jak pisze W. Król, katastrofę.

W dniu 7 września "Motyl 10" posiadał już tylko trzy "Karasia", samolot łącznikowy RWD-8 i dwa samoloty RWD-XIV "Czapla", przysłane mu, w międzyczasie ze Skniłowa.

Jeden spośród żołnierzy z Armii "Kraków" wycofujących się znad Dunajca, w nocy z 7 na 8 i w dniu 8 września przez miasto Kolbuszową opisał swoje ówczesne spostrzeżenia i odczucia, po czym przekazał je rodakom. Jest to Jan Józef Szczepański, wówczas młody krakowianin, podchorąży jednej z baterii krakowskiego 6 pułku artylerii lekkiej (6 p.a.L.). W czasie przeprawy *przez* Dunajec pod Biskupicami zgubił się z całą baterią, odłączył od swojego dywizjonu i przyłączył do baterii artylerii 21 DPG⁶ i z nią jechał konno od Radomyśla Wielkiego do Kolbuszowej i dalej nad San. Po wojnie został literatem. Swoje wojenne, wrześniowe wspomnienia, opisał w książce "Polska jesień", wydanej po raz pierwszy w 1955 r. Zapamiętał on dużo z drogi do Kolbuszowej i przejazdu przez nią, z atmosfery tamtych dni i utrwalił wspomnienia w powieści, jednak pojawiły się w niej pewne nieścisłości. Z tekstu wynika, że spod Rzemienia jechał on do Kolbuszowej wspomnianą leśną, piaszczystą drogą przez Dobrynin i Niwiska, że w czasie tej jazdy spotkał 10 BKZmot. Ale przecież nie mógł Brygady spotkać na tej drodze, bo 10 BKZmot. nią nie przejeżdżała. Ona jechała przez Mielec. Wiadomości z przejazdu *przez* kolbuszowski rynek są bardziej ściśle. Ale przeczytajmy cały fragment związany z Kolbuszowszczyzną z "Polskiej jesieni":

"Las pełen był jeszcze mroku. Noc rozcieńczona i wystygła, wsiąkała

6 W. Steblik, op. cit., s. 287.

szybko w suche poszycie w wysokie pnie, których nie kończące się szeregi obstępowały nas coraz dalszymi kręgami... Górą jednak było już jasno. Poprzez poplątane konary kokietowały na świetlistą bielą maleńkie obłoczki, podobne do młodych rybek w przejrzystej głębi stawu... Droga była ciężka, po mialkim piachu i korzeniach leśnego traktu, a nasz działon miał za sobą pół nocy pościgu za baterią. Na szczęście ciągnęły się teraz przed nami kolumny piechoty i tempo marszu stawało się ślimaczo leniwe. Dzień przenikał w głąb lasu coraz jaskrawiej... Kiedy znaleźliśmy się w końcu na szczycie wzgórza, ujrzelśmy małą grupkę ludzi, idących naprzeciw nas skrajem leśnego cienia. Byli to cywile - mężczyźni i kobiety - zdrożeni i objuczeni tobołami, jak wszyscy ci, których spotykaliśmy na naszym szlaku. Jakiś młody chłopak pchał pracowicie rower z przytroczoną na bagażniku walizką.

- Dokąd idziecie? - spytałem go, kiedy zrównał się ze mną.

Odgarnął brudną ręką kosmyki włosów z czoła i przyjrzał mi się z tępyim osłupieniem. - Uciekamy z miasta - rzekł powoli.

- Z jakiego miasta?

- Z Kolbuszowej.

- Po co? Dokąd?

Milczał długą chwilę, mrugając niepewnie, zanim wyksztusił wreszcie odpowiedź. - Mówili, że Niemcy przyjdą...

Oburzyło mnie to. - Bzdury! Już sami nie wiecie, co robić ze strachu. Przecież my tam właśnie idziemy. Zawróćcie lepiej.

Zostawiłem go wspartego brzuchem o ramę roweru. Pograżonego w głębokiej medytacji. Gdy obejrzałem się przez ramię, spostrzegłem, jak naradzał się z towarzyszami, pokazując ręką nasze działa. Widocznie nie zdołał ich jednak przekonać, bo po chwili ruszyli wszyscy w swoją stronę.

Teraz spotykaliśmy coraz więcej cywilów. Przemykali się wstydliwie bokiem, ścigani kpiącymi okrzykami żołnierzy. Zresztą byli nieliczni. To nie był ten tłum, uciekający w ślepym popłochu, który tamował drogi po tamtej stronie Dunajca. Raczej awangarda najostrożniejszych, wyruszających zawczasu do z góry obmyślonych kryjówek po wsiach odległych od torów wielkich wydarzeń.

Wciąż brnęliśmy pieszko koło zaprzęgów, kiedy w lesie, nad samym skrajem drogi, zauważyłem samotnie wędrującą postać, zupełnie różną od wszystkich mijanych uciekinierów. Aż przystanąłem ze zdziwienia. - Listonosz. W brązowym mundurze kroczył rześkim, służbowym krokiem ze skórzaną torbą, przewieszoną przez ramię. Pośpiesznie wydobyłem z kieszeni list i zastąpiłem mu drogę.

- Niech mi pan to nada gdziekolwiek - namawiałem go - przecież poczta chyba chodzi... - Robił wrażenie okropnie speszzonego.

- Może i chodzi, panie podchorąży - bąkał - ale nie tu... Bóg raczy wiedzieć gdzie.

- A w Kolbuszowej?

Wzruszył ramionami. - Nie wiem, panie podchorąży. Połączenie przerwane, może naprawią... Rozłożył bezradnie ręce, posyłając na pół smutny, na pół ironiczny uśmiech w gąszcz sosnowych gałęzi nad moją głową.

"Lewa wolna" - krzyczano od tyłu. Wzmagający się warkot podpływał coraz bliżej, aż nagle niski, wojskowy "łazik" minął mnie z brzękiem i znikł za zakrętem poniżej, wzbijając obłok białego pyłu. Pozostała mi w oczach wyprostowana sylwetka młodego oficera. Stał wsparty dłonią o przednią szybę, a jego twarz pod maską kurzu wydawała się posągowo nieczuła na pęd skwarne powietrza. Teraz łoskot-maszyn stał się cięższy, cała szosa zaczęła drzeć, jak rozpędzony pas transmisyjny. Długą kolumną toczyły się z góry piękne, kamuflowane ciężarówki, ciągnik na gąsienicach, wlokąc za sobą podskakujące jaszczke i ciężkie działa, umajone przywiedłą zielenią. Przyciskałem mierzyna do zaprzęgu i urzeczonym wzrokiem chłonałem ten pochód przewalającej się mimo nas siły. Znałem ich. Widywałem nieraz na defiladach oddziały zmotoryzowanej brygady ze Stryja. Takie wspaniałe wojsko. W otwartych wozach hełmy siedzących w dwa rzędy obsług podskakiwały równiuteńko, jakby i one były częścią pędzącej maszyny. Kierowcy wychylali ku nam głowy. Ich twarze też szare były od potu, a uśmiech pozdrowienia rzeźbił się w nich twardym, prawie bolesnym pęknięciem.

- Takim to dobrze - westchnął z zazdrością Kud. - Jada se jak pany. Jechali wciąż z dudnieniem i charkotem, wszyscy jednacy, bez najmniej szego śladu zużycia. W porównaniu z nimi wydawali się nikli i nędzni.

- Najlepsze wojsko - rzekł z szacunkiem jezdny szpicowy.

- Widziałeś - powiedział Marchewka. - Cała armia powinna tak wyglądać, cholera!

Miasteczko wydawało się czyste, nawet wesołe. Tak; było wesołe i ożywione jak żadne z tych, przez które przejeżdżaliśmy dotychczas. Ludzie śmiali się do nas z chodników, pozdrawiali przyjaznymi gestami, a zgrabne pensjonarki w satynowych fartuszkach i białych kołnierzykach podbiegały ku nam z dzbankami pełnymi wody z malinowym sokiem. Spieszyły się bardzo, żeby wszystkim nastarczyć, zarumienione śmigały tam i z powrotem przez furtki małych ogródków i dreptały przy koniach, póki nie oddało im się puste szklanki. Mimo to nie mogliśmy nie zauważyć powybijanych tu i ówdzie szyb, podłużnych chłasniew cekaemowych serii na białych ścianach zasobnie wyglądających domków i pociętych drutów telegraficznych, zwisających w nieładzie do samej ziemi.

Zaraz na początku ulicy dostrzegłem na murze czerwoną skrzynkę. Wjechałem na chodnik. - Czy poczta chodzi? - spytałem wracającą z pustym dzbankiem panienkę. Zmartwiła się zalotnie. - Niestety, proszę pana. Zamknęli po nalocie. - Ale kiedy cofałem już rękę z listem, rozpromieniła się z przymilną ufnością. - Nic nie szkodzi, niech pan wrzuci. Teraz będzie na

pewno znowu czynna. Na pewno. - Owo "teraz" sprawiło, że przez chwilę miałem złudzenie marszu naprzód, a nie odwrotu.

Przed wejściem na rynek musieliśmy się zatrzymać i czekać długo w skwarze brzęczącym setkami męskich głosów. Ulica zatkana była po brzegi piechotą. Komiśny zapach wełny, juchtowej skóry i potu stał w powietrzu nieruchomym oparem.

Ruszyliśmy wreszcie, ale było to deptanie prawie w miejscu, pełne irytujących przystanków. Minęło jeszcze dobre pół godziny, nim wydostaliśmy się na rynek. Wielki, kwadratowy plac wypełniony był po brzegi szarozieloną masą wojska. Znać jednak było w tym wszystkim jakiś ład. Wąskie miedze odgraniczały od siebie trzony poszczególnych formacji. Piechurzy siedzieli przeważnie na ziemi. Przy oddziałach artylerii, taborów i pontonów bataliony ich wyglądały jak zagony zgniecione wiatrem. Samochody, furgony i sprzęt wszelkiego rodzaju wypełniały szczelnie wszystkie przylegające ulice. Tu i ówdzie wznosiły się nad ciżbą leniwe dymki z kuchni polowych. To była koncentracja - nie ulegało wątpliwości. Koniec naszego błędzenia, początek realnej, wojennej akcji. Wolno przebijaliśmy się wąskim szpalerem na drugą stronę placu. W ścisku ktoś potracił mojego mierzyna. Kapitan Jordan przepychał się mozolnie ku czołu baterii, a tuż za nim Redycz, z rozpiętym mapnikiem na piersi. Jordan gniótł ostrogami swego konia, nie patrząc przed siebie. Twarz, zasepioną bardziej niż zwykle, odwrócił przez ramię i niecierpliwie tłumaczył coś porucznikowi. - Idioci! - usłyszałem, gdy mnie mijał. - Nie będę tu stał; nie ma głupich. W pierwszej wsi za miastem, ale nie tu.

Przedostaliśmy się w przeciwną uliczkę, która otwierała się wkrótce na rozległe, wąskimi półkami pokreślone *wzgórze*. Domy rozstępowały się tu coraz szerzej. Wkrótce też skończył się bruk, a ulica zamieniła się w szeroki, rozjeżdżony gościniec. Było tutaj znacznie luźniej, ale pod górę posuwaliśmy się bardzo wolno, oszczędzając zmęczonych długim marszem i upałem konie.

Z obu stron na przyległych do miasta polach kręciło się pełno wojska, całe kompanie koczowały grupami wśród rozrzuconych wokół zabudowań. Równoległymi do gościńca drózkami wędrowały luźne oddziały piechoty i taborów. Dużo nas było. Wszędzie działo się coś ciekawego...

Teraz po obu stronach drogi zaroilo się od kawalerii. Napływała od tyłu szeroka ławą, depcząc po zagonach zaoranej roli i zetlałych w słońcu ziemniaczyskach. To było piękne wojsko. Konie dobrane maścią w szwadronach szły lekko i kapryśnie, jak na defiladzie. Nowiutkie hełmy francuskie lśniły matowo, czapraki i siodła żółciły się z daleka *magazynową* świeżością. Wsparci kułakiem o uda jeźdźcy przeżyli się na grzbietach swych wierzchowców z jakimś anachronicznym wdziękiem i butą.

Ci nie wyglądali na cofających się. Może mieli za sobą jakieś zwycięstwa, o których wieść nie mogła dotrzeć do takich zbłąkanych łązików, jak my. Po drugiej stronie wzgórza gościniec opadał łagodnie ku dużej wsi"⁷.

Tak Jan Józef Szczepański z Krakowa przedstawił po wojnie, w "Polskiej jesieni", swój przejazd, w szeregu wojskowym przez Kolbuszową w dniu 8 września 1939 roku. Kilka z tych białych domków, przy których śmigały pensjonarki - gimnazjalistki, miały zostać ofiarami pożaru już wieczór następnego dnia. Koncentracja, tak oczekiwana przez tego podchorążego, miała się odbyć z konieczności wobec wkroczenia Sowieci, na Lubelszczyźnie.

Jan Józef Szczepański wjechał do Kolbuszowej, z pewnością od strony Przecławia, Dobrynina i Nowej Wsi, w ulicę 3 Maja (teraz Obrońców Pokoju). Tam wtedy na ścianie budynku Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół" (dzisiejszy Dom Kultury) znajdowała się skrzynka pocztowa. I tam również, wówczas było, chociaż w głębi ulicy, kilka starych drewnianych domów z gankami, o wyglądzie dworków, otoczonych pędami dzikiego winu oraz panienek - gimnazjalistek, o wyglądzie pensjonarek. Autor "Polskiej jesieni" widział te domki w ostatnim dniu ich istnienia. Następnego dnia w czasie bitwy większość ich uległa spaleniu. Uciekinierzy, napotkani przez J. J. Szczepańskiego przed Kolbuszową, musieli pochodzić ze wsi, do których dążyli, udając się na zachód, a nie w przeciwnym kierunku, gdzie posuwał się ogół uciekinierów.

Nie powiedziano dotąd, że "Motyl 10" opuścił Werynię już 7 września. W tym dniu dysponował on już, tylko trzema "Karasiami", dwiema "Czapłami" i dwoma samolotami RWD-8. Z rana, tego dnia, dwa "Karasie" poleciały jeszcze na rozpoznanie, ale w południe, dowódca eskadry otrzymał polecenie wyszukania nowego lotniska polowego w rejonie na północ od Jarosławia. Dwa RWD-8 zaraz wyleciały. Po dwóch godzinach wróciły. Znalazły na nowe lądowisko rozległe pole, obok miasteczka Cieszanów, oddalone o ponad czterdzieści kilometrów na północ od Jarosławia. Zaraz wyruszyła tam czołówka techniczna, mająca przyjąć przylatujące samoloty. Reszta personelu technicznego związała swoje stanowisko. Nie mogła zabrać posiadanych bomb i całego sprzętu. Bomby zakopała, część sprzętu zniszczyła. Kilkanaście beczek z benzyną oddano 23 eskadrze obserwacyjnej z Krakowa, która przybyła do Weryni. "Motyl 10" odleciał⁸.

W dniu 8 września przesuwająca się przez ziemię kolbuszowską masa osób wojskowych, w niej trzej generałowie z GO "Boruta". Byli to: gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, który udawał się z rana z Mielca do Rzeszowa; gen. Bernard Mond, który był w południe i wstąpił do budynku

7 Jan Józef Szczepański, *Polska jesień*, Kraków 1988, s.s. 122-129.

8 Wacław Król, *Front bez myśliwców*, Warszawa 1979, s.s. 93, 94.

pocztowego przy ulicy J. Piłsudskiego oraz gen. Józef Kustroń. Gen. Mond na pocztce uzyskał połączenie z gen. Kazimierzem Fabrycym w Przemyślu. Gen. Kustroń jechał wieczorem lub w nocy. Rano był w Sokołowie Młp.⁹.

Wojskowi, którzy byli ósmego września 1939 r. w Kolbuszowej, odeszli czy odjechali w stronę Raniżowa i Sokołowa. Jednak kilku z nich, z końmi, było jeszcze tego dnia, wieczorem, na wzniesieniu, porośniętym sosnami, znajdującym się przy ul. J. Piłsudskiego, koło stadionu. Wtedy na miejsce to podjechali Niemcy, na dwóch czy trzech motocyklach. Władysław Steblik przypuszcza, że był to zwiad z 4 dywizji lekkiej, który spod Sędziszowa, zamiast do Rzeszowa, przyjechał do Kolbuszowej. Nastąpiła tam wówczas wymiana strzałów, ale nie była to bitwa. Niemcy wycofali się. Tymczasem ludzkie języki zrobiły z tego bitwę.

W następnym dniu, 9 września, w sobotę, z rana, przesuwała się przez Kolbuszowę część żołnierzy polskich ku Weryni. Trochę później, w godzinach południowych dwa ostatnie oddziały polskie przyszły z Mielca. Były to: powiększone w drodze przez "odpryski" z innych oddziałów 4 krakowski batalion forteczny, dowodzony przez porucznika Andrzeja Krawca i batalion "Wołożyn" z 1 Brygady Górskiej KOP, dowodzony przez kapitana Tymkiewicza. 4 krakowski batalion forteczny doszedł do rynku w Kolbuszowej, gdzie zatrzymał się, dla odpoczynku i zjedzenia obiadu. Batalion "Wołożyn" nie dotarł już do miasta. Kapitan Tymkiewicz zatrzymał go, prawie trzy kilometry przed nim, pod lasem, przynależnym do wsi Świerczów, nad małą rzeczką, a żołnierze rozciągnęli się, aż na zachodni, znajdujący się przy szosie do Mielca skraj pobliskiej wsi - Kolbuszowa Dolna. Te dwa bataliony wkrótce walczyły z Niemcami tam, gdzie się znalazły. Walczyli z 1 batalionem 2 dywizji pancernej, który przyjechał, na czele całej dywizji, leśną drogą od Rzemienia do podkolbuszowskiej Nowej Wsi, a nawet dotarł na wzgórze pod miastem, przez które prowadzi droga z Niwisk i Nowej Wsi do Kolbuszowej. Wzgórze to, niegdyś nazywano Krokwią. Droga, idąca przez nie, staje się w mieście ulicą. Dawniej była to ulica 3 Maja, dzisiaj ul. Obrońców Pokoju.

Niemcy, gdy stanęli na Krokwi, nie widzieli miasta. Leży ono u stóp wzgórza, w kotlinie nad Nilem. Wznosi się jeszcze nad nim zieleń rosnących drzew. Natomiast dawniej, przed sześćdziesięcioma laty, gdy domów w Kolbuszowej było o wiele mniej, widać było, przez rozległe pola, zachodni skraj Kolbuszowej Dolnej, rozłożony przy szosie do Mielca. W dniu 9 września Niemcy, stojący na Krokwi, zauważyli, z pewnością przez lornetki pod Świerczowem i Kolbuszową Dolną, żołnierzy polskich z batalionu "Wołożyn" i - ostrzelali ich.

Kapitan Piotr Tymkiewicz, dowódca "Wołożyna" nie musiał przyjmować pod Kolbuszową bitwy z Niemcami, znajdującymi się w znacznej odległości

9 W. Steblik, op. cit., s. 256. Gen. J. Kustroń omal nie zginął w czasie przeprawy przez Dunajec pod Biskupicami, a zginął w dn. 18.09 koło Lubaczowa.

na południe od jego batalionu. Mógł ukryć się, z żołnierzami, w pobliskim lesie i pomaszerować w przeciwną od najeźdźców stronę. On jednak nie chciał uciekać przed wrogiem i bił się z nim. Po wojnie napisał wspomnienie o tym starciu pod Kolbuszową i przekazał je oficerowi Władysławowi Steblikowi, autorowi książki "Armia "Kraków" 1939". W. Steblik zamieścił uzyskane informacje, najpierw, w 1968 r., w czwartym numerze Wojskowego Przeglądu Historycznego w artykule pod tytułem "Akcja kpt. P. Tymkiewicza od szosy mieleckiej", potem w swojej książce. Przeczytajmy to wspomnienie.

"Po walce nad Dunajcem 7 września część batalionu KOP "Wołożyn" z odpryskami innych oddziałów, o ogólnej sile dwóch kompanii strzeleckich (po około 180 ludzi) i pół kompanii ckm (80 ludzi, 5 ckm, 8 biedek), pod dowództwem kpt. P. Tymkiewicza cofało się od Żabna na Mielec - Kolbuszową. Przekroczywszy 9 września, w godzinach rannych potok za lasem Siedlanka, zatrzymano się na chwilowy postój, zamierzając po uporządkowaniu się, pomaszerować do Kolbuszowej. Jednak około godz. 10⁰⁰ odezwały się krótkie serie z pistoletów maszynowych z kartofliska po południowej stronie drogi. Około godz. 11⁰⁰ ogień się wzmógł. Na szosie mieleckiej powstał niepokój, a nawet zawracanie w stronę lasu różnych "odprysków", uważając, że ogień ten prowadzi jakiś nieznaczny oddziałek nieprzyjaciela, rzucony dla zakłócenia polskiego odwrotu, kpt. Tymkiewicz zdecydował się odrzucić go poza wzgórze w Nowej Wsi. W tym celu rozwinął obie kompanie (z 5 ckm-ami) wzdłuż szosy, aż nieomal po północno-zachodnie zagrody Kolbuszowej Dolnej i ruszył z nimi do natarcia na wzgórze. Strzelcy parli brawurowo do przodu. Jednak w miarę odrywania się od szosy i zagród ogień nieprzyjaciela, początkowo słaby, wzrastał się coraz bardziej. W rezultacie natarcia zaległo w odległości 100-150 m przed szczytem wzgórza. Artyleria niemiecka otworzyła ogień na szosę i zagrody przy niej, a niebawem także na miasto, wzniecając pożary. Ostra walka (nasza) trwała dosyć długo, powodując liczne straty w rannych i zabitych. Gdy na wzgórzu pojawiły się czołgi (około 7-8) i ziały ogniem na szosę i miasto, kpt. Tymkiewicz zdecydował się ratować swoje resztki. Wydał rozkaz wycofania się do lasu na swoich północno-zachodnich tyłach. Wycofanie do tego lasu udało się tylko drobnej grupie żołnierzy. W tym czasie Kolbuszowa stała już w ogniu i w dymie"¹⁰.

Tak kpt. Piotr Tymkiewicz przedstawił swoją bitwę z Niemcami, w dniu 9 września 1939 r pod Kolbuszową na polach, rozciągających się pomiędzy drogą do Nowej Wsi, a zachodnim skrajem wsi Kolbuszowa Dolna. Żołnierze, Podhalańczycy z Suchej, z batalionu "Wołożyn" poszli na rozkaz dowódcy, na rozległe, niczym nie zasłonięte pole i bardzo duża ich część zginęła. Zabitych później zwieziono na kolbuszowski cmentarz. Część tych,

10 W. Steblik, op. cit., s. 246, Wojskowy Przegląd Historyczny, nr 4 z 1968 r.

którzy ocaleli pojechała podczas bitwy czy po niej, na wojskowych wozach do Kolbuszowej. Kapitan Tymkiewicz z resztą swoich ludzi odszedł przez Świerczów i Dąbrówkę do Cmolasu.

Niemcy z 2 dywizji pancerniej, może walcząc jeszcze z batalionem "Wołożyn", a może już rozgromiwszy go, ruszyli szosą, przy której byli, motocyklowym zwiadem, w dół, do Kolbuszowej. Mieli do niej niepełny kilometr. W mieście, na rynku, znajdował się 4 krakowski batalion forteczny, dowodzony przez porucznika Andrzeja Krawca. Było to już chyba przed godziną piętnastą. Pogoda tamtego września była upalna. Słońce prażyło. Por. A. Krawiec i jego trzech czy czterech koledzy - oficerowie, byli po obiedzie, w restauracji Władysława Zacha, tutaj, gdzie dzisiaj jest sklep "Orion". Batalion miał wystawione, jak należało, ubezpieczenia na ulicach, na których mogli zjawić się Niemcy. Była czujka na ulicy 3 Maja, w ogrodzie jednego z tych drewnianych, mieszczańskich domów, wyglądających jak dworki. Ta postawiona straż zauważyła ostrożnie nadjeżdżający od Nowej Wsi, zwiad niemiecki. Pewnie dowódca ubezpieczenia wystrzelił z pistoletu. Zawiadomił swoich o niebezpieczeństwie. Zaraz rozpoczęła się strzelanina. Zaczęła się bitwa w mieście Kolbuszowa 4 krakowskiego batalionu fortecznego z pierwszym batalionem 2 dywizji pancerniej.

Bitwę tę po wojnie, w roku 1967, opisał Władysławowi Steblikowi, porucznik Andrzej Krawiec, dowódca polskiego batalionu, awansowany już, tak, jak i kpt. Piotr Tymkiewicz, o jeden stopień wyżej. Władysław Steblik opublikował wypowiedź A. Krawca w 4 numerze Wojskowego Przeglądu Historycznego z 1968 r. i potem ujął ją w swojej książce. W tym czasie, pan Andrzej Krawiec przyjeżdżał już do Kolbuszowej. Ściągnął go tutaj, prawdopodobnie mgr Adam Bauer, ówczesny dyrektor kolbuszowskiej Szkoły Zawodowej, urodzony w Chorzelowie koło Mielca. Służył on w pierwszych dniach września 1939 r. jako podporucznik w którymś z oddziałów Armii "Kraków" na ziemi mieleckiej, stał się "odpryskiem" od tego oddziału, przyłączył się do spotkanego 4 batalionu fortecznego, przyszedł z nim do Kolbuszowej i brał udział w toczonej tutaj bitwie. Pan Andrzej Krawiec przyjeżdżał, w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych do Kolbuszowej, odwiedzał groby żołnierzy; swoich podkomendnych, poległych tutaj we wrześniu 1939 r., odbywał spotkania z młodzieżą szkolną i dorosłymi kolbuszowianami, opowiadał im swoje losy. Żył wówczas w Kolbuszowej Kazimierz Aleksander Skowroński, doktor - historyk, profesor Szkoły Rolniczej w Weryni, prezes społecznego towarzystwa regionalnego, Towarzystwa Opieki nad Zabytkami imienia Juliana Macieja Goslara, dzisiaj noszącego nazwę Towarzystwa Kultury. Doktor opracowywał zagadnienia z przeszłości Kolbuszowej i jej okolic. Drukował je w "Biuletynie" Towarzystwa. Był też zainteresowany kolbuszowską, wrześniową bitwą. Andrzej Krawiec dał dr Skowrońskiemu swoje zdjęcie sprzed 1939 r. i przekazał wspomnienie o bitwie, które wydrukowano w 10 numerze "Biuletynu" Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. Jego treść zostanie

tutaj przytoczona. Wcześniej jednak będzie podane, trochę danych z życiorysu Andrzeja Krawca, uzyskanych przez autorkę tych słów. Miałam przyjemność poznać pana Andrzeja Krawca, kapitana rezerwy Wojska Polskiego, być z nim na tutejszym cmentarzu i słuchać opowiadań o bitwie.

Andrzej Krawiec urodził się 25.IV. 1911 roku, w rodzinie chłopskiej, we wsi Trinitatis w powiecie bocheńskim, jako syn Tomasza i Salomei z Dygów. Szkołę powszechną ukończył w rodzinnej miejscowości, Gimnazjum w Bochni, po czym przez rok studiował prawo na UJ. W jesieni 1930 roku porzucił studia i wstąpił do służby wojskowej. W latach 1930-1933 skończył Szkołę Podchorążych Oficerów Służby Stałej w Komorowie koło Ostrowii Mazowieckiej. Był wysokim blondynem, o niebieskich oczach i pogodnym usposobieniu. Po Szkole Podchorążych dostał przydział do 2 Batalionu 20 pułku piechoty "Ziemi Krakowskiej", który stacjonował w Tarnowie. W styczniu 1936 roku otrzymał awans na porucznika, a dwa lata później stanowisko instruktora w krakowskiej Szkole Podchorążych. Tu zastał por. Krawca dzień 1 września 1939 roku. W dniu 3 września skierowano go do organizowanego przez 20 pułk piechoty batalionu zapasowego, czyli 4 batalionu fortecznego, batalionu, z którym przywędrował do Kolbuszowej.

Oto wojenne wspomnienia pana Andrzeja Krawca:

"Udział IV baonu fortecznego 20 p.p. w boju pod Kolbuszową w dniu 9.IX. 1939 r. (wspomnienia dowódcy)".

3 września 1939 roku.

Wieczorem tego dnia, po nieudanym zorganizowaniu Szkoły Podchorążych 6 DP, a której to Szkoły miałem być komendantem, zostałem przydzielony do zapasowego batalionu 20 p.p., organizującego się w koszarach 20 p.p. w Krakowie.

4 września

W godzinach rannych zameldowałem się u dowódcy baonu (batalionu) kpt. rez. Batko i d-ca baonu, zadowolony z mojego zgłoszenia się (byłem w tym baonie jedynym oficerem służby czynnej) powierzył mi pełnienie obowiązków adiutanta baonu. Dowiedziałem się, że baon ma wejść w skład grupy obrony Krakowa. Około godz. 8⁰⁰ - dowódca baonu otrzymał rozkaz, bodajże od płk. Gwelesiani, natychmiastowego wymarszu drogą przez Tarnów do Rzeszowa. W chwili otrzymania rozkazu skład baonu był następujący: trzy kompanie strzeleckie po około 160 ludzi i kompania ckm (ciężkich karabinów maszynowych) - 62 ludzi. Kompanie dowodzone były przez oficerów rezerwy - 1 komp. ppor. rez. Balcer, 2 komp. - ppor. rez. Sanicki, 3 komp. ppor. Janicki, komp. ckm - por. rez. Rożanowicz. Plutonami dowodzili oficerowie i podoficerowie w stopniach kapral i plutonowy.

Uzbrojenie batalionu: karabiny ręczne, 3 ckm bez biedek (jednokoło-

wych, dwukołowych wózków), po trzy jednostki amunicji do kb., po trzy taśmy amunicji do ckm i po 1 granacie na strzelca.

Baon nie posiadał kuchni ani jakiegokolwiek taboru, posiadał jedynie motocykl "Sokół" z przyczepą. Przed rozpoczęciem marszu baon zaopatrzył się w cztery dwukonne podwody, na które załadował ckm, po trzy na jedną. Na czwartą podwodę załadowaliśmy konserwy i suchary, zabrane z magazynu żywnościowego 20 pp. Przed wymarszem każdy żołnierz pobrał z magazynu żywnościowego po jednej konserwie i po jednej paczce sucharów, które miał zatrzymać, jako żelazną porcję. W sumie baon miał wyżywienie na trzy dni. Około godz. 10⁰⁰ rozpoczął nakazany marsz.

Po dojściu do Wieliczki skierował się na boczną drogę, północną, równoległą do głównej szosy, gdzie przekroczył rzekę Rabę, żeby w późnych godzinach wieczornych osiągnąć Bochnię. Wcześniej w Grodkowicach d-ca baonu wyjechał na motocyklu do Bochni w celu zorganizowania kolacji dla baonu i więcej go nie oglądaliśmy. W Bochni kolacji nie było.

5 września

Tego dnia na zbiórce baonu ogłosiłem się „samożwańczo” d-cą baonu, a na adiutanta powołałem ppor. Warchałowskiego. Od godziny 5⁰⁰ rano baon kontynuował marsz szosą na Tarnów. Około godz. 7⁰⁰ kolumnę baonu wyprzedza sztab GO "Bielsko" ("Boruta"), gen. Boruty- Spiechowicza. Generał, po przyjęciu ode mnie meldunku o zadaniu baonu, przekazał mi wykonanie następującego zadania: szosą Bochnia - Tarnów maszeruje kolumna artylerii, mam ubezpieczyć jej przejście, obsadzając wzgórza na południe od szosy, okrakiem na drodze Zakliczyn - Wojnicz. We wczesnych godzinach popołudniowych baon zostanie zluzowany przez baon strzelców podhalańskich. Zadanie wykonałem. Około godz. 14⁰⁰, przekazałem strzeżony odcinek baonowi p. sp. (pewnie pułku strzelców podhalańskich). Otrzymałszy wiadomość, że kontynuowanie marszu na Tarnów jest niebezpieczne, poszedłem z baonem drogą na północ, na Wojnicz - Bogumółowice - Wierzchosławice, do wideł rzek Dunajec - Biała, przeprawiając się przez Dunajec poniżej ujścia Białej. Przeprawa została zakończona ok. godz. 17⁰⁰.

Po przeprowieniu się przez Dunajec, baon został podporządkowany d-cy obrony Dunajca i otrzymał zadanie obrony tej rzeki na południowym skrzydle oddziału, organizującego już obronę do wysokości ujścia rzeki Białej, zadanie obrony skrzydła od południa, z kierunku Mościce.

6 września

Baon umacniał stanowiska obronne, żołnierze zajęci budową dołów strzeleckich, mogli odpocząć po trudach odbytego, w ciągu dwu poprzednich dni, około 100- kilometrowego marszu. Dzięki temu postojowi mogłem zor-

ganizować baonowi obiad, rekwirując w okolicznych wioskach, świnie, ziemniaki, przygotowując ciepłą strawę w wiejskich domach. Do spożycia obiadu żołnierze dochodzili plutonami, na zmianę z każdej kompanii.

Wysyłane patrole na Tarnów, meldowały o dużych ruchach naszych wojsk w kierunku wschodnim. W ciągu dnia obserwowaliśmy dosyć dużą aktywność npla (nieprzyjaciela). Tak zastała nas noc z dnia 6 na 7 września.

7 września

Około godz. 5⁰⁰, d-ca plutonu sąsiadującego z północnym baonem obrony zameldował mi, że sąsiedzi opuścili Dunajec, wycofując się na wschód. D-ca wycofującego się baonu nie zawiadomił mnie o swojej decyzji, pozostawiając mnie swojemu losowi. Dałem rozkaz baonowi, przygotowania się do wymarszu. Chcąc uniknąć tłoku na szosie Tarnów - Dębica, obawiając się działań lotnictwa nieprzyjacielskiego, wybrałem kierunek wymarszu -Lisia Góra - Radomyśl Wielki. Około godz. 11⁰⁰, baon dochodził do lasu na wschód, od miejscowości Wesola. W lesie zatrzymałem baon na postój. Aktywność lotnictwa zwiadowczego npla była duża, ludzie zmęczeni, coraz więcej maruderów. W późnych godzinach popołudniowych, baon dochodzi do Radomyśla. Przed miastem spotykam oficera sztabu DPG, który poinformował mnie o położeniu dywizji i nakazał marsz na Mielec. Wieczorem baon doszedł do miejscowości Piątkowiec (pod Mielcem).

8 września

Około godz. 6⁰⁰ baon kontynuuje marsz na Mielec. Po wyjściu z lasu został on zaatakowany bronią pokładową trzech samolotów npla, nadlatujących od strony Mielca. Samoloty zostały ostrzelane ogniem 3 kompanii, maszerującej w straży przedniej. W wyniku nalotu, jeden nasz żołnierz został zabity. Dałem polecenie pochowania go w lesie Piątkowiec, rozkazując zabranie znaczka tożsamości. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że nikt z żołnierzy nie posiada tego znaczka. Nazwisko poległego zostało odnotowane przez adiutanta baonu.

Baon przeszedł Wisłokę mostem pod samym Mielcem i zatrzymał się na południowym krańcu miasta. Było ono zatłoczone różnymi oddziałami wojskowymi, szczególnie maruderami i uciekinierami. Patrole, wysłane dla odszukania sztabu dywizji, meldowały, że oddziały wojskowe maszerowały tak na północ, jak i na wschód. Zdecydowałem się iść na wschód, na Kolbuszowę. W Krakowie dostałem przecież zadanie - marsz do Rzeszowa. Ostatecznie o wyborze kierunku zdecydowała uzyskana informacja, że sztab GDP udał się w godzinach rannych, do Kolbuszowej. Baon ruszył do marszu i osiągnął w godzinach wieczornych skraj lasu obok miejscowości Przyłęk. Zatrzymał się na postój ubezpieczony. Dałem zezwolenie na zje-

dzenie żelaznej porcji. Żołnierze coraz bardziej zmęczeni, z obolałymi nogami. Przez minione pięć dni ubyło z baonu 37 ludzi, nie wytrzymujących trudu marszu. Niektórzy pozostawali bez zezwolenia, inni prosili o zezwolenie pozostania pokazując poobcierane nogi. Morale innych było dosyć dobre. W utrzymaniu dyscypliny wiele pomogli mi koledzy - oficerowie i podoficerowie i sami szeregowi, którzy humorem nierzadko śpiewem, podtrzymywali na duchu słabszych.

Po drodze z Mielca do Kolbuszowej włączałem do baonu napotkanych maruderów. Przez noc w Przyłęku, do czasu wymarszu baonu do Kolbuszowej zebrano i włączono do baonu około dalszych 100 strzelców, maszerujących grupami, z różnych oddziałów, jak 49 p. KOP, pułków Strzelców Podhalańskich i innych jednostek.

9 września

Rano 9 września przed wymarszem do Kolbuszowej, baon liczył około 700 żołnierzy. Ruszyliśmy. We wsi Siedlanka dowiedziałem się od mieszkańców, że dnia wczorajszego w m. Kolbuszowa była walka. Zatrzymuję baon w lesie, na zachodnim skraju, wysyłając do Kolbuszowej, na rozpoznanie pluton pod dowództwem ppor. Warchołowskiego, mojego adiutanta. Dałem mu do dyspozycji mojego konia, żeby mi złożył jak najszybciej meldunek. Około godz. 11⁰⁰ ppor. Warchołowski powrócił z wiadomością, że Kolbuszowa jest wolna. Po tym meldunku baon pomaszerował do Kolbuszowej, którą osiągnął około godz. 12⁰⁰. Zatrzymałem go na rynku, ubezpieczając się z kierunków Sędziszów i Przecław. Od strony Rzeszowa nie ubezpieczałem się, gdyż już w samej Kolbuszowej minął mnie jakiś oddział artylerii, od którego dowiedziałem się, że ma rozkaz jak najszybciej dotrzeć do Rzeszowa. Podczas odpoczynku baonu, staram się zebrać wiadomości o położeniu naszych wojsk. Żołnierze z obcych oddziałów niewiele mogą mi powiedzieć. Twierdzą, że oddziały ich zostały rozbite, a dowódcy polegli. Nie spotykam oficerów. Spotykam dwa działony artylerii. Dowodzi nimi ogniomistrz, którego podporządkowuję sobie.

Około godz. 12³⁰ popłoch, od strony Raniżowa nadjeżdżają jakieś samochody. Nim zdążyłem podjąć jakąś decyzję, do rynku wjechało 9 samochodów ciężarowych, polskich. Z pierwszego wysiadł znany mi por. Pikula z 12 p.p., w czasie wojny oficer sztabu GDP (DPG). Przywiózł rozkaz gen. Monda załadowania baonu na samochody i zawiezienia go do Ulanowa. Poprosiłem go, żeby samochody zawróciły i przyjęły kierunek marszu, a sam wezwałem dowódców kompanii do dokonania podziału baonu na grupy załadowcze. W czasie oczekiwania na dowódców - zaczyna się "groteska". W środek baonu, na rynek wjeżdża niemiecki samochód - cysterna. Samochód zatrzymuje się. Dopadamy do niego, wyciągając kierowcę, który jest sam. Woła on po czesku, że jest Czechosłowakiem sudeckim. Nim zdąży-

łem wyciągnąć z niego, skąd przyjechał, z wieży kościoła padły strzały. Zabity został mój koń, obok którego stałem. W następnej chwili słyszę strzelaninę z kierunku, gdzie było moje ubezpieczenie. Podbiegam do miejsca, gdzie słyszę strzały. Widzę 5 czołgów stojących na drodze z kierunku Niwisk. Obok drogi, gdzie stoją czołgi, oparkowanie z desek.

Wracam na rynek do baonu. Daję rozkaz ppor. Balcerowi, d-cy 1 kompanii, wzmocnienie resztą plutonu walczącej już placówki. Przydzielam do tego plutonu 2 ckm. Drugiemu plutonowi plus 1 ckm kazałem zająć stanowisko w obronie na lewo od walczącego już plutonu. Trzeci pluton wyprowadzam bramą wjazdową z kamienicy, z zadaniem żeby biegnąc opłótkami, zasłonięci od strony czołgów, obrzucili je granatami. Wybiegający pluton został ostrzelany ogniem karabinów maszynowych od strony Nowej Wsi. Padamy na ziemię. Silny ogień nie pozwala ruszyć do przodu. Dałem rozkaz wycofania się na skraj miasta, także przygotowania do obrony. Powracam do rynku. D-cy kompanii oczekują mnie przy bramie wejściowej. Rozkazuję: kompania 2 zająć stanowiska obronne na prawo od kompanii 1, na skraju Kolbuszowa Dolna. Przydzielam jej pluton ckm. D-cy kompanii k. M. zwanemu w baonie "Dziadkiem", rozkazuję zabrać jeden ckm dla wzmocnienia obrony 1 kompanii, broniąc wejścia do Kolbuszowej. Kompanię trzecią z dwoma ckm-ami zabieram z sobą w celu zorganizowania obrony w odwodzie, na cmentarzu oraz wzdłuż zabudowań parafialnych. W drodze na cmentarz zastaję stojące tam jeszcze działony artylerii. Skierowałem je na stanowiska do zabudowań w Kolbuszowej Dolnej, przy szosie mieleckiej. Oddziały zajęły stanowiska. Z rejonu rozpoczęcia walki (ul. 3 Maja), dochodzi silny ogień karabinowy i pękających granatów. Oceniam sytuację. Z tyłu za stanowiskami kompanii odwodowej są dotąd nie obsadzone moimi żołnierzami zabudowania Kolbuszowej Dolnej przy drodze do Cmolasu. Trzeba tam kogoś przesunąć, żeby zabezpieczyć możliwość wycofania się nas, w wypadku braku możliwości dalszej obrony, biorąc pod uwagę nikły zapas amunicji. Posyłam tam jeden pluton plus jeden ckm i mojego adiutanta, który ma dopilnować obrony, włączając w nią grupy żołnierzy niezorganizowanych.

Udaję się na odcinek 1-wszej kompanii, na lewe skrzydło. Jest tu rzeczka Nil, kawałek otwartej przestrzeni i zabudowania. Tam nie ma nikogo. Łapię "Dziadka" i polecam zorganizować jakiś nieduży oddział, który mógłby tylko obserwować kierunek ze wschodu i z południa.

Ocena nieprzyjaciela - czołgom nie udało się pierwszym impetem zająć Kolbuszowej. Ulokowały się one na przedmieściu, wzdłuż drogi od strony m. Niwiska, skąd prowadziły ogień. Rowami, wzdłuż wymienionej drogi przemykały się grupy pieszych (niemieckich żołnierzy). Ze wzgórza od Nowej Wsi nieprzyjaciel w *dalszym ciągu ostrzetywuje miasto i skraj Kolbuszowej Dolnej*. Jakie siły jego kryją się w lesie od strony Niwisk - nie wiadomo. Działa on ostrożnie, może aż nazbyt ostrożnie, na nasze szczęście. Lekkimi czołgami i niezbyt dużym oddziałem pieszym, przy silnym ubezpieczeniu ogniowym ze

wzgórza stara się rozpoznać nasze siły. Zyskuje na czasie, ale na jak długo? Nie znał naszych możliwości obrony i czuł przed nami respekt.

Ale walka trwa. Na odcinku 1-wszej kompanii ciągle tylko wymiana strzałów. W rejonie drugiej kompanii spokój. Dlaczego? Czyżby Niemcy próbowali szukać rozstrzygnięcia w okrążeniu nas? Obserwuję teren Niwisk. Piesze grupy Niemców przesuwają się od zabudowań w kierunku 1-wszej kompanii. Wzmaga się ogień karabinowy z obu stron. Polecam ckm-om 2 kompanii ostrzelać, ogniem bocznym, przesuwających się pieszych. Byle jak najdłużej "nijaka walka", byle do zmierzchu. Stać było baon na przyjęcie obrony, ale nie na długo. Pomocy żadnej nie oczekiwałem, nikt o położeniu baonu nie wiedział. Pomocy może udzielić tylko noc.

Rozmyślania moje przerywa okrzyk - "z lasu czołgi". Kieruję lornetkę na las "Niwiska". Z lasu szeroką ławą, w towarzystwie pieszych, ruszają czołgi. "Działon ognia" - padają nasze dwa strzały. Czołgi znikają w zagłębieniu terenu pomiędzy lasem a wzgórzem. Nie wychodzą zza wzgórza. W tym samym momencie artyleria npla rozpoczyna ogień. Pociski padają na całej szerokości naszej obrony. Czołgi ruszyły do natarcia. Trwała walka. Z punktu dowodzenia na cmentarzu, Niemcy wdzierają się w rejon rynku. Słyszę silny ogień karabinowy i pojedyncze wybuchy granatów. Widzę wycofujących się żołnierzy z kompanii 1-wszej, z lewego skrzydła. Słyszę karabiny i wybuchy granatów z rejonu kamienic położonych naprzeciw rynku, nad rzeczką Nil. Walczą tam nasi żołnierze. Przybiega goniec z tej kompanii z meldunkiem - "Czołgi w rynku. Cofamy się". (Żołnierze cofali się do parku, zwanego Lipnikiem i w stronę Weryni). W chwilę potem otrzymuję meldunek z kompanii odwodowej, że u wylotu ul. Mieleckiej stoi unieruchomiony czołg, prowadzi jednak ogień. Po kilkudziesięciu minutach na rynek znowu spada nawała ognia artyleryjskiego. Wybuchają pożary. Obserwuję kierunek Niwiska. Jadą czołgi. Obydwa nasze działony otwierają ogień, ale czołgi posuwają się naprzód. Kompania 2-ga wycofuje się.

"Spalimy się. Mam wielu zabitych i rannych. Dwa ckm zniszczone, działon bez amunicji". Rozkazuję wycofać się poza Nil, w rejon trzeciej linii obrony, a w wypadku braku późniejszego kontaktu ze mną, wycofywać się na Ułanów.

Pada ostatni strzał działonu przy cmentarzu. Brak amunicji. Każę zniszczyć działo i wycofywać się z kompanią 2-gą. Ogień przeciwnika trwa. Czołgi podchodzą pod cmentarz. Obrona cmentarna otwiera ogień. Znowu w rynku słyszę czołgi. Z lewego skrzydła poza budynkami parafialnymi, biegnie goniec. "Brak amunicji, d-ca kompanii zabity". Koniec obrony. Czołgi na cmentarz szybko nie dostaną się. Przeszkodzi im mur cmentarny. Próbuję ratować resztki baonu. Z tyłu cmentarza, w kierunku północno-wschodnim jest wieś Zarębki. Może uda nam się tam dotrzeć. Liczę na zasłonę dymną płonącej Kolbuszowej. Daję rozkaz wycofania. Ja z moimi gońcami,

szybko podbiegam do plutonu trzeciej linii. Tam czołgów jeszcze nie ma. Kompanie obrony Kolbuszowej przechodzą tyralierą przez trzecią linię obrony, której daję polecenie - biegiem do tyłu. Biegniemy długimi skokami, przerywanymi dla nabrania oddechu. Ckm-y niesione są na zmianę.

Do Zarębek jeszcze około 300 m (może do weryńskiego lasu?). Wtem na wysokości naszej tyraliery zapala się jakiś rozbity samochód. Biegniemy do lasu. Oglądam się na Kolbuszowę. Płonie. Słychać jeszcze strzały. Płonie stóg siana. Znowu ogień artylerii. Nie robi to na nas wrażenia. Jesteśmy rozgoryczeni i zmartwieni. Wpadamy do lasu. Zatrzymuję baon. Trzeba zrobić bilans stoczony walki. Był on smutny. Ze stanu około 700 żołnierzy z Kolbuszowej, wycofało się około 300. Z relacji żołnierzy, naocznych świadków, wynikało, że poległo około 40 żołnierzy. Zostało także w Kolbuszowej wielu rannych i otoczonych w domach. Los ich jest nieznany. Największe straty poniosła kompania 2-ga, której około 80 % nie było wśród nas. Podobno polegli - ppor. Balcer, d-ca 1 kompanii i ppor. Warchałowski, adiutant baonu, wspinały żołnierz. W boju nieomal przez cały czas był ze mną. Straty w uzbrojeniu - 5 ckm, oba działa i posiadana amunicja. Niemców także, podobno wielu poległo. Dwa czołgi zniszczone.

Czy była dla nas jakaś korzyść z boju stoczonego w Kolbuszowej? Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, jedno było tylko dla nas pewne, przynajmniej na dzień dzisiejszy zatrzymaliśmy bezkarny marsz Niemców na wschód, na północ, a to już było na pewno wiele. Podziękowałem dowódcom i żołnierzom za ich bojowość, odwagę, zdyscyplinowanie i poniesione trudy. Postanowiliśmy natychmiast maszerować do Ulanowa, żeby jak najszybciej połączyć się z dywizją¹¹.

Por. Andrzej Krawiec i uszczuplony 4 batalion forteczny poszli *zaraz* w ciągu wieczoru i nocy, na piechotę, przez Werynię i Raniżów, przeprowadzani przez miejscowych ludzi, przewodników, jak ich nazwał porucznik we wspomnieniu w kierunku Rudnika nad Sanem, poza którym leży Ulanów. W parku koło pałacu J. M. Tyszkiewicza w Weryni pozostał i zmarł jeden ranny żołnierz z tego batalionu, który doszedł jakoś do tego miejsca. Był to niejaki Józef Cebula od Krakowa. Został pochowany z zachodniej strony parkowej kaplicy. Ponieważ miał przy sobie dokumenty, później gdy sytuacja się unormowała i poczta zaczęła pracować, hr. Jerzy Maria Tyszkiewicz zawiadomił rodzinę poległego o jego zgonie i miejscu pochówku. Ktoś z rodziny poległego przyjechał, odwiedził grób i zabrał pozostałe dokumenty. Drugi ranny żołnierz z omawianego batalionu zmarł, po drodze w Raniżowie. Został pochowany przez ludzi na skraju tamtejszego cmentarza, ale nikt nie zapisał, jakoś na trwałe czy nie zapamiętał jego imienia oraz nazwiska i do dzisiaj grób ten, troskliwie utrzymywany przez mieszkańców miejscowości dawnego miasteczka, jest bezimienny. Natomiast jak

11 Biuletyn Towarzystwa Opieki nad Zabytkami w Kolbuszowej, nr 10, s. 5-20.

pisze por. A. Krawiec we wspomnieniu, on i jego towarzysze przeszli, może jakimiś bocznymi drogami, przez dużą wieś Kamień, leżącą na północ od ziemi sokołowskiej i około godz. 4⁰⁰ nad ranem przybyli do wsi Jeżowe pod Kamieniem, skąd wiedzie droga przez lasy do Rudnika i Ulanowa.

Do udziału w bitwie w Kolbuszowej w dniu 9 września 1939 roku, przyznali się jeszcze przed laty dwaj mężczyźni. Jednym był p. Jan Baranowicz z Katowic, który nadmienia o tym w swoich wspomnieniach pod tytułem "Lata we mgle". Książka do dzisiaj jest już prawie, że niedostępna. Drugim był p. Stanisław Fabiański z Pilicy w powiecie Olkusz, poznany przed laty, przez autorkę tych słów. Nie był on urzędowo zmobilizowany i wcielony do jednostki, lecz sam zgłosił się na ochotnika. Urodził się on w 1905 r. w Pilicy, mieście leżącym w zaborze rosyjskim. W odrodzonej Polsce skończył cztery klasy gimnazjum i odbył w latach 1927-1928 służbę wojskową. W wojsku, we Lwowie skończył Podoficerską Szkołę Sanitarną i dostał stopień podoficera. W cywilu uczył się na Kursach dla drogistów, pracowników drogerii, sklepów higieniczno-lekarskich, po czym najpierw pracował w aptekach, a potem założył w Pilicy własną drogerię. Ożenił się, miał syna, a gdy przyszedł 1 wrzesień 1939 roku, zapragnął wziąć udział w obronie Ojczyzny. Chciał zgłosić się w swojej jednostce wojskowej, ale już jej nie zastał. Udał się w pościg za nią i dotarł aż do Mielca, gdzie przyłączył się do spotkanego 4 Krakowskiego Batalionu Fortecznego. Przyszedł z nim do Kolbuszowej i przeżył w niej bitwę. Uważał ją później za wielki bój, lubił o nim opowiadać i zawsze dziękował Panu Bogu, że go przeżył. Zapamiętał dokładnie zarys kolbuszowskiego rynku i ulic, wiodących do Weryni, a wiele z tego co przeżył, opisał w roku 1989 następująco:

"Wspomnienie z walki Wojska Polskiego, toczonej w Kolbuszowej".

Gdy 1 września 1939 roku wybuchła wojna i władze polskie ogłosiły mobilizację, ja jako podoficer sanitarny, byłem zobowiązany stawić się w mojej jednostce wojskowej, w 2 pułku Piechoty Legionów w Pińczowie, albo w Rejonowej Komendzie Uzupełnień w Miechowie, żeby uzyskać przydział do obrony kraju. Pożegnałem więc żonę, rodziców, dwuletniego synka, opuściłem dom, drogerię, wytwórnię wód owocowo-gazowych i udałem się pieszo, wobec braku komunikacji do RKU w Miechowie. Komendy jednak tam już nie zastałem. Ewakuowała się bardziej na wschód, rzekomo do Działoszyc. W Działoszycach jej także nie zastałem, ale natknąłem się na dwóch moich młodych kuzynów, z którymi był kierownik mleczarni z Pilicy. Razem udaliśmy się do Nowego Korczyna, tuż przed nadciągającą masą polskiej kawalerii. Stąd już przy boku rozproszonych jednostek wojskowych, pomaszerowaliśmy do Starego Korczyna, Szczucina i do Mielca. W Mielcu spotkaliśmy dużo różnych jednostek wojskowych. Byli wśród nich trzej moi znajomi z Pilicy, a to plut. Tadeusz Niezręcki, kpr. Kazi-

mierz Kubiczak i kpr. Franciszek Sośnicki. Chociaż nie znalazłem mojej jednostki, zameldowałem się u dowódcy i zostałem przyjęty jako podoficer sanitarny. Dano mi jakąś drelichową bluzę i pomaszerowaliśmy do Kolbuszowej, z myślą o Rzeszowie, czy Sokołowie.

W dniu 9 września przed południem, przyszedliśmy do Kolbuszowej. Nastąpił postój dla spożycia obiadu. W międzyczasie dowiedziałem się, że nasz patrol miał przyłapać niemieckiego oficera, ubranego w polski mundur wojskowy, mającego radiostację nadawczo-odbiorczą. Byliśmy na rynku, gdzie znajdowali się i inni ludzie, zwłaszcza uciekinierzy. Nagle usłyszeliśmy strzały i wołanie, że od strony Tarnowa jadą do rynku niemieckie czołgi i samochody pancerne. Zaraz potem rozpoczęła się ciężka walka, huk, hałas, dym, istne piekło. Ja dzięki Bogu, znajdowałem się akuratnie w bocznej ulicy, prowadzącej do Sokołowa. Od tamtej ulicy szła pod górkę polna droga i ja z kuzynami, pobiegliśmy nią. W głębi, z boku drogi stał w polu osobny dom. Ja z kuzynami doczołgałem się do tego domu, a inny kolega ukrył się w stogu siana, stojącym koło domu. W pobliżu, w odległości około 300 m, widać było las. Do domu wnet przypiełzło także dziesięciu naszych żołnierzy. W domu było już dużo cywilów, kobiet, mężczyzn i dzieci. Żołnierze zaraz rozbroili się, nie widząc możliwości dalszej walki. Ja także zdjąłem drelichową bluzę. Dom stał w strasznym obstrzale niemieckim. Okna i drzwi były bardzo podziurawione, a my chroniliśmy się, jak mogliśmy, leżąc pod ścianami i po kątach. Byliśmy zupełnie bez wyjścia. Dzieci płakały, a kobiety i mężczyźni modlili się gorąco o ratunek. Niemcy jakby naumyślnie strzelali do tego domu. Zapalił się stóg siana, w którym siedział nasz kolega. On wyskoczył z niego i biegł na podwórze domu. Tymczasem do domu podchodzili Niemcy, strzelając po drodze z automatów. Widząc ich, nasz kolega, w białej koszuli i wojskowych spodniach, podniósł ręce do góry. Niemcy przestali strzelać. Gospodarz domu wysunął przez drzwi biały ręcznik na znak, że się poddajemy. Jeszcze baliśmy się, żeby Niemcy nie wrzucili nam granatów, bo wtedy moglibyśmy wszyscy zginąć.

Niemcy stojąc pod domem wołali, żebyśmy wychodzili z niego pojedynczo, z podniesionymi rękami. Wychodziliśmy. Na podwórzu oddzielili osobno kobiety i dzieci, osobno mężczyzn o wyglądzie cywilów i osobno o wyglądzie wojskowego. Ja znalazłem się wśród cywilów. Kazano nam położyć się na ziemi twarzą do niej. Żołnierzy ustawili w rzędzie i my baliśmy się, że ich rozstrzelają. Ale ich tylko zrewidowali. Potem kazali kobietom i dzieciom zostać na miejscu, a nas mężczyzn prowadzili pod eskortą z rękami do góry, do rynku.

Przyszedliśmy do rynku około godz. 10⁰⁰. Był on cały wypełniony ludźmi. Byli wśród nich i księża z plebani. Wnet nas, zebranych otoczyły niemieckie czołgi i samochody pancerne. Przed nimi stanął oficer i powiedział, że Polska przegrała wojnę, że ziemie polskie będą niemieckie po wieczne

czasy. Gdy słuchałem tych słów, myślałem sobie - ty zarozumiały Szwabie. Przecież tak nie pozostanie, to nie jest pierwsza wojna z wami. Inne wojny przegraliście, to i tę przegracie. A przemawiający Niemiec kazał nam podnieść rękę do góry na znak, że życzymy Niemcom dalszych zwycięstw.

Powiedział także, że nam z rynku nie wolno się rozchodzić, że wszyscy mieszkańcy domów także mają z nich wyjść, a jak kto nie wyjdzie, to będzie albo zastrzelony albo spalony. Wnet po tych słowach czołgi i samochody zaczęły odjeżdżać z rynku w ulicę, wiodącą do Sokołowa. Niektórzy z wojskowych strzelali do budynków ze wschodniej strony rynku, zapalając je. Domy zaczęły się palić także poza rynkiem.

W tłoku, pośród ludzi, leżeli dwaj ranni żołnierze polscy. Ja miałem apteczkę sanitarną i zacząłem ich opatrywać. Jeden ranny był w nogę, drugi w brzuch. Za chwilę przyszli, Niemiec z automatem na piersi i dwaj polscy żołnierze, teraz już jeńcy i zabrali obojgu rannych, na noszach do jakiegoś punktu sanitarnego. Nie wiem, czy ten ranny w brzuch mógł przeżyć.

Był wieczór. Znalazłem się blisko studni, będącej na środku rynku, mającej poidło dla bydła. Rozmyślałem, jak by tu uciec? Najpierw postanowiłem zniszczyć dokumenty jakie posiadałem przy sobie, książeczkę wojskową, świadectwo ukończenia szkoły podoficerskiej i inne. Było mi ich żal, ale uważałem, że tak będzie lepiej. Pragnąłem powrócić do domu. Podarłem więc dokumenty na drobne skrawki i wyrzuciłem koło studni, gdzie chyba, rósł jakiś krzew.

Na razie, w czasie dalszego pobytu na rynku, przypatrywałem się w świetle pożaru, zebranym tam ludziom, Polakom i Żydom. Jedni stali, inni siedzieli, klęczeli czy leżeli. Księża i nie tylko oni, modlili się. Niektórzy ubolewali nad zniszczeniem ich dobytku. Chciałem uciekać, ale byłem zmęczony i zmorzył mnie sen. Ocknąłem się, gdy był już świt. Zauważyłem, że na rynku jest o wiele mniej ludzi, niż było poprzedniego dnia. Rynek obchodził niemiecki patrol. Podeszedłem do niego i zapytałem, znając trochę język niemiecki, kiedy zostaniemy zwolnieni? Usłyszałem odpowiedź, że na razie nie ma rozkazu. Gdy patrol odszedł, podeszedłem do małej uliczki, znajdującej się pomiędzy domami, a wiodącej w kierunku północno-zachodnim, w stronę Mielca. Ludzie byli na niej. Była niedziela, szli do kościoła. Wróciłem do moich kuzynów i powiedziałem im, żebyśmy starali się uciekać, że ja niespostrzeżenie dla patrolu pójdę pierwszy, a oni pojedynczo mają iść za mną. Udało się. Dostałem się do uliczki i moi kuzyni także. Poszliśmy za kościół. Na całej ulicy był straszliwy widok. Leżały na niej poprzewracane wozy wojskowe, rozbebeszone konie ze wzdętymi brzuchami, stały działa i leżały ciała zabitych żołnierzy. Niedaleko za cmentarzem było pole, błonie, a na nim znajdowała się duża gromada Żydów, mężczyzn, kobiet i dzieci. Dzieci płakały z powodu zimna i głodu. My szliśmy szybko dalej. Po jakimś czasie zobaczyliśmy polskie wojskowe wozy,

tabory, niezupełnie jeszcze rozbite z końmi. Nikt ich nie pilnował. Chłopi z sąsiednich domów zabierali je. My przyglądaliśmy się temu przez chwilę, potem powiedzieliśmy sobie, że trzeba nam zabrać jeden wóz i parę koni, że mamy tak daleką drogę do domów, więc szybciej ją przejedziemy niż przejdziemy, jeśli Niemcy nam nie przeszkodzą. Wzięliśmy jeden lekki wóz i konie i ruszyliśmy naprzód, modląc się w duchu, żeby nie spotkać Szwabów. Gdy było możliwe, zjeżdżaliśmy na polne drogi. Po drodze wzięliśmy na wóz wędrujących rozbitków. Jeden z nich bolał, że był na uciekinierce swoim wozem i końmi i Niemcy zabrali mu to wszystko. My pocieszaliśmy go, że dobrze że żyjemy, że jedziemy końmi, że one nam nie będą potrzebne i on je sobie weźmie, jak szczęśliwie zajedziemy do domów. I tak się stało. Zajechaliśmy do domów i dziękowaliśmy w nich Panu Bogu za szczęśliwy powrót do swoich. Ale bitwę w Kolbuszowej zapamiętałam do końca życia.

Chcę dodać, że trzech moi wojskowi, których spotkałem w Mielcu przed marszem do Kolbuszowej i dzięki nim znalazłem się w oddziale, który przyszedł do Kolbuszowej i walczył w niej, dostali się w Kolbuszowej do niewolnictwa niemieckiego, ale przeżyli ją i powrócili po wojnie do domów. Ja po wojnie nie raz postanawiałem sobie pojechać do tego miasta, oglądnąć je, porównać z tym, co zapamiętałem. Ale rodzina moja po wojnie powiększyła się, rodzice nas opuścili na zawsze, trzeba było remontować dom, pracować już nie we własnej drogerii, bo w tym ustroju socjalistycznym mieć jej nie mogłem, dzieci chować, kształcić. Potem zaczęło się psuć zdrowie. I tak zeszło. Często jednak jestem w Kolbuszowej myślami, współczuję jej z powodu przejść wojennych i życzę rozwoju. Oby więcej nie zaznała wojen¹².

Pan Stanisław Fabiański widział wieczorem i w nocy z dnia 9 na 10 września 1939 roku palącą się Kolbuszowę. Widzieli ją również kolbuszowianie i uciekinierzy zgromadzeni przez Niemców na rynku, na polach należących do plebani, leżących na zachód od cmentarza i na łąkach, pomiędzy ulicami 3 Maja i Krakowską. Ze wszystkich tych miejsc co odważniejsze osoby wymykały się do domów. Mniej odważni spędzili w miejscu zgromadzenia całą noc. Ci co byli na łąkach, znajdowali się pod bokiem przejeżdżającej 2 dywizji pancernej. Rano wszystkich puszczono do domów.

Nie jest prawdą, co po bitwie opowiadali jacyś przestraszeni kolbuszowianie, że Niemcy trzymali sporo ludzi w kościele, że potem ich rozstrzelali.

Ja przeżyłam dzień 9.09.1939 r., dzień bitwy tak, jak i inne, wcześniejsze i późniejsze dni, w Kolbuszowej, w domu rodzinnym, mając skończone, co dopiero dwanaście lat życia. Wszystko, co wtedy widziałam, mocno

12 Wspomnienie p. Stanisława Fabiańskiego, który mieszkał w Pilicy, znajduje się u autorki pracy.

utkwilo mi w pamieci, a dzisiaj, w sześćdziesiątą rocznicę, chcę to przedstawić na piśmie. Byłam wówczas drugim, po siostrze Annie, dzieckiem Feliksa Dudzińskiego i Wilhelminy Widuchowskiej. Miałam jeszcze dwójkę młodszego rodzeństwa: siostrę Janinę i brata Andrzeja. Ojciec mój był rzemieślnikiem, szewcem. Mieszkaliśmy we własnym murowanym domu, stojącym w rogu pomiędzy ulicami Józefa Piłsudskiego i Krakowską, obok kapliczki św. Jana. Ojciec miał warsztat i mały sklepik z obuwem w pobliżu rynku, tuż przy magistracie i moście na Nilu. Obecnie budynek magistratu zajmuje Powiatowa Komenda Policji. Mieliśmy też, jak wszyscy mieszczenie, małe gospodarstwo rolne. Chowaliśmy dwie krowy. Ojciec mój wychowany w duchu patriotycznym w okresie niewoli austriackiej, miał zamiłowanie do pracy społecznej. Od młodych lat należał do Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół", a w wieku dojrzałym był zawsze, z wyjątkiem lat wojennych, radnym miejskim. W II Rzeczypospolitej, w latach trzydziestych, wciągnął się do pracy w Towarzystwie Przyjaciół Związku Strzeleckiego. Przez jakiś czas pełnił funkcję prezesa. Na krótko przed wojną został za to odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi. Mama prowadziła gospodarstwo domowe. Z licznych krewnych, najbliższymi byli dla nas dziadkowie (rodzice Mamy) Jan i Maria Widuchowscy, którzy mieszkali ze swoimi młodszymi dziećmi w małym, drewnianym domku na Nowym mieście. Chodziliśmy do nich często przez rozległe pola, łąki, rozciągające się jeszcze do dzisiaj pomiędzy ulicą Krakowską a 3 Maja (teraz Obrońców Pokoju) i Nowym Miastem. Lato w 1939 r. było gorące i upalne. Ciepło było prawie do Bożego Narodzenia. Ja w maju skończyłam szóstą klasę szkoły powszechnej i złożyłam egzamin wstępny do miejscowego Prywatnego Gimnazjum. Miałam w sobie ciekawość świata i ludzi. Pamiętam chmurny i ponury sobotni dzień pierwszego września, gdy rano rozeszła się piorunująca wieść, że Niemcy napadli na granice Polski, że zaczęła się wojna, że nasi żołnierze walczą. Niektóre kobiety krzyczały i płakały. Inne, wśród nich moja Mama, biegły do sklepów z nadzieją, że może im się uda jeszcze kupić trochę soli, cukru i mąki, a także mydła i nafty do oświetlania mieszkań. Ojciec podszedł do aparatu radiowego na słuchawki, żeby dowiedzieć się czegoś o aktualnej sytuacji politycznej i militarnej. Na drugi dzień pojechał on, jak i paru innych mężczyzn do koszar wojskowych w Rzeszowie, prosząc o przyjęcie do wojska. Nikt nie został przyjęty. 17 pułk piechoty nie był przygotowany do zaciągania ochotników. Tymczasem gospodynie po domach, pakowały do skrzyń swoje cenniejsze przedmioty i ukrywały je, przeważnie w ziemi. Stary Szymon Mazur, woźny magistracki, ogłaszał zarządzenia władz powiatowych i miejskich, nakazujące zaciemnianie wieczorem okien. Szymon przywoływał do siebie ludzi, jak zawsze, stając na wolnym miejscu i uderzając pałeczkami w bębenek. Zaraz biegło się do sklepu papierniczego po czarny karton do zaciemniania. W tym czasie ludzie obawiali się, żeby Niemcy nie użyli gazów trujących,

gdyż z cywilów nikt nie miał masek przeciwgazowych. Zarząd Powiatowy Oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża organizował krótkie szkolenia sanitarne. Nie zmobilizowani do wojska członkowie Związku Strzeleckiego byli organizowani w oddziały. Z obawy przed działalnością dywersyjną, trzymali warty przy budynkach użyteczności publicznej.

Od trzeciego września zaczęli przeciągać przez Kolbuszową cywile, uciekający przed Niemcami z zachodniej Polski, ze Śląska i z ziemi krakowskiej. W tamtym czasie samochody były rzeczą rzadko posiadaną. Uciekinierzy, ogarnięci bezrozumną paniką, jechali na furmankach, rowerach, albo szli na piechotę, nieraz z małymi dziećmi na rękach czy wioząc je w dziecinnych wózkach. Do Kolbuszowej docierali wszystkimi trzema drogami od zachodu, od Mielca, od Radomyśla i Rzemienia i od Sędziszowa. Jechali, szli Polacy i Żydzi. Wstępowali do domów. Katolicy do domów katolickich, Żydzi do żydowskich. Prosiли o pożywienie, czasem o nocleg. Tu, u nas, nie było niemieckich nalotów na drogi, bombardowań i sieczenia z karabinów maszynowych. Były one w strefach przyfrontowych. Po domach przyjmowano przybyszy, których częstowano i oferowano nocleg. Wojna wyzwalała ludzką solidarność, lecz strach rodził panikę, która powodowała wypadki. Pamiętam wypadek samochodowy z dnia 6 września na kolbuszowskiej ulicy. Doznając złamania podstawy czaszki zginął w nim niejaki pan Leonard Gutkowski. Zapis pogrzebu w parafialnej Księdze zmarłych głosi, że urodził się on w 1898 r. w Delatynie, jako syn Marcina i Emilii Stryjskiej, a był mężem Zbigniewy Barszczyńskiej.

Pan Franciszek Margański z Kolbuszowej Dolnej wspomina, że któregoś dnia przed 8 września, ktoś przywiózł do kolbuszowskiego Starostwa kilka dużych zaplombowanych skrzyń, z poczty w Krakowie. Skrzynie pilnowali jacyś ludzie, którzy zażądali środka lokomocji w celu transportu ładunku do Lwowa. Pan Margański pracował wtedy jako młody mechanik w warsztatach Spółki Komunikacji Autobusowej pp. Osiniaka i Zielińskiego. Pracownicy Starostwa zaraz zabrali spółce jeden duży autobus, zostawili parę siedzeń, resztę usunęli, załadowali skrzynie i autobus pojechał. Pan Marcin Osiniak wysłał z nim do pilnowania, p. Margańskiego. Autobus zajechał, bez przeszkód do Lwowa, po czym ruszył dalej na południe ku granicy z Rumunią. Opiekunowie pilnowali skrzyń, jak oka w głowie. Gdy dotarli autobusem do Zaleszczyk nad granicę, radio podało wiadomość, że armia sowiecka przekroczyła granice Polski. Był to więc 17 września. Wtedy opiekunowie skrzyń porozumieli się z władzami zaleszczyckimi i jakimiś innymi ludźmi - i otworzyli skrzynie. Były w nich - biżuteria i pieniądze, zebrane w Krakowie na Fundusz Obrony Narodowej, utworzony w chwili zagrożenia Polski wojną. Opiekunowie skrzyń dawali posiadane pieniądze Polakom udającym się do Rumuni. Biżuterię ktoś gdzieś zabrał. Pieniądze miały jeszcze wartość. Pan Margański także dostał ich trochę. Mógł udać się do Rumuni ale zauważył, że żołnierze rumuńscy nie

szanują przechodzących do nich Polaków, więc postanowił wrócić do domu. I powrócił spotykając przybyłych Sowietów i mając różne przygody.

W dniu 7 września zaczęło się przemieszczanie, przez Kolbuszowę, oddziałów wojskowych z Grupy Operacyjnej "Boruta". Przybywały one głównie od strony Mielca ulicą Narutowicza. Niektóre przychodziły też, czy przyjeżdżały z Sędziszowa ulicą J. Piłsudskiego. Musiały do nas przychodzić złe wiadomości z Dunajca pod Tarnowem, gdyż wojenna panika ogarnęła i kolbuszowskich urzędników. Nie wiadomo kiedy, pojechał na "uciekinierkę" za San starosta mgr Jan Scherff z żoną i synem Jerzym, gimnazjalistą. Pozostał Michał Wiszniewski, wicestarosta, z rodziną. Jan Scherff nie wrócił już do Kolbuszowej. Dotarł na Kresy Wschodnie, dostał się pod władzę ZSRR i został wywieziony na rosyjski Daleki Wschód. Spotkało to, z kolbuszowian, nie tylko jego. Dotknęło również i kilkunastu młodych Żydów. Oni wiedząc, że są wyniszczani skwapliwie uciekali przed Niemcami. Po wojnie odwiedził Kolbuszowę Jerzy Scherff, który wrócił do odrodzonej Polski w szeregach Ludowego Wojska Polskiego. Opowiadał kolegom swoje przeżycia.

Dzień 8 września był dla kolbuszowian dniem frontowym. Od rana wojsko przesunęło się przez miasto w stronę Weryni. 10 BKZmot. przejechała w stronę Rzeszowa. Na "uciekinierkę" ruszyli kolbuszowscy urzędnicy i inni ludzie. Urzędnicy załadowali się do pięciu autobusów Wacława Osiniaka i Leona Zielińskiego. Był wśród nich i dr Kazimierz Skowroński. Dokumenty z Sądu ładowano na furmanki. Na nie wsiedli też, zabierając swoje ręczne karabinki strzelcy, członkowie Związku Strzeleckiego. Mój Ojciec pojechał z nimi. Nasza rozsądna Mama, pamiętająca pierwszą wojnę światową, absolutnie nie chciała ruszyć się z dziećmi z domu. Strzelcy dotarli do Lwowa, naszego miasta wojewódzkiego i brali udział w jego obronie, rozpoczętej *zaraz* po 10 wrześniu. Mój Ojciec po kilku dniach pobytu we Lwowie, powrócił sam do Kolbuszowej, do nas, do rodziny. Wsunął wtedy, pod jakąś pryzmę kamieni przy drodze, swój Brązowy Krzyż Zasługi. Wacław Osiniak pojechał poza Lwów. Był z nim i Wiktor Winiarski, ówczesny burmistrz Kolbuszowej. On to zostawił dokumenty, przechowywane w magistracie, tam, gdzie zawsze leżały, zamiast ukryć je w bezpiecznym miejscu. Były tam m.in. nieznane akta z przeszłości Kolbuszowej. Niemcy, opanowawszy miasto w dniu 9 września, wyrzucali na podwórza, z wszystkich urzędów zastane dokumenty i książki i palili je. Taki los spotkał też papiery, znajdujące się w magistracie. Z palącego się ogniska odskoczył wprost pod nogi Ferdynanda Jędrzejowskiego, pracownika magistrackiego, tylko jeden pergaminowy dokument, złożony w niewielką kostkę. Wymienionemu urzędnikowi, który pozostał na miejscu najprawdopodobniej do pilnowania Urzędu, przyszło na myśl, aby ukryć cenny dokument przed Niemcami. Gdy pergaminowy pakiecik odskoczył z ogniska, schylił się, podniósł go i schował do kieszeni. Był to dokument z

1700 roku, wystawiony przez Józefa Karola Lubomirskiego, założyciela miasta Kolbuszowa. Ferdynand Jędrzejowski po wojnie oddał dokument do organizowanego, kolbuszowskiego Muzeum, gdzie do dzisiaj on się znajduje, jako coś bezcennego.

Ja z dnia ósmego września 1939 r. pamiętam dobrze dwa oddziały kawalerii, które przejeżdżały przez Kolbuszowę, od strony Sędziszowa. Ułani prezentowali się pięknie. Konie były wysokie, o ciemnej sierści i rozpędzone, rwały szybko naprzód, rozgrzane pędem. Wojskowi mieli wspaniałe mundury, soczysto-zielonego koloru, suto ozdobione srebrnymi wężykami na kołnierzach i chyba na mankietach przy rękawach. Kołnierzyki mieli rozpięte pod szyją, z powodu gorąca, a czapki, rogatywki, mocno nasunięte na czoła. Z prawej strony, w przedzie siodła jeźdźców, widniały proporczyki, z lewej strony zwisała okrągła kula siana, porcja końskiego pożywienia. Rozpędzone konie z trudem zatrzymały się. Jadący, moją ulicą, zatrzymali je, gdyż przed domami stały kobiety, z naczyniami pełnymi napojów, kompotu czy wody z sokiem i częstowały kawalerzystów. Drugi oddział ułanów był mniej malowniczy. Mundury miały jakby kolor beżowy, a proporczyki kolor żółty. Jeźdźcy nosili na głowach hełmy.

Pamiętamy z opisu Jana Józefa Szczepańskiego w "Polskiej jesieni", że w dniu 8 września przechodziło przez Kolbuszowę mnóstwo wojska. Zapełniało ono cały rynek i szło głównie w stronę Weryni i Raniżowa, ale też w stronę Cmolasu i Tarnobrzega. Wieczorem, tego dnia, paru maruderów z końmi znajdowało się jeszcze koło stadionu, gdy na motocyklach podjechał tam, od Sędziszowa, podjazd niemiecki. Wtedy, jak opowiadali niektórzy kolbuszowianie padły tam strzały karabinowe. Ja mieszkałam niedaleko stadionu, ale żadnych strzałów nie słyszałam. Spokojnie oczekiwałam nocy - pierwszej bez Ojca. I dobrze ją pamiętam. Wieczorem zasnęłam, a nad ranem zbudziłam się, bo moja Mama nie spała, tylko chodziła po mieszkaniu i bojaźliwie zaglądała za okna. Zapytałam się: Mamo, dlaczego nie śpisz? Odpowiedziała: Boję się inwazji. Nie znałam tego słowa. Pierwszy raz je słyszałam. Mama powiedziała mi, że jest to przyjscie nieprzyjaciela, wroga. Ja, w tamtej chwili nie miałam pojęcia, że jakiś wróg może przyjść. A on był już tak blisko.

Na kolbuszowskiej ulicy Józefa Piłsudskiego dopołudnie 9 września minęło spokojnie. Była to sobota, według tradycji, dzień chodzenia po domach "po prośbie" biedaków spod Kolbuszowej. Kpt. Piotr Tymkiewicz napisał w swoich wspomnieniach o bitwie pod Kolbuszową, że zaczęła się ona około godziny dziesiątej. Na ulicy Piłsudskiego nie było słychać strzałów. Ja i moje rodzeństwo byliśmy na podwórzu lub w ogrodzie, bo Mama nie pozwalała nam oddalać się od domu. Ona też, jakoś nie spieszyła się z przygotowywaniem obiadu. Uciekinierzy byli jeszcze w rynku, czasem gdzieś po domach, ale ulicami już nie przechodzili. W pewnej chwili, z pewnością już po godzinie trzynastej, przyszła do nas babcia, Maria Widu-

chowska i powiedziała, że zrobiła, u siebie, obfity obiad, na który nas zaprosiła. Babcia odeszła, a Mama kończyła rozpoczęte prace domowe, to jest drobne pranie, które zwykle urządzało się w sobotę, czekała też, aż pomoc domowa pogoni na pastwisko krowy, później zamknęła dom, zabrała nas i poszliśmy łąkami, rozciągającymi się naprzeciw naszego domu, do dziadków na Nowe Miasto. Gdy przyszlismy pod drewniany domek dziadków, zauważyłam, że naprzeciw, w ogrodzie domu rodziny Saramów, biwakują polscy żołnierze. Było ich około dwunastu. Karabiny ich ułożone w kozły stały z boku, niedaleko położone były plecaki, a oni sami, rozebrani z bluz mundurów i koszul, siedzieli leniwie na ziemi, opalając się w silnie grzejącym słońcu. Było już pewnie po godzinie piętnastej. Dookoła żołnierzy kręciły się dzieci z Nowego Miasta, bacznie wszystkiemu się przyglądając. Ja zaraz przyłączyłam się do nich. Nagle, w pewnej odległości, gdzieś z ulicy 3 Maja, padł strzał z pistoletu. Usłyszawszy go, żołnierze szybko poderwali się z ziemi, uzupełnili ubiór, chwycili plecaki, karabiny i pobiegli w stronę, skąd doszedł huk strzału. My, dzieci, chwileczkę oglądałyśmy opuszczone miejsce, ale *zaraz* posypały się kolejne strzały, więc ruszyliśmy do mieszkań, wołani już zresztą przez dorosłych. Zaczęła się bitwa. Wpadłam do domku babci, gdzie była już cała rodzina, oraz sąsiadka Julia Czyżewska. Poukładaliśmy się na podłodze w babcinym pokoju, przy piecu, od strony południowej, bardziej wystawionej na strzały, niż strona przeciwna, nie myśląc nawet o nie zjedzonym obiedzie. Julia Czyżewska zaraz zaczęła się głośno modlić i czyniła to przez całą bitwę. Tak przeżywałam wrześniową, kolbuszowską bitwę, leżąc na podłodze i nasłuchując huku strzałów, raz głośniejszych, raz cichszych. Podkreślam, bitwę wrześniową, bo później, po prawie pięciu wojennych latach, na przełomie lipca i sierpnia 1944 r., armia ZSRR wypierała Niemców z naszych ziem, hitlerowcy znowu urządzili bitwę w mieście Kolbuszowa, ze wzgórza od Nowej Wsi. Tym razem walczyli z Rosjanami, a ja przeżywałam walkę poza domem, na polu głównego ostrzału, zostając ranna. Podczas pierwszego starcia w 1939 r. unosiłam się z podłogi i zaglądałam za okno. Ale tylko raz zobaczyłam polskiego żołnierza, z ręcznym karabinem maszynowym w ręce, uwijającego się w babcinym ogródku.

Bitwa trwała ze dwie godziny, a może dłużej. Nie patrzyliśmy-podczas niej na zegarek. Nikt z nas nie miał go na ręku. Nagle zrobiła się cisza. Podnieśliśmy się z podłogi. Julia krzyknęła: Niemcy! - i w drzwiach wejściowych, wiodących z ganka do kuchni stanął niemiecki żołnierz. Był młody, wysoki, w zielonkawym hełmie na głowie, a na mundur nałożony miał płaszcz ze sztucznego tworzywa. W rękach trzymał automatyczny karabin, a piersi opasane miał żółtymi taśmami naboju. Nas było w izbie dużo: pięć dorosłych osób i kilkoro dzieci. On, chyba poczuł się nieswojo w mrocznym pomieszczeniu. Z obojętną miną powiedział "raus" i zrobił ruch, nakazujący wyjście z domu. Nie czekał, aż wyjdziemy i - odszedł. Gdy

wyglądnełam za nim, zobaczyłam, że piaszczystą drogą, wiodącą koło babcinego ogródka, od ulic - 3 Maja i Nowe Miasto, na wspomniane przeze mnie łąki, ciągnące się ku ulicy Krakowskiej, przesuwa się tłum ludzi, mieszkańców z ulic 3 Maja i Nowego Miasta, eskortowany przez kilku uzbrojonych Niemców. Tłum był prowadzony na łąki. Wyszliśmy z mieszkania. Na polu była już szarówka. Na niebie, niewysoko nad ziemią, kłębiły się olbrzymie chmury buro-czarnego dymu. Zauważyłam, nisko nad ulicą 3 Maja lecący samolot, zrzucający palące się, długie jak świeca, pociski zapalające. Zapatrzyłam się, gdy od idącego tłumu odbiegł skurczony, młody mężczyzna w białej koszuli, zasłaniający piersi złożonymi rękoma. Wszedł do babcinego ogródka i podszedł do nas. Powiedział po cichu: "Jestem polskim żołnierzem. Bitwa skończona. Dajcie mi jakieś cywilne ubranie". Babcia szybko skierowała go do drewnutni, za domem, gdzie dziadek i jego synowie trzymali starą odzież. Babcia powiedziała: "Bierz pan, przeskocz przez płot i wmieszaj się w tłum". Był to przykry obrazek. Zaraz po tym Mama pociągnęła nas, swoje dzieci do idących ludzi. Poszliśmy na łąki. Dziadkowie i rodzeństwo naszej Mamy pozostali, żeby ratować swój dom przed spaleniem. Na łąkach Niemcy ludzi nie pilnowali. Odeszli. My byliśmy naprzeciw naszego domu, stojącego zachodnią stroną do ulicy Krakowskiej. Mama rozejrzała się, poczekała chwilę, a potem pociągnęła nas w kierunku mieszkania. Szliśmy tą samą drogą, którą zawsze chodziliśmy do dziadków. Udało się nam przejść. Przyszła razem z nami przyjaciółka Mamy z Nowego Miasta, pani Aleksandra Chodorowska z trójką swoich dzieci, będących w naszym wieku. Pan Marian Chodorowski, podobnie jak nasz Ojciec był na "uciekinierce". Joanna Aleksandra była w ostatnich dniach ciąży. Po bitwie, zdążyła tylko w oborze spuścić krowy z łańcuchów. Widziała, jak Niemiec, który wszedł do jej domu i kazał jej wychodzić, rzucił na dach tego nowego i porządnego domu, wyjęty z kieszeni ładunek zapalający. Ona musiała się odwrócić i pójść na łąki.

Gdy przyszliśmy do mojego rodzinnego domu, ciągle przestraszeni, usiedliśmy w kącie, zasłoniliśmy okno i zapaliliśmy małą lampę. Byliśmy jeszcze pod wrażeniem strzałów, czyli, jak to się dzisiaj mówi, w szoku. Nie myśleliśmy o tym co dzieje się na ulicach, o leżących tam zabitych i rannych ludziach, Polakach, o rozpalających się domach. Wtem znowu otworzyły się drzwi i stanął w nich Niemiec. Zapytał się coś w swoim języku. Nasza Mama, urodzona w czasie niewoli austriackiej, na parę lat przed pierwszą wojną światową, pamiętała trochę ten język. My znowu przestraszyliśmy się, że może przyszedł z nami dlatego, że odeszliśmy z łąki. Ale on zapytał się krótko: "Czy jest tutaj ogień"? Mama odpowiedziała, że nie. Wtedy on wziął z kuchni taboret i wyszedł z nim. Ja, zaciekawiona, podążyłam za nim, przed dom. Zobaczyłam, że Niemcy rozbierają płot naszych krewnych, Gumińskich, znajdujący się naprzeciw naszego domu, oddzielający łąkę Gumińskich i inne łąki od ulicy Krakowskiej. W głębi na łąkach

stały samochody i czołgi. Silne snopy światła z samochodów skierowane były w dół. Podeszłam jeszcze parę kroków w kierunku ulicy Piłsudskiego, zobaczyć, co robi Niemiec z zabranym taboret. A tu auta z łąki zaczęły jechać. Zauważyłam, że Niemiec, który wziął taboret, postawił go na środku ulicy J. Piłsudskiego, za kapliczką św. Jana, niedaleko miejsca skąd oddziela się droga do dawnych, austriackich kasarni, dzisiaj nazywanych Kłodnicówką, stanął na nim i zaczął regulować ruchem pojazdów. Jedne z nich kierował do rynku, inne w przeciwną stronę, w stronę stadionu. Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Niestety, nie popatrzyłam w stronę miasta. Ale tam, wtedy, nie widać było jeszcze ognia. Podpalone domy dopiero się rozpalały. Ja natomiast oddzielona płotem znalazłam się bardzo blisko, w odległości chyba niespełna jednego metra od kół ciężarówki pełnej żołnierzy, która wyjechała z łąki, na ulicę Krakowską, na wprost mnie. Szybko wpadłam do mieszkania.

Nie wiedziałam wówczas, że jesteśmy świadkami wjeżdżania do Kolbuszowej niemieckiej 2 dywizji pancerniej, podążającej w ślad za polską 10 Brygadą Kawalerii zmotoryzowanej, z którą zmagala się prawie od Zakopanego. Przyjechawszy z Radomyśla pod Rzemień, nie pojechała, jak 10 BKZmot. przez Mielec, ale skręciła na prawo, na wschód, w leśną, piaszczystą drogę, wiodącą do Kolbuszowej przez Dobrynin, Niwiska, Trześń i Nową Wieś. Że też mogła ona przebrnąć przez tamtejsze piaski? Na przedzie jej, jechał pierwszy batalion. To on, stanąwszy do południa na Krokwi najpierw rozbił batalion "Wołożyn" pod Swierczowem i Kolbuszową Dolną, potem bił się, w Kolbuszowej, z 4 krakowskim batalionem fortecznym. Walka w Kolbuszowej trwała cały dzień, podczas którego 2 dywizja pancerna była tutaj zatrzymana. Już wieczorem wjeżdżała do miasta. Może, w tym czasie Kolbuszowa Dolna się paliła, a może Niemcy wiedzieli, że i centrum Kolbuszowej będzie się palić i nie pojechali ulicą 3 Maja do rynku. Znowu skręcili, prawie przy początku tej ulicy, od strony Krokwi, na prawo, w wąską drogę, wiodącą do gospodarstwa rodziny Stępników (dzisiaj Opalińskich), po czym, po kilku krokach, ruszyli na łąki, rozciągające się pomiędzy ulicami 3 Maja i Krakowską, a nimi, na przełaj, ku ulicy Józefa Piłsudskiego. Ominęli, w ten sposób palącą się przyrynkową część ulicy 3 Maja. Z pewnością, żeby oświetlić sobie drogę na łąki, podpalili drewniane, duże zabudowania gospodarskie Stępników.

2 dywizja pancerna jechała poprzez łąki, koło mojego domu do północy albo nawet dłużej z 9 na 10 września. Nie wiem, którądy przejeżdżała, minawszy ulicę J. Piłsudskiego, do dużego mostu na Nilu. Chyba przez ulicę Piekarską. Tutaj, przed wjazdem na most, niemieccy brutalnie podpalili, znowu dla oświetlenia sobie drogi, budynek mojego Ojca, w którym był jego warsztat i sklep. Spaliła się też wtedy, sąsiednia cukierenka Mariana Leśniowskiego. 2 dywizja pancerna pojechała dalej za 10 BKZmot., to jest do Głogowa Młp. Stamtąd udała się pod Łańcut i Jarosław, a potem na Lubelszczyznę.

Po wejściu do mieszkania, patrzyłam przez okno na jej pojazdy. Były to: najczęściej samochodów- ciężarowych, czołgi, poza tym samochody osobowe - piętrowe, wiozące żołnierzy na dwóch poziomach. Widać ich było przez dosyć duże okna. Siedzieli na ławkach, w bezruchu, w zielonych płaszczach i hełmach, trzymając karabiny w prawych dłoniach, przy kolanach. Patrzyłam na najeźdźców, niestety, nie myśląc, że niedaleko, na ulicach, leżą zabici i ranni, że palą się domy. Po pewnym czasie zmorzył mnie sen. Położyłam się na łóżku i - zasnęłam.

Gdy na drugi dzień zbudziłam się, uderzyła mnie głucha cisza. Wybiegłam przed dom i zobaczyłam przeciwległe łąki poryte dwoma wygniecionymi prawie na pół metra pasami kolein po kołach pojazdów. Płot, który otaczał najbliższą nam łąkę, łąkę rodziny Gumińskich (dzisiaj Koczarów), stał oparty z boku, podzielony na kawałki. Niemców nie było. Natomiast to tu, to tam szedł od miasta jakiś człowiek wiejski, niosąc coś pod pachą. Później dowiedzieliśmy się, że na rynku i ulicach go otaczających, zwłaszcza na ulicy A. Mickiewicza, było pobojoisko, leżeli zabici ludzie, walał się sprzęt wojskowy, czasem był martwy koń z rozdętym brzuchem. Podobno Niemcy pootwierali niektóre żydowskie sklepy w rynku, a biedni mieszkańcy, może i z Kolbuszowej, ale głównie z okolicznych wsi, przyszedłszy do miasta, do kościoła, bo to była niedziela, zabierali ze sklepów, co się dało. I nie tylko ze sklepów. Obdzierali leżących zabitych polskich żołnierzy z mundurów, butów, plecaków i nieśli wszystką zdobycz do domów. W zabranych mundurach zapewne znajdowały się dokumenty poległych i wskutek tego później, gdy poległych zniesiono lub zwieziono na miejscowy cmentarz w Kolbuszowej, gdy grabarze Polek i Gola szukali dokumentów przy ciałach, a ksiądz Józef Stal chciał zapisać dane personalne chowanego w parafialnej Księdze Zmarłych, nie było przy większości ciał żadnych papierów. Potem zaś, w czasie wojny, różni ludzie, przeważnie spoza miasta, chodzili ubrani to w bluzę, to w spodnie, to w płaszcz czy czapkę polskiego wojskowego. We wrześniu 1939 r. także wiejscy mężczyźni chętnie zabierali polską, porzuconą broń. Służyła im ona do kłusownictwa. Z czasem przydała się i w działalności konspiracyjnej.

Gdy Mama pozwoliła mi wyjść z domu, nie było już na ulicach poległych i porzuconego sprzętu wojskowego. Sterczały tylko ze osmolone kominy ze spalonych domów, a na grzędach popiołów leżała blacha z dachów. W Kolbuszowej spaliły się domy na wschodniej stronie rynku, na większej części ulicy 3 Maja i na przyrynkowej połowie ulicy J. Piłsudskiego. Spaliła się też prawie połowa wsi Kolbuszowa dolna, leżąca przy szosie do Mielca. Dopiero po kilku latach, dowiedziałam się, że zaraz po bitwie, w niedzielę lub w poniedziałek, zmówili się starzy, aktywni kolbuszowianie, którzy nie udali się na "uciekinierkę" i wystąpili przed ustanowionym niemieckim komendantem miasta jako przedstawiciele polskiego społeczeństwa z prośbą o pozwolenie na pochowanie poległych, uprzątnięcie ulic i zorganizowanie pomocy dla pogorzelców. Byli to: ksiądz dziekan i

proboszcz Antoni Dunajecki, Marian Januszewski, dawni burmistrzowie Marcin Osiniak i Władysław Zach oraz kowal Józef Skowroński. Dostali pozwolenie, o jakie prosili. Pewno oni zajęli się znoszeniem i zwożeniem poległych na cmentarz, gdzie ks. J. Stal i grabarze chowali ich w jednej wspólnej, olbrzymiej mogile. Zebrany sprzęt wojskowy musiano oddać Niemcom. Patrole ich piechoty, uzbrojone w ręczne karabiny, krążyły po ulicach.

Kolbuszowianie przekazywali sobie, z ust do ust, ciekawostki. Starsi mężczyźni, jak Michał Dudziński, mający przydomek "Szkiergiet, któremu spalił się dom przy ulicy 3 Maja (przyszedł on do domu synów w sąsiedztwie mojego mieszkania), mówili, że w mieście nie powinno być bitwy, że tak dużo ludzi poleгло, wojskowych i uciekinierów, że straty są tak wielkie. Wśród uciekinierów w rynku były dwie martwe matki z żywymi niemowlętami przy piersi. Przy jednej matce była dziewczynka, przy drugiej bliźniaki - dwóch chłopców. Poległe nie miały przy sobie żadnych dokumentów i pochowano je, jak wielu innych, bezimiennie. Dziewczynkę wziął na wychowanie wikariusz z Niwisk ksiądz Skóra, bywający wtedy często w Kolbuszowej. Chłopców natomiast, za pośrednictwem księdza proboszcza, przygarnęły osoby bezdzietne - krewni Winiarscy. Jednego wziął szewc Ludwik Winiarski z żoną Marią z Mazurów, drugiego Władysława z Saramów Winiarska, której mąż poszedł na "uciekinię" i nie powrócił. Chłopcy dostali imiona Jan i Marian a nazwisko opiekunów. Dzisiaj mają już oni własne wnuki. W Kolbuszowej Dolnej zginęła też matka o nazwisku Wrona, mająca przy sobie półtoraroczną córeczkę. Zatrzymała się, w tej miejscowości, u ludzi o takim samym nazwisku, jakie nosiła ona, ale nie byli jej krewnymi. Prawdziwą matką dziewczynki była Zofia z Wronów - Ada-mus. Urodziła się w 1913 r. w Czernichowie w województwie krakowskim. Był z nią jej ojciec, Stanisław, urodzony w 1886 r. we wsi Bulowice w powiecie Bielsko-Biała. On też zginął. Osieroconą dziewczynkę wychowała Honorata Wronowa z Kolbuszowej Dolnej.

Ks. Józef Stal, który chował poległych po bitwie, twierdził, że było ich do stu dwudziestu osób. Bardzo dużo. Większość zabitych w chwili grzebania nie miała przy sobie żadnych dokumentów. Miała je Helena Krzywdziak, nauczycielka z Krakowa, urodzona w 1917 r. zginęła w wieku dwudziestu dwóch lat. Ks. J. Stal zapisał ją jako pierwszą w Księdze Zgonów. Nie został zapisany w tej Księdze poległy wtedy kolbuszowianin, starszy już człowiek, z zawodu nauczyciel. Był to - Władysław Winiarski, syn Antoniego, stolarza, który w II Rzeczypospolitej pracował gdzieś na Kresach Wschodnich. Spędzał w Kolbuszowej wakacje u rodziny. Bitwa zastała go w domu przyjaciela, Stanisława Przybyły, byłego kierownika kolbuszowskiej Szkoły Męskiej. Dom ten stoi naprzeciw kościoła. Władysław Winiarski zamiast przeczekać w nim bitwę, wyszedł z niego, gnany jakimś niepokojem, i zginął zaraz pod murem kościelnym. Został pochowany, jak wielu innych, w zbiorowej mogile, bez zapisania do Księgi Zmarłych.

W czasie bitwy był w Kolbuszowej Cyrk "Korona" z Bielska-Białej, który ze swoją ekipą pracowniczą i menażerią uciekał przed Niemcami. Zatrzymał się on na piaszczystym polu za cmentarzem. W czasie bitwy wozy cyrkowe zostały rozbite, a zwierzęta zginęły. Ocalały małpki, które rozeszły się po mieście. Podobno Niemcy z 2 dywizji pancерnej opowiadali potem, że w Kolbuszowej Polacy skierowali przeciwko nim dzikie zwierzęta.

Kolbuszowska bitwa przeszła do historii regionalnej. Niektórzy historycy mówią, że dzięki wymienionej bitwie, Niemcy uważali Kolbuszowę za — karne miasto. Ale w dwa lub trzy dni po bitwie, Niemcy otworzyli młyn Zalela Orgia, Żyda i rozdawali każdemu, kto przyszedł z woreczkami, po trzy - cztery kilogramy mąki pszennej i kaszy - manny, nazywanej u nas grysikiem. Ksiądz proboszcz Dunajewski, władze miejskie, Oddział Polskiego Czerwonego Krzyża i miejscowe siostry zakonne, Służebniczki Matki Boskiej Niepokalanej Poczęcia, otworzyli, w przykościelnej sali parafialnej kuchnię, wydającą obiady dla pogrzelców i innych biednych osób.

Dnie mijały. Jednego z nich, w końcu września, czy na początku października, przyprowadzili Niemcy do Kolbuszowej dużą ilość jeńców - polskich wojskowych, wziętych do niewoli po walkach na Lubelszczyźnie. Jeńcami byli żołnierze Armii "Kraków". Na Kłodniczówce, dawnym folwarku Jerzego Marii Tyszkiewicza zostali umieszczeni na noc, pod gołym niebem, na kawałku ziemi, ogrodzonym żerdziami. Kolbuszowianki zaraz zeszły się, pod ten tymczasowy obóz, z jedzeniem i piciem. Otoczyły go, a Niemcy - konwojenci nie przeszkadzali w przekazywaniu żywności. Wojskowi byli zmęczeni i bardzo smutni. Przykry był widok ich porozpinanych płaszczy i mundurów bez pasów i dystynkcji. Nic nie mówili. Ale, w pewnej chwili, któryś z jeńców powiedział głośno, że w bitwie na ziemi zamojskiej, pod Zwierzyńcem, zginął kolbuszowianin major Tadeusz Jan Chodorowski. Był to szwagier wspomnianej powyżej Joanny Aleksandry Chodorowskiej, brat jej męża, Mariana. Żałowaliśmy poległego. Jeżeli zaś chodzi o jeńców, obecnie uważam, iż powinni oni byli uciekać z niewoli - pewnie z Lubelszczyzny. W Kolbuszowej, otoczeni kobietami, też mieli dobrą okazję do tego, nie wykorzystali jej jednak. Gdy przyszedł następny dzień na Kłodniczówkę, już ich nie było. Wczesnym rankiem wyprowadzono ich w stronę Sędziszowa.

W następnych dniach powracali do domów uczestnicy "uciekinierki", zwłaszcza katolicy. Uciekinierzy - Żydzi, szczególnie młodzi, pozostali za Sanem, pod okupacją radziecką, bojąc się, że Niemcy ich zamordują. W 1940 r. Sowieci powywozili ich, podobnie jak i tysiące, jeżeli nie miliony Polaków, daleko w głąb Rosji. Skazali ich tym samym na głód i poniewierkę. Większość wywiezionych przeżyła wojnę. Żydzi, którzy dostali się pod władzę Niemców, na ogół jej nie przeżyli. Nie wróciło też do domów wielu katolickich mężczyzn z całego powiatu kolbuszowskiego. Jedni z nich dostali się do niewoli niemieckiej, inni zaś do niewoli radzieckiej (sowieckiej). Byli też i tacy, którzy przedostali się, tak jak i władze polskie, do

Rumuni czy na Węgry, w myśl rozkazu tych władz, skąd potem przekradali się do Francji, chcąc dalej walczyć o wolność Polski. Ci, co wrócili, przynieśli wiadomość, że w wrześniowych walkach z Niemcami zginęli jeszcze, w szeregach wojska, podoficerowie - Jan Gumiński i Wojciech Winiarski z Kolbuszowej oraz Tadeusz Jadach z Weryni.

O bitwach, stoczonych w dniu 9 września 1939 r. na ziemi kolbuszowskiej, po wojnie pisał jako pierwszy wspomniany już wcześniej dr Kazimierz Aleksander Skowroński. Pierwszy artykuł o tej tematyce, ogłoszony został już we wrześniu 1945 r. w "Dzienniku Rzeszowskim". Potem były teksty poszerzone - w latach pięćdziesiątych, w gazetach "Piast" i "Kierunki". Dziesięć lat później, napisał o tych bitwach pan Władysław Steblik w Wojskowym Przeglądzie Historycznym. Z kolei panowie - Piotr Tymkiewicz i Andrzej Krawiec napisali Władysławowi Steblikowi swoje wspomnienia, związane z Kolbuszową. Dr Skowroński zapoznał się z nimi, lecz wydawały mu się one zbyt skąpe. Odpowiadało mu tylko jego własne opracowanie "Boju pod Kolbuszową". Historyk ten w żadnym ze swoich artykułów nie opublikował imion i nazwisk osób, poległych w omawianych bitwach. Ja już wiele lat temu odpisałam imiona i nazwiska poległych z parafialnej Księdze Zmarłych. Ułożyłam je alfabetycznie i upowszechniłam, podając byłemu Zarządowi miejscowego Związku bojowników o Wolność i Demokrację, oraz publikując w "Nowinach Rzeszowskich" i w "Przeglądzie Kolbuszowskim", wydawanym od roku 1990.

Zapis osób poległych w bitwach wrześniowych, dokonany w parafialnej Księdze Zmarłych z lat 1911-1964, przedstawia się następująco: najpierw na stronach 75, 76 i 77 księgi jest wpisane dwadzieścia sześć nazwisk, z tym że pierwsza jest wspomniana Helena Krzywdziak. Potem ks. Józef Stal (który dokonał zapisu) napisał małymi literkami na dole stron 76 i 77, że zabitych i zapisanych od numeru 12 do 37, pochowali grabarze parafialni - Michał Polek i Jan Gola. W dalszej części zapisu czytamy: "Ci sami' pochowali 61 żołnierzy i pięć osób spośród ludności cywilnej. Jeżeli nie zanotowano reszty nazwisk zabitych, to stało się to z powodu braku jakichkolwiek dokumentów". Powyższy zapis nie jest dobrze sformułowany. Nie wskazuje wyraźnie, czy wymienieni grabarze pochowali trzydzieści sześć osób, zapisanych na stronach 75-76 i dodatkowo sześćdziesiąt sześć osób, czy pochowali oni wszystkich sześćdziesiąt sześć osób? Na dalszych stronach Księgi jest jeszcze kilka nazwisk zabitych, których zwłoki odnaleziono później i pogrzebano. Łącznie, zapisy nie dają liczby stu dwudziestu poległych. Jednak ksiądz Józef Stal po wojnie stwierdził, że we wrześniu 1939 r. zginęło, w bitwach na kolbuszowskim terenie stu dwudziestu Polaków i podobno kilkoro ludzi pochodzenia żydowskiego.

Oto nazwiska poległych zapisane w 1939 roku w parafialnej Księdze Zgonów z lat 1911-1964, ułożone alfabetycznie:

- Cacak Stanisław - strzelec, urodzony w 1910 r.,
- Cyboran Tadeusz - strzelec z Trzebionki, ur. w 1916 r.,

- Czyżewski Józef - nauczyciel ze Lwowa, ur. w 1875 r.,
- Dolecki Włodzimierz - porucznik, Chełmno, ur. w 1914 r.,
- Dukaczewski Stanisław - strzelec z Woli Miedniewskiej, pow. Błonie, woj. warszawskie, ur. w 1912 r.,
- Dyląg Mieczysław - Wiśnicz Nowy, pow. Bochnia, ur. w 1900 r.,
- Gorzkowski Kazimierz - Kraków, ur. w 1904 r.,
- Hajkowski Edward - strzelec z Plebanowic, pow. Sokółka, ur. w 1917r.,
- Hodur Józef - z Broszkowic, gm. Oświęcim, ur. w 1902 r.,
- Hort Władysław - Drohobycz, ur. w 1912 r.,
- Ignaszek Józef - kolejarz z Zielińca Dworu k. Wrześni, ur. w 1901 r.,
- Jakubowski Ludwik - strzelec, Łubno Szlacheckie, pow. Jasło, ur. w 1914r.,
- Klich Józef - strzelec z Krakowa, ur. w 1912 r.,
- Kłapyta Józef - robotnik ze Stryszowa, pow. Maków, ur. w 1899 r.,
- Kotarski Henryk - strzelec, cukiernik z Przystani k. Częstochowy, ur. w 1917 r.,
- Krętek Henryk - strzelec, ur. w 1914 r.,
- Kulig Kazimierz - kapral z Bielska, ur. w 1900 r.,
- Kwaśniewski Tadeusz - poborca skarbowy z Brzeska, ur. w 1912 r.,
- Leszczyński Włodzimierz - ur. w 1909 r. we Lwowie, syn Jerzego i Walerii,
- Lubowiecki Dominik - Ciechanów, ur. w 1920 r.,
- Madej Józef - z Ciężkowic, pow. Chrzanów, ur. w 1893 r.,
- Marchewka Julian - strzelec z Przegini Duchownej, pow. Kraków, ur. w 1916 r., przynależność macierzysta 49 Huculski Pułk Piechoty,
- Niedzielski Józef Mieczysław - ppor. rez., ur. w 1909 r. w Stanisławowie, oficer p.a.l., d-ca plutonu Straży Granicznej "Rajcza",
- Pałasz Franciszek - szeregowy, ur. w Zawierciu,
- Pilocik Wilhelm - ur. w 1898 r. w Nowym Bytomiu,
- Ryniec Stanisław - strzelec 8 komp. Batalionu KOP "Wołożyn", ur. w 1915r. w Choceniu koło Włocławka,
- Rządkowski Jan - ur. w 1921 roku w Zabłędziu k. Tarnowa,
- Skalski Stefan - starszy strzelec, ur. w 1914 r. we Lwowie,
- Szebla Henryk - ur. w 1875 r. w Sędziszowie Małopolskim,
- Szypiński Stanisław Karol - kpr. rez. z 23 DP, ur. w 1904 r. w Katowicach,
- Smigielski Antoni - szeregowiec ze Straszkowa, pow. Koło,
- Waszut Michał - strzelec z Pułku Strzelców Podhal., ur. w 1914 r.,
- Wójciak Jan - strzelec, ur. w 1911 r. w Strzemieszycach Wielkich, pow. Będzin,
- Wróbel Edward - starszy strzelec, ur. w 1913 r. w Bielsku.

Wymienione powyżej trzydzieści cztery nazwiska i imiona mężczyzn to dane poległych w czasie wrześniowych, kolbuszowskich bitew. Z nich: Czyżewski Józef, Rządkowski Jan, Szebla Henryk, a może i inni, nie byli

osobami wojskowymi. Trzeba podkreślić, że zginęło w bitwach w Kolbuszowej czterech oficerów i czterech podoficerów. Z oficerów, w Księdze Zmarłych, zapisani są tylko dwaj, porucznik Włodzimierz Dolecki z batalionu "Wołożyn" i podporucznik Józef Mieczysław Niedzielski. Nie zostały zapisane nazwiska dwóch pozostałych oficerów: nazwisko porucznika Balcera, nieznanego z imienia, z 20 krakowskiego pułku piechoty i Józefa lub Jerzego Warchałowskiego, podporucznika rezerwy, przedwojennego redaktora krakowskiego pisma "Głos Narodu". O tym, że tutaj zginęli, mówił por. Andrzej Krawiec. Polegli podoficerowie to: Władysław Hort, Józef Ignaszek, Kazimierz Kulig i Stanisław Karol Szypiński. S. K. Szypiński przed wojną był, jak pisze dr K. Skowroński redaktorem gazety "Polska Zachodnia" w Katowicach. Pamiętamy, że do poległych, znanych z nazwiska, należy dołączyć Józefa Cebulę, zmarłego, po bitwie, w Weryni, a do osób pochowanych bezimiennie, żołnierza zmarłego w Raniżowi, pochowanego na tamtejszym cmentarzu.

Kazimierz Skowroński podkreśla w swoich pracach, że we wrześniowych bitwach na ziemi kolbuszowskiej polegli Polacy, głównie żołnierze, pochodzący ze wszystkich krain II Rzeczypospolitej Polskiej, z Podhala, z ziemi krakowskiej, z Poznańskiego, z Kujaw, z Wileńszczyzny i Huculszczyzny, że zginęli oni w dowód jedności i oddania dla najważniejszej sprawy polskiej, sprawy obrony Polski Niepodległej.

Polegli zostali pochowani, na kolbuszowskim cmentarzu, w trzech grobach: w jednym dużym i dwóch małych. W małych pogrzebano osoby, znalezione po zasypaniu już dużej mogiły. Kolbuszowskie władze miejskie i ludność miejscowa dbają już sześćdziesiąt lat o te groby i będą dbali nadal. W dużym grobie znalazło wieczny spoczynek około stu osób. Zewnętrzny jego wystrój ulega zmianom. Najbardziej wymowny i wzruszający był pierwszy wygląd, wojenny i powojenny. Rozległa mogiła usypana była dosyć wysoko i obłożona zieloną darnią na wschodnim, wtedy jeszcze pustym, krańcu cmentarza. Po jej wschodniej, długiej stronie postawiono wysoki, drewniany krzyż. Krzyż został wykonany gratisowo przez Józefa Mazurkiewicza, przedwojennego podoficera Wojska Polskiego, syna Wiktora i Eleonory z Chodorowskich, siostry poległego na Zamojszczyźnie majora Tadeusza Jana Chodorowskiego. Wiktor Mazurkiewicz był ostatnim mistrzem dawnego, kolbuszowskiego, artystycznego stolarstwa. Co roku, na wiosnę kolbuszowianki zasiewały grób kwiatami. Zjeżdżali się przy nim krewni i bliscy poległych. Pierwsza przyjechała narzeczona Tadeusza Cyborana, bywała siostra Jana Rządkowskiego. Potem pojawiał się i Andrzej Krawiec, który zmarł w Suchedniowie, w 1978 roku. Tymczasem w rządzonej przez komunistów powojennej Polsce Ludowej usunięto z grobu wysoki krzyż. Grób otoczono cementowym krawężnikiem i żelaznym łańcuchem, pomalowanym na biało i czerwono, a od jego frontu ustawiono cementowy postument, z hełmem wojskowym, Orłem Białym i datą - 9.9.1939. Tablica,

położona u stóp postumentu zawierała słowa hołdu dla Żołnierzy Polskich, Obrońców Kolbuszowej. Drugi raz zmieniono wystrój dużego grobu w latach osiemdziesiątych, staraniem naczelnika Miasta i Gminy Kolbuszowa pani Wiesławy Stawickiej. Ten wystrój, bardziej efektowny, z tablicami, przedstawiającymi nazwiska poległych, został zaprojektowany przez kolbuszowskiego architekta, ma jednak wielką wadę. Zgodnie z projektem zlikwidowany został krawężnik w środkowej, frontowej części grobu, przez co sprawia wrażenie rozbitego na trzy części. Środkowa jego część straciła grobowy charakter. W dniu Wszystkich Świętych chodzą po niej, świecąc na niej światła. Dotychczasowe próby usunięcia tego smutnego stanu, nie dały rezultatów. Może jednak kiedyś to nastąpi i cały, długi grób dostanie znowu jednolite obramowanie. Ostatnio, po upadku w Polsce ustroju socjalistycznego, na cokole grobu zmieniono tablicę z Orłem Białym. W miejsce Orła bez korony - godła Polski Ludowej, dano Orła z koroną - godła II Rzeczypospolitej.

Miłym faktem jest to, że imię "Bohaterów Września 1939 roku" przed laty przyjęła kolbuszowska Szkoła Zawodowa, zorganizowana dzisiaj w Zespół Szkół Zawodowych. Bywał w niej kiedyś kapitan rezerwy Andrzej Krawiec. Na budynku szkolnym umieszczona jest tablica, poświęcona pamięci żołnierzy Armii "Kraków" i "Karpaty", którzy w pamiętnej "Polskiej Jesieni", przed straszliwym, bandyckim najeźdźcą bronili wolności i niepodległości naszej ojczystej ziemi, naszego państwa. W Zespole Szkół Zawodowych, w Izbie Pamięci gromadzone są pamiątki po byłych Żołnierzach Września. Pamięć o Nich będzie trwała.

WSPOMNIENIA I RELACJE

Wspomnienia Tadeusza Biesiadeckiego

Około godz. 12⁰⁰, w sobotę 9 września 1939 r. na pola Kolbuszowej Dolnej przyjechał niemiecki patrol na koniach. Przyjechali od strony Nowej Wsi. Porozmawiali kilka minut i pojechali z powrotem w stronę Nowej Wsi. Na ulicach w Kolbuszowej i okolicy było tylu ludzi, że ciężko było się przemieszczać. Słychać było strzały, lecz czołgów jeszcze nie widzieliśmy, ani nie słyszeliśmy. Po pewnej chwili czołgi zaczęły jechać rzędem. Polska piechota zaczęła iść do ataku w stronę Nowej Wsi. Jak Niemcy zaczęli strzelać pociskami z czołgów, to spaliło się kilka domów w stronę rynku. Ranni byli ludzie - cywile i żołnierze, zwierzęta, tabory zniszczone. My, chłopaki 15-letnie chodziliśmy i spuszczały te konie z uwięzi. W tym czasie w Kolbuszowej był cyrk. Zwierzęta z tego cyrku chodziły po ulicach. U nas na podwórzu leżał ranny żołnierz. Pochodził z Bochni. Był w bardzo złym stanie. Wszystkie jelita miał na wierzchu. Pomimo tego rozmawiałem z nim. W kukurydzy i ogrodzie leżało dwóch innych żołnierzy. Czołgi podjechały pod nasz dom. To było coś okropnego. Jak zobaczyłem je z bliska z wymalowanymi swastykami to zacząłem płakać. Tak bardzo żał mi było tej nieszczęsnej ojczyzny. Wtedy miałem 15 lat, ale już byłem zapisany do Związku Strzeleckiego. Byłem członkiem orkiestry, działającej przy Związku. Dzień wcześniej, 8 września była ewakuacja Strzelców na wschód. Ze stadionu poszedłem do domu pożegnać się z rodzicami i zabrać coś na drogę do jedzenia. Wtedy Strzelcy odjechali beze mnie.

Jak powychodzili ci gestapowcy w czarnych mundurach i zaczęli zwoływać ludność, to ludzie byli bardzo przerażeni. Część mężczyzn zabrali na błonia pod Nową Wsią a później do więzień m.in. w Tarnowie. Tutaj, w Kolbuszowej jak się paliło to było piekło, jedno wielkie piekło. Paliło się wszystko. Niektórym ludziom nic nie pozostało. Spaliły się domy, stajnie, inwentarz. Nazajutrz poszedłem do ks. Deca i poprosiłem go, aby rannych żołnierzy i cywilów opatrzył sakramentami św. Ks. Dec niezwłocznie wypełnił swoją powinność. W godzinach południowych Niemcy zaczęli zbierać rannych. Żołnierze byli okropnie zmasakrowani. Tutaj poległ m.in. kolbuszowski żołnierz Franciszek Turek.

W tamtych czasach patriotyzm u ludzi był bardzo duży. Uciekinierzy z zachodu zasiewali u ludzi psychozę strachu. Rozpowiadali, że Niemcy zabijają, palą, grabią, wywożą do obozów w Niemczech. Z tego co wiem, podczas walki w Kolbuszowej zginęła tylko jedna osoba cywilna. Chyba 8-letnia dziewczynka. Naszych żołnierzy zginęło bardzo dużo.

W tym tragicznym dniu pogoda była bardzo ładna. Po bitwie niebo było całe pokryte zasłoną z dymu. Słońca nie było widać wcale. W Kolbuszowej spaliła się prawie cała ulica Pańska, obecnie nazwana ul. Obrońców Pokoju. Koło kościoła spaliła się wikarówka. Wszystkie domy płonęły od pocisków. Gdy trwała strzelanina leżeliśmy za domem. Od karabinowej kuli zawsze można się schronić, np. w piwnicy.

To wszystko było okropne. Kto tego nie widział nie może wyobrazić sobie, że tak strasznie mogło być. Po godz. 9⁰⁰ wojska frontowe poszły dalej, a wkroczyły wojska kwatermistrzowskie. W dzisiejszym budynku Szkoły Podstawowej Nr 1 w Kolbuszowej mieścił się sztab niemiecki.

W późniejszym okresie okupacji byłem w ochronie sztabu w Weryni. Dostaliśmy meldunek, że od strony Sędziszowa idą wojska niemieckie. Polecono mi i mojemu koledze Władysławowi Jadachowi (obecnie pułkownik w stanie spoczynku, mieszka w Olsztynie) żebyśmy to sprawdzili. Rozkaz, to rozkaz. Udaliśmy się w stronę Sędziszowa.. Doszliśmy do miejsca, gdzie obecnie znajdują się zakłady obuwia. Tam zetknęliśmy się z samochodami niemieckimi, zmierzającymi w stronę Nowej Dęby. później te samochody niemieckie zawróciły i jechały w stronę Mielca. Był taki Stanisław Pędzimaż. Niemcy już jechali koło kościoła w stronę Mielca, on był na rynku i pociągnął kilka razy RKM-em. Część Niemców padła trafiona kulami, część wyskoczyła z samochodów i nastąpiła wymiana ognia. Kilku Niemców jednak zdołało na tych samochodach uciec w kierunku Mielca. Może nasza akcja była źle zorganizowana, bo zginął nasz kolega partyzant niejaki Faryniarz? Jednak kilku Niemców zginęło i to był sukces naszej partyzantki.

Najprzyjemniejszą chwilę podczas okupacji przeżyłem, jak dostaliśmy wiadomość o mającym nastąpić zrzuć broni i żywności. Zebraliśmy się w umówionym czasie na opróżnionych z wody stawach w Kłapówce. To była naprawdę wielka przyjemność, gdy ten samolot z Londynu się pokazał na niebie, już dokładnie nad nami. Leciały razem z nim samoloty ubezpieczające, które poleciały w stronę Sokołowa, nad Górno. Tam artyleria przeciwlotnicza zaczęła do nich strzelać. Te skrzynie wypuszczane przez samolot trzaskały jedna o drugą zanim otworzyły się im spadochrony. W skrzyniach była broń, mundury, żywność i dolary. Niebawem dostaliśmy 7 dolarów żołdu na dzień. Było 14 lub 16 parokonnych furmanek załadowanych skrzyniami. Cała akcja zaczęła się w nocy, a potrwiała do południa następnego dnia. Samolot londyński pomachał nam skrzydłami i poleciał w swoją stronę. Nie wiedzieliśmy, co zrobić z tym ładunkiem, ale na szczę-

ście na zrzucie było dowództwo "Kefiru" z komendantem Józefem Rządskim - "Boryną", dowódcą plutonu Stanisławem Węglarzem i podporucznikiem "Sawą". Pojechaliśmy z tym ładunkiem do Weryni, do pana Lenarta. W jego stodole część ładunku zostawiliśmy, a część w lesie. Później część zarekwirowało UB i chodzili w naszych mundurach. Człowiekowi ciężko sobie wyobrazić, że takie chwile się przeżywało.

W konspiracji osobiście bardzo dobrze mi się współpracowało z księżmi. Byłem łącznikiem między Rzeszowem a okolicami Kolbuszowej, Mielca, Majdanu Królewskiego i Raniżowa. W Rzeszowie dawali mi pliki dokumentów, prasę podziemną, a ja jechałem do Majdanu Król., do ks. Rękasa, albo do Mielca do aptekarza Gardulskiego lub do Mazurów, do ks. Bąka i im przesyłki zostawiałem.

W 1939 r. nie pamiętam, aby latały samoloty. Czołgów było bardzo dużo. Pamiętam, kiedy nastąpiła mobilizacja, była to noc. Rzesze chłopstwa zgłaszało się do wojska. Każdy był nastawiony na obronę ojczyzny. Nie było powszechnych sytuacji, aby ktoś się uchylał. Jednak to nie było zorganizowane tak jak potrzeba. Brak dobrej organizacji był widoczny gołym okiem. Ale z czym mogliśmy walczyć przecież nie mieliśmy takiego uzbrojenia jak mieli Niemcy. Pamiętam, w 1938 r. społeczeństwo Kolbuszowej kupiło dwa karabiny maszynowe. Na stadionie z wielką pompą świętowano ten fakt. Związek Strzelecki i Organizacja Przysposobienie Wojskowe zorganizowali ten festyn. Wtedy każdy rzemieślnik w Szkole Przemysłowej, ówczesnego odpowiednika Szkoły Zawodowej miał przedmiot Przysposobienie Wojskowe. Więc ćwiczone z bronią, prowadzono zajęcia teoretyczne. Na stadionie był porucznik, który odpowiadał za szkolenie. Ze szkoły podchorążych przyjeżdżali podchorążowie i ćwiczyli na błoniach, gdzie dzisiaj znajduje się kościół pw. św. br. Alberta.

Dużo się przeżyło podczas wojny. Teraz to kto by miał to rozpamiętywać, już należy raczej myśleć, aby zejść z tego świata. Po wojnie czekaliśmy na zmiany. Obiecywali nam, że jak ustrój się zmieni, to wtedy wypłyniemy na szeroką wodę i wejdziemy na dobre stanowiska. Ale ustrój się nie zmienił, trwał blisko 50 lat. Ustrój komunistyczny położył silną "łapę" i wydusił prawie wszystkich patriotów. Ja nie potępiam ludzi, za to, że byli w partii. Jeżeli chciał coś zrobić, to musiał należeć do tej instytucji. A czy jak do niej należał, to już był taki straszny komunista? Na pewno musiał ich tam trochę słuchać. Ja do partii nie wstąpiłem. Jeszcze raz powiem, że na odmianę czekaliśmy tyle lat. Zaraz miała nastąpić... I nic.

Tadeusz Biesiadecki urodził się 7 kwietnia 1924 r. Po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej ukrywał się 3 miesiące przed UB. Chcieli go aresztować. W 1946 r. zapisał się do Liceum Rolniczego im. Stanisława Staszica w Warszawie. Tam uczył się systemem korespondencyjnym. Naukę skończył w 1949 r. Pracował w Powiatowym Zarządzie Związku Samopomocy Chłop-

skiej. Po ukończeniu szkoły przeniósł się do Mielca, gdzie również pracował w Powiatowym Zarządzie Samopomocy Chłopskiej. Później pracował w mleczarni jako instruktor poradni żywieniowej, w tarnobrzeskim Rejonowym Kierownictwie Robót Wodno -Melioracyjnych, w Powiatowej Radzie Narodowej w Kolbuszowej, w wydziale rolnictwa, Spółdzielni Transportu Wiejskiego i wreszcie w Zakładach Ceramiki Budowlanej w Hadykównie i Kupnie. W 1982 roku przeszedł na emeryturę. W latach 70, prowadził swój zakład wyrobu kafli piecowych. W latach 60. wstąpił do ZBOWiD-u.

*Wspomnienia wysłuchał i opracował
Antoni Stąpor*

Wspomnienia Marii Gródeckiej, z domu Serwańskiej.

W 1939 miałam 11 lat. Ojciec został ewakuowany. Zostaliśmy sami z mamą. Czułam wielki strach. Widziałam wielu uciekinierów z zachodu. Przemieszczali się na furmankach, rowerach, nieliczni jechali samochodami, a najwięcej ludzi szło piechotą. Wszyscy mieli ze sobą trochę swojego dobytku. Ludzie byli załadowani tobołkami. Mieszkaliśmy na dzisiejszej ulicy Józefa Piłsudskiego, w pobliżu Starej Poczty. Za naszym płotem zostawiona została walizka. Mama chciała ją wziąć. Ludzie krzyczeli, aby ją zostawić, ponieważ obawiali się, że może być w niej ukryty ładunek wybuchowy, lub jakaś okropna bomba. Jedna sąsiadka nie zwracała uwagi na komentarze ludzi i walizkę zabrała. Okazało się, że była w niej piękna pościel.

W piątek 8 września jechało dwa motocykle z uzbrojonymi esesmanami. Baliśmy się tak, że nawet nie wychylałyśmy głowy z nad podłogi. Mama kazała nam położyć się równo. W razie, gdy by pocisk nas trafił to zginęlibyśmy wszyscy razem. W sobotę 9 września strzały trwały kilka godzin. Na naszej ulicy cały sznur domów po lewej stronie się spalił. Podobnie było na ulicy Narutowicza. Później u nas mieszkali wyżsi rangą żołnierze niemieccy. Byli bardzo grzeczni i mili. Uczyli nas mówić po niemiecku: guten Morgen, danken i guten Appetit.

*Wspomnienia wysłuchał i opracował
Antoni Stapor*

Wspomnienia Józefa Jadacha z czasów II wojny światowej.

Od początku września 1939 r. wszystko dobrze pamiętam. Gdy 1 września została wypowiedziana wojna samoloty niemieckie były już nad Stalową Wolą, a w sobotę została zbombardowana fabryka porcelany w Chmielowie. W niedzielny poranek 3 września, na rynku w Kolbuszowej były już samochody z rannymi. Ofiary bombardowań jechały do szpitala, do Rzeszowa. W następnym tygodniu, już od wtorku pokazywały się furmanki z uciekinierami. Bogaci ludzie jak: adwokaci, sędziowie, lekarze jechali ze swoimi rodzinami samochodami. Jeżeli nie mieli swoich to najmowali furmanki i udawali się nimi na wschód. W środę był już taki tłok, że bardzo trudno było się poruszać. W sklepach zaczęło wszystkiego brakować. Zaopatrzenia nie było żadnego. Sklepy były pozamykane, a właściciele uciekli. Tydzień po rozpoczęciu wojny, w piątek w Kolbuszowej był już patrol niemiecki, który przybył od Nowej Wsi. Jechał motocyklem na Lipnik (dzisiejszy Ogródek Jordanowski) został zatrzymany.

Główny front wkroczył w sobotę. W godzinach południowych nastąpiło główne natarcie. Prawie cała Kolbuszowa i Kolbuszowa Dolna aż po zakręt na drogę Wiejską została spalona. Na przeciwko Karkuta został spalony budynek. Od Nowej Wsi wyjechał czołg. Z opłotków nieopodal budynku Karkuta żołnierz z karabinu maszynowego ostrzeliwał zbliżający się czołg. Niemcy puścili pociski i gospodarstwo stanęło w ogniu. Dalej pojechali na pastwiska gminne. A tam wszystko się zaczęło palić i paliło się pełną parą. Żołnierze musieli uciekać bo innego wyjścia nie mieli. A całemu pożarowi, który mógł być jeszcze większy zapobiegł mój ojciec, który rzeczywistość wojenną bardzo dobrze poznał podczas I Wojny Światowej. Przed swoim budynkiem obok szosy wystawił na wysokim drągu białe prześcieradło. Niemcy zrozumieli, że mieszkańcy na tym odcinku się poddają i już zapalających pocisków nie puszczała. Została ocalona jeszcze tzw. Szajtrówka (obecnie mieszka w niej Tadeusz Biesiadecki z rodziną). Była ona ukryta między drzewami, zupełnie niewidoczna. Poza tym nie było stamtąd żadnego ognia. Te wszystkie domy od ulicy Wiejskiej do rynku w Kolbuszowej zostały spalone.

Ja w piątek 8 września uciekłem z dwoma braćmi na wschód. Po drodze wstąpiliśmy do naszej babki w Porębach Dymarskich. Tam w Porębach pomiędzy lasami było całkiem cicho. Drogi tam żadne nie były. Zatrzymaliśmy się tam na noc. Spokój był. W sobotę rano wujek mówi mi, że tu żadnej wojny już nie ma. Uważał, że front poszedł już bokiem na Sokołów Młp. Zaproponował mi ażebyśmy poszli do Kolbuszowej Dolnej zobaczyć co u mamy słychać. Bracia zostali w Porębach, a ja z wujkiem poszedłem do Kolbuszowej, właśnie na cały ten okropny ogień. Zaraz z powrotem uciekliśmy do Poręb

Dymarskich. No i tak to wyglądało. Na drugi dzień wyruszyliśmy znowu do Kolbuszowej. Zobaczyliśmy wielką pożogę. Niemcy zbierali trupy i broń. Wiele tej broni zostało ukryte. Pochowali ją tutejsi. Przydała się później w partyzantce.

Czy czułem do Niemców jakąś nienawiść? Co może czuć 15 letni chłopak, widząc ten koszmar? Normalnie czułem strach i złość, ale przede wszystkim strach. Niemcy wszystkich ludzi z rynku zabrali i poprowadzili na błonia w kierunku Nowej Wsi. Całą noc trzymali ich pod bronią. Dopiero w niedzielę rano ich wypuścili. To wszystko działo się błyskawicznie. Nie było tak, aby przez długi czas stał tu jakiś front. To wszystko odbywało się w biegu. Przeszkodą dla polskiego wojska w zorganizowaniu właściwej obrony stanowili uciekinierzy - cywile. Było ich bardzo dużo. Trzeba było się usuwać. Usuwali się na Mechowiec przez Werynie, na Nart i San. Tam właśnie wszystko wiało. Niestety przegrali swoją walkę.

Trzeba było jeszcze opatrzyć rannych i pozbierać trupy. Później już była normalna okupacja. Koniec swobody i wolności. Niemcy od Nowej Wsi weszli zmotoryzowani. Nie przyszli piechotą, czy konnym zaprzęgiem, lecz zmotoryzowani. Posiadali czołgi, dobre motocykle. Ja każdy dzień pamiętam od wypowiedzenia wojny. W pierwszy dzień obserwowaliśmy (pracowałem w sklepie) już samolot niemiecki. Krążył nad COP'em. Pomyłkowo zbombardował Chmielów, zakładając, że jest to Stalowa Wola. Jeszcze raz podkreślę, iż propaganda zasiała największą dezorganizację pośród uciekinierów. Nie można było zorganizować żadnej dobrej obrony. Wszyscy wycofywali się za San. Na Sanie planowano stworzyć solidną obronę. Jednak to się nie stało. Była dywersja. Niemcy byli dobrymi dywersantami w cywilu. *Przecież* już w piątek pojawili się na polach od Nowej Wsi.

Nastąpiła okupacja, brak swobody, nastały trudne czasy. Wszyscy musieli pracować dla okupanta. Od 15 roku życia każdy był zobowiązany robić w Junakach. Niektórzy zostali wyznaczeni na wyjazd do Niemiec, na przymusowe roboty. Ci, którzy się dostali do niemieckiego bauera na roboty w gospodarstwie rolnym mieli jeszcze dosyć dobrze, ale już ci, którzy mieli nakaz pracować w fabrykach, lub zakładach zbrojeniowych byli traktowani bardzo źle. Tutaj też wszyscy pracowali dla okupanta. Ja pracowałem w Junakach, w obozie pracy w Świerczowie. Junacy mieszkali w budynkach Fryca i Skowrońskiego.

W któryś dzień postanowiliśmy zorganizować zamach na Komendanta Obozu. Wszyscy junacy zostali powołani pod broń. Przydzielono mi odcinek na bramie. Byłem z trzema kolegami. W razie gdyby ktoś chciał się wydostać z obozu, to mieliśmy interweniować. Zaś w przypadku gdyby przybywał ktoś z odsieczą to mieliśmy próbować go powstrzymać. To było w nocy z niedzieli na poniedziałek. W nocy komendant został zabity i cały obóz zlikwidowany. Niestety jeden z moich kolegów został ranny.

*Wspomnienia wysłuchał i opracował
Antoni Stapor*

Do Kolbuszowej przyjechałam w 1938 roku. Rodzice moi wrócili w swe rodzinne strony. Sześćdziesiąt lat temu miałam 15 lat i trudno mi dzisiaj na temat wojny coś powiedzieć. W pamięci zaciera się wiele ważnych faktów, dat i nazwisk. Jednak niektóre przeżycia zapisały się głęboko w świadomości i stanowią swego rodzaju obrazy.

O wojnie zaczęto już mówić głośno od początku lata 1939 r. Okres wakacji to przygotowania do wojny. Wyglądało to zupełnie inaczej niż późniejsza potrzeba tego wymagała. W szkole - ukończyłam drugą klasę gimnazjum - uczono nas jak obchodzić się z maską gazową. Liczono na to, że w działaniach wojennych użyty będzie gaz. Polecono zabezpieczać domy i mieszkania przez uszczelnianie i zaciemnianie.

Sytuacja z dnia na dzień stawała się bardzo napięta. Ojciec mój, emerytowany oficer Wojska Polskiego został zmobilizowany i z końcem sierpnia wyjechał do jednostki wojskowej do Lwowa. Wtedy to jako prawie dorosła osoba zaczęłam sobie zdawać sprawę z powagi sytuacji i zrozumiałam, że wojna to coś bardzo poważnego. Pojawiła się we mnie myśl, której wcześniej nie dopuszczałam, że my tej wojny możemy nie wygrać a mój ojciec może nie wrócić.

Przed wyjazdem do wojska ojciec nakazał mojej matce, żeby w żadnym wypadku nie opuszczała Kolbuszowej, aby się z domu nie ruszała. Tylko na okres ewentualnej bitwy o miasto miałyśmy schronić się do dużego, murowanego domu, z dobrymi piwnicami, który znajdował się nad Nilem a zamieszkały był przez mojego stryja z rodziną. Był przekonany i słusznie, że tam będziemy bezpieczniejsi niż w naszym drewnianym domu z małą piwnicą. I rzeczywiście 9 września zgromadziła się tam masa ludzi z okolicznych domów, z którymi spędziłyśmy groźne chwile, gdy trwała walka. Gdy Niemcy zaatakowali całą masę uciekinierów z ówczesnych zachodnich terenów Polski, ze Śląska, z Krakowa dążyła na wschód przechodząc przez Kolbuszowę. Ludzi tych opanowała jakaś psychoza, żeby uciekać przed wojskami niemieckimi. Zostawiali domy, mieszkania, gospodarstwa, cały dobytek idąc, jadąc wózkami, wozami konnymi. Krążyły bowiem pogłoski, że Niemcy będą mordować a mężczyzn brać do wojska. To był błąd. Trudno powiedzieć teraz kto rozpoczął taką akcję i z czyjej wyszła inicjatywy. Na szczęście wrzesień był ciepły, ale ludzie ci wiele wycierpieli. Drogi ówczesne nie były kryte asfaltem, unosił się więc nieprawdopodobny kurz. Przez nasz dom przechodziły setki ludzi. Każdy widząc duży dom i duży ogród miał nadzieję, że będzie mógł chwilę się zatrzymać, coś zjeść, napić się i wygodnie odpocząć. Tak też było. Patrzy-

łam z przerażeniem na te osoby zmęczone, z maltretowane, zdeterminowane i wyruszające po chwilowym odpoczynku w dalszą drogę. I wtedy pomyślałam, jak mądry i przewidujący był mój ojciec.

Brat mój z końcem sierpnia wyjechał z Kolbuszowej. Udał się do Lublina do wujostwa. Do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego tam miało być bezpieczniej. Wuj - oficer w służbie czynnej - miał zaopiekować się bratem wraz ze swoimi synami. Z jednostką wojskową udali się do Brześcia nad Bugiem. Tam nieoczekiwanie - tego się nikt nie spodziewał i nie przewidywał - zostali zajęci przez wojska sowieckie. Na szczęście chłopców puszczono, wojskowych zatrzymano i wujka już nigdy nie zobaczyliśmy. Napisał list ze Starobielska i to był jedyny i ostatni znak życia od niego. - A jeden z jego synów znalazł się w Majdanku a następnie zginął w Oświęcimiu.

Ponieważ matka moja miała w pamięci słowa ojca zostaliśmy w Kolbuszowej ale gdy Niemcy się zbliżali schroniliśmy się w domu nad Nilem.

Wielu mężczyzn z Kolbuszowej uciekło do pobliskich lasów, by tam przeczekać jakiś czas. Nikt wówczas nie wiedział jacy Niemcy są, jak zachowują się w stosunku do ludności a w szczególności do mężczyzn. Opuszczanie domów okazało się tragiczne, dotyczyło to także i nas, choć zostawiłyśmy dom tylko na dwa dni. Dobytek z tych domów został skradziony. I to jest bardzo przykre wspomnienie z tego okresu. Ludzie uciekali, chronili swe życie, nad miastem rozlegała się strzelanina, każdego opanowywał strach przed nieznanym, przed wrogiem, a tu rabusie okradają, wynoszą co się da, nie dbając nawet o swe życie. Chęć zdobycia za darmo jest większa. I właśnie z tego domu nad rzeką widziałam i utkwiał mi w pamięci obrazek jak w czasie tej bitwy, gdy paliły się domy, słychać było świst pocisków karabinowych i artyleryjskich szli z miasta ludzie dźwigając całe bale tkanin - widocznie ze sklepów. Z naszego domu też zniknęły dywany, pościel i inne przedmioty ukryte w piwnicy. Ktoś potrafił siekierą wyrąbać drzwiczki w szafce sądząc zapewne, że tam znajdzie cenne przedmioty. I mimo to, że dom stał jak dawniej to przykre wspomnienie zostało do dziś i było to dowodem jak wojna wypacza charakter ludzi i żadne zasady moralności nie istnieją. Chęć zdobycia za darmo jest większa niż obawa o własne zdrowie, nawet życie.

Po bitwie, gdy nastał już spokój, matka z ciocią (która uciekła do Kolbuszowej z Wadowic z dwuletnim synkiem) wybrały się do miasta. Dotychczas nie wiedziałyśmy, które domy spłonęły, widać tylko było ogień i dymy unoszące się z wielu miejsc. Zdawało się, że wszystkie zabudowania się palą. Zastanawiałyśmy się, czy nasz „majątek” pozostał. Ale nie było to wówczas istotne. Cieszyłyśmy się, że żyjemy, że przeżyłyśmy ten pierwszy etap wojny.

A więc matka z ciocią przyszły do domu i zastały tam Niemców. Jakiś oficer z krzykiem zwrócił się do matki z zapytaniem, gdzie jest mąż. Myślał że ojciec jest wysokiej rangi oficerem, bo żołnierze znaleźli pamiątkowy

mundur, karabin z I wojny światowej, oraz broń myśliwską i karabinek sportowy. Wszystko to zabrali. Uspokoił się, gdy mama oświadczyła, że ojciec został powołany do wojska i nie wie gdzie się obecnie znajduje. Spytała, czy możemy wrócić do domu. Zezwolili, zajmując dwa pokoje dla oficerów.

Idąc przez miasto widziałam straszne zniszczenia. Całe ulice spalone, jeszcze dymiły zgliszcza domów, rozchodził się wszędzie zapach dymu. I wtedy ujrzałam jeszcze jeden tragiczny obrazek, który pozostał mi przed oczyma do dziś. Na ulicach leżały trupy. Pamiętam Żyda z roztrzaskaną piersią, gdzie indziej leżał żołnierz w polskim mundurze poszarpanym i zakrwawionym i jeszcze kilku zabitych. To był niesamowity widok. I nagle, gdy zobaczyłam ten ogromny obraz zniszczenia, tych zabitych, których nie grzebano przez kilka dni - zrozumiałam, że skończyło się spokojne życie i rozpoczyna się właściwie nowy etap w innych okolicznościach, w innym świecie. I tak wracając do domu przynębiał nas widok strat i tragedii dookoła ale jednak cieszyliśmy się, że żyjemy.

Po kilkunastu dniach wrócił brat cały i zdrowy, a po kilku tygodniach ojciec. Część żołnierzy jego jednostki przeszła granicę rumuńską, część jednak uważała, że ich miejsce jest w Polsce i powracała do rodzin.

Wojsko niemieckie robiło duże wrażenie. Byłam przyzwyczajona do innego widoku armii. Nasze wojsko przy nich wyglądało mizernie, takie blade i małe. Oni jechali na motorach, w czarnych mundurach, w hełmach. To były te pierwsze oddziały silne, rosłe, mocne. To byli żołnierze młodzi, zdrowi i zawzięci. Wrażenie było piorunujące.

Powoli przyzwyczajaliśmy się do nowej sytuacji, do okupacji. Po niedługim czasie zaczęliśmy odwiedzać rodzinę i znajomych w obawie czy żyją i są zdrowi. W Kolbuszowej miałam babcię i wujostwo. Okazało się, że są zupełnie spaleni. Nie tylko dom ale i zabudowania gospodarcze zniknęły z powierzchni ziemi. To samo spotkało ciotkę i wujka. Zostali bez niczego. Na szczęście po pewnym czasie znaleźli zastępcze mieszkania.

Pierwsze wojska poszły dalej na wschód, a miasto zajęli Niemcy, którzy prowadzili sprawy administracyjne. Ponieważ nasz dom był duży, zawsze w dwóch pokojach mieszkali wojskowi. Nie można powiedzieć, że byli to źli ludzie. To spokojni, normalni obywatele wyrwani ze swojego ustalonego trybu życia i zmuszeni do pójścia na front. Mieszkał u nas wysoki rangą oficer - w cywilu zajmował stanowisko inspektora szkolnego i nie obce mu były sprawy nauki. Matka była nauczycielką i on załatwił jej posadę w szkole. Pracowała kilka miesięcy, potem wszedł nakaz i mężatki zwolniono. Takie zarządzenie obowiązywało w Rzeszy i zastosowano je także na terenach okupowanych.

Wszyscy młodzi ludzie czy to dziewczyny czy chłopcy starali się o jakąkolwiek pracę, gdzieś się zatrudnić, w przeciwnym razie niemiecki urząd pracy wysyłał na roboty do Niemiec lub do obozów. Niezależnie od tego

były tzw. „łapanki”. W ten sposób mój kuzyn, jako młody 15-letni chłopak został złapany, po prostu zabrany z ulicy i wysłany do obozu pracy w Oranienburgu. Na szczęście był zdrowy i silny, uniknął Oświęcimia, wytrzymał i szczęśliwie wrócił po pięciu latach.

Niejednokrotnie podczas okupacji uciekałam przed „łapankami”. Często spałam poza domem, tam gdzie nie było młodzieży, była nadzieja że żandarmi tam nie trafiają. Pewnego dnia wpadła do domu ciocia, niekompletnie ubrana, z gołą głową (a był mróz), zdenerwowana i zdyszana krzyknęła: „Baśka uciekaj, idą po ciebie”. Zrzuciłam płaszcz mamy, bo taki był pod ręką i tylnym wyjściem z ogrodu wybiegłam w pola. Rzeczywiście za chwilę wszedł żandarm z naszym znajomym z policji granatowej. Ten wiedząc, gdzie mieszkam i idąc po mnie cały czas myślał jak mi dać znać (mówił mi to wiele lat później). Ponieważ spotkał moją ciotkę spytał ją, gdzie mieszkam, udając, że nie wie. Ona od razu zorientowała się o co chodzi. Biegła polami, krótszą drogą, by zdążyć przed nimi. No i udało się. W ten sposób polscy policjanci granatowi zatrudnieni i pracujący z niemiecką żandarmerią niejednokrotnie pomagali Polakom, choć nieraz było odwrotnie. Wtedy matka powiedziała, że wyjechałam do krewnych. Kilka dni przesiedziałam w domu nie pokazując się na ulicy. Potem postarałam się o pracę. Początkowo zatrudniona byłam w sklepie, a następnie w biurze. W Kolbuszowej działał Polski Komitet Opiekuńczy jako Delegatura Rady Głównej Opiekuńczej w Warszawie. Instytucja ta zajmowała się działalnością charytatywną. W mieście prowadzono tzw. „głodną kuchnię”; wydawano tam posiłki jednorazowe w sali parafialnej. Prócz tego przygotowywano obiady dwudaniowe, ale tych ilość była ograniczona. O ile pamiętam, korzystali z tej stołówki głównie ludzie wysiedleni i uciekinierzy ze wschodnich terenów. W okresie wakacji letnich prowadzono półkolonie z dożywianiem dla dzieci. Prowadziłam tam sprawy biurowe i administracyjne i pomagałam w przygotowaniu i wydawaniu posiłków. I z tą pracą wiąże się miłe i niezatarte wspomnienie. Pracowało tam kilka osób, w tym kobiety. Tam to zaproponowano mi pracę w organizacji tajnej. Byłam wtedy bardzo dumna, że obdarzono mnie zaufaniem i uznano za dorosłą. To był rok 1942. Byłam sanitariuszką, przygotowywano nas na wypadek działań wojennych. Przechodziłyśmy szkolenie wojskowe, sanitarne i udzielanie pierwszej pomocy lekarskiej. Za zadanie miałam również przygotowywanie bandaży i opatrunków. A więc przynosiłam do domu całe rolki gazy, które się odpowiednio cięło i składało oraz pakowało. To było niezbyt bezpieczne, gdyż za drzwiami mieszkał wróg. Musiałam się z tym uporać, gdy jego nie było, wychodził do pracy. W przeciwnym razie mógł wejść do pokoju i gdyby zastał mnie przy tej robocie, na pewno byłoby po mnie. Wtedy jednak nie zastanawiałam się bardzo nad tym, nie czułam strachu.

Nigdy z koleżankami nie rozmawiałam o sprawach konspiracji. Rodzice też długo nie wiedzieli. Dopiero po wojnie i to wtedy, kiedy można było mówić o AK - dowiedziałam się o wielu osobach należących do Ruchu

Oporu. W czasie tych trudnych chwil okupacyjnych była wśród ludzi niewiarygodna solidarność. Każdy odczuwał dołę drugiego, zdawał sobie sprawę, że może spotkać go tragedia i będzie potrzebował pomocy.

W tym to okresie przeżyłam wraz z rodziną jeszcze jedno przykre wydarzenie. Otóż gazeta niemiecka „Krakauer Zeitung” opublikowała listę zidentyfikowanych zamordowanych oficerów polskich w Katyniu. Jakież było nasze przerażenie, gdy wśród wielu nazwisk wypisanych tłustym drukiem na pierwszej stronie widniały dwa nazwiska oficerów pracujących z ojcem i równocześnie jego przyjaciół. Jak się okazało później cała jednostka wojskowa, w której służył ojciec ewakuowana była na wschód i tam zajęta przez wojska radzieckie i wykończona w Katyniu. Mogłam sobie tylko wyobrazić co czuł ojciec. Zawsze był niezadowolony, że za wcześnie wysłano go w stan spoczynku, że za wcześnie skończył służbę w wojsku, a to właśnie uratowało mu życie.

Osobny rozdział w moich przeżyciach wojennych to tajne nauczanie. Początkowo cieszył nas wolny czas - jesień 1939 r. Nie chodziło się do szkoły. To było coś nowego, ciekawego. Niemcy pozwolili tylko na otwarcie szkół podstawowych i zawodowych. Czas wolny nie trwał jednak długo. Nasi pedagodzy z gimnazjum i liceum zaczęli werbować młodzież i powstały tajne komplety. Profesorowie traktowali nas inaczej jak przed „wojną”. Stali się dla nas przyjaciółmi, niemalże kolegami. A i my - mając za sobą straszne przeżycia - traktowaliśmy tę naukę inaczej. Lekcje takie to były wspaniałe, niezapomniane chwile. Niezależnie od przerabiania na tajnych kompletach materiału ze szkoły średniej, uczęszczaliśmy do handlowej szkoły zawodowej, oficjalnej, gdzie wykłady były prowadzone przez zespół tych samych pedagogów. Szkoła była dwuletnia, otrzymaliśmy świadectwa w języku niemieckim. Nauka tajna odbywała się w różnych miejscach: u profesorów lub w domach prywatnych. Pewnego dnia przeżyliśmy chwilę grozy. Wtedy - właściwie po raz pierwszy w okresie okupacji - odczułam prawdziwy strach. Było nas wówczas pięcioro u profesora. Była lekcja łaciny. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Profesor wyjrzał przez „lufcik” w oknie i szepnął: „uciekajcie, żandarmeria”. Włosy zjeżyły mi się na głowie, ale nie tracąc czasu szybko chowaliśmy do kieszeni wszystkie kartki. Jeden z kolegów zmiął kartkę, włożył do ust i połknął. Wybiegliśmy zapasowymi drzwiami, które prowadziły przez mieszkanie sąsiadów - byli oni uprzedzeni o takiej ewentualności - i ukryliśmy się w zabudowaniach gospodarczych. Po około pół godziny, które nam wydawały się wiekiem nasz profesor wyszedł spokojnie, wzywając nas. Na szczęście okazało się, że Niemiec przyszedł zapytać o lekcje niemieckiego, których udzielał nasz profesor robotnikom. Muszę wyjaśnić, że nie nosiliśmy nigdy zeszytów i książek. Jeżeli były podręczniki rozdzielało się je na poszczególne kartki. Jedna kartka i cienki notatnik to wszystko co można było mieć przy sobie w specjalnie do tego celu uszytej kieszeni po wewnętrznej stronie płaszcza czy kurtki.

Wraz z najbliższą rodziną w trudnych warunkach materialnych, ale w zdrowiu i szczęśliwie przeżyliśmy okres okupacji. Lubię wspominać te czasy, czytać książki i oglądać filmy o tej tematyce. To przypomina dobre i złe chwile z tego okresu. Nie chwale się jednak nigdy przynależnością do Ruchu Oporu. Przecież wtedy nie myślało się o żadnych zasługach. Traktowałam tę pracę jako normalną sprawę, po prostu obowiązek nakazany chwilą. I nikt też nie myślał do jakiej formacji zostaje wciągnięty, jakie ma zapatrywania, to nie grało roli, walczyło się o wolność, o pokonanie najeźdźcy. Wspominam okupację w bardzo ścisłym gronie osób starszych, które niestety stale się zmniejsza.

Dzień 9 września 1939 r. wspominam bardzo przykro. Niemcy zniszczyli nam wszystko. Uciekliśmy tylko z tym, co mieliśmy na sobie. Gdy Niemcy wkroczyli do Kolbuszowej słychać było początkowo słabe strzały, później było ich coraz więcej i były głośniejsze. Zanim podeszłam do okna już paliły się nasze budynki: chlew i stajnia. Zatrzymała się u nas uciekinierka, która dobrze mówiła po niemiecku. Spytała tych Niemców, dlaczego palą nasze budynki, skoro nie ma tu wojska. Odpowiedzieli, że widzieli żołnierza jak uciekał. My z domu nikogo nie widzieliśmy. Palenie naszych budynków rozpoczęli gdzieś około godziny 13⁰⁰ lub 14⁰⁰. Na podwórzu było chyba 5-ciu żołnierzy. Krzyczeli po niemiecku ażebyśmy wyszli z domu. Naprzeciwko dzisiejszej przychodni zdrowia mieszkał pan Pastuła. Miał na obejściu duży płot. Tam Niemcy zorganizowali zgrupowanie ludzi starszych, kobiet i dzieci. Niemiec wszystkich pod bronią pilnował, ale on i inni dobrze się z nami obchodzili. Żadnego znęcania nie było. Zgromadzili około 30 - 50 ludzi. Dzieci płakały, niektórzy dorośli też. Ludzie mają różne charaktery i dlatego tę sytuację jedni przeżywali płacząc, inni zaś dusili to w sobie, inni znowu przeklinali to wszystko.

Przed opuszczeniem gospodarstwa ojciec chciał jeszcze coś z domu zabrać, ale już Niemcy nie pozwolili. Mężczyzn zabrano na błonia. Jak szłam z rodzicami, to zostałam ranna w nogę. Bydło wtedy porozchodziło się w pola, było bardzo gorąco. Na błoniach siedzieliśmy całą noc, a u nas to wszystko się dopalało. Był to okres *zaraz* po żniwach. Zboże było zebrane i się tliło przez długi czas na miejscu spalonego spichlerza. Na drugi dzień tata poszedł i to wszystko zalał wodą, aby chociaż dla bydła zostało. Zboże to tak bardzo przesiąkło spalenizną, że nawet bydło nie chciało go jeść. Najpierw jechały motocykle i było słychać pojedyncze strzały, później już samochody i czołgi. Spaliły się domy Weryńskiego i Maciąga. Na ulicy Obrońców Pokoju obok przedszkola spaliła się kamienica. Stały tam takie drewniane budy, w których mieszkali Żydzi, spłonęły. My gospodarstwo mieliśmy duże i handlowaliśmy z Żydami. Kupowali od nas zboże i bydło rzeźne, oczywiście koszerne. Świniaków nie chcieli nawet widzieć.

Jak Niemcy zapalali wozownie to nawet nie wiedzieliśmy w jaki sposób to zrobili. Jak stajnie zapalali to jeden z nich wywijał ręką i rzucał jakiś przedmiot, chyba to był granat. Nie było żadnego hałasu detonacji. To było zapalane ręcznie. Ja to widziałam, to straszny widok. Na polach były wielkie huki i wyrывało wielkie leje. Czołgów nie widziałam. Wszyscy Niemcy jechali na motorach. Jeszcze mam przed oczami ich wygląd. Na

głowach mieli hełmy, wyglądali jak diabły. Było ich bardzo dużo. Ulicą jechało ich nieprzebrane masy.

Po spaleniu naszych zabudowań sąsiadka, która mieszkała przy ulicy wzięła nas do siebie. Dała nam taki mały pokoik. Tam spaliśmy dwie noce. Rodzice byli już starzy, przeżywali to bardzo boleśnie. Cały ich dorobek życia poszedł z dymem, został zniszczony. To właśnie oni, moi rodzice, Stępniowie założyli to gospodarstwo od podstaw. Przybyli z Dzikowca. Tam sprzedali swoje gospodarstwo. Jak to wszystko się wypaliło, to zaczęło się z miejsca odbudowywać. Najpierw wybudowało się jedną izbę większą, żeby było gdzie mieszkać. Stajnię wybudowało się z takich desek. W środku na podłodze były trociny.

Wszystkie pieniądze się spaliły, które rodzice mieli ukryte w takim schowku, w piwnicy. Były w pudełeczku blaszanym banknoty dolarów i dość dużo bilonu. Monety stopiły się w jedną wielką kulkę. Z banknotów pozostały drobniutkie kawałeczki, które po otwarciu puszkii rozleciały się na tysiące drobinek. W kieszeni taty zostało 70 złotych. Tylko tyle ocalało pieniędzy.

W chlewni była tylko jedna świnka. Jak zobaczyłam, że dach już się pali pobiegłam tam, żeby ją wyciągnąć. Nie chciała wyjść tylko jak zwariowana biegła wkoło. Wcześniej jak się zanosilo jej jedzenie, to sama uciekała. Próbowałam ją zagonić do drzwi. Paliło się bardzo, mama powiedziała mi, abym ją zostawiła. Po kilku dniach tata poszedł do sąsiadów i dowiedział się, że inni sąsiedzi złapali świnię i ją zabili. Oddali mu trochę mięsa. Jedna krowa była w szopie i się spaliła. Niemcy jej nie wypuścili, a my już do tego wszystkiego nie mieliśmy głowy. Podczas pożaru bydło się rozeszło i jak przyszedł wieczór, to wróciło do tego jednego wielkiego pogorzeliska. Zaczęło potwornie ryczeć.

Podkreślę jeszcze, że od *zaraz* rozpoczęliśmy porządkować zgłiszczu i odbudowywać dom. Chociaż trzeba raczej powiedzieć budować od podstaw. Dwie krowy trzymaliśmy u Cibickich, żeby mleko było. Trzy sztuki była wzięła siostra, która razem z mężem mieszkała w Kupnie.

9 września Niemcy mówili, że widzieli na naszym podwórzu polskiego żołnierza. My jednak na naszym gospodarstwie nikogo nie widzieliśmy. Ja żadnych żołnierzy polskich nie widziałam, ani na obejściu, ani na ulicach. Walki toczyły się gdzie indziej. W Kolbuszowej byli wszędzie Niemcy. Jak zgonili ludzi, to był przykry widok. Każdy zabierał ze sobą jakiś tobolek. Ci ludzie i te tobołki: pierzyny, garnki itp. wyglądały okropnie. To wszystko się wlokło. Dzieci ciągnęły jakieś prymitywne wózki. Niektórzy patrząc na to, uważali że właśnie tak wygląda koniec świata. Była to wielka tragedia dla narodu polskiego.

Tata kupił trochę drewna, rodzina przyjechała i pomagali w porządkowaniu i budowie. Zimą przesiedzieliśmy u Cibickich. U Cibickiego w warsztacie zamienionym na pokoik mieszkał starszy rangą żołnierz niemiecki. Przynosił Cibickim dużo cukru, dobrego chleba wojskowego, nawet konserwy

mięsne i wysokiej jakości kawę. My naszym dobroczyńcom dawali ziemniaki, mleko itp. Na drugą poszliśmy już do siebie. Jak przenieśliśmy się do tego jednego pomieszczenia, to już myśleliśmy, aby wybudować coś większego. Wybudowaliśmy mały domek. Mieliśmy tam trzy pomieszczenia. Jak przeprowadziliśmy się tam, to już było wygodnie. Te zabudowania, które wtedy wznieśliśmy stoją do dzisiaj.

Przed 9 września żniwa już skończyliśmy, zboże wymłócili i już było zmagazynowane. W polu zostały nam tylko ziemniaki i groch. I dzięki Bogu mieliśmy co do garnka wrzucić.

W Starostwie Powiatowym w Kolbuszowej pogorzelcom dawali bony żywnościowe. Niedaleko nas mieszkał starosta. Nazywał się Michał Łysaniuk i był bardzo porządnym człowiekiem. To właśnie on był odpowiedzialny za te przydziały żywnościowe i opałowe. Przychodził do nas i dobrze wiedział jaka krzywda nam się wydarzyła. Zawsze jak się do niego zwróciłam, to otrzymałam tą kartkę - bon. Rodzice nigdy nie chodzili po przydział, ale ja za wszystkim chodziłam. Tylko raz jeden urzędnik, Michał Ozimek potraktował mnie brutalnie. Jak poszłam raz, a nie było starosty Łysaniuka, to powiedział: To znowu ty, przecież wczoraj też byłaś?! Ja odpowiedziałam, że tak ale w domu byli robotnicy przy budowie i cały przydział poszedł. Mnie to bardzo zabolalo. Powtarzam, że tylko raz spotkałam się z tak złym potraktowaniem.

Był jeszcze niejaki Januszewski, który też był urzędnikiem. Przed wojną zawsze przystanął przed naszym domem i w zadumie mówił, że to jest piękny mały dworek. I rzeczywiście to było piękne gospodarstwo. W każdym, razie jemu się bardzo podobało. Nie wiem skąd przybył ze swoją rodziną do Kolbuszowej. Był wpływową osobą. Jak poszłam do urzędu, to zawsze otaczali go ludzie. Wchodził na stół i rozglądał się dookoła i szukał ludzi, którzy potrzebują pomocy. Niektórzy się podszywali pod pogorzalców, wiadomo każdy potrzebował jedzenia, czy się spalił, czy się niespalił. On zawsze jak mnie ujrzał, to dawał mi przydział.

We wrześniu 1939 r. myśleliśmy przede wszystkim, aby przetrwać. Wszyscy ludzie ten czas przeżywali z wielkim płaczem. Naszej sąsiadki, Marii Urban dzieci mieszkaly u nas. Pomału się budowało dom i stodołę. Na wiosnę dostaliśmy zboże od rodziny i obsialiśmy nim rolę. Dlatego w jesieni mieliśmy już dobre zapasy. Podczas wojny nie można było leniuchować. Nasze życie, naszych rodzin i wszystkich Polaków było zagrożone. Trzeba było wziąć się w garść i do roboty.

Niewygód przeżyliśmy co niemiara. Jedzenie przywoziła nam rodzina. Mój szwagier lubił zawsze coś zahandlować, więc zawsze jakiś kawałek świni przywiózł. I jeszcze te przydziały. One nam pomogły przetrwać najgorsze. W sumie jedzenia nam nie brakowało. Najważniejszą kwestią było utrzymanie bydła, bo przecież w nim było życie. Podczas wojny tak bardzo się to doceniało. Bydło nam dostarczało zdrowe mleko, ser, masło i tym podobne odżywcze, wspaniałe produkty.

Podczas wojny nikt z naszej rodziny nie zginął, ani nie był torturowany, czy zamykany w więzieniu. Ja miałam dwóch braci i siostrę, która mieszkała ze swoim mężem w Kupnie. Niemcy nie przeszkadzali nam w budowie domu. Tak, czy inaczej byliśmy im wdzięczni za to, że 9 września wypuścili nasze bydło z palących się obór. Szkoda tylko, że nie dali nam wziąć tych tobołków, które wcześniej popakowaliśmy z obawy przed nimi. Zgromadziliśmy wszystko, co było cenne. Zaczęliśmy pakować najcenniejszy i najpotrzebniejszy dobytek jak usłyszeliśmy, że Niemcy są pod Dębicą. Zrobili nam tę krzywdę, że spalili nasze gospodarstwo, innej krzywdy od nich nie zazналиśmy. To, co psychicznie przeżywałam widząc cierpiących po stracie dorobku swego życia rodziców nie da się opowiedzieć. W kilka godzin okazałe budynki stały się popiołem. Żal mi ich było bardzo. Niewygód było bardzo dużo, ale człowiek był młody i jakoś to zniósł.

Za okupacji sowietów miał miejsce taki bardzo nieprzyjemny wypadek. Rosjanie budowali łaźnię (teraz jest tam przedszkole, obok PZGS). Zbierali wszystkich ludzi, kogo napotkali na ulicy. Mąż wtedy wracał z miasta i też go zatrzymali i zabrali do roboty przy budowie. Po kilku godzinach odszedł od budowy do domu na obiad. Jeden robotnik, który razem z nim pracował podkablował żołnierzowi, że jeden robotnik uciekł do domu. Po chwili już byli u nas w domu, żołnierz i ten robotnik-kapuś. Akurat mąż był już po posiłku. Pamiętam, że ten żołnierz był starszy rangą. Stanął w ganku razem z robotnikiem i wyciągnął z kabury pistolet. Wycelował w mojego męża i strzelił... Już myślałam, że zastrzelił mego ukochanego. Strzelił obok. Wrócili budować tą łaźnię.

*Wspomnienia wysłuchał i opracował:
Antoni Stapor.*

Emilia Opalińska, córka Katarzyny i Jana Stępników ur. się 1. III. 1916r. w Kolbuszowej. W grudniu 1939 r. poślubiła Władysława Opalińskiego. Urodziła czworo dzieci: Zofię, Stanisława, Jerzego i Jana. Przez całe życie pracowała na gospodarstwie.

Wspomnienia Władysława Ozimka

Urodziłem się 8 marca 1925 r. w Nowej Wsi. Ojciec na imię miał Jan, a matka Franciszka. Pochodzę z licznej rodziny rolniczej. Miałem duże zainteresowanie wiedzą, nauką i przygodami. Przed wojną było trudno się kształcić. Rodzice zawsze uważali, iż ja jako najstarszy ich syn powinienem zostać na gospodarstwie rodzinnym. Nie mogłem im tego odmówić. Już wtedy miałem świadomość, że muszę pomyśleć i zrobić coś, aby się odbić i osiągnąć w życiu coś więcej. W tym czasie kształtował się w województwie lwowskim COP. Pojawiła się nadzieja dla młodych, że jak zdobędą wykształcenie w jakimś kierunku, to otrzymają pracę. Dla mnie nadzieją na lepszą przyszłość było związanie się ze Strzelcami. W 1938 r. zapisałem się do Związku Strzeleckiego. Elegancko do pana komendanta Związku poszedłem i się zameldowałem. Popatrzył na mnie, na takiego wielkiego dryblasa i spytał ile mam lat. Odpowiedziałem, że 15. Skłamałem go o 2 lata. Miałem wtedy tylko 13 lat. W lecie 1938 r. nasza orkiestra na Koncentracji Orkiestr Dętych Polski Południowej w Przemyślu zajęła I miejsce. W związku z tym dostaliśmy dużą dotację i pojawili się dobrzy sponsorzy, którzy kupowali nowe instrumenty. Ja uczyłem się gry na werblu. Wojna mnie zastała, gdy muzykowałem ze Strzelcami. Graliśmy na różnych defiladach m.in. w Mielcu, Kolbuszowej i innych miastach powiatowych. 9 września ze Strzelcami byłem w drodze do Lwowa. Jak wybuchła wojna to wszystkich Strzelców poproszono na stadion w Kolbuszowej. Tam nas poinstruowano co mamy robić. Starsi, bardziej doświadczeni Strzelcy dostali broń. Robiono już wtedy posterunki i tworzone patrole. Powiedziano nam, że w razie gdy zostanie przerwany front na Wiśle, to wycofujemy się za San. Wtedy mówiło się, że to my pójdziemy po "skórkę Hitlera". Nie dopuszczano myśli, że wojnę możemy przegrać. Byliśmy "napompowani" patriotyzmem. Uważaliśmy, że jesteśmy najsilniejsi. Mówiliśmy, że bez walki to nawet guzika jednego nie oddamy. Polecono nam, abyśmy się cały czas normalnie, w szkole uczyli, a w razie konieczności stanęli w obronie ojczyzny. Zgrupowanie zorganizował Zarząd Związku Strzeleckiego, działający przy starostwie powiatowym. W Zarządzie byli m.in. Feliks Dudziński, porucznik Wiśniewski i pan Żywiec. Z Kolbuszowej wyruszyliśmy w nocy 8 września na furmankach. Były polecenia, aby ludzie ze wsi oddawali na usługi wojska furmanki z końmi oraz inne sprzęty. Łącznie było 12 furmanek parokonnych. Z Nowej Wsi zarekwirowane zostały 2 furmanki, jedna Władysława Kostuja, druga pana Czarnika, który miał dwa konie. 9 września pamiętam jak

dziś. Latały wyjące samoloty. Słuchało się meldunków przez radio. Wcześniej tymi wszystkimi hasłami politycznymi i propagandowymi bardzo się interesowałem jako zaledwie kilkunastoletni chłopak.

Jak teraz przychodzi wrzesień to mnie nostalgia ogarnia. We mnie przeżycie września zostanie aż do śmierci. Tę tragedię, którą ja przeżyłem w 1939 r. nie zapomnę do końca życia. Nie chodzi mi o ból fizyczny, bo mnie przecież żadna kula nie dosięgła. Wprawdzie byłem głodny, ale to nic. Chodzi mi o tragedię moralną i psychiczną. Żołnierz polski to dla mnie była postać święta. Uważałem, że nasze wojsko jest najsilniejsze, najdzielniejsze i najpiękniejsze. A później jak dostaliśmy się do niewoli i jak nas wypuścili, to z obrazu tego pięknego wojska niewiele pozostało. Żołnierz jest piękny jak jest ogolony, umundurowany. A jak on po bitwach sponiewierany, wygłodzony, zarośnięty, nieogolony, bez broni, niejednokrotnie już w podartych butach, bez pasa głównego, z powiewającym na wszystkie strony płaszczem... To była już oferma, a nie żołnierz. Płakać się chciało. Jak ja zobaczyłem żołnierzy rezerwistów ciągnących kuchnie polowe zamiast koni, to mi się serce krajało. Do tych kuchni wrzucaliśmy jakąś kapustę, buraki, czy ukopane przy drodze ziemniaki. To nie była normalna kuchnia, jedliśmy to, co ukopali lub uzebrali u ludzi. Prosiło się o chleb. To był koszmar, setki tysięcy uciekinierów szło na wschód, a później na zachód. Przy szlakach wędrówki wioski były doszczętnie przetrzebione z żywności. Ludzie już nie nadawali z pieczeniem chleba dla tych migrujących nieszczęśników. Wszyscy potrzebowali chleba. Nawet pani wojewodzina, czy pani hrabina nie wstydziły się wyciągnąć ręki po chleb. Nigdy się nie spodziewałem, że żołnierz polski będzie ścigany jak wilk i że będzie w niewoli pod butem niemieckim i rosyjskim.

Jak wyszliśmy 8 września to dzień i noc szliśmy. Doszliśmy do Przemyśla, a później do Lwowa. Tam zgłosiliśmy się do Wojewódzkiego Zgrupowania Strzelców. Utworzono batalion strzelecki, który od razu został wysłany na front. Strzelcy byli do walki dobrze przygotowani. Po kilku dniach mój pluton został skierowany do Białej Krynicy za Krzemieńcem, do 12 pułku Ułanów Podolskich. Pluton liczył 20 chłopaków. Mieliśmy dwie furmanki. Powiem, iż do Przemyśla szliśmy przez następujące miejscowości: Sokołów Młp., Leżajsk, Jarosław, Radymno. Do Lwowa przez: Sodołą Wiśnią, Gródek Jagielloński, Zimną Wodę. Ze Lwowa przez: Busk, Grody i Krzemieniec. Tam parlamentariusze sowieccy przyszli pertraktować. Drogą rokowań nasze dowództwo (m.in. 3 generałów) wyraziło zgodę na oddanie się pod "opiekę" rosyjską. Zadekretowali to jako pomoc Polsce. W rzeczywistości była to niewola. Zaraz nas posegregowali. Oficerów osobno, żołnierzy oddzielnie. Nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Byliśmy w Krzemieńcu 2 tygodnie. Po tym czasie nas żołnierzy wypuścili. Takie były wcześniejsze ustalenia. Całe uzbrojenie złożyliśmy Sowiетom. Oficerów i podoficerów już wywieźli. Nam nie wolno było mieć nic wojskowego za wyjątkiem pasa.

Sprawdzili nas i wypuścili. I tak szliśmy polami jak zające w swoje strony, do domów. Ukraińcy do nas strzelali. Przez dwa tygodnie żyło się tym, co się znalazło. Jak szliśmy w tamtą stronę uzbrojeni, to było spokojnie. Gdy już Wojsko Polskie rozbrojono, wtedy się Ukraińcy w okrutny sposób mścili na polskich żołnierzach. Ja tego osobiście nie doświadczyłem, ale koledzy mi opowiadali co Ukraińcy robili z żołnierzami. Działy się wielkie okrucieństwa. Ja szedłem drogami bocznymi, wzdłuż torów kolejowych. Jakoś mi się udało. W Gródku Jagiellońskim po raz pierwszy spotkałem się z patrolem niemieckim. Pogrupowali nas ok. 1000 żołnierzy. Powiedzieli nam, że jesteśmy żołnierzami i dlatego podlegamy pod Konwencję Genewską. Dlatego z ich strony nic złego nas nie spotka. Zaprowadzili nas na stację i zapewnili nas, że po wymeldowaniu pojedziemy do swoich rodzinnych stron. Był nawet taki moment, w którym w niewoli niemieckiej czuliśmy się bardziej bezpieczni niż od barbarzyńskich Ukraińców. W Przemyśle rozgrupowali nas po punktach zbornych. Ja się dostałem do 3 Baonu Saperów. Po 4 dniach Niemcy zapowiedzieli na zbiórce, aby ułani wystąpili z szeregów. Wystąpiłem. Udaliśmy się do Radymna. Dla mnie najważniejsze było to, iż szedłem w kierunku domu. Po drodze rosła rzepa. Niemcy pozwolili nam jej trochę zerwać. Jak wskoczyłem w tę rzepę i wsunąłem się w bruzdę to tyle mnie widzieli. Wtedy się trochę podkarmiłem. Poszedłem do ludzi i posiliłem się do syta.

W Radymnie na stacji spotkałem takiego porządnego i uczciwego Ślązaka. Powiedziałem mu, że muszę jechać do Rzeszowa. Skierował mnie, abym poszedł do wagonu i powiedział, że on mnie tam przysłał. W Rzeszowie Niemcy nas wszystkich chcieli zabrać do Krakowa. Udało nam się z Frankiem Dudzińskim uciec. Dostaliśmy cywilne ubrania od Jana Sarapu-ka, który tak jak my zbiegł ze stacji. Zostawiliśmy u niego mundury strzeleckie.

Konspiracja

Już w grudniu mieliśmy spotkania nieformalne, na których mówiono, aby nie niszczyć mundurów i aby kompletować broń. Konspiracja już się tworzyła. Była to na razie konspiracja koleżeńska. W 1942 r. złożyłem przysięgę. Miałem wtedy 17 lat. Konspiracja zaczynała mieć coraz twardszy kręgosłup. Niestety w Kolbuszowej miała miejsce wyspa. Później dzięki Bogu wszystko funkcjonowało sprawnie. Pomimo strachu, terroru hitlerowskiego wytrzymałem w konspiracji aż do koncentracji. Zostałem przydzielony do grupy o kryptonimie "Huragan". Dowódcą oddziału był porucznik o pseudonimie "Piotr", a zastępcą dowódcy był Rożek ps. "Sawa", którego w 1944 r. UB-owcy zakatowali. Nasz oddział został skierowany na zakwaterowanie do Weryni, do Lenartów. Później dowództwo przeniesiono do Kolbuszowej.

Jeszcze raz podkreślę, że jako młody chłopak przeżyłem tę tragedię bardzo boleśnie. Dosłownie płakałem, ale nie nad swoim losem, lecz nad

losem ojczyzny i jej żołnierzy. Jak przychodzi wrzesień ze swoim powietrzem i atmosferą, to czuję się jak w 1939 r. Dziwi mnie to, że po tylu latach, po przeżyciu tylu kłopotów rodzinnych, odczucie września jak bumerang wraca. Jest również we mnie przemożna nostalgia za Lwowem i Kresami Wschodnimi, za Zbarażem. Te miejsca zrobiły na mnie wielkie wrażenie podczas dramatycznej rzeczywistości wojennej, oraz z kart czytanych dzieł literatury narodowej.

*Wspomnienia wysłuchał i opracował Antoni
Stapor*

9 września 1939 r. widziałem jak Wojsko Polskie ucieka przez nasze pole. Zostawili trochę karabinów w krzakach. Wziąłem taczki i pojechałem jak się ściemniło. Tych karabinów wziąłem kilka sztuk i je ukryłem. Pomyślałem, że może się kiedyś przydadzą. I faktycznie przydały się. Wzięli je ode mnie partyzanci. W dniu bitwy o Kolbuszowę byłem na dachu naszego domu. Jak zrobiło się gęsto od pocisków uciekłem w pola. Bałem się na tym dachu, bo wiadomo, że jakiś zabłąkany pocisk może wysadzić wszystko w powietrze. Jeszcze wcześniej jak były drobne kulki, to schroniłem się do studni. Obserwowałem, jak te pociski szły. Było je bardzo dobrze słyszeć. Ostatni pocisk jaki pamiętam został wystrzelony wprost z Kolbuszowej i trafił aż do Cmolasu w organistówkę. Dom organisty znajdował się *zaraz* obok kościoła. Natychmiast się zapalił. Organista był starszym człowiekiem, bardzo dobrym muzykiem kościelnym. W dniu bitwy o Kolbuszowę mój znajomy z Zarębek mówił mi, że dużo żołnierzy polskich poległo. Opowiadał, że szczególnie wielu poległo na górze weryńskiej.

Ja urodziłem się w 1923 r., więc w 1939 miałem 16 lat. Wtedy był bardzo silny patriotyzm u ludzi. Ja nie wiedziałem, że istnieli Kamikadze, ale tak sobie myślałem aby wziąć ładunek wybuchowy i rozbić się z nim o jakiś pancerny pojazd Niemców. Taki był mój młodzieńczy zapał. Po krótkim czasie okupacji Niemcy zaczęli "dokręcać śruby". Powstała partyzantka.

Bardzo interesowałem się muzyką. Jak miałem 13 lat, to poszedłem się zapisać do orkiestry dętej. W 1937 r. już byłem z orkiestrą na Koncentracji Orkiestr Dętych Polski Południowej we Lwowie, gdzie zajęliśmy II miejsce. Rok później na podobnej koncentracji w Przemyśle zajęliśmy I miejsce. A wtedy w Kolbuszowej była mocna orkiestra. Każdy patrzył co z niej będzie. Orkiestranci pochodzili z okolic Kolbuszowej, Zarębek i Weryni. Niestety Niemcy zamknęli orkiestrantów do więzienia. Więzienie mieściło się tam, gdzie teraz jest policja. Za wszelką cenę chciałem moich kolegów uwolnić. Pewnego razu wziąłem brzeszczot i poszedłem przerznąć kraty w więzieniu. Kilka razy ruszyłem piłką o kraty i wyskoczył wielki pies, a za nim gestapowiec. Przez jakieś 4 godz. przesłuchiwali mnie na żandarmerii i na gestapo. Podczas przesłuchania jeden Niemiec uderzył mnie tak mocno, że pękła mi błonka w uchu. Mogłem później rzeczywiście palić papierosa i puszczać dym z ucha. Z biegiem czasu błonka się zarosła. W tym czasie byłem dość dobrze upolityczniony, ponieważ zrobiłem sobie radio detektorowe. To było drugie w Zarębkach radio. Jeszcze jedno miał Piotr Bogacz. On to właśnie pożyczył mi swoje radio i pozwolił mi je rozkręcić. Ja dokładnie

przypatrzyłem się jak to wszystko wygląda. Mój kolega Kapusta chodził do gimnazjum. Postarał mi się tam o instrukcje i prosty schemacik budowy radia. Odsprzedał mi jeszcze tzw. kryształek. Po tym wszystkim radio już mogłem zrobić. Jak przystawiłem trąbę do słuchawki to na cały pokój było słychać. To radio zrobiłem w 1937 r.

Ogólnie mogę powiedzieć, że najróżniejsze roboty ślusarskie niesamowicie mnie pociągały. Wszelkie kłódki, wszystko musiałem rozkręcić i dopiero później na nowo złożyć. Miałem bardzo dużo energii. Na wszystkie drzewa się wchodziło. Wszystkie wiadomości, które nadawali Niemcy z Wrocławia w języku polskim słuchałem. Nie mogłem uwierzyć, że Niemcy co innego mówią, a co innego robią. Wówczas naprawdę przekonałem się kim są Niemcy. Później zapisałem się do niemieckiej Trzyletniej Szkoły Publicznej, którą skończyłem. Uczęszczanie do tej szkoły zwalniało mnie z przymusowych robót na rzecz Niemiec. Była to szkoła ucząca o aparaturze precyzyjnej i jej naprawie. Uczyli też trochę o handlu.

W 1942 r. grałem już ze słynnym Stanisławem Czachorem. On był najlepszym muzykiem w okolicy. Był podobnym maniakiem jak ja. Gdy miał 9 lat zrobił sobie skrzypce. Ojciec dla dobra jego rozwoju muzycznego oddał go Cyganom. Z Cyganami jeździł po świecie 10 albo 11 lat. Jak wrócił założył swój zespół i był nie do pokonania. Grał piękną muzykę cygańską i swoją. Po wyzwoleniu Czachor wyjechał pracować do Mielca. Przez pewien czas i ja z nim grałem w Mielcu.

*Wspomnienia wysłuchał i opracował
Antoni Stapor*

*Wspomnienia Janiny Urban z września 1939 r.
i z czasów okupacji*

Mój tata umarł w styczniu 1939 r. We wrześniu wybuchła wojna. To, co wtedy powiedziała mama, to było święte i wszystkie jej polecenia się wykonywało. Do szkoły chodziliśmy, a uczyło się przy pasieniu krów, oczywiście jak były uwiązane na sznurze. Trzeba się było uczyć, żeby być przygotowanym na lekcję w szkole, czy na religię. Po szkole musiałam pomagać mamie, trawy nazbierać, posprzątać w domu i na obejściu. Może to nieszczególne, co opowiadam, ani nieistotne, ale właśnie tak było. Taka była moja rzeczywistość. Specjalnie czasu na naukę nie mieliśmy, ale każdy się starał drugiemu pomóc, żeby to życie było lżejsze, przyjemniejsze i przede wszystkim przebiegało w zgodzie. Człowiek człowiekowi nie był przeciwny. Była zgoda, zawsze i wszędzie. Do szkoły, kościoła i na wycieczki chodziliśmy parami. Śpiewało się przy tym pieśni. Na rozpoczęcie i na zakończenie religii odmawialiśmy paciorek. Wychowanie było bardzo dobre. Dzieci nie robili sobie przykrości i nie dokuczały sobie. Podczas wakacji na stadionie organizowane były półkolonie dla sierot i dzieci ubogich. Brałam w nich udział i wspominam je z wielkim sentymentem. Panie nauczycielki Iwaszkówna i Irena Morawska były troskliwe i uczyły nas różnych ciekawych zabaw i grzecznego, z szacunkiem traktowania innych, w szczególności dorosłych. Nie było złośliwych figli i żadnych złych wymysłów. W maju 1939 r. przystąpiłam do sakramentu Pierwszej Komunii Św. Chodziłam do szkoły i normalnie jak inne dzieci się zachowywałam, uczyłam się i pomagałam mamie. Koleżanki i koledzy tak samo, ponieważ byliśmy razem zżyci. Była między nami duża więź.

Wtedy, gdy Niemcy się szykowali na Polskę, między koleżankami mówiłyśmy, że jak wkroczą to na pewno przegrają. Miałyśmy takie błahe myśli, że Niemcy to jest bogaty i zamożny kraj i dlatego muszą przegrać, ponieważ są otyli i niezgrabni. Naród taki, co ma wszystko pod względem materialnym nie jest w stanie zabrać naszej Polski. Niestety okazało się co innego. W krótkim czasie po Polsce zaczęły latać samoloty i bombardować cały Kraj. Pewnego dnia goniąc krowę i będąc przy polu z tatarką, która była już ścięta i związana w takie kuczki, które z lotu ptaka mogły wyglądać jak ludzie zobaczyłam nadlatujący samolot niemiecki. Zaczął do mnie strzelać, a raczej w te małe kopki, które chyba pilot wziął za żołnierzy. Schowałam się właśnie w tę tatarkę. Krowka pognęła do domu, bo już dobrze знаła drogę i było blisko od domu (ok. 50 m). Jak samolot odleciał, wtedy dopiero wyszłam z tej tataraki i czym prędzej pobiegłam do domu.

Od tej chwili zaczęłam bać się wojny i poważniej myśleć o tym wszystkim. To, co my wcześniej myśleli o wojnie to były tylko takie dziecięce, infantylne myśli.

Później po kilku tam dniach Niemcy wkroczyli. Byłam wtedy w domu u Stępników. Była tam również moja mama i siostra. Pracowałyśmy u nich na gospodarstwie. Stałam przy oknie na takiej dużej ławie nazywanej ślubaną. W pewnej chwili popatrzyłam przez okno i zobaczyłam wojsko, żołnierzy. Wcześniej widziałam polskich mundurowych, a oni mieli inne mundury. Poza tym nasz wujek Piotr Nowosielski. Przestraszyłam się. Zaczęłam krzyczeć: patrzcie, patrzcie Niemcy przyszli. Pani Stępnikowa wsadzała chleb do pieca, wsadziła ostatni bochenek do pieca i zemdląła. Później ten dziadziuś, Jan Stępień tak samo. Na ich podwórku było bardzo dużo uciekinierów z Krakowa. To wszystko się poruszyło, zrobił się szum i duży harmider. Chleby się w piecu piekły, a ja razem z Emilką Stępnikową wynosiłyśmy wartościowe *rzeczy* na taką stertę przed dom a dokładnie na łąkę Cibickich. Wszyscy pomdleli. Był wrzask, szum, pisk i płacz. Wynosiłyśmy te walizki, które Stępnikowie mieli do ślubu i ledwo co przekroczyłyśmy progi tego domu, zaraz zawalił się ganek. Dzięki Bogu, że byliśmy już wszyscy na zewnątrz, bo byśmy zostali w tym domu na zawsze.

Atak był bardzo duży. Stępnikowie mieli tam takie duże polacie kukurydzy. Niemcy strzelali w tą kukurydzę z samolotów. Chyba ta kukurydza wyglądała z góry jak żołnierze. Uciekinierzy zmykali z niej co sił, tam, gdzie pieprz rośnie. Był straszny zgiełk. Nie do opisanego incydent. Druga bitwa odgrywała się w okolicach cmentarza, bo tam stało wojsko. To byli chyba ułani, bo było tam dużo koni, ale były też auta. Ta ulica koło cmentarza była zaścielona tymi migrującymi ludźmi, uciekinierami z różnymi tobołkami. Było ich bardzo dużo. Szli całymi rodzinami, młodzi i starzy.

Mężczyzn i chłopców Niemcy zgromadzili w jednym miejscu. Przeżywałyśmy to jako dzieci strasznie. Pomału jakoś się dochodziło do siebie. Modliło się dużo. Na pytanie jakie wrażenie wywarli na mnie Niemcy mogę odpowiedzieć, no cóż ja wtedy tego wszystkiego nie rozumiałam. Polska została napadnięta i to już samo źle o nich świadczy, może nie o zwykłym, szeregowym żołnierzu, bo on tylko wykonuje rozkazy przełożonych, ale przede wszystkim do rządu, do Hitlera i spółki. Oni tak zdecydowali i tak się musiało dziać.

W komórce były duże sterty zboża (już żniwa były zakończone) i to bardzo długo się dopalało. Po kilku dniach od daty 9 września, moja siostra, która teraz mieszka w Krakowie nie opacznie weszła nóżką w to tłące się zboże i bardzo sparzyła sobie stopę aż po kostkę. Strasznie cierpiała i okropnie płakała. Nie miał kto udzielić jej pomocy, aby jej ulżyć w bólu. Kiedyś przyszedł niemiecki żołnierz, taki Ślązak po mleko. Mama poszła do stajni i przyniosła mu tyle mleka, ile zdołała udoić. Siostra wtedy zaczęła bardzo płakać. Spytał się jej dlaczego płacze. Mama powiedziała, że ona płacze ponieważ bardzo poparzyła sobie nogę i z powodu okropnego bólu nawet nie może chodzić. Odparł, że idzie do stacji medycznej i jak coś znajdzie, jakiś specyfik na oparzenia, żeby uśmierzyć ból i przyspieszyć gojenie to go przez kogoś na

pewno poda. Mówił, że sam nie będzie go mógł przynieść, ponieważ musi już odjeżdżać. Poszedł i za chwilę przysłał taką Białkówkę, siostrzenicę Stępnów i przyniosła tę maść. Siostrzyczka kilka dni używała jej używała i noga wygoiła się szybko i bardzo dobrze. I to właśnie dzięki tej maści od żołnierza. Jak on się nazywał to ja już nie wiem.

Za chlebusem trzeba było stać. Był na kartki. I ewentualnie marmoladka była. Czas okupacji był ciężki. My musieliśmy oddawać wszystkie mleko od krowy Niemcom. W przypadku, gdy krowa źle się doiła to nawet trzeba było od kogoś pożyczać, dolewać do własnego i odnosić do punktu. Pieniądze się szanowało. Trzeba było podatek zapłacić. Jak się miało buty, to trzeba było w nich chodzić 2 - 3 lata. Zresztą były to buty porządne, skórkowe. Nie obgniatały, ani noga nie pociła się. Mama musiała bardzo dobrze rozplanowywać budżet domowy i z niezwykłą konsekwencją. Mówiła: te pieniądze przeznaczamy na to, a te na to. Przecież musiało na wszystko wystarczyć. W domu było mleko, ser i śmietana. Dokupywało się tylko to, co jest konieczne. Myśmy wtedy nie mieli pragnienia marcepanów, chociaż każdy rodzic chciał dla swojego dziecka jak najlepiej. Był inny stosunek do otoczenia. Teraz jest zgoła inaczej, nikt nie zna problemów drugich. Każdy zajmuje się tylko sobą w pogoni za pieniędzmi, sławą i przyjemnościami. Bliżniemu nie poświęcamy odpowiednio dużo czasu. Telewizja niestety nie jest sojusznikiem rodziny, niestety nie kształtuje dobrosąsiedzkich stosunków. Chodziłam jeszcze do szkoły, ale to już nie była dobra nauka. To był okres trudny i do życia i do nauki. Każdy musiał sobie radzić jak mógł. Każdy miał kawałeczek tego pola i ogrodu. Sadził, siał, rznął... Trzeba było oddawać kontyngenty zboża i ziemniaków, zresztą inne plony też rekwirovano. Wszystko co tam rosło na danym polu. Pomiedzy ludźmi, sąsiadami, w rodzinie była zgoda i współpraca. Każdy starał się drugiemu pomóc i jeden drugiego szanował, jeden drugiemu pomagał. Ludzie się szanowali, bardzo się szanowali.

Jeżeli chodzi o tych żołnierzy, którzy stacjonowali w Kolbuszowej to też osobiście nam krzywdy nie wyrządzili. Nic złego nie mogę powiedzieć. Ja nie rozumiałam spraw politycznych, ani wojskowych. Jeżeli ktoś nie robił drugiemu krzywdy, to nie czułam do niego wstrętu. Chociaż zdarzały się wypadki, że kogoś postrzelili. Goja wtedy rozumiałam? Powtarzałam tylko to, co ludzie mówili. Na ulicy Krakowskiej zginęli chłopcy: Józef Kret, Starzec i Wroński. W pobliżu cmentarza żydowskiego bawili się jakimś granatem i eksplodował.

W czasie wojny, jak wkraczali sowieci Niemcy uciekali. Nasz sąsiad Tadeusz Nowosielski był w rynku, poszedł do sklepu i wracał do domu. Zdziwiony nie zastał nikogo, bo wszyscy puciekali. W budynku gospodarczym mieli dużą stertę zboża i właśnie tam się ukrył. Nie wychodził, ponieważ na tym podwórzu była radiostacja niemiecka, jakby go sowieci zobaczyli, mogliby go uznać za Niemca i zastrzelić.

*Wspomnienia wysłuchał i opracował
Antoni Stapor*

*Relacja Franciszka Serafina, ps. "Platon" z udziału w Akcji
"Burza", w plutonie BCh pod dowództwem por. "Sulimy"*

Do organizacji BCh wstąpiłem wiosną 1943 r. Wcielono mnie do drużyny brata "Sardenko" w plutonie Andrzeja Twardowskiego, ps. "Dziadosz".

Po odbyciu podstawowego szkolenia, skierowano mnie do oddziału specjalnego i tu także przygotowywano nas do akcji w różnych sytuacjach. Najczęściej ćwiczenia prowadził ppor. "Wóz" - Franciszek Bieleń z Weryni. Jesienią 1943 r., trójka polityczna BCh wezwała mnie (Stanisław Serafin, ps. "Giermek", Jan Zawadzki, ps. "Słowik" i Franciszek Sito) i oświadczyła, że jestem wyznaczony do nauki w tajnym komplecie gimnazjum. Naukę podjąłem jesienią 1943 r. i egzamin z kl. I gimnazjum zdałem w maju 1944 r. Komplet tajnego nauczania odbywał naukę w domu Pawła Posłusznego w Dzikowcu.

W czerwcu 1944 r. otrzymałem broń - karabin i 50 sztuk amunicji. Od tej pory miałem go do własnej dyspozycji. Broń tę wydał mi ppor. "Wóz".

W dniu 25 lipca w nocy otrzymałem polecenie zgłoszenia się na umówione miejsce. Tam już było kilkunastu uzbrojonych kolegów. Stamtąd udaliśmy się na zgrupowanie do Kłapówki (noc 25/26 lipca 1944 r.). W lesie - Kłapówka, w ciągu całego dnia odbywała się organizacja drużyn, plutonu BCh. Oprócz naszego plutonu byli także żołnierze AK. Mnie przydzielono do drużyny Walentego Duła z Wilczej Woli. W mojej drużynie był Tadeusz Zawadzki i Jan Stępień - obaj z Dzikowca (oryginalny wykaz członków swojej drużyny posiada koi. Walenty Duł - d-ca drużyny). W Kłapówce został uformowany pluton BCh. Nad ranem 27. 07 zostaliśmy przegrupowani do Poręb Kupieńskich. Tu spotkaliśmy oddziały AK już rozlokowane na skraju lasu w szalasach. Tego dnia przygotowaliśmy szalasy, a pozostały czas, to ćwiczenia. W godzinach popołudniowych odbyła się Msza polowa dla żołnierzy zgrupowanych w tej miejscowości.

Tego dnia wieczór miałem służbę, ze mną było jeszcze dwóch kolegów. Staliśmy przy drodze polnej - z jednej strony las, z drugiej pola. Nasze stanowisko było w grupie krzaków na polach przylegających do drogi. W czasie służby zatrzymaliśmy oddział "Piotra". Ja doprowadziłem go do dowództwa (27/28 lipca).

Przez cały dzień 28. 07 odbywały się ćwiczenia i różne zajęcia, a wieczorem nasz pluton BCh udał się poza Poręby Kupieńskie na pola wzdłuż drogi. I tu zajęliśmy stanowiska. Mojej drużynie wypadły w ziemiankach. Do świtu leżeliśmy w nich. Podobno spodziewali się Niemców w Bratkowicach i nasz pluton miał zadanie ubezpieczać wieś.

Nad ranem 29. 07 wróciliśmy na miejsce zgrupowania w Porębach Kupieńskich i zastaliśmy dziwną pustkę. Obok mojego szałas stał szałas koi. Wojciecha Czarneckiego i jego kolegów z AK. Po powrocie, na miejscu zgrupowania nie było oddziałów AK - był tylko nasz pluton - byliśmy sami. Do śniadania odpoczywaliśmy, czyściliśmy broń, niektórzy drzemali. Po śniadaniu musztra. W czasie trwania tych ćwiczeń przyjechał do nas konny oddział partyzantów sowieckich (9 koni). Jeden z nich zwrócił się do por. "Sulimy" z pytaniem o partyzantów sowieckich. Po otrzymaniu przeczącej informacji pojechali lasem w kierunku zachodnim. Po około 5 minutach usłyszeliśmy niesamowity jazgot karabinów maszynowych i ręcznych, a po chwili wróciła większa część oddziału sowieckiego z wyraźnym oburzeniem, że nasi partyzanci ich ubili. W naszym oddziale zrozumiała konsternacja. Sowietci otrzymali odpowiedź, że poza naszym oddziałem, w lesie nie ma naszych partyzantów. Pamiętam, że odpowiedzi tej udzielił por. "Sulima". Szybka decyzja dowództwa plutonu por. "Sulimy" i ppor. "Woź" - skierowania patrolu w trzech kierunkach a po ich powrocie - informacje: z meldunku wynikało, że Niemcy nas okrążają. Nie mieliśmy szansy w tej sytuacji podjęcia walki. Stąd następna decyzja - podział plutonu na skrzydła. Por. "Sulima" przejął dowództwo prawego, ppor. "Wóz" - lewego. Ja byłem na prawym skrzydle. Nasze stanowiska były wzdłuż drogi i część wzdłuż rowu oddzielającego las i pastwisko. Z lewej mojej strony zajął stanowisko por. "Sulima", z prawej koi. Zawadzki. Odległość między nimi była 3,5 metra. Z lewej naszej strony było stanowisko rkm-u, w odległości od por. "Sulimy" jakieś 5 m, ale nad rowem pomiędzy dwoma drzewami. Rów miał nasyp (naturalna osłona). Nasze stanowiska były odległe od drogi 20-25 m. Nie długo czekaliśmy - Niemcy pojawili się na horyzoncie usiłując przechodzić przez drogę. Czekaliśmy na *rozkaz*. Z chwilą gdy Niemcy usiłowali przeska-kiwać przez drogę padł rozkaz ognia!. W lesie zawrzało, czym kto mógł, strzelał do pojawiających się Niemców - pistolety, granaty, karabiny. Niestety - stanowisko naszego rkm-u zlikwidowane - dwóch kolegów: Witas z Komorowa i Kołacz z Zarębek nie żyją. Jednego dającego znaki życia (z tych dwóch) odciągnął na bok por. "Sulima" - na próżno, zaraz skonał. Udało się, jedynie uratować jednemu z obsługi - Michał Kopeć z Komorowa. Ten był ranny w ramię i brzuch (strzaskane ramię). Po kilku skokach padł na ziemię i poderwał go na nosze sanitariusz "Zagłoba". Myśmy jeszcze chwilę pozostali na stanowiskach - dopóki pojawiali się Niemcy. Korzystając z chwili ciszy por. "Sulima" dał rozkaz wycofania się skokami. Następna konsternacja - w lesie pozostaliśmy sami, tzn. por. "Sulima", ja i Tadeusz Zawadzki. Wycofujący się Niemcy w dalszym ciągu do nas strzelali ale te kule stawały się coraz dalsze. W czasie wycofywania się został ranny Zawadzki - kula utkwiała w nodze, zaś por. "Sulima" był okrwawiony, ale na szczęście okazało się, że była to krew odciąganego żołnierza z obsługi rkm-u. Weszliśmy do dość głębokiego rowu i tym rowem wycofywaliśmy się Były kłopoty, bo rów

wąski, a Tadeusz Zawadzki nie mógł iść - musiałem go podtrzymywać. Kiedy zbliżyliśmy się do mostka, usłyszeliśmy rozmowę w języku niemieckim. Przywarliśmy chwilę do brzegów (te były zarośnięte) a po paru minutach głosy te oddaliły się. Oznaczało to dla nas, że mamy drogę wolną. Przeskoczyliśmy mostek nie zauważając nikogo. Uszedłszy 250-300 metrów w domach - zabudowaniach spotkaliśmy furmankę, na niej umieściliśmy Tadeusza. Jak się okazało na niej był również nasz Michał Kopeć z Komorowa. Furmanka bez specjalnych kłopotów dowiozła rannych do szpitala. My zaś, tzn. ja i por. "Sulima" udaliśmy się do Kłapówki, gdzie spotkaliśmy już prawie cały nasz pluton, a także ludzi ze zgrupowania w Porębach Kupieńskich. Tu po krótkim przemówieniu "Boryny" - akcja "Burza" została zakończona. Podziękował wszystkim partyzantom za patriotyczną postawę i polecił złożyć broń i na własną rękę - rozkazał - rozejść się do domów.

Tu też nasze drogi z por. "Sulimą" - rozeszły się. Przez tyle lat nie znałem nazwiska por. "Sulimy", dopiero na uroczystości odsłonięcia pomnika w Porębach Kupieńskich poznałem go. Jest nim Leszek Popiel z Bielska Białej (mieszkał na ul. Rutkowskiego 24).

Po tylu latach, było to spotkanie pełne wzruszeń. Niestety, ta uroczystość nie usatysfakcjonowała przelanej krwi naszego oddziału BCh w Porębach Kupieńskich pod dowództwem porucznika Leszka Popiela, ps. "Sulima" - członka Armii Krajowej.

Dzikowiec, 8.12.1990 r.

Klęska wrześniowa 1939 roku w mojej pamięci i obecnej ocenie

W ubiegłym roku obchodziliśmy sześćdziesiątą pierwszą rocznicę napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę. Ileż to lat? - przemyśleń, goryczy i wątpliwości, a także nadziei na lepszy los dla przyszłych pokoleń.

Wymienioną w tytule problematykę można podzielić w moim osobistym odczuciu na trzy scenariusze (akty):

1. Naiwne dziecięce spojrzenie.
2. "Wiek męski - wiek klęski".
3. Dygresyjne roztrząsanie starca.

Jest oczywiste, że każdy z tych rozdziałów musi posiadać odpowiednią stylistykę podawczą i właściwą argumentację. Następna musi wynikać z poprzedniej.

Naiwne dziecięce spojrzenie

Wcale nie może ono *oznaczać* głupoty postrzeganej na bezsensownych wypowiedziach, czy reprezentowanych postawach. Jest to, moim zdaniem, świeże, nie zafałszowane, bez uprzedzeń, w większości wypadków bezkrytyczne spojrzenie dziecka, bo przecież na tym etapie życia nie ma ono jeszcze przeciwnej do danej wypowiedzi argumentacji. Chcemy dopowiedzieć, że przez to samo, mimo nieraz przeciwności losu, jest ono swoście szczęśliwe, co doskonale pokazał nasz narodowy wieszcz, Adam Mickiewicz, który w wybranych przez nas wersetach Epilogu do "Pana Tadeusza" tak pisze:

*"Kraj lat dziecinnych! On zawsze zostanie
Świeży i czysty jak pierwsze kochanie.
Nie zaburzony błędów przypomnieniem,
Nie podkopany nadziei złudzeniem,
Ani zmieniony wypadków strumieniem"¹.*

Jest to bez wątpienia prawda. Stanowisko to akceptuje psychologia rozwojowa, która twierdzi, że pierwsze przeżycia i doświadczenia zapadają w psychice dziecka na zawsze. Zdają sobie z tego sprawę doskonali nauczyciele.

¹ Adam Mickiewicz, "Pan Tadeusz", Epilog: wiersze 68-72. Wydanie V w Bibliotece Narodowej, Ossolineum, Wrocław 1967, s. 618.

Przejdźmy zatem do obrazowania tego okresu w latach 1930-1938/39. Możemy go pokazać na przykładzie mojej osoby, co absolutnie nie *oznacza*, że nie wolno nam tego problemu generalizować. Moje dzieciństwo miało miejsce właśnie we wspomnianym czasie. Urodzony dnia 29 maja 1925 roku w Wilczej Woli jako szóste i przedostatnie dziecko w rodzinie chłopskiej. Nie było wystawne, raczej biedne, ale pogodne i może przez to szczęśliwe. Jak w twardym życiu chłopskim obchodziło się bez pieszczot i pocałunków. Mimo to w domu rodzicielskim panowała ciepła atmosfera. Największy wpływ na mój pogląd na świat wywarli rodzice: matka bardzo religijna, pobożna, a przede wszystkim ojciec - rolnik, cieśla i bednarz. Nie należał do żadnej partii chłopskiej, ale w rozmowach z sąsiadami i ze mną także czuł się ludowcem. Ubolewał nad losem Witosa i nad innymi członkami Frontu Merges. Był oburzony, jak podczas strajku chłopskiego w 1937 roku policjanci zabili chłopa z Kopci nazwiskiem Bomba, albo jak na posterunku Policji w Spiach (przysiółek Wilczej Woli) komendant tej placówki Zawieyski doprowadził do śmierci chłopa gdzieś tam od Gwoźdźca, czy Korabiny. Delikwent w nocy na posterunku powiesił się.

Niezależnie od tego w naszym domu roztrząsano bieżące wydarzenia. Powszechnie narzekano na panoszącą się biedę, wynikającą z braku pracy. Liczna rodzina, składająca się z rodziców i z pięciorga, sześciorga, czy siedmiorga dzieci z małego obszarowo gospodarstwa przy niskiej klasie gruntu nie mogła się utrzymać. Liczba dzieci: pięć, sześć, siedem w przedwojennych rodzinach chłopskich to była norma. Wtrącę tu, że po latach dr Kazimierz Skowroński napisze o tym zjawisku, nie wiadomo, czy ironicznie, czy z politowaniem, że dzieci rodziły się wtedy jak *przez* kalkę.

Naprawdę sędziwi wiekiem sąsiedzi, którzy przychodzili do nas na pogawędki, zwłaszcza w długie jesienne i zimowe wieczory, wspominali nieraz jeszcze czasy zaboru austriackiego, nawet Kamery, że wtedy było chłopom lepiej niż aktualnie. Mówiono o co roku trapiącym ludzi przednówku, kiedy już w okresie letnim przed zniwami brakowało w domu chleba, a nawet ziemniaków. Litowano się nad losem dzieci z biedniejszych rodzin, tułających się po służbach we dworach, czy u bogatszych chłopów. Co prawda w porównaniu z życiem rodzin znajdujących się w bardzo ciężkim położeniu, w naszej rodzinie było jeszcze znośnie. Matka cieszyła się z tego, że nas przednówek nie dotykał. Wynikało to może z lepszych plonów zbóż i okopowych, a bardziej łagodziło to, że my dzieci (ja i dwie siostry) latem w czasie wakacji biegaliśmy całymi dniami od świtu do nocy na jagody, co wzbogacało budżet domowy, a ojciec jako cieśla każdą wiosną przez dwa miesiące był najmowany do tej pracy w okolicznych wioskach, Zaś coroczną zimą starsi bracia również z ojcem pracowali przy wyrębie lasu w dobrach obszarnika Błotnickiego, chociaż bardzo lichy za to płacono. W dodatku starsza siostra (rocznik 1913) i brat (rocznik 1913) wyjechali w 1936 roku w celach zarobkowych do Francji. Chcę wspomnieć, że

ich rówieśnicy i sąsiedzi zazdrościli im tego i mówili, że spotkało ich wielkie szczęście. Jak widać więc, że i u nas nie było różowo, ale uważałem, że było to naturalne. Muszę się przyznać, że będąc lichej postury i do tego leworęczny, nie mogłem podolać ciężkiej pracy fizycznej. Swoje miejsce znalazłem w szkole, do której bardzo chętnie uczęszczałem nawet wtedy, gdy sporadycznie kazano mi paść krowy w lesie. Ze łzami w oczach wybłągałem pójście do szkoły. Uczyłem się nie dla stopni. Te mnie wcale nie interesowały. Chłonałem jak gąbka jakiś lepszy świat, pokazywany jakby w obrazach. Ówczesna szkoła nie była apolityczna. Pamiętam, jak zabito ministra spraw wewnętrznych, tęgiego mężczyznę, Bronisława Pierackiego. Jego podobizna jakby plakatowa wisiała w naszej klasie. Nauczyciel dał do tej osoby komentarz, ale nie powiedział, że został on zabity skrytobójczo przez Ukraińców. W roku szkolnym 1935/36 na korytarzu periodycznie była wywieszana ilustrowana gazetka ścienna pod nazwą "Nowiny". Obrazowała spore porcje humoru, ale też budziła grozę i nienawiść. Pokazywała palące się kościoły i inne miejsca kultu religijnego w Hiszpanii. Mówiła o mordach księży i zakonników, zabijanych przez komunistów. Do dziś widzę te obrazy. Główną postacią wychowania patriotycznego był Józef Piłsudski. Spora część programowa przedmiotu śpiew w szkole to repertuar pieśni o wielkim Komendancie.

Pod koniec mojego pobytu w szkole pojawił się problem zagrożenia niemieckiego. Nauczyciel tłumaczył nam, że Polska jest silna, jest mocarstwem, zabiega nawet o kolonie w Afryce i nie da się pokonać. Rzeczywiście działała w naszym kraju Liga Morska i Kolonialna. Tutaj przyjmowałem to z pewną wewnętrzną rezerwą. Znałem przecież z geografii gospodarkę niemieckiego państwa. Do tego nie podobało mi się to, że Hitler okraża nasz kraj nie tylko od zachodu, ale również od północy i południa. Częściowo zadawała nas, że podczas Anschlussu przez Hitlera, najpierw Austrii, a potem Czechosłowacji, Polska odebrała przynależne nam od dawna Zaolzie.

Szczęśliwie się dla mnie złożyło, bo w roku szkolnym 1937/38 utworzono po raz pierwszy w naszej szkole klasę szóstą. W ten sposób skończyłem w czerwcu 1938 roku naukę w Publicznej Szkole Powszechnej drugiego stopnia organizacyjnego w Wilczej Woli.

Rodzice myśleli o dalszym moim kształceniu na poziomie średnim, tym bardziej, że do tego gorąco ich namawiał mój nauczyciel, pan Eugeniusz Hołowczak. Z braku funduszy na ten cel w rodzinie nie mogłem skorzystać. Podzieliłem więc los tych wszystkich zdolnych dzieci chłopskich, o których na podstawie pamiętników chłopów pisze Józef Chałasiński w socjologicznej pracy pt. "Społeczeństwo i wychowanie"².

Zostałem pastuchem bydła w lesie Błotnickiego. Byłem pokrzywdzony,

2 Józef Chałasiński, "Społeczeństwo i wychowanie", PWN Warszawa 1958, s. 206-256.

ale po latach moją dolę osłodził uczony światowej sławy, Jan Szczepański, który w zbiorze esejów pt. "Sprawy ludzkie" napisał następująco: "po pracy w rolnictwie przez długie lata młodości (...) ciągle uważam, że pasienie krów jest dobrym przygotowaniem do myślenia refleksyjnego"³. Takie myślenie chyba przypadło mnie również w udziale i mimo, że miałem wtedy dopiero 14 lat, skończyło się moje beztroskie dzieciństwo. Wszedłem w wiek młodzieńczy, choć nie byłem jeszcze wyrosnięty. To przyszło w dwa lata później. Tu też zaczyna się akt drugi mojego życiorysu, podzielonego na scenariusze.

"Wiek męski - wiek klęski"

Tymczasem zagrożenie Polski ze strony faszystowskich Niemiec stawało się bardziej prawdopodobne. Jedną myśl górowała nad wszystkim : Obawa przed zagrożeniem i troska o przyszłość. Na tym tle wzmożło się jak gdyby ożywienie polityczne. Chociaż prawie nie czytano gazet, bo były one rzadkością. W tak dużej wsi jak Wilcza Wola można je było policzyć na palcach jednej ręki. W przysiółku Zmysłów, liczącym 60 numerów domów tylko jeden chłop prenumerował "Mały Dziennik". Także odbiorników radiowych było w środowisku zaledwie kilka. Można je było policzyć, bo ich anteny były wywieszane na wysokich żerdziach, dochodzących nawet do dwudziestu metrów. Jednak mimo ich znikomej ilości, z nich czerpano rządowe wiadomości. Niezależnie od tego źródłem wiadomości i informacji dla wsi były przekazy ustne. Wieści biegły od wsi do wsi, od chaty do chaty w błyskawicznym tempie. Ułatwieniem były więzy rodzinne, międzyprzysiółkowe spotkania sąsiedzkie w domach, w gminie, na targu, przy kościele, w sklepie. Ogólną trwogę przed niebezpieczeństwem tonowało zgubne samouspokojenie, kiedy się słyszało, że się obronimy. Przeważnie wierzyli w to ludzie o małym wyrobieniu politycznym, nie znający realiów gospodarczych naszego kraju i państw sąsiedzkich.

Sporadycznie w środowisku znajdowali się i tacy, co się nie bali, a bez przerwy borykając się z biedą, byli zrezygnowani i uważali, że - cytuję: "Niemiec to gospodarz. Może, gdyby przyszedł, byłoby nam lepiej". Nie wiedzieli nieszczęśliwi, co głosił Władysław Broniewski w swoim wierszu pt. "Bagnet na broń", że "są w ojczyźnie rachunki krzywd, obca dłoń ich też nie przekreśli". Ci ludzie rekrutowali się przeważnie z takich rodzin, z których ktoś w latach 1937-1938 był na robotach w III Rzeszy.

Pamiętam jak dziś taką scenę, kiedy nasz bliski sąsiad M. R., ... przyszedł do mojego ojca ostrzyć się. Wywiązała się rozmowa na temat niemieckiego uderzenia. Wtedy ów sąsiad odparł: "To co, niech Niemiec przyjdzie. To jest gospodarz". Mój ojciec od razu przeciał to stwierdzenie. Jak przepowiadał nieraz, że dobrze znał Niemców. Czynną zasadniczą służbę

3 Jan Szczepański, "Sprawy ludzkie", Czytelnik Warszawa, Wydanie III, 1984, s. 7.

wojskową odbył w armii austriackiej, w 17. Pułku piechoty w Rzeszowie, w regimencie strzelców wyborowych⁴. Powiedział sąsiadowi, że byłoby to największe nieszczęście. "Niemcy zawsze pogardzają innymi narodami. Uważają się za lepszych, jakby za wybranych. Są przekonani, że profity -zyski im się prawnie należą, inni są od tego, aby na nich pracowali". To stanowisko jest zbieżne z tym, co głosił prof. Stanisław Ku trzeba we wspaniałej pracy pt. "Polska odrodzona"⁵, ale niech nikt nie uważa, że na jednej skali stawiam umysłowość chłopca i uczonego. Jakby nie było, tę cechę narodową Niemców najlepiej znał Adolf Hitler. Dorobił więc do niej teorię rasizmu w swojej książce pt. "Mein Kampf (Moja walka). Ośmielę się tu wtrącić, że wśród chłopstwa nie tylko w Wilczej Woli - mówię polemicznie, postawa naszego sąsiada była też sporo reprezentowana. Zainteresowanych, ewentualnych adwersarzy odsyłam choćby do źródłowej literatury z tego okresu, jak na przykład "Historia chłopów polskich", tom III, LSW Warszawa 1960.

Tymczasem grożące niebezpieczeństwo przybliżało się coraz bardziej do naszych granic. W ostatnich dniach przed agresją niemiecką mężczyźni otrzymali karty mobilizacyjne w różnych kolorach. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby wszyscy zdolni do noszenia broni byli wcieleni do armii. Tak jednak nie było. Niektórzy wcale nie zostali powołani do wojska, a jeszcze inni skierowanie takie otrzymali dopiero dnia 31 sierpnia tegoż 1939 roku. Nie było w tym krytyki ze strony społeczeństwa, ile raczej zdziwienie, że zagadkowe było to nasze przygotowanie do wojny. Wśród ludzi jedno było pewne, że starcie zbrojne lada chwila nastąpi. Budowano więc schrony i bunkry. Chowano odzież i żywność. Stosowano się do zarządzenia władz, aby nocą zaciemniać okna. Bez tego i tak we wsi panowały egipskie ciemności, bo zwykle świecono lampą nr 5 bez szkiełka. Myślano też o maskach przeciwgazowych, ale ich niestety nie było. To najgorsze nastąpiło dnia pierwszego września 1939 roku. Spałem jeszcze w stodole, gdy usłyszałem ogromny huk. Wnet pogałęm krowy na Rzepiska - łąki przy potoku Brzycholina już nieco porośnięte po niedawno zebranych potrawie. Po drodze spotkała mnie, również goniąca bydło, moja rówieśnica jeszcze z lat szkolnych, sąsiadka Zofia Rębisz. Oznajmiła mi nieco chełpliwie, że tej nocy jej brat Józef poszedł bronić ojczyzny. To mnie nieco uspokoiło i podbudowało. Na łąkach obserwowaliśmy na pewnej wysokości krążące samoloty nad Mielcem i Stalową Wolą. Gajowy, Michał Żarkowski, jego żona oraz inni, zastraszeni z pewnym niedowierzaniem zgadywali, że

4 Zmobilizowany w 1914 roku na wojnę przeciw Rosji, został okrażony przez Moskali pod Opatowem i dostał się do niewoli rosyjskiej. Cztery lata przebywał na Syberii, a dwa lata wracał do Polski spod Połtawy nad Morzem Czarnym. Wrócił chory do domu i od razu poszedł do szpitala w Rzeszowie na Pobitnem. Dlatego nie wziął udziału w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r.

5 Stanisław Kutrzeba, "Polska odrodzona 1914-1939". Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 1988.

to chyba polskie myśliwce...Nie mogłem zaprzeczyć. Budziło to pewną iskrę nadziei, że się obronimy.

Rychło się okazało, że jeszcze w tym samym dniu wojska niemieckie na całej linii frontu przekroczyły polską granicę. I szybkim błyskawicznym pochodem prą naprzód w głąb naszego kraju. Miały one do tego jeszcze ułatwione zadanie bo wrzesień tego roku był wyjątkowy. Od pierwszego dnia do ostatniego przez trzydzieści dni na niebie nie ukazała się ani jedna nawet maleńka chmurka. Takiej jesieni, a raczej lata chyba nikt z potomnych nie pamiętał. Nawale agresora towarzyszyła jakby kibicowanie niemiecka poezja, a minister propagandy III Rzeszy, Josef Goebbels (1897-1945) butnie przez radio oświadczył, że postępujące zwycięstwo armii niemieckiej to "triumfalny marsz naczelnika, który zamierza uwolnić planetę od bezprawnie pasożytujących na niej ras niższych", a więc ziemie polskie uwolnić od Polaków, Żydów, Ukraińców, Białorusinów i innych. I co okropne, te zbrodnicze ludobójcze cele od razu realizowano (mord w Bydgoszczy), a zrodzone w mózgach psychopatów hasła były do tego stopnia obłąkańcze, że uzurpowali oni sobie niejako, iż wykonują misję dziejową, bo taka ich zdaniem jest moc boskiego wyroku⁶.

W takich właśnie okolicznościach klęska wrześniowa 1939 roku była największą katastrofą w całych naszych dziejach tym bardziej tragiczną, bo niespodziewaną. Różnie też została przyjęta i przeżyta. Niektórych nawet doprowadziła do odebrania sobie życia. Tak zginął w 1939 roku Stanisław Ignacy Witkiewicz (ur. W 1885 roku), jeden z najbardziej niezwykłych umysłów w dziejach polskich doktryn artystycznych - prekursor licznych nurtów w sztuce europejskiej. Popełnił samobójstwo. Zaś w katastroficznych wizjach wy wróżył sobie śmierć poeta Józef Czechowicz podczas bombardowania Lublina we wrześniu tegoż samego roku, jakby na ironię ze słownikiem polsko - niemieckim w rękę.

To najgorsze dla naszych stron przyszło zaraz w następnych dniach. Samoloty niemieckie latały tak nisko, że na wolnej przestrzeni dzieliło je od ziemi nie więcej jak 4-5 metrów. Dopiero nad drzewami i zabudowaniami podnosiły się w górę. Widziałem, jak jeden z nich zniszczył ustawioną w rzędach suszoną w snopkach tatarkę (hreczkę). Zapewne pilot uważał te ustawione w czwórkach, czy też w innym szyku zboże za maszerujące, czy też ćwiczące się wojsko. Ludzi ogarnął popłoch i ogromny strach. W roku ubiegłym byłem nad Zalewem Maziarnia. Zaszedłem do przysiółka Szwedy w poszukiwaniu genealogii jednego rodu. Trafiłem na dom mojej rówieśnicy szkolnej. Relacjonowała mi po latach, że uważała, iż następuje koniec świata, tak się bała.

Wieczór dziewiątego września obserwowaliśmy łunę palącą się Kolbu-

6 Niemieccy żołnierze nosili na klamrach swoich skórzanych pasów, opinających ich wojskowe zielone mundury, że Bóg jest z nimi: Gott mit uns = Bóg z nami.

szowej. Tak, było ją widać, chociaż dzieli tę miejscowość od nas 20 km. Na drugi dzień rozbitki jej obrońców z 21 Dywizji Piechoty Górskiej, I i II Pułku Korpusu Ochrony Pogranicza oraz Podhalańskiej Brygady Obrony Narodowej strudzeni i spragnieni, maszerując przez Wilczą Wolę za San na Jeżowe w zorganizowanych dalej oddziałach przyszli do naszej wsi. Prosili o picie. Ludzie gasili ich pragnienie pełnymi garnkami mleka. Obok nich już ósmego września znalazły się w naszej okolicy duże oddziały wojska. Były to jednostki także z GDP, dowodzone przez generała Monda, który był podobno już gdzieś koło Ulanowa. Chyba też z jego rozkazu wymienione oddziały zakopały w lesie wilczowolskim duże ilości ręcznych karabinów. Zostawioną odzież, część mundurów, koce i inne elementy garderoby rozebrali ludzie. Z rozkazu dowódcy operacji tej musiał towarzyszyć cywil, mieszkaniec tych stron. Powołany został Jan Chudzik z Guściorów, pierwszego przysiółka, położonego na wschód od dworku.

Ponieważ front przesunął się błyskawicznie na wschód, padł rozkaz jeszcze naczelnego wodza, że linia obrony ustali się za Sanem. Wraz z cofającą się armią za rzekę tę uciekali cywile wszelkimi pojazdami i wszystkimi drogami. Wróg znalazł łatwy cel. Strzelał do tłumów z samolotów pociskami z karabinów maszynowych jak do kaczek. Działy się w tumanach kurzu sceny więcej niż dantejskie. Za San zdążyły oddziały Armii Karpaty (naczelnym wódzem gen. Kazimierz Fabrycy) i wcielonej do niej Armii Kraków, przemianowanych dnia szóstego września na Armię Małopolska.

W naszej wsi nie zmobilizowani do wojska chłopcy postanowili również uciekać za San. Po wielu dyskusjach w domach - w konkluzji pojechał rowerem tylko z przysiółka Zmysłów Władysław Sądej. Nie było go kilka tygodni. Wrócił w październiku. Opowiadał potem jak Ukraińcy mordowali Polaków.

Nie trwało długo. Za kilkanaście dni po opisywanych wyżej zdarzeniach pojawili się na nowo w naszej wsi również strudzeni żołnierze. Przedzierali się lasami jako rozbitkowie zasańskiej operacji, powracający do swoich domów. Z obawy przed rozpoznaniem i zabiciem do niewoli niemieckiej z porady mojego ojca zamienili we wsi żołnierskie mundury na cywilne ubrania. Różna to była odzież, bo środowisko też przecież było biedne, ale rozbitkowie byli bardziej bezpieczni, bo nie mogli być rozpoznani. Ostatni żołnierz z Wielunia, jak zeznał, zjawił się w naszym domu dnia 29 września w pamiętny dzień parafialnego święta. Nogi miał w jednej ranie. Rzucił twarde buty z ćwiekami i wziął byle jakie półbuty. Tak skończył się los polskiego żołnierza w naszej okolicy we wrześniu 1939 roku.

Jego przeżycia po klęsce doskonale przedstawił Władysław Broniewski w znanym utworze pt. "Żołnierz polski". Jest to swoisty liryczny dokument. Cytujemy jego niektóre wersy:

*"Ze spuszczoną głową powoli
Idzie żołnierz z niemieckiej niewoli".*

Wychowany w tradycjach rycerskiego honoru jako obrońca starców, ko-

biet i dzieci idzie ze spuszczoną głową, bo się wstydzi. Stąpa powoli, gdyż nie wie, jak się ma pokazać wśród swoich bliskich, aby go nie posądzono, że stchórzył i nie obronił kraju. Mimo, że nie splamił tego honoru, bo "walczył krwawo", nie jest pewny, czy inni tak to zinterpretują. A przecież nie jest to jego osobista tragedia, że nie pokonał wroga. Po prostu, nie mógł mu się przeciwstawić, bo "szedł z bagnietem na czołgi żelazne". W tej wewnętrznej rozterce nikt go nie rozgrzesza. Jedynie w wielkiej metaforze brzoza - płaczka - synonim polskiej przyrody, najsprawiedliwszy sędzia, boleje nad jego położeniem. Współczuje mu i razem z nim, jako niemy już teraz świadkiem, przeżywa tragedię wrześniową. W kontraście pokazuje jego największe nieszczęście - utratę niepodległości, co jest nie do zniesienia, bo przecież znajduje się na swojej matce - ziemi, której winien jest wszystko.

Dygresyjne roztrząsanie starca

Po klęsce wrześniowej, częściowo w kraju, a przede wszystkim na emigracji we Francji wybuchły spory i kłótnie o przyczyny utraty niepodległości Polski w tak haniebnym sposób. Pierwsze odium i chcemy tu powiedzieć, że trafne, spadło na rządy sanacyjne w kraju po roku 1926. Jednak my tutaj nie ferujemy wyroków. W naszym szkicu przedstawiamy kilka liczb, a osąd niech należy do czytelnika.

Polska odrodzona wyszła z zaborów i z zawieruchy I wojny światowej zniszczona i unifikacyjnie rozczłonkowana. Trzeba było scalać wszystkie ziemie w jeden organizm państwowy. Do tego zadłużyła się kosztami wojny polsko-bolszewickiej. Z tego tytułu spłacała Francji 1.893 mln franków, a Stanom Zjednoczonym 157 mln dolarów. Czyniła to systematycznie do roku 1931⁷.

Z chwilą odzyskania niepodległości w 1918 roku na szczęście ukształtował się u nas demokratyczny ustrój polityczny i obywatelski, ale na nieszczęście nie gospodarczy. W rolnictwie pozostało tak jak było po uwłaszczeniu chłopów jeszcze podczas zaborów. Nie przeprowadzono znaczących reform agrarnych. Zbigniew Landau w cytowanej wcześniej przez nas pracy jako najbardziej obiektywnej pt. "Gospodarka polska w latach: 1918-1939" tak pisze:

"Na ogólną liczbę 3.26 mln gospodarstw rolnych w 1921 roku, aż 33,9 % stanowiły gospodarstwa o powierzchni do 2. ha. Dysponowały one zaledwie 3,5 % ogólnej powierzchni gruntów. Niewiele mniej, bo 30,7 % było gospodarstw od 2. do 5. ha. Posiadały one 14,8 % gruntów. Natomiast 0,6 % z ogólnej liczby posiadaczy dysponowało arealem powyżej 100 hektarów, co stanowiło 44,8 % ogólnej powierzchni upraw, w tym 75 % lasów znajdowało się w rękach prywatnych właścicieli"⁸: - Polaków obszarników, Polaków

7 Zbigniew Landau, "Gospodarka polska w latach: 1918-1939" /w:/ Historia gospodarcza Polski do roku 1939 pod redakcją Benedykta Zientary.

8 Ibidem. Nie podajemy stron, bo cała praca to nieustanne cytowanie faktów.

pochodzenia żydowskiego oraz część dóbr była majątkami kościelnymi, czyli martwej ręki. Nie trzeba tego daleko szukać. Na terenie powiatu kolbuszowskiego majątki obszarowe należały do 17 właścicieli i stanowiły 13650,79 hektarów (w tym 12137 ha to lasy), czyli średnio na jednego posiadacza przypadało 803 hektarów obszarów ziemi. Wśród nich były takie rekiny, jak: Pasek Błotnicki - 3886 ha, Orgiel w Swierczowie i Siedlance - 2123,64 ha, Fundacja Jezuitów w Komorowie i Brzostowej Górze - 2301 ha, Włodek w Budzie Tuszowskiej - 1625,57 ha, Reich w Przylęku - 1559,57 ha, Tyszkiewicz w Weryni (posiadłości w Kolbuszowej i Kolbuszowej Górnej) - 682,94 ha⁹. W dokumencie nie uwzględniono lasów Klaudiusza Angermana, Zymberta w Wilczej woli oraz Wekslera w Górnicy.

Jeszcze bardziej wymowne są następujące liczby, które podaje Landau. "W latach: 1934-1935 roczne spożycie na przedstawiciela warstwy ziemiańskiej wynosiło ciągle powyżej 10000 złotych (ogromny majątek), zaś w gospodarstwach Wielkopolski (30-50 ha) sięgało 433 zł, a w gospodarstwach małorolnych (2-3 ha) 158 złotych, a więc 13 złotych na osobę, co stanowiło poziom głodowy"¹⁰. W naszym powiecie, a zwłaszcza w Wilczej Woli i tego nawet nie było.

W latach 1924-25 ówczesny minister skarbu ze Stronnictwa Narodowego, Władysław Grabski (1874-1939) przeprowadził reformę obiegowego środka płatniczego. Nałożył daninę na wielkich posiadaczy według skali majątku. Zebrał 1. miliard franków. Kupił złoto i na nim ustabilizował polską walutę¹¹. Skoro wtedy konstytucyjnie własność prywatna była święta i nienaruszalna, to z niej właśnie należało płacić podatki według przychodowości. Tak czyniono w całym cywilizowanym świecie, tylko nie w Polsce. W roku 1995 byłem w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej w miejscowości New-Port (czyt. Niuport), gdzie w latach: 1898-1902 ówcześni kapitaliści wybudowali nad Atlantykiem 6 wspaniałych pałaców - równych prawie zamkowi w Łańcucie. Ponieważ nie mogli sprostać w płaceniu podatków z tych obiektów, dobra te przekazali państwu. Dziś są tam narodowe muzea, które miałem sposobność oglądać. W Polsce o takim czymś się nawet nie śniło. Gdyby naszych posiadaczy w okresie dwudziestolecia prawnie do tego zmuszono, a tego wymagała jakaś minimalna przyzwoitość sprawiedliwości społecznej, Polska by wtedy stała inaczej pod względem gospodarczym. W takim stanie rzeczy, jak była, nie mogła więcej wydać w ciągu całego dwudziestolecia jak 9 miliardów złotych na zbrojenia, gdy hitlerowskie Niemcy przeznaczyły na ten cel 90 miliardów złotych w przeliczeniu na polską złotówkę.

Z powodu przeludnienia na wsi było szacunkowo najmniej 2 miliony

9 Ewidencja majątków ziemskich podlegających reformie rolnej. Zespół Powiatowy Urząd Ziemi w Kolbuszowej, nr 40 /w:/ Archiwum Państwowe w Rzeszowie.

10 Op. Cit. Zbigniew Landau, "Gospodarka polska w latach: 1918-1939".

11 Ibid. Landau.

młodych ludzi bez pracy¹². Zmarnowano przez to ogromny majątek - pracę żywą, którą można było wykorzystać nie tylko przy budowie fabryk zbrojeniowych, ale także dróg, autostrad i innych obiektów użyteczności publicznej. Jakby na ironię w tak biednym kraju jak Polska zarobki urzędników państwowych były najwyższe na świecie poza Stanami Zjednoczonymi¹³. Oczywiście ograniczało to korupcję, ale i tak by się bez niej obeszło, gdyby je ukształtować na poziomie Francji, Niemiec, czy Wielkiej Brytanii.

Przed wojną też mieszkało w Polsce 3,5 mln Polaków żydowskiego pochodzenia i Żydów wypędzonych z innych krajów, którzy tu znaleźli schronienie i utrzymanie, a bezrobotny chłop, czy też robotnik nie miał konstytucyjnie zagwarantowanego zatrudnienia. I znów ludzi tych w Polsce było najwięcej na świecie ze wszystkich państw, oczywiście poza Stanami Zjednoczonymi. Czy jestem tu antysemitą? Nie. Jestem również przekonany, że ludzie ci nie byli winni. Po prostu szli tam, gdzie im było lepiej, a nasz system prawny im to umożliwiał. Trzeba tu podkreślić, że mimo tak kiepskiej prosperity, zbudowano w kraju magistralę kolejową ze Śląska do morza, port w Gdyni, rozpoczęto spóźnioną (niestety) budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego. W tych warunkach te osiągnięcia jako jasne nie mogły przesłonić nam barw ciemnych, które nad dobrymi górowały.

W dwudziestoleciu międzywojennym Polska nie miała sojuszników w sąsiadach poza Rumunią. Nie mogła się kumać z sowiecką Rosją, bo straciłaby ducha narodowego, nie była w stanie łączyć się z Niemcami, bo straciłaby niepodległość. Miała też słuszne pretensje do Czechosłowacji o Zaolzie, ale wtedy, gdy groziło śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony hitlerowskich Niemiec, należało wznieść się ponad te uprzedzenia. Połączyć się z tym krajem i zagrozić drogę agresji faszystowskiej, a nie pomagać samo przez się Hitlerowi, sięgając po Zaolzie w nieodpowiedniej chwili. Taka była wtedy polska racja stanu.

W naszym kraju byli ludzie zdolni prowadzić ster nawy państwowej, jak choćby genialny Eugeniusz Kwiatkowski, czy generał Władysław Sikorski, który przełamał front bolszewicki w 1920 roku nad rzeką Wkrą i przyczynił się do przyznania Polsce obszarów wschodnich¹⁴. Mimo to w 1939 roku nie dostał przydziału do armii, a przecież wiedział najlepiej jak bronić kraju, bo jako jeden z najzdolniejszych pisarzy wojskowych w swojej książce to udokumentował¹⁵.

Jako post skryptum dopowiadamy, że Polska była sygnatariuszem trak-

12 Marian Marek Drozdowski /Warszawa/, "Eugeniusz Kwiatkowski a Centralny Okręg Przemysłowy" /w:/ Kwartalnik Historyczny Nr 3/1988, s. 77-92. Jest tu mowa, że COP zatrudniał 100 tysięcy ludzi, a na jego terenie było 500 tysięcy bezrobotnych, to na terenie kraju musiało ich być najmniej 2 miliony.

13 Op. cit. Landau.

14 Encyklopedia Gutenberga, tom XVI, s. 47.

15 Władysław Sikorski, "Przyszła wojna, jej możliwość i charakter oraz związane z nią zagadnienia obrotu kraju" /1934/.

tatu wersalskiego (przecież jej przedstawiciele zaproszono na te obrady), w którym postanowiono, że Niemcom wolno było tylko utrzymywać 100-tysięczną armię, nie wolno im było produkować lotnictwa wojskowego, ani łodzi podwodnych, a także broni pancernej i chemicznej, artylerii ciężkiej i przeciwlotniczej oraz prowadzić Wojskowego Sztabu Generalnego. Moim zdaniem było to utopijne postanowienie dla niezawisłego, niepodległego kraju. Żeby Niemcy utrzymać z ograniczeniem zbrojeń, musiałoby to być państwo wasalne wobec jednego czy wszystkich sygnatariuszy traktatu wersalskiego, z czego jego twórcy nie zdawali sobie sprawy, takimi byli politykami. Bez mruknięcia okiem oddali Alzację i Lotaryngię, przemilczeli Anschluss Austrii i pokornie oddali w Pacht Hitlerowi Czechosłowację¹⁶.

Staniszewskie, dnia 15. listopada 1999 r.

16 Zobacz, Władysław Pobóg Malinowski, "Najnowsza historia Polski", tom 1-2. Okres 1939-1945. Oficyna Wydawnicza Graf, Gdańsk 1990.

Rozdział II

W niewoli rosyjskiej i sowieckiej

Adam Nowak
Moje wspomnienia

Józef Maziarz
Wspomnienie z deportacji do ZSRR
z lat 1940-1943

Maria Skowrońska - Klinke
Wspomnienie z deportacji do ZSRR /1944-1946/

Antoni Magda
Wspomnienie z pobytu w łagrach Związku
Radzieckiego w latach 1944-1946

Moje wspomnienia

Przeżywszy lat 81 postanowiłem napisać o swoim życiu od lat najmłodszych do lat najstarszych. O wszystkim będę starał się pisać prawdę. Piszac będę kierował się pamięcią, bo innych dowodów nie będę miał wiele. Dużo zapisków, notatek zaginęło podczas wojny, wysiedleń a dużo i sam zniszczyłem. Zdaję sobie sprawę z tego, że dokładne opisanie życiorysu będzie trudne, bo i pamięć nieco już zawodzi. *Zacznę od życiorysu.* Mając lat 6 przed rozpoczęciem roku szkolnego starsza siostra Hanka wzięwszy koguta czy kurę dla kierownika, bo taki był zwyczaj i poprowadziła mnie do szkoły, do zapisu. Nauczyciel, który nas przyjmował pytał każdego o imię i nazwisko. Jedni odpowiadali z łatwością, inni z trudem, inni zaś nic nie odpowiedzieli, za to odpowiadali za nich ich opiekunowie i tak kończyła się nauka w pierwszych dniach. Następnie nauka codziennie zaczynała się modlitwą: Ojcze nasz, Zdrowaś Mario i kończyła się tą samą modlitwą. Pierwsze dwa lata chodziliśmy do szkoły codziennie po południu z wyjątkiem świąt i niedziel. Chcąc ukończyć szkołę powszechną (podstawową) trzeba było uczęszczać do szkoły przez lat 6. A ponieważ w Lipnicy była 3-klasowa szkoła więc do każdej klasy uczeń musiał uczęszczać po 2 lata. Nauczanie było trudne. Dzieci dużo, np. w pierwszej klasie było około 100 czyli we wszystkich trzech około 300. Nauczycieli było dwóch, później około 1910 r. - czterech. Dużo dzieci do szkoły nie uczęszczało przeważnie w lecie, pasąc bydło i pomagając w pracach polowych. Byli również i tacy, którzy unikali szkoły bez ważnej przyczyny, waleśając się i robiąc szkody w ogrodach i sadach sąsiadom pracującym w polu. Mnie jako nie złego ucznia rodzice mieli zamiar oddać do gimnazjum. W tym też celu do egzaminu wstępnego przygotował mnie i kilku kolegów tj. Adama Węglarza, Józefa Guminiaka i swego syna Romualda kierownik szkoły Jakub Wawrzaszek. Naukę musiałem przerwać z powodu śmierci ojca i zostać w domu przy gospodarce. Gospodarstwo 24 morgowe. Roboty dużo, oprócz pasienia bydła, koni itp. trzeba było mleć na żarnach, tłuc w stępie, orać, bronować i wiele innych.

Mając 14 lat wszystko robiłem. Było nas dzieci 6-ro, tj. Anna, Adam, Maria, Antoni, Katarzyna i Paweł. Najstarsza siostra Anna wyszła za mąż za Józefa Kwaśnika w 1902 roku, gospodarza na 18 morgach pola. Najgorzej było z wianem, na które Ojciec zgodził się wypłacić 1.000 reńskich. Do tego doszły koszta weselne: zapisy - intabulacje, wyprawy poślubne, które

w ogólnej sumie wyniosły około 1.400 reńs. (tysiąc czterysta złotych reńskich) = około 550 dolarów. Suma dość duża. Za dobrego konia płacono około 50 reńskich, za krowę - 30 reńskich, korzec żyta 5 reńskich, żniwiarz za jeden dzień pracy - 1/2 reńskiego = 1 koronę. Ojciec nie posiadając gotówki na wszystko pożyczał i popadł w długi, z tego też powodu dochodziło do kłótni z matką. Ojciec może z tej przyczyny zaczął często zaglądać do kieliszka, zaniedbując chylące się ku upadkowi gospodarstwo. Z tej przyczyny ojciec zachorował i zmarł dnia 27 kwietnia 1903 r.

Zostaliśmy bez ojca, matka z pięciorgiem dzieci z których najstarszym byłem ja. Śmierć ojca sprawiła mi wielką boleść. Nie mogłem się wstrzymać od płaczu. Czułem się najnieszczęśliwszym z nieszczęśliwych. Matka chcąc utrzymać gospodarstwo musiała dużo pracować a my w miarę sił dopomagaliśmy jej. Jednak pomoc ze strony dzieci była słaba. Do każdej najważniejszej roboty trzeba było najmować, co powodowało wielkie koszty i nie można było z wiązać koniec z końcem. Nieraz zamierzałem o wyjeździe za granicę, np. do Ameryki, aby zarobić coś pieniędzy i dopomóc matce, lecz szkoda mi było młodszego rodzeństwa, bo nie mógł mnie kto zastąpić w gospodarce. Tak dotrwaliśmy do dwudziestego roku mego życia.

W roku 1910 jako rocznik poborowy zostałem uznany za zdolnego do służby wojskowej i przydzielony zostałem do 17 pp w Rzeszowie. Po wydłużeniu 6 miesięcy jako jedyny żywiciel rodziny zostałem urlopowany i powróciłem do domu. I znów zaczęła się ta sama praca. Pracowaliśmy razem z mamą i młodszym rodzeństwem do 1914 r. Mając jeszcze wcześniej zamiar wyjechać do Ameryki wstrzymałem się z tym zamiarem. Postanowiłem wpierw ożenić się, a potem wyjechać. Do żeniaczki nadarzyła się sposobność. Niedaleko od mojej ojcowizny na stronie północnej pod nr 48 żyła wdowa Regina Grądzka po drugim mężu Drapałowa, wraz z synem Józefem i córką Marią, gospodarującą na 8 morgach gruntu. Wspomniany grunt była w zamiarze dać synowi Józefowi a córce Marii nałożyć spłatę po około 2.500 zł r., równowartości około 1.000 dolarów. Pomyślałem sobie, że tysiąc dolarów pasowałoby do mojego gospodarstwa z mojej ojcowizny 712 mórg pola, która była obciążona długiem i spłatą rodzinną. O swoim zamiarze opowiedziałem swojej narzeczonej, która zgodna była wyjść za mnie jeśli jej matka zgodzi się na to. Więc na umówiony dzień przyszedłem do matki i przyszłej teściowej, przedłożyłem swoją prośbę, że chcę się żenić z Marią i czy zechce przyjąć mnie za zięcia. Matka wysłuchawszy moją prośbę powiedziała, że zgadza się, ale żeby na tę zgodę przyszła moja mama. O tym wszystkim opowiedziałem mojej Mamie, prosząc ją aby poszła na zgodę, na co Mama zgodziła się. Po przyjeździe zaczęły się rozmowy, plany gospodarcze, jak zwykle w takim czasie i w końcu postanowiono dać na zapowiedzi. Na początku roku tj. 4 lutego 1914 odbył się nasz ślub. W następny zaś tydzień odbył się ślub brata żony Józefa z wdową Grądzką, sąsiadką mojej ojcowizny. Po ślubie brat Józef powiedział, że siostry /to znaczy mojej żony / nie spłaci,

bo się ożenił z taką, która ma gospodarstwo i że jemu pasuje wziąć spłatę. Dla nas plan szwagra był nie zadowalający. Bo skąd było wziąć pieniądze na spłatę. Nie ma innej rady, trzeba jechać do Ameryki. Ale najpierw pogodzić się z bratem, który w ostateczności zgodził się na spłatę w wysokości 2.500 zł reńskich czyli około 1.000 dolarów. Żona mając około 1.500 koron gotówki wypłaciła brata *zaraz* przy kontrakcie, a reszta jako dług został zaindebitylowany na gruncie.

Rok 1914 był rokiem urodzajnym. Żniwa rozpoczęto dość wcześnie, tak że na 25 lipca wszystko zboże, oprócz owsa było zwiezione do stodół. Pamiętam to dobrze bo na dzień 26 lipca otrzymałem kartę powołania na 4 tygodniowe ćwiczenia wojskowe na które odwoził mnie Paweł. Jechaliśmy przez Zembrę. Dojeżdżając na skraj lasu w pobliżu pól widelskich wyskoczył zając i przeleciał nam drogę. Mówię do Pawła poganiaj konia bo zauważyłem, że zając ma ochotę powrócić i jeszcze raz przelecieć. Nie wierząc w żadne przesady, lecz biorąc pod uwagę uporczywe przelatywanie zająca przyjąłem to za zły znak i że w tej podróży spotka mnie jakieś nieszczęście. I rzeczywiście. Od 1912 roku z powodu aneksji Bośni-Hercegowiny przez Austrię wojna z Serbią wisiała na włosku. W roku 1914 przez zamordowanie następcy tronu austriackiego wraz z jego żoną przyspieszyło wybuch I wojny światowej. Po przyjeździe do Rzeszowa, pożegnawszy się z bratem Pawłem, zgłosiłem się zgodnie z kartą powołania do 8 kompanii 17 pp na Wygnańcu, gdzie zostałem umundurowany i następnego dnia zaczęły się normalne ćwiczenia wojskowe. Po tygodniu podczas ćwiczeń na błoniach Przybyszówki, przybiegł ordynans z rozkazem aby wszystkie oddziały tam znajdujące się powróciły do koszar bo wybuchła wojna i ogłoszona jest ogólna mobilizacja. Po przybyciu do koszar, zarządzono wielkie przygotowanie pomieszczeń dla rezerwistów, którzy będą wcielani do pułków. Mobilizacja obejmowała wszystkich wojskowych do lat 42. Wszędzie wielki ruch. Masy rezerwistów podążało do przeznaczonych pułków. W drugim dniu mobilizacji przybyli do Rzeszowa rezerwiści z Lipnicy. A było ich może około 100 chłopca. Wszyscy byli przejęci co z tego będzie. Czy może powtórzy się rok 1912, gdzie przetrzymano rezerwistów parę miesięcy i w końcu rozpuszczono do domów? Jednak w tym roku 1914 było co innego. Wszystkie pułki pośpiesznie uzupełniano tak, że po 3 dniach w całym garnizonie rzeszowskim wszystkie pułki gotowe były do marszu.

W dniu 4 sierpnia odprawiona była Msza św. polowa i przysięga na wierność cesarzowi, krajowi itp. Po tych uroczystościach pułk powrócił do koszar. W następny dzień tj. 5 sierpnia 1914 r. rano zbiórka całego pułku na placu koszarowym skąd odmaszerowaliśmy w kierunku ul. 3 Maja i dalej maszerując ul. Krakowską w stronę pociągu stojącego na torze kolejowym. Podczas odmarszu ulicami Rzeszowa masy ludności zębały odchodzące wojsko rzucając kwiaty itp. Między wieloma zauważyłem swoją żonę, która przyjechała na pożegnanie. Na pytanie: Czy powrócimy do koszar, odpowie-

działem, że już odjeżdżamy. Na tym skończyło się nasze pożegnanie, o którym nie raz pomyślałem czy nie było to ostatnim? Nie pamiętam już czy cały pułk ale prawdopodobnie nasz cały 3 batalion, bezzwłocznie załadował się do wagonów i natychmiast odjechał w kierunku wschodnim. Przyjechawszy do Przeworska, po uformowaniu kolumn marszowych wyruszyliśmy w stronę wsi Gniewczyna, powiat łańcucki. Marsz był bardzo męczący. Upał wielki. Ciężki tornister wraz z uzbrojeniem przywierał do ciała. Pot lał się strumieniami. Dużo żołnierzy padało z omdlenia (przeważnie Żydów) i musiano ich odwozić na wozach. Po około 3 godzinnym marszu dotarliśmy do wsi Gniewczyna. Wieś duża i zamożna. Po przybyciu rozlokowano nas w stodołach, szopach, rzadko w domach. Zresztą z zakwaterowaniem nie było trudności bo sierpień był pogodny i ciepły. Ćwiczeniami zbytnio nas nie obciążano. Przyzwyczajano nas do marszu w pełnym rynsztunku i to na dalszą odległość. To znów poprawialiśmy drogi i mosty. Któregoś dnia odczytano zarządzenie Ministerstwa Wojny, że złamanie przysięgi, niewykonanie rozkazu grozi karą śmierci. Za inne mniejsze przewinienie należące do łagodnych, karą słupek, którą to karę na własne oczy widziałem. Człowiek związane miał z tyłu ręce i był powieszony na słupie tak aby lekko palcami dostawał do ziemi. Wartownik, który pilnował powieszonego, widząc mdlejącego polewał go wodą. Twarz tego nieszczęśliwca była nabrzmiała, oczy wylupiaсте, na ustach piana. Sam widok ofiary ścinał krew w żyłach. To się działo w państwie arcykatolickiego cesarza Franciszka Józefa I. Tego rodzaju tortur zaniechano w r. 1916. A rzecz się miała tak: kapelan Legionów ks. Ciepichał zauważył pewnego poranka dużo żołnierzy (Węgrów) wiszących na drzewach wielkiego ogrodu. Ksiądz nie namyślając się wiele porwał wielki nóż i nie zważając na wartowników odciął wszystkich wiszących. Cała ta komedia skończyła się na alarmie z jednej i drugiej strony, tj. Legionistów i Austriaków. Rzec się miała na froncie gdzieś na Podlasiu. Szlachetny czyn ks. Ciepichała zmusił władze wojskowe austriackie do zaniechania tych drakońskich tortur. Ale powrócę do kwater w Gniewczynie na których byliśmy około 2 tygodni. Około 20 sierpnia wyruszyliśmy w kierunku północno-wschodnim. Przechodząc przez pontonowy most na Sanie doszliśmy do miejscowości Sieniawa w której były masy wojska różnych formacji a najwięcej oddziałów saperskich. Wojsko pracowało, budowało schrony i umocnienia, rowy strzeleckie itp. Wszystko to jednak nie stanowiło wielkiej przeszkody dla Moskali, bo oni obeszlili Sieniawę i zajęli ją nie tracąc wcale ludzi. Maszerując w strasznym upale i kurzu doszliśmy do granicy Królestwa Polskiego, kierując się na miasteczko Tarnogród.

Po przekroczeniu granicy dało się zauważyć inną gospodarkę, inny świat. Drogi liche, nie poprawione, pełne wybojów. Daleko gorsze niż po stronie galicyjskiej. Tak wlokąc się doszliśmy do miasteczka Tarnogród, w którym przeważał element żydowski. Ulice piaszczyste i pełne dziur, niczym nie przypominające miasteczka oprócz Żydów. Całe wojsko po 12 godzinach

marszu było tak zmęczone, że gdy późnym wieczorem przywieziono kaszę, nikt nie mógł podnieść się aby ją przynieść. Z całej kompanii 280 chłopów, zgłosiło się dwóch tj. ja i jakiś drugi kolega i wszystkich obsłużyliśmy za co wszyscy byli rano bardzo wdzięczni.

Następny dzień tj. 22 sierpnia był wolny. W dniu 22 sierpnia odmarsz w kierunku Biłgoraja. Do Biłgoraja przybyliśmy 23 sierpnia przed wieczorem. Po spożyciu obiadu rozlokowaliśmy się po kwaterach. Ja z ciekawości poszedłem przejść się po mieście. Wszędzie masy wojsk różnych formacji. Nigdzie nic nie można kupić. Tak łażąc spotkałem Jasia Sudolę, który był w tym samym pułku tylko w innej kompanii. Pogawędziliśmy chwilę, weszliśmy do kościoła pomodlić się o szczęśliwy powrót. Po wyjściu z niego napotkaliśmy markietankę, wypiliśmy po kieliszku wódki, na którą nie mieliśmy ochoty. Ot tak chcąc oddać zmęczenie ale to nic nie pomogło. Powracając na kwatery usłyszeliśmy alarm. Całe wojsko biegło w różnych kierunkach głośząc, że jakiś silny oddział rosyjski pojawił się w okolicach Biłgoraja. Po jakimś czasie uspokoiło się i wojska udały się na spoczynek. Na drugi dzień rano tj. 24 sierpnia w sam dzień św. Bartłomieja pobudka i odmarsz w kierunku północno-wschodnim od Biłgoraja. Podczas marszu słyhać było strzały artyleryjskie. A w miarę naszego marszu huk strzałów stawał się wyraźniejszy. Tak maszerując weszliśmy w jakiś niewielki las. Po przejściu lasu weszliśmy na szerokie pole z kartoflami ale już rozwinięci w tyralierę. Rosjanie zauważywszy nas otworzyli silny ogień z broni ręcznej i maszynowej. Nasza tyraliera aby uniknąć celu ile sił w nogach biegła do podnóża góry, gdzie przywarliśmy do ziemi, otworzyliśmy silny ogień karabinowy na Moskali. Po jakiejś godzinie ogień zaczął słabnąć aż zupełnie ucichło. Oficerowie zarządzili zbiórkę, wyznaczili linię obronną, postawili warty i w takim stanie oczekiwaliśmy dalszych wypadków. To był pierwszy dzień wojny austriacko-rosyjskiej na odcinku naszej armii Aufenberga. Ilu było zabitych a ilu rannych tego nie wiem. Jednak straty były znaczne. W tym samym dniu widziałem pierwszych jeńców rosyjskich w liczbie około 100 żołdatów, chłopcy młode z dobrym wyglądem. Pierwsza noc na linii bojowej była dość spokojna. Tylko tu i ówdzie słyhać było strzały karabinowe i widać było łuny pożarów. Na drugi dzień 25 sierpnia bardzo wcześnie dalsze posuwanie się w głąb Guberni Lubelskiej. Lecz z każdym dniem opór Rosjan stawał się silniejszy, jednak armia austriacka chociaż z trudem ale posuwała się naprzód, ponosząc wielkie straty. Wyczerpanie wojska było wielkie. Brak żywności, wody, snu najsilniejszych zwał z nóg. Wśród codziennych walk i silnego ognia karabinowego i armatniego doszliśmy do linii kolejowej Lublin - Trawniki. Od tego miejsca wojska austriackie zaczęły się cofać na całej linii - ostrzeliwując się w dzień, a w nocy cofając się na inne pozycje. Przypominam sobie, że gdzieś w rejonie Rejowca Rosjanie uderzyli wielką siłą ognia karabinowego i armatniego i zmusili Austriaków do cofnięcia się. Straty naszego 17 pp były bardzo wielkie. Leżąc w pustym polu w tyralierze

nie byliśmy w stanie i nie mieliśmy czasu na to aby zbudować choć jakieś prymitywne ukrycia. Stanowiliśmy dobry cel dla nieprzyjaciela. Dzień o którym piszę był dla mnie mimo wszystko dniem szczęśliwym. Otóż mój sąsiad z lewego boku został zabity a z prawego ciężko ranny, mnie zaś kulka liznęła lekko w łydkę lewej nogi i zrobiła kilka dziur w spodniach. Pod wieczór na naszym odcinku ogień osłabł, tylko na skrzydłach naszej linii słyszać było silny ogień z broni ręcznej i huraganowy huk artylerii.

Korzystając z osłabienia ognia nieprzyjaciela i zgodnie z rozkazem opuściliśmy dotychczasowe schrony i ruszyliśmy w kierunku jakiejś wsi, w której zarządzono zbiórkę kompanii. Okazało się, że blisko połowa ludzi brakuje. Widocznie zostali zabici lub ranni.

Nareszcie nadjechały kuchnie. Rozdano jedzenie i znów zbiórka i marsz w nieznane. Maszerowaliśmy do późnej nocy. Plątaliśmy się po polach i lasach. Napotykalismy okopy austriackie. Dużo zabitych i bardzo dużo łusek z wystrzelonych naboí, dowodziło o wielkich walkach w tym rejonie w dniu wczorajszym.

Nie zatrzymując się maszerowaliśmy w dalszym ciągu, gdzieś około północy przybyliśmy do jakiejś wioski w której było pełno śpiącego wojska z różnych formacji. Nasze oddziały również to samo uczyniły. Skoro jeszcze kiepski świt obudziła wszystkich silna strzelanina. Zarządzono alarm i zbiórkę. Trochę postrzelano i dalej cofać się. A było to gdzieś na terenie powiatu krasnostawskiego. I tu pomyślałem, że te nocne marsze nie były czym innym tylko cofaniem się. Robiąc to znaleźliśmy się na jakimś szerokim polu pod niewielkim lasem. Dowódca, który dowodził tym oddziałem zeskoczył z konia oddając go w moje ręce. Powiedział: "Pilnujcie tego konia aż kogoś po niego wyślę lub sam przyjdę". I dał rozkaz dalszego marszu w kierunku południowym skąd było słyszeć gęste ostrzały karabinów i huk armat. Ja trzymając konia patrzyłem na oddalające się oddziały i niby zadowolony byłem, że chociaż dzisiaj na pierwszej linii nie będę. Ale co dalej będzie? Tak rozważając wprowadziłem konia na skraj lasu, w miejsce niewidoczne i bardziej bezpieczne, chociaż i tu często bzykały kulki a czasem i szrapnel się zabłądził, ale już rzadko. Po południu strzały się oddalają. Czasem zupełnie milkną, tylko gdzieś daleko na południu silny huk artylerii. Niebo się zachmurzyło, zaczął padać deszcz. Ja nie wiedząc, gdzie się znajduję uwiązałem do drzewa, wysunąłem się na przedpole i pomyślałem sobie, czy czasem nie jestem poza linią rosyjską, bo w dali około 1/2 kilometra zauważyłem dużo wojska maszerującego w zwartym szyku w kierunku południowym. Nie tracąc czasu wróciłem do konia. Koń spokojnie ogryzał gałązki drzewa zaspokajając głód. A ja tym czasem wziąłem się do rewizji toreb przywiązanych do siodła. Jednak nic nie znalazłem. Postanowiłem wsiąść na konia i pojechać w kierunku w którym odeszło wojsko zostawiając mnie z koniem. Koń zamiast iść naprzód cofał się i stawał dęba. Po dwukrotnej próbie, widząc, widząc że z tego nic nie będzie uwiązałem konia i myślę

sobie co tu robić? W tym zamyśleniu usłyszałem strzały karabinowe w niedalekiej odległości. Nie namyślając się skoczyłem na mały pagórek na którym było małe zagłębienie porośnięte gęsto sosenkami i tam się ukryłem. Po chwili usłyszałem turkot wozów. Wychyliłem głowę z ukrycia i widzę wojsko rosyjskie. Idą, rozmawiają dość głośno prowadząc konie zaprzężone do dwukółek na których spoczywają karabiny maszynowe. Przymaszerowało ich około 200 żołdatów i po tym nastąpiła zupełna cisza. Robi się ciemno. Deszcz się zмага. Ja wylazłem spod sosenki i dalej rozmyślałem, co robić. Iść do niewoli? W pojedynkę niebezpiecznie. Zresztą nie ma do kogo. Tak myśląc zauważyłem czterech ludzi idących w kierunku gdzie stałem. Gdy podeszli blisko poznałem ich, byli to: 1 feldfebel (sierżant), 1 kapral i 2 szeregowych. Wszyscy z rzeszowskiego 17 pp. Opowiedzieli, że wysłani byli na patrol i że pobłądzili i nie mogą wydostać się z lasu. A ponieważ już jest ciemno, postanowili przenocować w lesie, a skoro świt próbować dostać się do swoich. Deszcz rozpadał się na dobre. Dookoła słychać huk strzałów armatnich zbliżający się szybko do lasu, w którym stoimy. Naraz usłyszeliśmy pojedynczy huk szrapnela pękającego niedaleko. Za chwilę otworzono silny huraganowy ogień. O wyjściu z lasu nie było mowy. Ciemność straszna i huk pękających pocisków, łamanie drzew i gałęzi, powiększało niebezpieczeństwo. Jednak postanowiliśmy czekać do rana na miejscu. Jak Bóg da, tak będzie, innego wyjścia nie ma. W dalszym ciągu bombardowania nie ustają. Huk armat połączony z błyskawicami i piorunami powiększał jeszcze okropność strasznej nocy. Po północy deszcz przestał padać. Strzały umilkły. Podnieśliśmy się z ziemi a raczej z błota. Podziękowawszy Bogu za opiekę i że wszyscy zdrowi jesteśmy, postanowiliśmy czekać na miejscu do świtu. Skoro zaczęło się widnieć ruszyliśmy w kierunku wsi aby dowiedzieć się gdzie jesteśmy. Idąc przez las napotykaliliśmy dużo dołów od pękających granatów, połamanych drzew i gałęzi. Jaka była przyczyna bombardowania tego lasu? Czy przez wojska austriackie, czy przez rosyjskie? Tego nie mógł nikt wytłumaczyć. Tak idąc doszliśmy na skraj lasu pod którym stała chałupa. A ponieważ byliśmy bardzo głodni i zmoknięci postanowiliśmy wejść do środka. Wszedłszy do izby w której była kobieta z dziećmi przestraszyła się bardzo. Ja starałem się uspokoić ją, tłumacząc jej, że nie jesteśmy żadnymi wrogami, tylko takimi samymi Polakami jak ona i że tylko los rzucił nas w odmienne położenie, i czyżby nie miała coś do jedzenia. Kobieta odpowiedziała, że nie ma nic, bo z powodu walk dom musiała opuścić. Powiedziała, że niedaleko jest wioska w której będzie można coś dostać do zjedzenia. A więc idziemy w kierunku wsi. Na drodze spotykamy dużo ludzi idących do lasu. Widocznie z ciekawości chcą widzieć skutki nocnego bombardowania. Wszyscy, którzy przechodzili obok nas, mówili nam, że jesteśmy poza linią wojsk rosyjskich i że wczoraj widzieli dużo jeńców austriackich prowadzonych przez Rosjan. Po jakiejś pół godzinie doszliśmy do wioski i weszliśmy do pierwszej chałupy. Zaraz opowiedzieliśmy o swojej po-

trzebie. Czy nie można dostać coś do zjedzenia? W domu 3 ludzi /2 kobiety i 1 mężczyzna/. Wszyscy młodzi. Powiedzieli, że chleba nie mają, bo z powodu walk nie piekli go, bo musieli opuścić dom. Jednak jeżeli chcemy poczekać to mogą ugotować kartofli. Na to chętnie zgodziliśmy się. Kobiety zaczęły obierać kartofle a chłopu przygotowały maśniczkę i kazały robić masło. Jedna z nich rozpałała ogień na kominku i zastawiła kartofle w dość dużym garnku. Po ugotowaniu kartofli obiad był gotowy. Następnie gospodarz powiedział nam, że musimy zgłosić się do sołtysa, bo takie jest zarządzenie i boi się nas nocować, bo może być ukarany. W tym czasie nadszedł inny gospodarz z tej samej wioski. Rzekł on do nas aby pójść z nim to nas przenocuje a jutro rano zamelduje sołtysowi. A więc idziemy. Wchodzimy na podwórze. Zabudowania ładne, duży sad. W tej chwili, gdyśmy byli blisko domu, wylatuje kobieta z krzykiem na gospodarza, po co ich tu prowadzisz? Ja tu nikogo nie potrzebuję, niech sobie idą dalej itp. Gospodarz uspokajał kobietę słowami: cicho bądź, przenocują się i jutro pójda dalej - wskazał nam równocześnie szopę pełną słomy. Idźcie i śpijcie! Cośmy chętnie uczynili bo byliśmy bardzo zmęczeni.

Po trzydziestu dniach ciężkich przemarszów i codziennych walkach i tyleż nie przespanych nocach, pierwszą noc spałem spokojnie. Dookoła cisza, tylko gdzieś daleko słychać dudnienie artylerii. Wypawszy się do woli, słysząc, że gospodarz wstał wcześniej, opowiedziałem mu gdzie został koń pilnowany przeze mnie dnia poprzedniego i żeby pojechał w to miejsce. Gospodarz natychmiast zaprzągnął konia do wozu i udał się we wskazane miejsce, ale konia nie znalazł. Widocznie ktoś go uprowadził, ale przywiózł kilka worków owsa i dużo upręży porzuconej przez cofające się wojska austriackie. Jednym słowem opłaciło mu się. Gospodyni udobruchała się, ugotowała śniadanie. Pojedliśmy, gospodarz powrócił od sołtysa oznajmiając nam, że jak przyjdzie żołdat to go wyśle po nas. Było to 8 września, dzień Matki Boskiej Siewnej. Dzień pogodny i ciepły. Siedzimy i czekamy. Wchodzi żołdat z sołtysem i dwóch jeńców austriackich. A więc jest nas siedmiu. Żołdat podszedł do nas i wita się z nami przez podanie ręki. Pierwsze słowa to: "My wasze, wy nasze" i że Lwów już przez Rosjan zajęty i że teraz wojska rosyjskie idą na Kraków. Następnie zabrał od nas manierki i kazał nam czekać aż po nas przyjdzie. Oczekując na żołdata, a był to podoficer (plutonowy), w międzyczasie podziękowaliśmy naszemu dobroczyńcy, że nas przenocował i nakarmił. Powymienialiśmy między sobą adresy. Adres naszego gospodarza: Stanisław Sliwiński, wieś Olesie, gmina Gorzków, pow. Krasnystaw.

Oto podjeżdża furmanka parą dobrych koni. Żołdat staje na wozie, podnosi manierki i woła, brać czyja która jest! W każdej jest mleko. Daje wielki bochen chleba i mówi: kuszajta! Następnie siadamy na wóz i jazda w kierunku północnym. Na drodze spotykamy ogromne masy wojsk rosyjskich, maszerujące po obu stronach drogi. Drogą (szosą) maszerują artyleria, ta-

bory i inne oddziały wojsk inżynieryjnych. Pod wieczór przejeżdżamy tor kolejowy Lublin - Chełm. Po obu stronach toru aż żółto od łusek karabinów austriackich, co potwierdzało, że tu przedwczoraj były silne boje. Tak jadąc dojechaliśmy do stacji Trawniki i oddano nas komendantowi stacji. Tenże odesłał nas do jakiejś jednostki wojskowej, tam zaś umieścili nas w magazynie, w którym było dużo wojska. Wszyscy mieli lampasy na spodniach -widocznie Kozacy. W kącie magazynu, który mocno pachniał naftą ułożyliśmy się na gołej cementowej podłodze. Lecz z powodu zimna i śpiewu żołdatów zasnąć nie można było. Skoro świt Kozacy odjechali a nas dołączono do pociągu idącego do Chełma wyznaczonego na punkt zborny dla jeńców i innych trofeów wojennych. Chełm przedstawiał sobą wielkie obozowisko masy jeńców różnych formacji i narodowości. Dużo broni, różnego kalibru armat, broni ręcznej i maszynowej, koni, wozów itd. Wszystko to mieściło się w jakimś ogrodzie do którego przylegały wielkie baraki, w których ustawiono prymitywne stoły i ławy służące do podawania posiłków dla wojsk jadących na front i dla jeńców. Z jedzeniem jako -tako, tylko ze spaniem bardzo źle. Spaliśmy pokotem na gołej ziemi. Noce były chłodne. Tak męczyliśmy się 3 doby. Około 16 września, gdy nazbierało się dużo jeńców, zaprowadzono nas do pociągu i do każdego wagonu przeznaczono po 40 ludzi (wagony liepluszki) a było tych wagonów w pociągu około 50. Po zajęciu miejsca odjechaliśmy do Kijowa, a była to niedziela czy jakieś inne święto. Dzień był pogodny. Rosjanie chcąc pokazać manifestacyjnie ilu jeńców zabrali, podzielili nas na kilka grup i nieraz dwukrotnie przeprowadzali nas tymi samymi ulicami. Ludność Kijowa witała jeńców oklaskami. Rzucali papierosy, a były też i inne wypadki. Jakaś pani słysząc mowę polską wyrzekła słowa: "tacy młodzi ludzie zamiast walczyć to idziecie służyć tym złodziejom, powinniście się wstydzić". Po tych manifestacjach poprowadzono nas do wielkiego ogrodu do którego puszczano nas przez wąskie wrota. Po obu stronach wrót stali żołdaci i zabierali nam niektóre niezbędne rzeczy, jak chlebaki, kociołki, manierki i inne służące do osobistego użytku. Przez odebranie potrzebnych rzeczy wyrządzono nam wielką krzywdę, ponieważ nie było czym jeść ani napić się. Następnie ustawiono nas w dziesiątki (w szeregu po 10). Każdemu w pierwszym szeregu dano naczynie, coś w rodzaju wielkiej blaszanej miski i zapowiedziano aby każdy pilnował tej miski do której dziesiątki należy i dali rozkaz: po obiad! Każdy staje w szeregu swojego dziesiątnika, dostaje funt chleba i po kilku minutach jest już po obiedzie. Następnie zaprowadzono nas do wielkiego budynku. Obszerne sale opuszczone przez wojsko, przygotowane widocznie dla jeńców. We wszystkich salach nasłano słomy na której dobrześmy się wyspali. Na drugi dzień wsiedliśmy do pociągu i jazda na wschód. Trasa prowadziła przez następujące miasta (wymieniani tylko większe): Kijów, Kursk, Saratow, Samara, Ufa, Czelabińsk, Petropawłowsk, Omsk, Nowomikołajewsk. Tutaj koniec podróży koleją. Przesiadamy się na statek i rzeką Ob dopłynę-

liśmy do miasta Barnaul, położonego u podnóża Gór Altajskich. A więc cała podróż trwała 21 dni. Na większych stacjach wydawano obiady, a gdy to było niemożliwe z powodu przeciążenia kuchni przez wojska rosyjskie, które na front, to wypłacano nam strawne 20 kopiejek na dzień. Na stacjach i większych przystankach kolejowych można było kupić wszystko. Chleba, bułek, wędlin było pod dostatkiem, tylko tych 20 kopiejek było za mało i trzeba było zaciągać pasa.

Posuwając się w głąb Rosji dało się zauważyć wielkie różnice w stosunku do naszych miast i wsi. Wioski rosyjskie bez zieleni i zadrzewienia wyglądały jakby były świeżo pobudowane na czystym polu. Miasta również. Po obu stronach toru kolejowego za Wołgą w guberni Orenburskiej, jak okiem sięgnąć widać zżętą a nie zebraną pszenicę. A był to już koniec września. Opowiadali Rosjanie, że trafiają się zimy, że śnieg zasypie nie zebrane zboże na polu na którym leży całą zimę. Na wiosnę pod wpływem silnych promieni słonecznych śnieg szybko ginie i zboże zbierają z małym uszczerbkiem. Następnie przyjeżdżamy do Czelabińska na Uralu, miasta położonego na granicy Europa - Azja. Trasa kolejowa wykuta w skale Gór Uralskich. Krajobraz za Uralem nie różni się od krajobrazu przed Uralem - równinny i monotony. Rzadko położone wsie i miasta. Pierwsze większe miasta należące do Syberii to: Kurchan i Petropawłowsk. Do Petropawłowska przybyliśmy wcześniej rano. Pociąg stanął na stacji i nie przypuszczałem, że zaraz wyruszy w dalszą drogę. Będąc bardzo głodny zapytałem się napotkanego kolejarza czy nie można gdzieś kupić chleba. Odpowiedział, że owszem zaraz za stacją jest piekarnia i tam można chleb kupić. Mając 30 kopiejek, za które zapłaciłem 1 koronę (czyli dokonałem zamiany), czułem się pewnym, że z głodem skończę. Namówiłem kolegę Rusina, który się dobrze rozmówił po rosyjsku i poszliśmy za kupnem chleba. Kupiliśmy chleb i z radością wracamy na stację a Rosjanie mówią: "Wasz pojezd już uszoł. Astalis" i śmieją się z nas. Co robić? Idziemy na komendę żandarmerii, która była na miejscu. Komendant, dość przystojny człowiek, pyta nas: gdzie byliście, że zostaliście? Poszliśmy chleba kupić. A kupiliście? Kupiliśmy. To dobrze, nie ważne, żeście zostali. Nadejdzie następny pociąg to was weźmie. Tymczasem idźcie do komendy miejskiej i wskazał nam, gdzie wspomniana komenda znajduje się. Po zameldowaniu się w komendzie powiedziano nam, że koło południa nadejdzie pociąg z jeńcami dla których w komendzie przygotowują obiad i do tego pociągu nas przyłączą. Następnie zawołano nas do kuchni. Dano nam noże i kazano obierać ziemniaki. Za chwilę nadszedł jakiś podoficer i widząc nas obierających skrzyczał kucharza, że najpierw trzeba dać jeść a potem robić. Około południa nadeżdża pociąg z jeńcami. Przeważnie Niemcy i coś Austriaków, sporo też było jeńców cywilnych, Mazurów z Prus Wschodnich. Między zbieraniną jeniecko-cywilną dał się wyróżnić pewien osobnik średniego wzrostu, dobrze zbudowany z przyszczyżoną ryżą brodą. Trzymał się na uboczu. A gdy zbliżyłem się do niego

zauważyłem , że nie miał spodni lecz same kalesony. Gdy go zapytałem w jaki sposób zgubił spodnie, odpowiedział, że o wszystkim opowie mi tylko żebym podczas jazdy obronił go jak inni będą mu dokuczać. Powiedział mi, że jest z Jarosławia, że jest żonaty i ma troje dzieci. Jako rezerwista został zmobilizowany i przydzielony do 77 kk austriackiej i że na froncie jego pułk został rozbity a podczas ucieczki został porzucony. Uratował on sztandar pułku, którego on biedny Zydek oderwał od drzewca i następnie okręcił go wokół brzucha. No a cóż wspólnego mają portki ze sztandarem, zapytałem go? Widzisz powiada gdyby ja był w porządku i ubrany porządnie to mógłby się ktoś zainteresować mną, a takim dziadem to nikt nie zainteresuje się. Mówię do Żyda, że gdy powróci po wojnie to za uratowanie sztandaru dostanie wysokie wynagrodzenie. Żyd mówi, że żadnych wynagrodzeń pieniężnych nie chce ale na jakiś konces lub szynk w dobrym mieście to się zgodzi. Obiad skończony, wszyscy do wagonów. Ja z Żydem umieściliśmy się w wagonie, gdzie byli sami jeńcy cywilni a tylko kilku wojskowych Polaków. Tak uspokojeni przybyliśmy do Omska (stolicy Syberii). W Omsku wysiedliśmy z pociągu i zaprowadzono nas do jakiś opuszczonych koszar w których było dużo jeńców różnych narodowości (Austriaków). Przenocowaliśmy i następnego dnia wsiedliśmy do wagonów i dalej na wschód, aż do miasta Nowonikołajewsk, położonego nad wielką rzeką Ob. W Nowonikołajewsku przemieszczono nas na statek i po dwóch dniach podróży przybyliśmy do miasta Barnaul, położonego u podnóża Gór Ałtajskich. Po przybyciu do Barnaulu umieszczono nas w różnych częściach miasta, tj. w opróżnionych koszarach i innych większych budowlach. Sporo nas umieszczono też w barakach pozostałych po jeńcach japońskich. Stosunek władz rosyjskich do jeńców był znośny. Zresztą dużo zależało od działań na froncie. Najgorzej było z zakwaterowaniem. Ciasnota, piętrowe prycze. Na górnych pryczach gorąco a na dolnych zimno. Zupełny brak pościeli i przykrycia. Brak bielizny sprzyjał powstawaniu różnych chorób: tyfus plamisty i brzuszny, zapalenie stawów, płuc i oskrzeli. Choroby te panowały nagminnie. Szpital miejski w Barnaulu zapełniony był przeważnie jeńcami. Ja leżałem w tym szpitalu około 3 miesiące na silne zapalenie stawów. Dyrektorem tego szpitala był Polak, dr Zalewski. Po kilkutygodniowym pobycie w szpitalu gorączka ustąpiła. Głowa przestała boleć. Siadłem sobie na łóżku, gdy ktoś nieznajomy otwiera drzwi zapytuje: czy tu jest Nowak? Jest - powiedziałem. Równocześnie poznałem go . Był to Piotr Tyburchy z Jeziorka. Był tak sponiewierany, że trudno go było poznać, tym bardziej że zjawił się niespodziewanie w dalekiej Syberii. I był jedynym moim przyjacielem aż do jego śmierci. Gdy wyzdrowiałem odesłano mnie do obozu. Było to gdzieś w lutym 1915 roku. W obozie zaczęto przeprowadzać segregację jeńców według specjalności. Któregoś dnia w miesiącu maja podzielono nas na grupy, a gdy już lody spłynęły na rzece, załadowano nas na statek, którym przybyliśmy do miasta Nowonikołajewsk. Następnie przesiedliśmy się na kolej i przyjechaliśmy z

powrotem do Omska. W Omsku całą grupę około 400 osób załadowano na barkę i rzeką Irtysz płynęliśmy w kierunku północnym aż do jakiejś przystani, w której zeszliśmy z barek i pieszo pędzono nas w kierunku wschodnim /około 30 wiorst/. Wreszcie doszliśmy do dość dużej i dobrze zagospodarowanej wioski. Mieszkańcami tej wioski byli przeważnie Białorusini z guberni Mińskiej, Witebskiej, Smoleńskiej i innych. W tej miejscowości byliśmy około 2 tygodnie. Po dwóch dniach połowę naszej grupy w której i ja się znalazłem, odesłali z powrotem do tej przystani z której wcześniej przyszliśmy. I znów parostatkiem po rzece Irtysz dalej na północ, aż przybyliśmy do miasta Marińsk. Miasteczko było dość ładne. Piękny kościół katolicki, widocznie w mieście i okolicy musiało być dużo Polaków i Litwinów. W tym czasie w Marińsku odbywała się wielka koncentracja jeńców austriackich pochodzenia włoskiego, których przez Daleki Wschód odsyłano do Włoch. W Marińsku przebywaliśmy jeden miesiąc i znów na statek i tą samą rzeką Irtysz przybyliśmy do miasta Tara. Komendantem obozu Tara był kapitan Justernik pochodzenia polskiego. Człowiek dobry. Dbał o jeńców, zorganizował szpital. Lekarzami byli obok Rosjan, Polacy i Czesi. Próbował nawet mówić po polsku, choć bardzo kaleczył, za to piosenki polskie śpiewał poprawnie. Gdy umarł ktoś z jeńców wzywał ks. Polaka, który odprowadzał nieboszczyka na cmentarz i sam szedł na czele plutonu i po spuszczeniu zwłok wystrzeliwał salut z trzech naboi.

Na razie pracy nie było żadnej oprócz obozowej. Ja zacząłem pracować w piekarni. Praca ciężka i bezpłatna z której wkrótce wykręciłem się. W obozie znajdowało się około 500 jeńców, przeważnie Słowian: Czesi, Polacy i Rusini. Było też kilkunastu Rumunów. Współżycie z tą mieszaniną było raczej zgodne. Nikt się nie kłócił. Każda narodowość trzymała się swego kółka. A nieraz byliśmy pomieszani. Ja będąc na robotach polowych, przydzielony zostałem do grupy w której było 3 Rumunów, 2 Niemców, 4 Słowaków, 2 Węgrów, 3 Żydów, 2 Czechów i 1 Polak. Wkrótce po przybyciu do obozu Tara zaczęto organizować grupy robocze. Mnie przydzielono do zaopatrywania w paliwo parowców i barek pływających po rzece Irtysz. W związku z tym wysłano nas, około osób, do wielkich lasów położonych daleko na północ od miasta Tara, lasów zwanych tajgą. Płynęliśmy 2 dni. Było to we wrześniu 1915 r., gdy przybyliśmy do jakiegoś miasteczka na brzegu rzeki Irtysz, oddalonego na południowy wschód od gubernialnego miasta Tobolsk. Do miasta do którego w końcu 1917 czy na początku 1918 r. został zesłany wraz z całą rodziną car Mikołaj II. Połowę ludzi z naszej grupy, około 100 osób, zostawili na miejscu do budowy barek. Drugą połowę odesłali w głąb tajgi do wyrębu lasu na opał dla pływających parowców. Po 20 wiorstwowym marszu przybyliśmy do wioski, której nazwy już nie pamiętam. W tejże wiosce zakwaterowaliśmy się. W dniu następnym podzielono nas na grupy. Wydano siekiery i piły, i marsz do lasu. Oprócz wiktury płacono nam 35 kopiejek od jednego saga drewna. Śmieszna była to zapłata. Ale co było

robić? Najczęściej spotykanymi drzewami były: brzozy, sosny, modrzewie i jodły. Ziemia próchniczno-gliniasta sprzyjała wzrostowi drzew, których nikt nie sadził. W południowym pasie tajgi znajdują się ogromne równiny zarośnięte stepem nadające się do uprawy. Na tych terenach pozakładano wioski. Osadnikami w tych stronach w przeważającej części byli Białorusini. Dużo też było pochodzenia polskiego. Ziemi miał każdy osadnik tyle ile dał rady wykarczować lasu lub zarośli. Obierał sobie odpowiedni obszar, ścinał drzewa i gdy tak one poleżały jeden rok podpalał je. W następnym roku rozrzucano popiół, usuwano wszelkie przeszkody i siano żyto, owies, pszenicę, sadzono ziemniaki. Urodzaj był piękny. Osada, w której myśmy się zakwaterowali powstała przed 15 laty, inne wcześniej. Rząd carski nowo-osadników zwalniał od wszelkich danin i podatków aż do czasu dobrego zagospodarowania się, udzielając im znacznych kredytów na zakup inwentarza i innych najpotrzebniejszych narzędzi do gospodarki.

Wioska położona była na brzegu rzeczki wpadającej do rzeki Irtysz. Życie w osadzie na początku było dość trudne, ale jeśli osadnicy przybyli zdrowi i z dorosłymi dziećmi, to w krótkim czasie stawali się zamożnymi. Budulec był na miejscu, jaki kto chciał. W lesie znajdowali wiele jagód i malin. Dużo było zwierzyny leśnej: zajęcy, gronostajów, tylko niedźwiedzie często napadały na bydło, owce a nawet skradały się do zagród i robiły szkody. Opowiadali miejscowi chłopci, że niedźwiedzie są tylko na lewostronnym brzegu Irtysza, a na prawym są tylko wilki. W wiosce był sklep, w którym można było zaopatrzyć się w najniezbędniejsze produkty. Był też i młyn wodny. W innej wiosce, oddalonej dwie i pół wiorsty był nowo wybudowany szpital, coś w rodzaju "ośrodka zdrowia".

W tejże wiosce była cerkiew, w której parochem czyli proboszczem był grecko katolicki ksiądz, pochodzący z Galicji, z okolic Rawy Ruskiej. Bardzo chętnie rozmawiał z Polakami. Z jego zachowania widać było, że jest niezadowolony z pobytu na Syberii. Co za los skierował go w taką dziurę, nie dowiedziałem się, gdyż wkrótce stamtąd odjechałem.

Praca w lesie odbywała się codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel. Każda grupa składająca się z dwóch osób winna była wykonać normę tj. sag drzewa łupanego, za który przy odbiorze płacono 35 kopiejek. Jedzenie było możliwe, jeśli nam go brakowało, to dokupowaliśmy za zarobione pieniądze. Gorzej było z wyspaniem się. Do tej pory spaliśmy po stodołach, a gdy zaczęły się chłody, przenieśliśmy się do mieszkań, w których znów nie można było usnąć z powodu wielkiej ilości pluskiew i karaluchów. Wobec tego postanowiono wybudować własny barak, wyłącznie dla jeńców. Jednak do budowy baraku nie doszło z powodu epidemii hiszpanki, na którą zachorowali prawie wszyscy. Ja również zaziębiłem się i bardzo ciężko ją odchorowałem. Widząc, że bez pomocy lekarza nie obejdzie się, postanowiłem udać się do "ośrodka zdrowia", który jak już wspomniałem oddalony był około 3 wiorsty od naszej kwatery. Wybrałem się pieszo. Nogi bołą, silne dreszcze,

zawroty głowy. Wreszcie doszedłem. Pukam do drzwi cicho, pukam silniej i wreszcie wychodzi lekarz. Gdy mu powiedziałem w jakiej sprawie przyszedłem, wpuścił mnie do środka. Opukał mnie i osłuchiwał. I rzekł zaziębienie, i że zostawiłby mnie w szpitalu, ale nie ma żadnej osoby do pomocy i muszę iść z powrotem. Na koniec dał jakieś lekarstwo i powiedział, że ma nadzieję, że choroba ustąpi, i że za dwa dni odwiedzi mnie, a gdy nie zauważy poprawy, skieruje mnie do obozu, w którym jest szpital na dalsze leczenie. Idąc z powrotem byłem tak osłabiony, że z trudem powłóczyłem nogi. Na drodze cisza, ani żywego ducha. Ze wszystkich stron zimna tajga. Miałem ochotę usiąść i odpocząć. Pomyślałem jednak, że gdy usiądę to już nie wstanę i szedłem dalej. Obejrzałem się i zauważyłem z dala zbliżającą się furmankę na której siedziała kobieta. Czy to ze strachu czy z litości, widząc przed sobą tak zabiedzonego człowieka, dość że rzekła: "Ej młody czaławiek, sadijjties na telagu, ja was dowiezu". Wsiadłem z zadowoleniem. W czasie podróży kobieta opowiadała mi, że była w pobliskiej wiosce u krewnych z prośbą aby jej pomogli w pracy na gospodarce, bo męża jej wzięli na wojnę, a rodzice starzy i pracować nie mogą. Tak dojechaliśmy do wioski w której mieliśmy kwatery. Podziękowawszy kobiecie, dowlokłem się do mojej kwatery i wgramoliłem się na strych i upadłem ledwo żywy. Pod wieczór przyszedł do mnie Piotr Tyburczy i przyniósł mi coś do jedzenia ale nic nie zjadłem z powodu wysokiej gorączki. Leżałem na tym strychu bez żadnej pościeli i przykrycia dwa dni, popijając tylko wodę, którą mi Piotr przynosił. Na trzeci dzień przyjechał felczer i skierował mnie oraz Franciszka Koguta z Miłocina do szpitala, do miasta Tary, w który był nasz obóz. Tego samego dnia podjechała furmanka i odwieziono nas do przystani na rzece Irtysz, gdzie oczekiwaliśmy na jakiś statek. Po niedługim czasie przyплыł holownik ciągnący dwie barki, na któreśmy wsiedli. Po 24 godzinach przybyliśmy do obozu. Poddany zostałem badaniu przez lekarza, jeńca Polaka, który stwierdził grypę, przechodzącą w zapalenie płuc i skierował mnie do szpitala. W szpitalu leżałem około trzech tygodni, z którego wyszedłem w dalszym ciągu bardzo osłabiony. W obozie przebywałem około miesiąc, powracając powoli do zdrowia. W początku grudnia 1915 roku zaczęły do obozu wpływać zapotrzebowania na jeńców do różnych robót, przeważnie do robót polowych. Wszyscy jeńcy jak tylko mogli wykręcali się od pracy. Najbardziej baliśmy się silnych mrozów, jakie wtedy panowały. Przed Świętami Bożego Narodzenia przybyło do obozu dużo chłopów po jeńców, ale nikt nie chciał się zgłosić. Przyczyną nie zgłaszania się było to, że oficerowie - jeńcy austriaccy, będący w obozie, chcąc upamiętnić święta zebrali między sobą około 300 rubli i chcieli je rozdać w wigilię pomiędzy jeńców szeregowych. "Ha-dziaje" byli jednak nieustępliwi. A było ich kilkudziesięciu. Jeden z nich, człowiek młody, dość przyzwoicie ubrany przyczepił się do mnie, tak że w żaden sposób nie mogłem się od niego odczepić. W pewnym momencie skorzystałem z jego nieuwagi i wmieszałem się w tłum, a on wziął sobie innego

jeńca. Ja wpadłem w ręce innego chłopca i pod przymusem konwojenta musiałem się zgodzić na wyjazd. Po załatwieniu wszelkich formalności jeszcze tego samego dnia wyjechaliśmy z obozu do pracy na wieś. Jechaliśmy dwoma saniami (5 osób) - czterech Rumunów i ja jeden - Polak. Jechaliśmy po zamrzniętym Irtyszu w kierunku południowym. Wreszcie przybyliśmy do wioski zwanej Smołkińska i tu zanocowaliśmy. Na następny dzień zostaliśmy przydzieleni do poszczególnych gospodarzy. Po mnie przyjechał "hadzaj" z niedalekiej wioski zwanej Nikityńska. Jechaliśmy na saniach zaprzęgniętych w jednego, dobrego konia. Do Nikityńska było około 5 wiorst. Jak okiem sięgnąć tylko błyszczący śnieg. Ja otulony w obszerne futro nie odczuwałem zimna, chociaż mróz był siarczysty. Jechaliśmy ile koń wyskoczy, tak że w niespełną pół godziny byliśmy na miejscu. Wioska niewielka, około czterdzieści gospodarstw. Zabudowania to przeważnie ziemianki lub plecionki chrustu na które narzucono grubą warstwę gliny. Budynki gospodarcze, szopy, obory, spichlerze zbudowane były podobnie. Trafiły się też zabudowania z drzewa. Długość wsi wynosiła około jednej wiorsty. Zabudowania ciągnęły się po obu stronach drogi. Mieszkańcy przeważnie pochodzenia małopolskiego. Byli też między nimi pochodzenia polskiego. Świadczyły o tym nazwiska: Hordyński, Świętorzyński, Osyczkański, Zalewski, Ratusz-ny, Scipura i inne.

Przyjechaliśmy na miejsce. Ziemianka zasypiana była śniegiem, tylko dym unoszący się z komina wskazywał, że mieszkają tu ludzie. Wchodząc do izby zauważyłem ład i porządek. Ściany wybielone i pomalowane domowym sposobem. Podłoga pomalowana gliną, gospodyni i dzieci przyzwoicie ubrani. Pomyślałem sobie, że może da się tu wytrzymać. Gorzej było z robotą. Trzeba było oporządzić 15 sztuk bydła, 6 koni i 30 owiec. Wstawało się wcześniej rano o godz. 4-tej, wyrzucało obornik, zadawało paszę zwierzętom, odśnieżało. Studnia była niedaleko od zabudowań (około 50 m). Aby cały inwentarz napoić trzeba było wyciągnąć około 80 wiader wody. Poilo się raz na dzień. Jeżeli zabrakło siana trzeba było jechać po niego w step. Wieczorem znowu zadawanie paszy i tak codziennie w koło macieju. Jedzenia było pod dostatkiem, ale za to pracy ponad siły. Do tego mróz dokuczał, że trudno było wytrzymać. Tak zacząłem rok 1916 i w tych warunkach czekałem cierpliwie wiosny. Wreszcie nadchodzi wiosna, która na Syberii przychodzi nagle. Wielkie masy śniegu od silnych promieni słońca szybko giną. Ziemia szybko obsycha, tak że w przeciągu kilkunastu dni można przystąpić do siewu i innych prac wiosennych. A więc jedziemy z gospodarzem w pole orać. Dookoła jak wzrokiem sięgnąć pola uprawne, poprzepłatane stepem i dość dużymi kępami brzoźowych lasów. Uchwałą ogólnego zebrania wioski step podzielony jest na cztery różne części zależnie od potrzeb. Każdy z osadników, jak już wspomniałem, posiadał tyle ziemi ile był w stanie obrobić. Ziemi było pod dostatkiem. Każdy gospodarz wybierał sobie kawałek ziemi odpowiedni do uprawy, ale tylko w tej części stepu, która przez ogólne

zebranie przeznaczona była na uprawę. Pole, które wziął w użytkowanie, nikt nie mógł zabrać. Użytkował go przez cztery lata, a czasem i dłużej. Zależało to od tego jak długo ziemia rodziła. Gdy ziemia przestała rodzić zapuszczano ugór i przechodzono na inne części stepu, na których wcześniej pasło się bydło lub koszone trawę. Nawozów żadnych nie stosowano. Gleba była lekko próchniczna na podłożu lekkiej gliny, przepuszczalna i dość urodzajna.

Wiosna na Syberii przychodzi dość późno, około połowy maja. Z pobytu w tej wiosce nie byłem zadowolony. Wciąż myślałem w jaki sposób zmienić miejsce pobytu? Najważniejszą podstawą było to, że gospodarz był wyznawcą jakiejś sekty, która świętowała w sobotę a pracowała w niedzielę. Ja nie chciałem pracować w niedzielę tylko w sobotę. Z tego powstało niezadowolenie i spór, który przeniósł się do władz gminnych. Gospodarz skarżył się na mnie, że nie chcę pracować i że on z tego powodu ponosi straty, itp. Ja tłumaczyłem, że od roboty się nie wymiguję, a że w niedzielę nie chcę pracować, to wynika m.in. z zarządzeń państwowych. Naczelnik gminy do którego byłem odstawiony wysłuchał mego zeznania. Decyzję miał podjąć następnego dnia a mnie zaś kazał zamknąć w areszcie. Noc w areszcie była straszna. Z chwilą gdy zrobiło się ciemno, położyłem się na drewnianej koi próbując zasnąć. Było to jednak niemożliwe z powodu masy pluskw, które rzuciły się na mnie z wielką żarłocznością. Widocznie dawno nie miały takiego gościa. Jak mogłem tak opędzałem się i w tym opędzaniu doczekałem utęsknionego dnia. Rano przychodzi naczelnik z jakimś gospodarzem i mówi: "Pójdiesz do tego gospodarza, będziesz mu pomagał w pracy. Gospodarz dobry i będzie ci u niego dobrze". Popatrzyłem na gospodarza, starszy człowiek, ale jeszcze dość krzepki. Bojąc się, że następną noc spędzę znów w areszcie, odpowiedziałem: "Pójdę". Razem z gospodarzem przybyliśmy do jego domu. Dom stary, drewniany w dobrym stanie. Obok spichlerz, szopy na wozy, sanie i inne sprzęty. Szerokie zagony ogrodzone płotem., wyplatany chrustem i tymże przykryte - dla bydła, koni i owiec. Chroniły one w lecie zwierzęta od słońca, a w zimie od śniegu i wiatru. Gospodarstwo nie było małe, więc i roboty czekało mnie sporo. Koni do pracy było 8, bydła 20 sztuk w tym 12 krów dojnych, reszta młódź; 10 koni stadniny tj. klaczy i młódź, nad którymi czuwał jeden dobry ogier. Nie dopuszczał do oddalania się od stada i bronił przed wilkami. Zorientowawszy się ogólnie co do zakresu moich obowiązków, zapytałem gospodarza ile miesięcznie będzie mi płacił, bo o to najbardziej mi chodziło. Gospodarz rzekł: "10 rubli dam". Myślałem sobie, że nie jest tak źle. Chociaż roboty dużo, to na czarną godzinę będzie można coś zaoszczędzić. Była to sobota, pierwsza połowa lipca 1916 r. Zaraz po obiedzie pojechałem z 10-letnim chłopcem w step kosić trawę dla koni, które były na gospodarstwie. Na drugi dzień, tj. w niedzielę rano, gdy jeszcze leżałem, przychodzi do mnie jeniec austriacki i opowiada mi, że cieszy się, że jeden Polak będzie we wsi i że w tej wsi jest kilkunastu

jeńców, że jest trzech Czechów, trzech Węgrów, trzech Niemców, czterech Słowaków, trzech Żydów i ja, jeden Polak. Ze wszystkimi żyłem w przyjaźni i zgodzie. W tę niedzielę po południu wybieramy się z gospodarzem i wszystkimi domownikami do zbioru siana. Zabraliśmy wszystkie potrzebne maszyny: kosiarki, grabiarkę i odpowiednią ilość koni, potrzebnych na zmianę do maszyn. Po przyjeździe na step obieramy odpowiednie miejsce, na którym jest piękna trawa, budujemy namiot, czyli jak Rosjanie nazywają "bałagan". Przygotowujemy ognisko i na tym miejscu będziemy aż do ukończenia sianokosów. Do wsi będziemy przyjeżdżać tylko w celu umycia się i zmiany bielizny oraz zaopatrzenia w żywność. W ten sam sposób postępują wszyscy pozostali gospodarze. Przy zbiorze siana każdy się spieszy, żeby jak najszybciej zakończyć prace. Wszystkie gospodarstwa oparte są na chowie bydła i dostarczaniu wielkiej ilości mleka do mleczarni jako głównej gałęzi dochodu. Praca przy sianie i jego zbiorze jest bardzo wyczerpująca. Długi dzień, wielkie upały, ogromne ilości komarów, ciągle oganianie się przed nimi wyczerpują siły człowieka. Wysuszone siano zostaje na miejscu koszenia, składane na niewielkich stogach (około dwie fury siana), które będzie się wozić dla inwentarza dopiero w zimie. Sprzęt siana w zachodniej Syberii kończy się pod koniec lipca. Wszyscy "hadziaje" rozjeżdżają się po chutorach. Ponieważ do żniw jest jeszcze około 2 tygodni, wykorzystują ten czas na przygotowanie roli do następnych wiosennych siewów. A robi się to tak. Obiera się odpowiedni obszar stepu lub ugoru, płytko się pokłada (podoruje) i gdy taka podorywka poleży 2 tygodnie, pod wpływem słońca i rosy kruszeje i przy użyciu bron łatwo rozsypuje się i rola gotowa jest do orki, która nastąpi po zbiorze zbóż. Żniwa zaczynają się końcem sierpnia. Każdy się spieszy aby jak najprędzej zebrać i zwieźć do stogów. Stodół nie widziałem w tych miejscach, gdzie przebywałem. Po zwiezieniu zboża do stogów, jedni przystępują do młocki, inni do orki, przygotowując role do wiosennych siewów.

Wioska w której przebywałem założona została przed 150 laty przez osadników z centralnej Rosji, zesłanych tutaj za różne przestępstwa. Zabudowania ładne, budowane planowo obok głównej drogi, ulicy z jeszcze jedną ulicą poprzeczną, mniej więcej w połowie wsi. Wieś dość duża, około 180 gospodarstw. W wiosce był zarząd gminny (Wołost), do którego należało 14 różnej wielkości sąsiednich wiosek. Była cerkiew, szkoła w której uczono tylko w zimie i to tylko kto chciał. Był młyn (własność żydowska), były także 2 sklepy i poczta, która była dla nas jeńców wielkim dobrodziejstwem, bo można było wysłać list do rodziny lub otrzymać od nich wiadomości. Niedaleko głównego traktu Omsk - Tobolsk, stanowiącego niegdyś granicę pomiędzy Rosją a Hanatem Tatarskim były mogiły i kurhany. Pokazywano mi również na tym trakcie mogiły pomordowanych powstańców z 1863 roku, którzy jakoby nie chcąc dalej iść, rzucili się na konwojentów. Na skutek tego buntu we wszystkich pobliskich wioskach i osiedlach zarządzono alarm.

Każdy "hadzaj" siadał na koń, zabierał ze sobą dubinki (dębowe pały) i inne podręczne narzędzia, stawał na oznaczone miejsce do uśmiercenia "miałuzników". W tej walce zginęło kilku Polaków, których złożono do wspólnej mogiły. Reszta powstańców rozbiegła się po chutorach i osadach syberyjskich. Rząd carski wydał rozkaz wyłapywania powstańców i odstawiania ich do odpowiednich władz. Między ówczesną ludnością szerzyła się taka pogłoska: nie donosić i nie odstawiać zbiegów, tylko dać im jeść i niech sobie idą dalej, w przeciwnym razie mogą się mścić, paląc chałupy. Opowiadała mi o tym stara kobieta. Mogiłę pomordowanych widziałem na własne oczy, jadąc obok po ropę do młyna motorowego.

Sytuacja na wsi syberyjskiej według opowiadań niewiele się zmieniła od czasów przedwojennych, a w niektórych przypadkach poprawiła się. Ogromne zapasy *zboża*, bydła i wszelkich płodów rolniczych znalazły nabywców, szczególnie dla zaopatrzenia armii. Żywności na wsi syberyjskiej było pod dostatkiem, gdy w tym samym czasie w Rosji europejskiej dały się odczuć jej braki.

Rok 1916. Żniwa skończone. Zaczyna się młócenie zboża. Przy młocce sąsiad sąsiadowi pomagał i nieraz młocka ciągnęła się dwa tygodnie i dłużej. Czas pracy zależna była od szybkości młócej maszyny. Najgorzej było z tym, że omlócone zboże w dzień, w nocy odstawiało się do spichlerza położonego we wsi oddalonej o około 12 wiorst. I tak codziennie, raz gorzej, raz lepiej. Tak ciągnęło się do późnej jesieni. Śnieg zaczyna padać. W polu nie ma już roboty. Ze wszystkich chutorów cały inwentarz żywy pędzą do wsi, do stałych zabudowań, gdzie będzie przebywać aż do wiosny. Na chutor będą przyjeżdżać przez całą zimę po słomę, siano, plewy i drzewo na opał.

Po przybyciu z chutoru do wsi otrzymałem kartkę od żony. Pisze mi, że jest zdrowa, matka też i że z najbliższej rodziny nikt nie umarł. Na tym koniec, bo więcej pisać nie było można. Żyję w tęsknocie za najbliższymi, a tu już nadszedł trzeci rok wojny, której końca w dalszym ciągu nie widać. Armia rosyjska wycofała się z Polski i Litwy. Gazety rosyjskie udowadniają, że walka będzie prowadzona aż do ostatecznego zwycięstwa, a cofanie się armii ma na celu zajęcie odpowiednich pozycji z których nieprzyjacielowi będzie zadany śmiertelny cios. Jednak do tego nie doszło. Armia carska będąc stale w odwrocie nie mogła wykonać zamierzonego ciosu. Mogła natomiast wstrzymać dalszą ofensywę państw centralnych, co wpłynęłoby na wzmocnienie frontu zachodniego, a tym samym wcześniejszego zakończenia wojny i pomyślniejszego zawarcia pokoju. Rewolucja rosyjska jednak pokrzyżowała cały plan państw Ententy.

Dnia 25 lutego 1917 r. manifestacja robotników Rady Piotrogradzkiej przeobraziła się w powstanie. Zaczęto rozbrajać policję i żandarmerię. Tworzono własne oddziały zbrojne. W ostatnich dniach lutego powstał Rząd Tymczasowy na czele z księciem Lwowem. Do rządu tego weszli m.in.: Miliokow, Grieczkow i Kiereński. Dnia 17 marca pod naciskiem korpusu oficerskiego zrzekł się tronu car Mikołaj II na rzecz swego brata księcia

Michała. Tenże zrzekł się z przyznanych mu praw do tronu rosyjskiego i tak skończyły się czasy panowania dynastii Romanowych. W końcu lutego 1917 r., gdy objął władzę Tymczasowy Rząd Kiereńskiego wydano odezwę do całego narodu rosyjskiego i całej armii, że walka z państwami centralnymi przy boku Ententy prowadzona będzie bez zmian, aż do pełnego zwycięstwa. Niemcy i Austria oraz kraje należące do nich, strasznie wykrwawione i wymęczone, szukały sposobu zakończenia wojny. Najlepszą okazją do zakończenia wojny i początku rewolucji były zarządzenia Rządu Tymczasowego (Kiereńskiego), który wydał dekret o wolności słowa, prasy, zebrań, itp. Dało to agentom niemiecko-austriackim możliwość, znalezienia w Rosji takich ludzi, którzy by przy pomocy państw centralnych mogli uformować taki rząd z którym by mogli zawrzeć oddzielny pokój, a wszystkie wojska przerzucić na front zachodni, pobić wojska Ententy i zmusić do kapitulacji. Państwa centralne wiedziały dobrze, że do takich ludzi należał Lenin, który wówczas znajdował się w Szwajcarii wraz ze swymi współpracownikami. Był on zaciętym wrogiem cara i Tymczasowego Rządu Kiereńskiego. Niemcy już poprzednio prowadzili rozmowy z władzami Rosji, gdyż Lenin właśnie w tym celu przebywał w Szwajcarii. Należało jednak poczekać aż sprawa rewolucji w Rosji dojrzeje.

W początku marca 1918 r. przenieśliśmy się do miejscowości Rezino, w której było kilku Polaków, pracujących u zamożnego Polaka, niejakiego Hojnowskiego, wnuka powstańca z 1863 r. Często schodząc się na wspólne rozmowy, zastanawialiśmy się jakie stanowisko po abdykacji cara zajmie rząd Kiereńskiego odnośnie jeńców Polaków i Polski. Bardzo pocieszającym dla nas był fakt, że Rząd Tymczasowy będzie dążyć do tego aby po skończonej wojnie powstała wolna i niepodległa Polska ze wszystkimi ziemiami do niej należącymi. W tym też celu wydano rozkaz do całej armii o wyłączeniu wszystkich Polaków z armii rosyjskiej i sformowaniu oddzielnej armii pod dowództwem polskim. Miały powstać 3 korpusy: jeden na Białorusi Dowbor-Muśnickiego, drugi na Ukrainie Osińskiego i trzeci Zieleniewskiego.

Napływ do formacji polskich był bardzo duży. W armii rosyjskiej miało służyć około 2 miliony żołnierzy i oficerów i około 100 generałów - Polaków. Były też pogłoski, że do formujących się oddziałów będą przyjmowani Polacy, jeńcy z armii austriackiej i niemieckiej. Wśród różnych planów i koncepcji ustrojowych na pierwszy plan wysunął się ustrój bolszewicki pod wodzą Lenina, przybyłego ze Szwajcarii, który ogłosił dekret o wolności, równości i samodzielności wszystkich narodów i jak najszybsze zakończenie wojny. W tym celu Lenin przedłożył państwom centralnym propozycję zawarcia oddzielnego pokoju. Państwa centralne wraz ze swymi sprzymierzeńcami (Niemcy i Austria) z radością przyjęły propozycję Lenina i natychmiast przysłały swoich delegatów do Brześcia n/Bugiem, wybranego przez Lenina jako miejsce układów pokojowych. Rozmowy trwały krótko i początkiem marca 1918 r. zostały zakończone.

Sprawa polska została potraktowana po macoszemu. Np. Lenin żądał przyłączenia do Ukrainy Ziemi Białostockiej, Lubelskiej i Lwowskiej. Zgodził się również na pomoc Niemcom przy rozbijaniu wojsk polskich, uformowanych za czasów Kiereńskiego. Jak wyżej wspomniałem były to trzy korpusy: Dowbor- Muśnickiego, Osińskiego i Zieleniewskiego. Ten sam los spotkał Brygadę Karpacką, która w 3-dniowej bitwie została rozbita i rozproszona na szerokich obszarach Rosji, oczekując na odpowiednią porę, gdy będzie mogła stanąć do walki o niepodległość Polski.

Największą przeszkodą do wykonania zobowiązań pokojowych przez bolszewików była niemożliwość rozbrojenia pułków czeskich, składających się z jeńców - Czechów, którzy masowo przechodzili na stronę rosyjską do walki z Niemcami. Np. 38 pułk austriackiej obrony krajowej, składający się wyłącznie z Czechów, przeszedł w całości na stronę rosyjską. Na skutek twardej postawy Czechów, żądających przetransportowania swych wojsk na Daleki Wschód, na które to wojska oczekiwała francuska flota wojenna, mająca Czechów przewieźć do Francji i tam walczyć przeciwko Niemcom. Bolszewicy chcąc dotrzymać umowy, nie mając odpowiedniej siły do rozbrojenia Czechów, wszelkimi sposobami starali się utrudniać ewakuację tych wojsk.

Jednak Czesi stali twardo w swoich żądaniach. Wobec tego bolszewicy zgodzili się na przepuszczenie wojsk czeskich. Ewakuacja zaczęła się z końcem marca 1918 r. Bolszewicy mieli ukryty plan. Gdy Czesi się rozciągną, na dłuższą przestrzeń, będą łatwiejsi. I tak się też stało. Gdy pierwsze były już na Syberii, to ostatnie były jeszcze w Rosji, czyli to rozciągnięcie wynosiło półtora tysiąca kilometrów. Wtenczas bolszewicy dali rozkaz Czechom aby wstrzymali dalszą ewakuację i złożyli broń. Czesi nie mając innego wyjścia odmówili oddania broni, uderzyli na bolszewików i rozbili ich załogi znajdujące się na głównej linii od Samary aż do Irkucka nad Bajkałem. Załogi bolszewickie znajdujące się w tych miastach poddawały się lub uciekały, omijając większe miasta i osiedla. Na terenach zajętych przez Czechów został utworzony Rząd Tymczasowy. Stolicą tego rządu zostało miasto Omsk na Syberii. Na oswobodzonych terenach Rząd Tymczasowy postanowił zorganizować armię, której celem miało być ostateczne przepędzenie bolszewików i zorganizowanie rządu demokratycznego powstałego z wolnych wyborów. W tym celu Rząd Tymczasowy wydał odezwę do wszystkich obywateli na oswobodzonych terenach, aby zgłaszali się do armii i do współpracy z rządem. Odezwa Rządu Tymczasowego odniosła wielkie zwycięstwo. Zgłaszali się oficerowie, inteligencja, chłopci, robotnicy. Wojska zajęły takie miasta jak: Nowomikołajewsk, Omsk, Tomsk, Petropawłowsk, Kur-chan, Czelabińsk, posuwając się szybko w głąb Rosji europejskiej. Przy pomocy armii czeskiej organizowały się pułki wojsk polskich, składające się z byłych rot zapasowych Dobowczyków, Żelaznej Brygady Karpackiej, z jeńców austriackich i niemieckich i wielu innych, którym nie udało się przedostać do kraju, a nie chcących się oddać bolszewikom. Celem tych organizacji

była walka przeciw układom pokojowym w Brześciu nad Bugiem, między Niemcami a bolszewikami. Pierwsze miesiące Rządu Tymczasowego były pomyślne. Wojska czeskie i polskie razem z rosyjskimi białogwardzistami robiły wielkie postępy, posuwając się szybko na wszystkie strony. Wkrótce zajęły najważniejszą część Syberii. Przekroczyły Ural i zajęły takie miasta jak: Czelabińsk, Perm, Samara. Sforsowały Wołgę i podeszły pod Kazań, główne wrota na Moskwę. Zdawało się, że władza sowiecka upadnie. Lenin wydał odezwę do wszystkich narodów Rosji celem obrony ustroju bolszewickiego i obrony układów pokojowych zawartych między Niemcami a Rosją bolszewicką w Brześciu nad Bugiem. Tym którzy zgodzili się na przystąpienie do Czerwonej Armii obiecywano wszystko: dwory, fabryki, wysokie stanowiska komisarskie. Te wszystkie pochlebstwa i obietniczki dały możliwość zorganizowania dość sporej armii, zwanej "Czerwoną Armią". W skład tej armii wchodziły też bataliony ochotnicze, składające się w poważnej części z jeńców wojennych: Niemców, Węgrów, Serbów, Chińczyków i wielu innych. Żydów więcej przyjmowano do administracji i propagandy. Z Polaków organizowano oddzielne oddziały. Jak mi opowiadali naoczni świadkowie, że po rozsypaniu polskich korpusów na Białorusi i Ukrainie z blakających się oficerów i szeregowych Polaków uformowano kilka pułków. Przykładowo w Mińsku został zorganizowany 1 Pułk Ułanów Mazowieckich, który niebawem został wysłany na front uralski przeciw Czechom i Polakom. Przeszedł on w całości na stronę białych i był później wcielony do 5 Dywizji Syberyjskiej Waleriana Czumi. Od tego czasu bolszewicy przestali organizować oddzielne pułki polskie.

W tym czasie na terenach zajętych przez Czechów i administrowanych przez Rząd Tymczasowy ściągano wszystkich Polaków - jeńców do najbliższych gmin i powiatów. Zgrupowawszy ich odsyłano do Omska. W ten sposób i ja tam dostałem się. W Omsku wielka była koncentracja Polaków. Masy jeńców austriackich i innych rozbitków z różnych formacji polskich z czasów Kiereńskiego czekały tylko aby wyrwać się w jakiś sposób z "raju bolszewickiego", ale jak? W Rosji i za Uralem trwała wojna. Front. Walczą Czesi, Polacy i białogwardyjskie wojska Rządu Tymczasowego. Nas również zgrupowano po to, aby uzupełnić straty na froncie i wzmocnić pułki polskie będące w stadium organizacji, zwane 5 Dywizją Syberyjską. Gdy nazbierało się nas parę setek, odprawiono nas do Nowonikołajewska do sztabu dywizji. Podróż trwała dwa dni. Wagony niby to "ciepłuszki", a omal nie pozamarza liśmy. Piecyki kiepskie, nie grzały, dymiły tak, że w wielkich męczarniach przybyliśmy na miejsce. Było to w ostatnich dniach listopada lub początkiem grudnia 1918 r. Na stację kolejową w Nowonikołajewsku wyszło po nas dużo żołnierzy i oficerów z zorganizowanych już pułków, jak: 2 i 3 pułk strzelców. Pierwszy pułk i wiele innych oddziałów było jeszcze na froncie bolszewickim za Uralem.

Miedzy witającymi nas miał być podobno pułkownik Walerian Czuma,

dowódca wszystkich oddziałów polskich we wschodniej Rosji. Nas przydzielono do Baonu Szkolnego, którego dowódcą był kapitan Jaworski. Na drugi dzień po przeglądzie lekarskim podzielono nas na plutony i kompanie. Następnie zaczęły się zajęcia od przekładu komendy niemieckiej na język polski. Po kilkunastu dniach z Baonu Szkolnego uformowano 4 pułk strzelców, nad którym dowództwo objął pułkownik Bołdok z armii rosyjskiej. Po kilkudniowych ćwiczeniach postanowiono uformować baon karabinów maszynowych, a dowódcą jego miał zostać kapitan Zatorski. Zezwolono mu na dobór żołnierzy po wszystkich kompaniach czterech pułków. W pierwszym rzędzie wybierał tych, którzy już byli zaznajomieni z bronią maszynową - a z braku takich, dobierał sobie według swoich kryteriów. Takim to sposobem dostałem się i ja do baonu karabinów maszynowych. Służba w tym baonie odbywała się systemem angielskim (Kolt) z rozbierania, składania, naturalnie strzelania i była dość ciekawa. Tak to trwało do miesiąca kwietnia 1919 r. Walka z bolszewikami trwa. Rząd Tymczasowy upadł. Nad cały wojskiem objął władzę dyktator admirał Aleksander Kołczak. W samym rządzie syberyjskim elementy reakcyjno-czarnociemne wzięły górę nad wolnościowo-rewolucyjnymi. Wobec jawnej już niechęci zarówno żołnierza czeskiego, jak i polskiego do walczenia na froncie o restaurację carskich porządków w Rosji, przybyły na Syberię jako organizator wojsk koalicyjnych francuski generał Żaneu, przeznaczył je do ochrony kolei syberyjskiej przeciwko mnożącym się powstaniom. Dywizja polska otrzymała zachodni odcinek kolei na tyłach armii kołczakowskiej wraz z odnogami Tatarskaja, Sławgorod i Nowonikołajewsk, Siemipolatyńsk. Czesi wycofując się z frontu objęli linię kolei transsyberyjskiej wraz z bocznymi dojazdami od Nowonikołajewska aż po Irkuck nad Bajkałem.

Powrócę do spraw pracy w garnizonie, która pomimo wszystkiego szła naprzód. Zorganizowane zostały 1, 2, 3 pułk strzelców, 1 pułk kawalerii, 1 pułk artylerii, batalion kadrowy, batalion szturmowy, szkoła oficerska, oddziały żandarmerii. W sumie miało to stanowić około 14 tyś. Ludzi. Wszyscy czekali na te chwile, kiedy będzie można opuścić tę zdziczałą Syberię. Gazetka "Żołnierz Polski" z której czerpaliśmy najwięcej wiadomości pocieszała nas, że staraniem Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu zacznie się ewakuacja wojsk przez Daleki Wschód. Żadnego jednak ruchu w tym kierunku nie było, przynajmniej w naszej dywizji. Ale gdy zaszedłem na stację kolejową zauważyłem niezwykle ruch. Dużo pociągów osobowych wypełnionych cywilami i różnym bagażem podążało w kierunku wschodnim. Dowodziło to, że wojska Kołczaka cofają się, tylko my Polacy jako jedyni pozostajemy na tyłach wojsk czeskich, bo Polska prowadzi wojnę z bolszewikami a bić wroga z tyłu czy z przodu to wszystko jedno - tak nam mawiali Czesi. Któregoś dnia czerwca 1919 r. przyszedł rozkaz do naszego baonu, aby wydelegowano ośmiu ludzi do konwojowania pociągu żywnościowego, odjeżdżającego do Irkucka, dokąd miały nadchodzić następne pociągi z intendenturą

i wojskiem. W Irkucku mieliśmy przegrupowani i dalej na Daleki Wschód, gdzie miały na nas czekać okręty francuskie i angielskie. Takie były plany, które z wiadomych przyczyn nie spełniły się. Do konwoju pociągu wyznaczono również i mnie. Jechaliśmy kilka dni. Wreszcie przybyliśmy do Irkucka, oddaliśmy cały transport magazynierowi, którym był jakiś polski oficer. Po załatwieniu wszelkich formalności siadamy na pierwszy lepszy pociąg osobowy i powracamy do Nowonikołajewska. Podróż trudna, straszny ścisk, dalsza jazda pociągiem osobowym niemożliwa. Przesiadamy się na pociąg towarowy i z trudem dopchaliśmy się do swoich oddziałów. Na miejscu dał się zauważyć wielki ruch, np. gromadzono wagony, przygotowywano w wagonach prycze, ustawiano kuchnie polowe, robiono wiele innych zabiegów mających służyć ewakuacji. Na froncie bolszewicko-kołczakowskim walki trwają. Bolszewicy w niektórych rejonach przekroczyli Ural i zajęli wiele miast takich jak: Tiumeń, Czelabińsk, Petropawłowsk. Na Syberii trwają walki z partyzantami i wojskami bolszewickimi, które przedzierały się na tyły wojsk kołczakowskich, napadały na wojska polskie stacjonujące na linii Sławgorod, jednak zostały odparte ponosząc straty. W krótkim czasie zameldowano, że w okręgu kmolińskim pojawiły się wielkie grupy wojsk bolszewickich, przeciw którym natychmiast wysłano kilka kompanii 1 pułku strzelców wraz z trzema szwadronami ułanów. Wojska polskie rozproszyły bolszewików, zadając im poważne straty. Nieco później doniesiono, że jakiś silny oddział wraz z partyzantami pozajmował tereny między Sławgorodem a Nimusińskiem, przeciw którym wysłano 8 kompanię 3 pułku pod dowództwem kapitana Surowatki. Na oznaczone przez polski wywiad miejsce przywieziono nas na "telagach muzycznych". Jedziemy więc. Przejechaliśmy jedną wioskę, drugą wjechaliśmy w jakiś step porośły brzezina. Nic, cisza. Jedziemy dalej. Gdy przejechaliśmy jakąś wioskę z tyłu za nami odezwały się strzały. Przyspieszywszy jazdę wjechaliśmy na niewielkie wzgórze za wsią, na którym stał wiatrak. Nasz dowódca zorientowawszy się, że jesteśmy w okrążeniu dał rozkaz: "Wszyscy z wozu! Padnij!". Dał również rozkaz kopania kolistego rowu. Tę robotę wykonaliśmy na leżąc, pod silnym ogniem bolszewickim. Bolszewicy strzelając do nas nie mieli dobrego celu, bo byliśmy ukryci w wielkiej trawie stepowej. Nim jeszcze zmierzch nastał bolszewicy przypuścili do nas silny ogień z broni ręcznej i maszynowej, na który nie odpowiadaliśmy, zgodnie z rozkazem naszego dowódcy kapitana Surowatki. Po kilku minutach ostrej strzelaniny zupełna cisza. Po jakiejś godzinie czasu znów ostra strzelanina i to ze wszystkich stron. Mamy rannych. Wybito wszystkie konie, które służyły za podwody. Po północy zorientowaliśmy się, że atakowani jesteśmy przez przeważające siły wroga. W dalszym ciągu wyczekiwaliśmy na rozkaz naszego dowódcy. Gdy bolszewicy zbliżyli się na jakieś 100 metrów z okrzykiem uuura!, dowódca dał rozkaz wyrzucić pierwsze ręczne granaty (każdy żołnierz posiadał ich cztery). Po rzuceniu granatów poszła w ruch broń ręczna i maszynowa. Ale to trwało krótko,

nastąpiła cisza. Polacy spodziewając się, że bolszewicy powtórzą szturm, przygotowują się do obrony. Opatrują rannych, poprawiają okopy, gromadzą amunicję w dogodnych miejscach i oczekują dalszych ataków. Około godz. 1-ej po północy następny szturm, tym razem ostatni. Bolszewicy dostali jeszcze solidniejszą lekcję. Gdy nastał dzień obrońcy zauważyli w oddali od okopów dużo zabitych bolszewików. Rannych nie było, widocznie zabrali ich ze sobą. Tak zakończyła się bitwa 8 kompanii 3 pułku w dniu 10 września 1919 r. Od tego czasu na tym odcinku uspokoiło się. Natomiast na linii Barnauk - Siemipolatyńsk doniesiono o silnym zgrupowaniu bolszewicko-partyzanckim. Przeciwno tym ugrupowaniom wysłano dwie kompanie naszego batalionu, jedną baterię artylerii i szwadron ułanów. Całe wojsko załadowano do wagonów i odesłano w kierunku na Barnauk. Jadąc przyszło mi na myśl, że przed czterema laty jako jeńiec płynąłem na parostatku w tym samym kierunku, gdyż linia kolejowa nie była jeszcze ukończona. Dzisiaj jadę jako żołnierz. Co będzie dalej? Czy Polska, która powstaje na nowo będzie miała pożytek z naszego wysiłku? Na to pytanie wtedy nikt nie umiał odpowiedzieć. Byliśmy wojskiem i winniśmy wykonywać rozkazy wydane przez nasze dowództwo. Inaczej być nie może. Tak dyskutując na różne tematy przybyliśmy do miasta i tu wyładowaliśmy się z wagonów by wymaszerować w kierunku południowo-wschodnim, wzdłuż siemipolatyńskiej linii kolejowej. Maszerowaliśmy w kolumnie, z przodu kawaleria, za nią piechota na muzyckich saniach, na końcu artyleria.

Przyjechawszy do wielkiej wsi zanocowaliśmy w niej. Na drugi dzień zwiadowcy polscy donieśli, że oddziały bolszewicko-partyzanckie odeszły w kierunku Siemipolatyńska. A niech sobie idą do diabła. Nasz dowódca zarządził odwrót w poprzednim porządku. Przybywszy do pociągu w miejscu, w którym go opuściliśmy, ogarnęło nas zdziwienie. Wagony zimne, nie opalone, pryncie zniszczone. Przyczyną zdemolowania pociągu było to, że przy opuszczeniu pociągu przez nasze oddziały, opiekę nad nim pozostawiono oddziałom litewskim. Litwini zbuntowali się, aresztowali swoich oficerów, zatarasowali drogę przez rozebranie szyn i wykolejenie lokomotywy. Sami zaś zbiegli do bolszewików. Z tej przyczyny musieliśmy pozostać w wagonach, pełniąc służbę w ostrym pogotowiu. Po naprawieniu torów, co zeszło około dwóch dni, powróciliśmy do Nowonikołajewska.

Po przybyciu do Nowonikołajewska zajęliśmy miejsca w wagonach dla nas przygotowanych, ciasnych i niewygodnych. Niektóre oddziały już odjechały, bardzo wolno posuwając się w miarę usuwania się Czechów. Najpierw z miasta odesłano rannych i inwalidów, za nimi różne formacje wojsk. Brak opału, wody, utrudniał nasze posuwanie się. Braki węgla uzupełnialiśmy drzewem, a brak wody - śniegiem. Rozciągnięcie dywizji na setki kilometrów utrudniało porozumiewanie się. Pracując bez wytchnienia dniem i nocą z dużymi trudnościami dotarliśmy do Krasnojarska i zajęliśmy wszystkie placówki po odjeżdżających Czechach. Tu też dowiedzieliśmy się, że nasze

oddziały, pozostające w awangardzie natrafiają na silne ugrupowania bolszewickie i prowadzą z nimi ciężkie walki. Np. na linii kolejowej Tajga - Tomsk bolszewicy zajęli stację jeszcze przed przybyciem naszych wojsk i o którą to stację wojska polskie stoczyły dwudniową bitwę, wymykając się z okrążenia. Dalsze posuwanie się było coraz trudniejsze. Brak opału, wody, ostre pogotowie z karabinem w rękę w dzień i noc, doprowadziło do ogólnego wyczerpania. Widząc te ogromne trudności, generał francuski Janin, który był dowódcą wszystkich wojsk, ogłosił neutralność, że niby to z armią bolszewicką nie chcemy mieć żadnych zatargów. Nam zależy na tym, aby jak najszybciej opuścić Syberię i przez Daleki Wschód powrócić do Polski.

Bolszewicy korzystając z tego zarządzenia o neutralności przysłali swoich delegatów na stację Klukwiennaja w celu zawarcia umowy kapitulacyjnej. Delegacja armii bolszewickiej zgadzała się na wszystko. Rząd sowiecki będzie starał się odesłać wszystkich jeńców do swoich krajów, a Polaków w szczególności. Obiecanki te trwały tak długo, dopóki nie uporano się z armią Kołczaka, którą rozbito pod Krasnojarskiem. Po kapitulacji większa część naszej dywizji została w Krasnojarsku i w okolicach gubernii Jenisiejskiej. Część uciekła, rozpiezchając się we wszystkie strony. Tym, którym udało się przedrzeć do Irkucka, odsyłano do Władywostoku, a stamtąd okrętami francuskimi przez Ocean Indyjski do Adenu i przez Kanał Sueski do Francji i Polski. Było nas kilkaset osób, około 2 bataliony z całej dywizji. Koncentracja nasza odbyła się w Warszawie w 1920 r. w czasie, gdy bolszewicy szli na stolicę i gdzie w kontrataku brał udział nasz pułk uformowany z żołnierzy 5 dywizji (opowiadał mi o tym mieszkaniec Nartu, spotkany w młynie na Wilkach, który był uczestnikiem tej niezmiernie długiej podróży, jako żołnierz 5 dywizji).

Jak już wspomniałem, tym którym po kapitulacji nie udało się zbiec lub ukryć się, zostali umieszczeni w obozach i łagrach. Inni jeszcze zostali w zwykłych wagonach, marzli niemiłosiernie, cierpiąc-głód. Jedynym pożywieniem mięsnym była konina z pozabijanych koni w walkach bolszewicko-kołczakowskich, zakończonych w rejonie Krasnojarska. To było w grudniu 1919 r. Z reszty jeńców 5 dywizji uformowano Brygadę Inżynieryjną, którą podzielono na różne pododdziały: kolejowe, budowlane, żeglugowne i wiele innych. Dużo też osób - komunistów zostało umieszczonych pod ścisłym dozorem. Cierpieli strasznie. Głód, ciasnota, wszawica były powodem wybuchu epidemii tyfusu, przeniesionej z łagra, w którym zamknięci byli rozbitkowie armii Kołczaka. Razem z uciekinierami zginęło około 40 tys. ludzi. Nasz oddział budowlany umieszczono w wagonach i wywieziono w lasy za Krasnojarskiem. Pozostawiono nas na bocznym torze, podzielono na grupy, dano narzędzia. Budowaliśmy baraki na wielki obóz, który tu miał powstać.

Karmiono nas marnie, w dalszym ciągu słonina i to w niewielkich ilościach. Chleba wydawano około 60 dkg na osobę a czasem mniej, do tego parę dkg palonego jęczmienia na kawę. Jeść się chce coraz bardziej, ludzie

chorują. Karmią tylko propagandą, że wkrótce zwyciężą i wtedy będzie prawdziwy raj. We wszystkich oddziałach kładą nacisk na zakładanie kółek komunistycznych. "Jaczejek", do których przysyłają masy bibuły komunistycznej. Do "Jaczejki" nikt nie chce się wpisać, chyba że delikwenta zmuszą, a i tak albo po jakimś czasie wycofuje swoją przynależność i ucieka z obozu. W naszym oddziale przymusowo zorganizowano "Jaczejkę", której sekretarzem wyznaczono Bolesława Piechowskiego z zawodu inżyniera, wnuka powstańca z 1863 r. Piechowski był tak przygnębiony nominacją na sekretarza, zdawało się, że zwariuje. Wreszcie oświadczył przed kilkoma kolegami, że nie będzie dłużej męczył się i myśli o ucieczce. Jak powiedział, tak i zrobił. A ponieważ z urodzenia Sybirak i mając rodzinę w Tomsku nie było mu trudno ukryć się. Po jego zniknięciu, w naszym oddziale wielki ruch. Nasłano czekistów, którzy nic nie robili, tylko węszyli, podsłuchiwali. Dużo osób aresztowali i wywieźli nie wiadomo dokąd. Sprawa ucieczki Piechowskiego może by i przycichła, gdyby nie sam Piechowski, który przyjechawszy do Tomsku, napisał list do naszej grupy wymieniając w nim moje nazwisko. Piechowski nie spodziewał się, że w "Bolszewii" tajemnica korespondencji nie istnieje. Po dwóch tygodniach od jego zniknięcia, wezwał mnie do siebie Niejaki Jan Wierzan - żołnierz 5 dywizji. Później okazało się, że był agentem Czerezwyczajki Krasnojarskiej i z jego przyczyny dużo Polaków zostało aresztowanych i poniosło śmierć. Pokazując mi list od Piechowskiego, adresowany na moje nazwisko, kazał mi go przeczytać. Najważniejsze słowa w tym liście: "Przyjechałem do Tomsku. Podróż miałem niebezpieczną. W pociągi i na wszystkich stacjach pełno czekistów przybyłych z Rosji. Nie radzę Wam ruszać z obozu, końca czekajcie na miejscu. Patrząc codziennie na pociągi z wojskiem i uzbrojeniem, zdążające na zachód na front polski, nie jestem obojętny na to i zorganizowałem sporą grupę celem, której jest utrudnianie przejazdu im". Po przeczytaniu tego listu, którego nie przyjąłem, idąc do wagonu, w którym mieliśmy kwatery przez całą drogę myślę: co będzie dalej? Byłem pewny, że zostanę aresztowany i że Wierzan nie przyjdzie po mnie sam, ale wyśle kogoś innego. Co tu robić? Uciekać nie ma gdzie. Gdy złapią, nie będzie żadnych wykretów. Tak rozmyślając położywszy się, zasnąć nie mogłem. Byłem pewny, że tej nocy mnie zabiorą. Tak też się stało. Około północy biją kolbami we drzwi naszego wagonu. Ktoś otwiera, wołają: "Adam Nowak jest takoj! Wychodzi z wieszczami (rzeczami)!" Nie ma innej rady, trzeba iść. Ubrałem się szybko i wychodząc widzę dwóch uzbrojonych konwojentów. Pytam się ich, gdzie mnie mają odprowadzić? Odpowiedzieli, że na stację kolejową. Popatrzyłem się na nich, obaj tęgie chłopcy. Jeśli będą chcieli mnie poprowadzić na miejsce skąd nikt nie powraca, będę próbował uciekać. Moi opiekunowie może zauważyli to, zaczęli ze mną rozmawiać, częstując mnie machorką. Powiedzieli mi, że na stacji kolejowej będziemy czekali na pociąg odjeżdżający do Krasnojarska i oddadzą mnie do dyspozycji komendanta brygady.

Robi się dzień. Nadchodzi pociąg, wsiadamy. Na miejscu, w Krasnojarsku prowadzą mnie do komendy brygady i oddają mnie i dokumenty komendantowi. Komendant brygady, były serbski jeńiec, człowiek jeszcze młody długo zastanawiał się przeglądając papiery. Wśród dokumentów zauważył list od Piechowskiego, dał mi go do rąk i kazał czytać. Ja czytałem te zdania, które były mniej obciążające, a gorsze opuszczałem. Nie wiem czy komendant to rozumiał, czy nie rozumiał. Odebrał mi ten list i napisał coś na rogu tego listu. Zawołał konwojenta, dał mu plik papierów, do których załączył wspomniany list i odesłał dalej. Było to w ostatnich dniach kwietnia 1920 r. Dzień pogodny i ciepły. Idziemy ulicami Krasnojarska zdążając w kierunku wielkiego placu (ryнку), na którym stała wielka budowla otoczona zasiekami z drutu kolczastego. Na froncie budynku nad wielkimi drzwiami ogromny szyld na którym napisane były następujące słowa: "Guberskaja Czerezwyczajna Komisja do Borby z Kontrrewolucją Sabotażem i Spiekulacją". Drzwi frontowe otwarte. W głębi korytarza na betonowym podwyższeniu ustawiony był karabin maszynowy z lufą skierowaną do drzwi wejściowych. Zaraz przy wejściu oddany byłem wartownikom Czerezwyczajki. Następnie odprowadzono mnie na I piętro i oddano do dyspozycji jakiegoś Żyda o nazwisku Baranowski vel Barański. Śledczy przywołał mnie do stołu, kazał mi usiąść. Rozłożył papiery, wyjął list od Piechowskiego i kazał mi czytać. Sam zaś wziął się na język rosyjski. Poza moimi danymi personalnymi nie zdołał więcej napisać, gdy w sąsiedniej sali powstał wielki krzyk, widocznie kogoś mordowano. Śledczy nie ukończywszy protokołu, spisał te wszystkie szpargały, zawołał z korytarza wartownika aby mnie pilnował i wyszedł. Wartownik zapytał mnie kto ja jestem? Dowiedziawszy, że Polak (był to Węgier) usiadł sobie w fotelu i zaczął mocno chrapać. W tej chwili przyszło mi na myśl, czy nie mógłbym wyciągnąć tego listu z paczki szpargałów. Wyciągnąłem go, pogryzłem i połknąłem. Po dłuższej chwili przyszedł mój śledczy i stale odgrajając mi, przeplatając rosyjskimi przekleństwami. Po zakończeniu wstępnych zeznań przy których używałem różnych wykrętów zamknęto mnie w piwnicy, w której był już inny Polak Józef Kominek, rodem ze Śląska Cieszyńskiego. Pierwsze jego słowa przy spotkaniu były: kiedy zostałem aresztowany? Gdy mu powiedziałem, nie chciał wierzyć (było to 10 maja 1920 r.). W piwnicy Czerezwyczajki bez drzwi i okien, ciemność była grobowa. Więźniów wpuszczano a raczej wpychano do tej męczarni przez drzwiczki w podłódze, które po wpuszczeniu zapierano i na tych drzwiczkach zawsze stał wartownik. Ilu więźniów było w tej ciemnicy dokładnie nie wiedział bo się z powodu ciemności widzieć nie mogli. Domyślał się tylko z rozmów, że było ich około 17; 13 Rosjan i 4 Polaków. Niektórzy byli tak zrezygnowani, że chcieli umrzeć. Dokuczał głód, straszne pragnienie i całe masy robactwa, pcheł, pluskiew, karaluchów, szczurów. Wszystkie śmiecie jakie nagromadziły się przy zamykaniu w pomieszczeniu wyżej zsypywano do ciemnicy, stwarzając dogodne warunki do rozmnażania się szczurów i wszelkiego robactwa.

Po jakiejś godzinie czasu przyszła zmiana strażników, którzy zaprowadzili mnie i Józefa Kominka do dość obszernej budowli z drzewa, ogrodzoną czworobocznym parkanem z desek. W czterech rogach tego parkanu pobudowane były budki, w których dzień i noc czuwali strażnicy. Podchodzimy pod bramę w parkanie, którą nam otworzono i wpuszczono na wielkie podwórze, oddając nas straży więziennej. Budynek piętrowy, zbudowany za czasów Aleksandra III służył jako tzw. "etapnaja tiurma", czyli więzienie etapowe, w którym odpoczywali różni zesłańcy przed katorżniczą drogą w głąb Syberii. Podobno w tym więzieniu miał przebywać Józef Piłsudski pędzony do Północno-wschodniej Syberii. A więc prowadzą nas. Idziemy na górne piętro po szerokich schodach i wchodzimy do wielkiej sali, w której znajdowało się około 100 ludzi. Byli m.in. Polacy z 54 dywizji, Polacy jeńcy austriaccy, Polacy Sybiracy, Polacy z armii carskiej, którym nie udało się uciec do Polski. Najwięcej było Rosjan. Zaraz po wejściu na salę zameldowano nas u komendanta sali, którym był - jak Rosjanie opowiadali - Żyd o nazwisku Togelfir. Był to agent Czerezwyczajki, który węszył i obserwował nastroje aresztowanych. Wszystkie prycze zajęte, położyliśmy się pod ścianą, w kącie sali, tj.: ja, Kominek i jakiś trzeci Polak, który później nie powrócił do kraju (zmarł w więzieniu na tyfus). Na sali cisza jak makiem siał. Rozmawiają ze sobą tylko wypróbowani przyjaciele i tylko szeptem. Jeść nie dostaliśmy nic. Miałem małą kromkę chleba, ale większą część dałem Kominkowi, bo był bardzo głodny. To co zjedliśmy musiało wystarczyć do dnia następnego. Na drugi dzień rano wchodzi dyżurny i krzyczy: "Paraszu wynasij!". Parasza jest to duża beczka, która miała pomieścić kloakę uczęszczających do niej 100 ludzi. Do wynoszenia naznaczone było codziennie dwie osoby za kolejką. Po bokach tej beczki były wystające uszy jak u wielkiego cebra, w które wkładało się wielki drąg dla łatwiejszego wynoszenia. Następnie przynoszą chleb, około 40 dkg na osobę, bardzo lichy z domieszką plew i ości. Nie zawsze dał się przekroić nożem, często się rozsypywał i dzielący zmuszony był dzielić go na kupki. Do tego dochodziło jakieś 1/4 litra wrzątku zamieszanego lichą mąką i to musiało wystarczyć do obiadu. Obiad dostarczali również w beczce, podobnej do opisywanej poprzednio. Zupę stanowiła gorąca woda zmieszana z stęchlą mąką, tworząca rzadką zawiesinę, okraszoną dzikim czosnkiem. Kolacja taka sama jak śniadanie i tak codziennie przez blisko 5 miesięcy. Cierpieliśmy straszny głód nie dający się opisać, a w godzinach przedpołudniowych przychodził morderczy ból żołądka, który trwał około godziny, do samego obiadu.

Umieszczeni byliśmy na piętrze, skąd było widać dokładnie pociągi wiozące czerwonoarmistów na front polski. Ten widok połączony z głodem stawał się nie do zniesienia. Gdy wojska polskie posuwały się dość spieszenie na wschód, zajmując Kijów i wiele innych miast, służba więzienna chodziła oślepiała, na twarzach ich można było wyczytać strach i niepewność oraz zobojętnienie. Ale gdy sytuacja odwróciła się na korzyść Armii Czerwonej

położenie więźniów w ogóle, a jeńców polskich w szczególności było straszne. Przesłuchiwania, bicie, zmuszanie do przyznawania się do czynów nie popełnionych i to przeważnie w godzinach nocnych doprowadzało do obłądów. Nareszcie wezwano i mnie przed oblicze jakiegoś Żyda czy Ukraińca. Pytał mnie ile miałem listów i co było pisane w nich? Ja już zorientowałem się, że w tej sprawie pogubili się. Zaprzeczałem wszystkiemu, o co mnie pytali. Mówiłem, że popełniono tu jakąś pomyłkę przez którą ja cierpię niewinnie. Następnie spisano protokół, który na moje życzenie dano mi do przeczytania i podpisania. Odprowadzono mnie do kaźni i wołano następnych, przeważnie Polaków.

Wiadomości z frontu. Wojska polskie w dalszym ciągu wycofują się, wiemy z telegramów, które nam codziennie dostarczają, chwaląc się: "Ni kakich pieriegaworów z Poliakami", Ze pokonali Judenicza, Denikina, Petlurę, Bałachowicza, Wrangla, Kołczaka i różne interwencje francusko - amerykańsko - angielskie. Pokonają też burżuazję polską i połączą się z robotnikami niemieckimi, otwierając tym drogę do wszechświatowej rewolucji. Po przesłuchaniach codziennie około 11-tej zgrzyt zamków i wchodzi na salę strażnik i czekista z listą, na której byli umieszczeni ci, którzy mieli iść na stracenie. Wymienię tych, których nazwiska zapamiętałem: Józef Baziak z zawodu nauczyciel ps. "Gierc" z okolic Rzeszowa, żołnierz Wiszniewski -Poznaniak, inż. Baroniecki, Pawicki - wnuk powstańca z 1863 r., Sienicki -kapitan armii carskiej i wielu, wielu innych, których nazwisk nie pamiętam. A ilu zginęło z wycieńczenia, czerwotki, tyfusu i innych chorób. A ilu potraciło zmysły, jak porucznik Dienstl - Lwowianin.

Pomiędzy tymi, którzy nie zostali wyprowadzeni w nocy na stracenie zapanowała wielka trwoga i pytanie co będzie następnej nocy. Nadchodzi noc, godz. 11-ta to samo wywołują z listy, wyczytawszy kilku z rozkazem: "Zabieraj rzeczy i wychodź!". Wiadomo było, że idą na śmierć. I tak co noc. Miejsca opróżnione zajmowali świeżo przybywający aresztanci różnych stanów i narodowości. Zostało nas jeszcze kilkunastu Polaków na tej sali. Codziennie rano gromadziliśmy się dziękując Bogu, że jeszcze żyjemy. Zastanawialiśmy się co począć, gdy któreś nocy wezwą nas. Jedni mówili uciekać, inni bronić się, jeszcze inni, do których ja należałem, nie zabierali żadnego głosu, bo wiedzieliśmy dokładnie, że to nic nie pomoże. Tego samego zdania był mój najlepszy kolega Kominek, bardzo dzielny żołnierz. Dla Polski gotów był poświęcić wszystko. Umiał pocieszać, tłumaczyć, że sytuacja nasza będzie zależeć od sytuacji na froncie i że pewien jest, że bolszewicy dostaną w skórę i staną się łagodniejsi. A ojczyzna o nas nie zapomni.

Przez cały czas pobytu w więzieniu śledczym codziennie wypuszczano nas na półgodzinną przechadzkę na podwórzu więziennym. Otoczeni silną strażą mogliśmy rozmawiać ze sobą tylko półszepem. Nie zastosowanie się do przepisu było karane karcerem, tj. ciemnym aresztem umieszczonym obok zlewu wszystkich odchodów a trzeba wiedzieć, że w sali znajdowało się

około 400 osób. Pewnego dnia podczas przechadzki podszedł do mnie kapitan Sienicki, o którym już wcześniej wspominałem i mówi do mnie, że tej nocy będzie wywołany czyli że pójdzie na śmierć. Obaj z Kominkiem staramy się rozmówić mu, ten jednak nie dał się odwieść od tego, z trudem powstrzymując się od płaczu. Wspominał o Polsce, o rodzinie, dał adres niejakiemu Anteckiemu, inżynierowi z Dąbrowy Górniczej, aby raczył powiadomić jego rodzinę w Końskim. Zapytany na czym opiera to przeczucie opowiedział o śnie, że przyszli w nocy po niego czerwonoarmiści i prowadząc obok wielkiej przepaści pchnęli go do niej, a gdy chcąc wyrwać się z tej przepaści, puszczono do niego coś w rodzaju wilka. Obudził się zmęczony i przestraszony tym, że noc następna będzie końcem jego życia. Ze spaceru przychodzimy do kaźni. Sienicki tu znów powraca do swoich przeczuć. Mówi, że już więcej nie zobaczymy się. Na dowód zostawiam przy was koc i płaszcz. Były wypadki, ale to bardzo rzadkie, że niektórych przepędzano w nocy do więzienia, gdzie odsiadawali mordercy, rabusie i wszelkiego gatunku zbrodniarze z wieloletnimi wyrokami, a stamtąd można było zażądać rzeczy pozostawionych w więzieniu śledczym. Mam nadzieję, że ktoś z was zostanie, a jeśli się nie zgłoszę to znaczy, że nie żyję. Mija dzień, drugi, trzeci, a po płaszcz i koc nikt nie zgłasza się. Na czwarty czy piąty dzień przypędzono do naszej sali kilkunastu Rosjan, którzy przebywali czasowo w podziemiach Czerezwyczajki. Opowiadali o strasznych męczarniach i torturach, zmuszających oskarżonych do przyznania się do czynów nie popełnionych. Jeden z nich powiada: "niczewo nie podiełajesz takaja sudba", gdyby wszyscy postąpili jak ten Polak, który wyrwał sztyk oprawcy i przebił go (to odnosiło się do Siennickiego) za co był torturowany i zamordowany. To się działo w podziemiach "Gubeczeka". Do tortur miano używać Chińczyków jako specjalistów do łamania kości, wrywania paznokci i wiele podobnych męczarni. O tym opowiadali mi dość poważni Rosjanie. Od tego czasu zmieniono sposób mordowania. Do każdego skazańca przeznaczano dwóch czekistów, którzy uśmiercali ofiarę w tył głowy. Równocześnie obok podziemi w "Gubeczeka", gdzie odbywała się egzekucja puszczano w ruch silniki samochodowe dla zagłuszenia strzałów i krzyku mordowanych. Następnie ciała pomordowanych ładowano na przyczepy i wywożono do głębokich dołów wykopanych za miastem.

Nadszedł miesiąc lipiec, ta sama historia. Codziennie napływają świeże rezerwy więźniów, uzupełniające miejsca tych, którzy odeszli od nas w nocy. Do więzienia wdarły się tyfus i czerwotka, na którą przeważnie chorują wygłodzeni i osłabieni Polacy. Zachorowałem też i ja na czerwonkę, a Kominek na tyfus. Zachorował też Sadowski, żandarm austriacki z Przemyśla. Z naszej czwórki tylko Antecki oparł się chorobie. Mnie, Kominka i Sadowskiego skierowali na izbę chorych. Izba chorych niczym nie różniła się od izby ogólnej. Były w niej tylko sienniki. Leczenie żadne, dawano jakieś proszki 3 razy dziennie. Obsługiwał nas felczer, więzień. Radził nam, że

najlepszym lekarstwem przeciw czerwonce jest nie jeść i nie pić. Po kilkunastu dniach tej kuracji ból brzucha ustal. Kominek i Sadowski zostali w izbie chorych, a mnie odprowadzono do tej sali, z której przyszedłem. Nastrój ten sam. Jedni rozmawiają, inni modlą się, inni płaczą, a jeszcze inni leżą na barłogach, nie ruszając się wcale i wyglądają na pogodzonych z losem.

Więści z frontu dla nas nie pocieszające. Jednak z telegramów i gazet, które nam dostarczano, mimo bolszewickiej propagandy, można było zauważyć, że wojska polskie zaczynają opanowywać sytuację. Na przykład w jednej z gazet umieszczone było, że Polacy nie myślą skapitulować, lecz zamierzają prowadzić wojnę w dalszym ciągu. Dowodem tego jest, że na front przybyły świeże dywizje armii Hallera w liczbie około 15 tysięcy żołnierzy i że trzeba spodziewać się silnych starć, którym Czerwona Armia zdolna jest przeciwstawić się.

Nadszedł sierpień 1920 r. Służba więzienna w ostrym pogotowiu i znacznie powiększona. Każde poruszenie na sali było uważane przez strażników za jakieś wielkie przestępstwo czy diabli wiedzą co. Wolno im było strzelać w celu zaprowadzenia spokoju. Budynek więzienny był z drzewa, kulki przelatywały na wskroś. W ten sposób w naszej sali raniono siedem osób, na szczęście ani jednego Polaka. Strażnicy nie przynoszą nam gazet ani telegramów. Są źli i rozwścieczeni, a co dziwniejsze zaprzestali wzywać na przesłuchanie Polaków i wywoływać ich w nocy.

22 sierpnia zbiórka wszystkich Polaków na podwórzu więzienia etapowego, a było nas około 150 osób i odmarsz do więzienia rzeczywistego. Był to ogromny czworoboczny gmach z cegły, z czasów cara Aleksandra I (1800 r.) Przyprowadzono nas pod więzienie, otwarto bramę i wpuszczono na podwórze więzienne, a z podwórza na korytarz więzienny. Na korytarzu ustawiono w dwuszeregu, przeliczono i oddano straży zawodowej. Równocześnie zjawił się jakiś gość z papierami i odczytał z listy wyroki wszystkich więźniów. Wyroki były w granicach od 3 do 5 lat. Ja zostałem zasądzony na 5 lat robót przymusowych. Po ogłoszeniu wyroków rozmieszczono nas w celach po około 20 ludzi w każdej celi. Polacy rozmieszczeni byli oddzielnie. W tym więzieniu wyżywienie nieco się nam poprawiło. Chleba razowego, pszennego otrzymywaliśmy około 55 dkg. Był on dość smaczny, bo w tych czasach w Rosji bolszewickiej każdy chleb był smaczny.

Po tygodniu czasu zbiórka wszystkich Polaków na korytarzu. Sprawdzanie, liczenie i odmarsz w kierunku wielkiego łagru, położonego około 3 kilometrów na wschód od Krasnojarska. Życie w obozie było już znośniejsze, wewnątrz obozu swoboda poruszania się. Odżywianie liche ale nieco lepsze niż w więzieniu, wody pod dostatkiem. W baraku, w którym nas umieszczono było dużo oficerów - Węgrów, nad którymi bardzo się znęcano, wymagano pracy nad siły, nawet w nocy. Nie wiem jak ci Węgrzy przetrwali i jaki był ich dalszy los, gdyż wkrótce nas stamtąd przenieśli. Nam, Polakom straż

obozowa specjalnie nie dokuczała. Do najgorszych robót posyłała Węgrów i Rosjan. Po tygodniu pobytu w obozie trochę myśmy wzmocnili się, bo zaczęli nas odwiedzać koledzy z miasta, którzy byli na tzw. Wolnej pracy. Przynosili do obozu dla kolegów chleba, ziemniaków i co mogli, sami nieraz nie dojadając. Mnie odwiedził Piotr Tyburczy z Jeziórki, przyniósł mi chleb i koszulę, podaną przez Jasia Hojnowskiego (wnuka powstańca z 1863 r.). Po kilku dniach po przybyciu do obozu zaczęły się zgłaszać różne przedsiębiorstwa w celu przydziału robotników do różnych robót w mieście i poza miastem Krasnojarskiem. Wysyłano nas grupami pod konwojem do wyładowywania z wagonów zboża, mąki, kartofli, soli, drzewa, itp. Dla mnie największym szczęściem było wyładowywanie mąki, która przybywała na wielkich barkach do Krasnojarska Jenisejem. A więc przybyliśmy na miejsce pracy. Barka stoi na uwieży przy brzegu rzeki. Obok na torach kolejowych puste wagony, przygotowane na przyjęcie towaru. Mąka jest złożona na podłodze kadłuba. Chcąc ją wynieść na miejsce przeznaczenia, tj. do wagonu, trzeba było nie lada wysiłku. Najpierw z dna barki na pokład trzeba było pokonać strome schody, później pomost, który pod ciężarem ugiął się, a nie mając poręczy, łatwo można było wpaść do wody. Gdy dochodziłem do wagonu do którego składowaliśmy mąkę, usłyszałem wielki krzyk. Obejrzawszy się i zobaczywszy, że wszyscy biegną na ratunek, gdyż jeden z niosących zatoczył się i wpadł do wody. Korzystając z chwili zamieszania nie doniosłem worka z mąką do wagonu, tylko parę kroków za wagonem schowałem go w dole po wybranym węglu, przykrywając różnymi rupieciami. Po chwili wszystko się uciszyło, kolegę wyciągnięto z wody. Pomost wzmocniono linami z obu stron, robiąc coś w rodzaju poręczy i robota poszła dalej. Ale co teraz zrobić z workiem? Przypomniało mi się, że tu na stacji pracował Piotr Jezierski. Może on by coś wymyślił. Na szczęście znalazłem Piotra i mówię mu: tam i tam znajduje się ukryty przeze mnie worek mąki pszennej, oznaczony dwoma kijami ustawionymi w kształcie litery X. Powiadam, jak ci się uda to może u jakiegoś hadziaja wymienimy na suchary, które będą nam potrzebne przy powrocie do Polski. Jak wynikało z opowiadań kolejarzy, władze bolszewickie nie zaopatrywały w żywność powracających, zostawiając ich własnemu losowi. A jak ci się nie uda to trudno i tak rozeszliśmy się. Po kilku dniach, w drodze powrotnej po pracy przy wyładowywaniu ziemniaków, spotkałem się z Piotrem, który oznajmił mi, że razem z kolegami poszli w nocy na oznaczone miejsce i worek z mąką udało im się przynieść do wagonu, w którym mieszkali. Nasza grupa w dalszym ciągu pracuje przy transporcie. Każdy z nas stara się o dobre kieszenie i worki, by po powrocie z pracy przynieść coś do jedzenia dla siebie i kolegów, którzy nie mogą iść do pracy. Pomagamy Kominkowi, który po przebytym tyfusie nie może nabrać sił, Anteckiemu, który cierpi na ischias i wielu, wielu innym.

Zbliża się jesień 1920 r. Na froncie polsko-bolszewickim cisza. Podobno ma nastąpić, czy już nastąpiło zawieszenie broni i że wyznaczono miejsce

pokojowych w Rydze. We wszystkich obozach i poza nimi, gdziekolwiek Polacy znajdowali się, zapanowała wielka radość, że może wkrótce nadejdzie czas powrotu do ojczyzny.

W tym czasie przyszedł rozkaz ściągnięcia do obozu wszystkich osadzonych Polaków, do których i ja należałem, i zgodnie z wyrokiem odesłano nas na roboty przymusowe do korkijskich kopalń węgla, położonych około 15 km na północ od Krasnojarska. Po przybyciu na miejsce zakwaterowano nas w baraku będącym jeszcze w dość dobrym stanie. Wzięliśmy się za poprawianie pieców, budowanie pryczy, itp. Poprawiać było czym, ponieważ za czasów carskich w tym rejonie było wielkie letnisko wojskowe, które obecnie można było rozbierać i uzyskany materiał przeznaczyć na nasze cele. Po przybyciu do kopalni, porozdzielano nas po różnych gankach, gdzie pracowali starzy górnicy ze Śląska Cieszyńskiego. Mnie przydzielono do niejakiego Uzara, rodem od Bochni, pracującego wcześniej w polskiej Ostrawie. Praca w kopalni odbywała się ręcznie. Do górnika należało rąbanie węgla kilofem i zabudowanie wyrobnej przestrzeni. Do pomocnika należała wywózka węgla i pomoc przy budowie przestrzeni po wyrobionym węglu. Wywózka węgla odbywała się taczkami i była bardzo męcząca. Aby wydostać się na powierzchnię trzeba było pokonać około 150-metrową drogę i to stale pod górę. Pracując w kopalni nie głodowaliśmy, normę żywnościową nieco podniesiono. Wszystkie zaboje (ganki) oświetlone były naftą. Każdy z nas idąc do kopalni brał z sobą flaszkę by ukraść pół litry nafty, z którą można było kupić chleba, ziemniaków i wiele innych rzeczy potrzebnych do życia. Stary Żyd, niejaki Zaricha kłął Polaków na cały pysk, bo musiał dolewać naftę z wielkiej bańki do wszystkich lamp, w których nafta brakowała. Poza tym były jeszcze inne dochody. Jak już wspomniałem, w tym rejonie, gdzie mieszkaliśmy było wcześniej letnisko a w nim wielki budynek teatru pokryty dobrą blachą, którą przerabiali nasze chłopcy na różne naczynia, mające duży zbył w Krasnojarsku i okolicy.

W kopalni lepiej było pracować niż gdzie indziej. Tylko w drodze do kopalni odczuwaliśmy mróz i zawieje, ale jak przyszło się na miejsce było ciepło i cisza. Po skończonej pracy można się było umyć w łaźni z ciepłą wodą, tylko nie było się w co przebrać. Żadnej bielizny nie wydawano. Ja wprawdzie miałem zapasową koszulę i kalesony, ale trzymałem je na gorsze czasy. Ale czy mógł być gorszy? Ostatnie dwa lata bielizny nie nosiłem wcale, bo jej nie miałem. Zimą i latem ubierałem się w stare waciaki, a gdy było bardzo gorąco, to pracowało się nago.

Nadchodzi Boże Narodzenie 1920 r. Wszyscy obmyślają, w jaki sposób urządzić wigilię? Tego wszystkiego podjął się porucznik Tadeusz Gdula (Lwówianin). Zrobiliśmy zbiórkę pieniędzy, bo kopalnia choć licha ale coś nam płaciła. Wszystkie uzbierane pieniądze wręczyliśmy jemu, ten postarał się o sanki, wziął jednego z nas z kopalni do pomocy i udali się po lichej, głęboko zawianej drodze do Krasnojarska. W mieście udało im się kupić

niedrogo koninę z młodego zwierzęcia, kupili również mąkę. Załadowali to wszystko na sanie i jazda z powrotem. Przybyli wieczorem. Byli bardzo zmęczeni ale zadowoleni, że wszystko załatwili pomyślnie. Nadeszła wigilia. W jednej z większych izb były prymitywne stoły, ławy, gdzie wszyscy zgromadziliśmy się, a było nas około 50 ludzi. Na stole postawiono wielki kocioł z zupą kartoflaną, okraszoną cebulą, a w drugim wielkim naczyniu blaszanym znalazły się pierogi z gotowanej koniny. Wszystko to było podzielone i każdy podchodził ze swoim naczyniem jakie tam posiadał. Gdy wszystko było już gotowe, zabrał głos porucznik Gdula mniej więcej w te słowa: "gdy w Polsce rodziny nasze zasiądą do wieczerzy wigilijnej będą modlić się, aby mogli spotkać nas w wolnej Polsce o którą walczyliśmy. Tak i my, którzy doczekaliśmy tego uroczystego dnia, dziękujemy Bogu a zarazem prosząc Go aby ten rok był już ostatnim rokiem na ziemi syberyjskiej i aby już w następnym roku Święta Bożego Narodzenia mogli obchodzić w ojczyźnie naszej Polsce, wśród naszych najbliższych. A więc w tej intencji módlmy się według zwyczaju panującego w Polsce".

Po kolacji odśpiewaliśmy kilka kołęd i w nastroju, że nasze nadzieje nie będą zawiedzione, udaliśmy się na spoczynek. Zaraz po Świętach Bożego Narodzenia zaczął nas odwiedzać politruk kopalniany. Przychodził wieczorem, niby to raz chwalił, raz ganił ustrój bolszewicki. To znów chciał się dowiedzieć, kto był inicjatorem wieczerzy wigilijnej, lecz widząc że go nikt nie słucha, zaprzestał do nas przychodzić. Po kilkunastu dniach, gdy ułożyliśmy się do spania, usłyszeliśmy obok naszego baraku tupot końskich kopyt i szczęk szabel i dobijających się do naszych drzwi z krzykiem: "Odkrywaj!". Gdy im drzwi otwarto, do izby w której spaliśmy wpakowało się dziesięciu czekistów, uzbrojonych w rewolwery i szable. Pierwszą ich czynnością była ścisła rewizja. Szukali broni, ale przy sposobności zabierali lepsze brzytwy, noże a nawet i pieniądze np. srebrne ruble. Mnie zabrali brzytwę i 5 rubli w 20 kopiejkach srebrnych. Poza tym nie mieli co brać, bo myśmy wszyscy byli okryci w liche łachmany starych kufajek. Rewizja skończona. Rozkazali nam zabierać z sobą rzeczy i wychodzić. Wychodzimy i zaraz obkoczyło nas około 20 konnych, czyli na każdego wypadał jeden konwojent i marsz w nieznane. Mój Boże, zawieja, silny mróz, droga kopna, suchy lotny śnieg utrudnia nasz marsz. Konwojenci na koniach pomarżnięci ponaglają nas, odgrazając nahajkami. Podchodzimy wreszcie do Krasnojarska. Robi się widniej, dzień zbliża się ale latarnie po ulicach jeszcze świecą. Szliśmy 15 kilometrów przez całą noc. Kierują nas pod gmach "Gubczeka". Do tego samego, w którym byłem uwięziony i w którym podczas śledztwa udało mi się skonsumować zdradziecki list. Wprowadzono nas do dość dużego pomieszczenia w suterenie, przedzielonego ścianą, w której były drzwi i okienka wychodzące na zewnątrz.

Po przybyciu byliśmy tak zmęczeni, że pomimo silnego mrozu pot oczy nam zalewał. Usiąść nie było na czym, gołe ściany i cementowa posadzka.

Aby nie zamarznąć, chodziliśmy szybkim krokiem stale poruszając się. Około 8-ej schodzą się urzędnicy "Gubczeka" i wszyscy są zdziwieni naszym aresztowaniem i przekonani są, że tu zaszła jakaś pomyłka, którą będą starać się wyprostować i nas odeśłać z powrotem na kopalnię. Tymczasem wydano nam po kromce chleba, którego nie jedliśmy tylko zostawiliśmy aresztowanym, którzy znajdowali się w areszcie tuż za ścianą. Wśród aresztowanych znajdował się porucznik Gdula. Aresztowanie "załatwił" mu politruk z kopalni. Około godziny dziewiątej przyszedł rozkaz aby wszystkich Polaków, których przyprowadzono w nocy, odprowadzić z powrotem i oddać pod zarząd kopalni. Aresztowanie nastąpiło przez pomyłkę, jaka zaszła jeszcze przed naszym przybyciem do kopalni. W baraku nr 40, w którym nasz umieszczono, wcześniej mieszkali robotnicy rosyjscy, posądzeni o kontrrewolucję. Przed naszym przybyciem przeniesiono ich gdzie indziej. Jednak w aktach "Gubczeka" figurowało, że dalej w tym baraku mieszkają Rosjanie. W taki to sposób dostaliśmy się w podziemia "Czerezwyczajki". A więc wracamy tą samą drogą, zwaną suchym śniegiem, oznaczonej tylko tyczkami łoży lub brzeziny. Gdy nas pędzono do "Gubczeka" byliśmy otoczeni przez silny konwój konny, gdy powracaliśmy jest tylko jeden strażnik, jako świadectwo legalnego powrotu. Strażnikiem jest Polak o nazwisku Jarosz z Tarnowa czy okolic, żołnierz 5 dywizji, który przeszedł na służbę bolszewików. Powrót nasz był straszny. Nie wyspani, głodni, zmęczeni marszem nocnym, szliśmy ostatkiem sił, zachęcając jeden drugiego, abyśmy mogli dobrnąć jeszcze przed wieczorem. A trzeba wiedzieć, że dzień o tej porze roku na tej szerokości geograficznej jest bardzo krótki (niespełna 5 godzin). Gdy powróciliśmy na miejsce, oczom naszym przedstawił się smutny widok. Barak, który opuściliśmy dzień wcześniej był prawie pusty. Robotnicy korzystając z naszej nieobecności, naszymi gratami uzupełnili swoje mieszkania, zabierając prycze, pościel, płyty kuchenne i w ogóle wszystko co im wpadło pod rękę. Gdy koledzy dowiedzieli się, że powróciliśmy, poprzynosili nam nieco kartofli, chleba i dopomogli nam w urządzeniu mieszkania. Następnego dnia *zaczęła* się normalna praca w kopalni.

Około 10 stycznia 1921 r. przyszedł do mnie Piotr Tyburczy i przyniósł mi sucharów. Opowiedział mi, że znalazł pewną kobietę, która z całego worka mąki, zagospodarowanego przeze mnie, upiekła i wysuszyła suchary. Za tę pracę otrzymała buty. Całość tych sucharów znajduje się w baraku u niego i jeśli chcę to te suchary dostarczy mi na kopalnię. Ja mu powiedziałem aby suchary zatrzymał u siebie, a gdy kiedyś zajdzie potrzeba to się jakoś podzielimy. Była to niedziela i dość późno położyliśmy się spać, lecz zasnąć nie mogliśmy. Piotr opowiadał mi, że poprzedniej nocy śniło mu się stado wilków, z którego to stada wypadł wielki wilk i zaczął go szarpać, i że z tej szarpaniny obudził się. Ja to wziąłem za zły znak ale nic nie mówiłem Piotrowi. Po tej męczącej nocy wstaliśmy dość wcześnie, zagotowaliśmy gorzkiej herbaty, zagryźliśmy sucharami i odprowadziłem Piotra na drogę.

Załadowałem mu dwa arkusze blachy, z której wyrabiał różne naczynia i obiecałem mu przygotować większą ich ilość, gdy będzie miał zbyt na towar. Snem, który opowiedział mi Piotr tak się przejąłem, że stale myślałem tylko o nim. Przy rozstaniu upominałem go, ażeby z roboty nie oddalał się, ażeby unikał kłótni i wszelkich sporów z władzą i kolegami. Przeczynałem, czy to z opowiadań kolegów, czy to z własnych doświadczeń, że Piotra spotka jakieś nieszczęście, ale że to się skończy śmiercią, tego nie przeczynałem. A więc po odprowadzeniu Piotra na jakieś 15 kroków i po dwukrotnym pożegnaniu się, powróciłem do baraku. Zaraz pierwszej nocy, chcąc przygotować blachy, udałem się do zdewastowanego teatru. Noc była piękna, księżycowa, cisza zupełna, mróz około 40 stopni. Zaraz biorę się do roboty. Oderwałem 4 arkusze, które spadając narobiły dużo szumu. Stałem, słucham, cisza. Zwinąłem arkusze w dość dużą rolę i przyniosłem do baraku. Wsadziłem je pod prycę, gdzie miały czekać na przybycie Piotra. Czekam dzień, dwa, czekam tydzień, a Piotr po blachę nie przychodzi. Nie czekając dłużej, wybieram się ja. Droga już mi jest znana, po której już kilka razy przechodziłem. Doszedłszy do Krasnojarska zaraz skierowałem swe kroki do baraku, w którym Piotr mieszkał. Pierwszym spojrzeniem omiotłem miejsce, w którym spał Piotr. Było puste. Jeden z kolegów Piotra odezwał się do mnie w te oto słowa: "To ty nie wiesz co się stało z Piotrem? On nie żyje. Został zabity przy grze w karty przez niejakiego Staszczyszyna, pochodzącego z okolic Sambora". Tak straciłem dobrego przyjaciela i rodaka, o którym do dnia dzisiejszego zapomnieć nie mogę. Koledzy ś.p. Piotra rzucili się na zabójcę i byliby go zamordowali, gdyby nie natychmiastowa interwencja milicji, która ochroniwszy go, zamknęła w więzieniu. Co dalej z nim się stało? Nie wiem. Wiem tylko tyle, że odjeżdżając do Polski, Staszczyszyn siedział w więzieniu. Czy był sądzony? Tego nie wiem. Pomyślcie sobie drodzy rodacy do czego doprowadziła gra w karty. Ochłonawszy z żalu wziąłem worek z sucharami, który wisiał na ścianie i udałem się w drogę powrotną do kopalni. Na miejsce przybyłem późnym wieczorem, zmęczony dźwiganiem worka i blachy. Na drugi dzień jak zwykle idziemy do pracy. Na drodze spotykamy kilku hadziaków, którzy kierowali się do naszego baraku nr 40, chcąc wynająć kogoś z naszych kolegów do zabijania psów i ściągania skórek, które muszą dostarczyć do punktu skupu. Z naszego baraku zgłosiło się czterech, których nazwisk nie pamiętam, oprócz jednego Pawła Pastułę ze wsi Turza spod Sokołowa. On to zgodził się ściągnąć skóry z 20 psów. Za jaką cenę, tego nie wiem, dość że przed wieczorem przybyli na kopalnię, przywożąc na saniach 20 sztuk psiego mięsa. Mięso rozwiesiliśmy na werandzie naszego baraku i od tego czasu skończyło się nasze niedojadanie. Gotowaliśmy na studzieninę, smażyliśmy kotlety, itp. Dość powiedzieć, że psina jest dobrym mięsem, ale tylko z psów młodych.

Tak pracując na kopalni, dotrwaliśmy do marca 1921 r. W końcu marca przed Świątami Wielkanocnymi przybył do naszego baraku jakiś bolszewik,

przedstawiając się jako artysta, oznajmił nam, że między Polską a Rosją został zawarty pokój i na podstawie zawartych układów, będziemy mogli w krótkim czasie opuścić Rosję. Tymczasem, w chwilach wolnych od pracy będzie nam wolno iść do miasta, do kościoła lub gdziekolwiek, nie oddalając się zbytnio od Krasnojarska. Poza tym zaczął wykrzykiwać, że Piłsudski jest największym wrogiem Rosji i jego samego. Zwróciliśmy mu uwagę, że tymi słowami obraża całą Polskę i wszystkich Polaków, i żeby więcej z takimi komentarzami do nas nie przychodził. Tak też i uczynił.

Nadchodzi kwiecień. Robi się coraz cieplej. Zaczynamy się dopominać powrotu do Polski. Robimy byle dzień zeszedł. Wobec tego postanowiono nas odesłać do Krasnojarska, do obozu. W obozie spotkaliśmy dużo znajomych kolegów, jeszcze ze służby w dywizji. Odżywianie łyce. Codziennie pędzą do roboty pod konwojem. Mnie wyznaczono do wożenia wody do kuchni obozowej. Do pomocy dano mi nie byle kogo, tylko profesora UJ Romana Dybowskiego, wykładowcę języka angielskiego. Woziliśmy obaj przez dwa tygodnie, zaprzęgnięci do dwukołowego beczkowozu. Praca była ciężka, bo wózek ciągnęło się po błotnistym terenie. Po około trzech tygodniach wybrano około dwudziestu więźniów, wśród których byłem i ja, do pracy w wielkim, liczącym 8 hektarów, ogrodzie warzywnym. Ogród prowadzony był wzorowo, uprawiano w nim ziemniaki, pomidory, ćwikłę, marchew, groch, cebulę, sałatę, karpiele, rzodkiewkę, kalafior. Wszystkie warzywa przeznaczone były do krasnojarskich stołówek. Praca jak zwykle, pielenie, podlewanie, przerywanie. Co tylko nadawało się do jedzenia, mogliśmy spożywać. Do tego dostawaliśmy funt chleba i 1/4 litra mleka, tak że głodu nie odczuwaliśmy. Moim zajęciem było obsługiwanie kieratu konnego, którym dostarczano wodę do podlewania warzyw w ogrodzie. Kierat zbudowany był nad rzeczką Kacza, wpadającą do Jeniseju. Na wielkim kole przyczepione były wiadra, które przy obrocie czerpały wodę i wylewały do koryta połączonego z rowem przekopanym przez środek ogrodu. Od tego rowu odchodziły małe rowki, które rozprowadzały wodę po całym ogrodzie.

Po dwumiesięcznej pracy w ogrodzie ściągnięto nas do obozu. Przed naszym przybyciem do obozu, odesłano już do Polski trzy eszelony naszych kolegów - jeńców 5 dywizji. Zaczęto rejestrację na eszelon czwarty, który odjechał z końcem sierpnia 1921 r. Nareszcie przystąpiono do organizowania piątego eszelonu. Z jego organizacją władze bolszewickie wcale nie spieszyły się. Nie mieli kim zastąpić wielu prac i specjalności wykonywanych przez Polaków. Nie wiadomo jak długo by to potrwało, gdyby nie protesty i prośby wysyłane do Komitetu Repatriacyjnego i Polskiego Czerwonego Krzyża w Moskwie. Tym wszystkim kierował profesor Roman Dybowski, będący również jeńcem 5 dywizji. Aby przyspieszyć powrót pozostałych jeńców 5 dywizji, na wniosek Komisji Repatriacyjnej wysłano do Moskwy delegację na czele której stał Kazimierz Gintowt- Dziewałłowski, były oficer i organizator 5 dywizji. Dziewałłowskiemu jakimś cudem udało się uniknąć

niewoli i dostać się do Polski. Rząd polski w porozumieniu z rządem rosyjsko-sowieckim upoważnił go do wydobywania chętnych do wyjazdu do kraju Polaków w ogóle, a w szczególności Polaków - jeńców 5 dywizji. W końcu września przybył on do Krasnojarska jako przewodniczący delegacji. Wcześniej, przed jego przybyciem, przyszedł do naszego obozu zastępca szefa "Gubczeka" niejaki Karłowski. Przyniósł nam dużo gazet komunistycznych i ostrzegał aby, gdy przybędzie delegacja, nie rozgadywać się, nie żalić, bo to nic nie pomoże, a może tylko zaszkodzić w wyjeździe, itp. Po dwóch, trzech dniach przyszedł do naszego baraku Dziewałowski w towarzystwie jakiegoś komunisty. Ogłosił nam, że od następnego dnia czynna jest Kancelaria Repatriacyjna dla wszystkich obywateli polskich, chcących powrócić do kraju, i że trzeba się w niej zarejestrować. Powiedział nam, że w porozumieniu z Polskim Czerwonym Krzyżem będzie wydawał dla najbardziej potrzebujących odzież, obuwie, żywność, lekarstwa. Praca z organizowaniem piątego eszelonu nabrała tempa. Ściągano ludzi z różnych miejsc do obozu, spisywano i liczono. Gdy wreszcie ilość jeńców wyniosła 1000 ludzi, wszystkich umieszczono w wagonach (liepłuszkach), w każdym po 40 ludzi. Było to 1.X.1921 r. w Krasnojarsku na Syberii. Radość wielka, że doczekaliśmy się tej ważnej chwili, że możemy opuścić tę krainę łez i niedoli, krainę nędzy i wielkiego głodu, krainę kłamstwa i niesprawiedliwości. Jedziemy do Polski, o którą walczyliśmy i której poświęciliśmy tyle krwi. Jedziemy do Polski, którą niezgoda doprowadziła do 150-letniej niewoli. Chociaż wiemy, że w Polsce nie będzie dobrze, bo być nie może. 150-letnia gospodarka Niemców i Moskali nie mogła wyjść na korzyść Polakom. Okupant starał się zniszczyć plemię polskie tak moralnie jak i też materialnie, używając do tego drakońskich środków: łagry, zsyłki, głód i mrozy syberyjskie, wysiedlenia, mordowanie jeńców wojennych. Najgorsze było to, że starano się zatruć ducha narodu i wszelką myśl o Polsce (co się im nie udało).

Po zajęciu miejsc w wagonach zaczęliśmy obliczać, jak długo potrwa nasza podróż do granicy polskiej? Jedni mówili miesiąc, inni - dwa miesiące, ale tak jedni jako też i drudzy nie przypuszczali, podróż nasza potrwa 5 miesięcy. Otóż na stacji Krasnojarsk staliśmy 3 tygodnie, na stacji Itat staliśmy 1 tydzień, na stacji Tajga-Tomsk 2 tygodnie, a ile było przypadków, gdy pociąg stanął w pustym stepie i nie mógł z miejsca ruszyć. Wtedy wyskakiwaliśmy z wagonów i pomagaliśmy pchając pociąg. Gdy lokomotywa się rozruszyła wskakiwaliśmy z powrotem do wagonów i jazda dalej, aż do następnego postoju. Tak dowlekliśmy się do Omska, stolicy Syberii na samo Boże Narodzenie, przebywszy w tym czasie niecałe 1500 wiorst. Coraz bardziej daje się odczuwać brak żywności. Jesteśmy zmuszeni wymieniać nasze mundury, które otrzymaliśmy z PCK, na żywność. Prowiant, który znajduje się w wagonie naszego pociągu delegat PCK zachowuje na gorsze czasy. Ale i to nie wiadomo czy uda się zachować, gdyż mąką i innymi produktami żywnościowymi trzeba okupić naczelników stacji i innych darmozjadów bolszewickich aby łaskawi byli przepuścić nasz pociąg na następną stację.

Przybywszy do Omska podstawiono nasz eszelon naprzeciw drewnianych, starannie wybielonych baraków. Na ścianie frontowej jednego z baraków napisane było czarną farbą "Chaliernyje baraki". Ostrzeżenie aby nikt nie zbliżał się i nie zaraził tą straszną chorobą. W 1919 roku w Omsku wybuchła epidemia cholery. Na tej stacji staliśmy około trzech tygodni. Mrozy straszne, palić nie ma czym. Jedyną rzeczą nadającą się do palenia był choleryczny barak, który jednej nocy porznięty i porąbany znalazł się w naszych wagonach. Na szczęście nikt z naszych nie zaraził się i nie zachorował. Parę dni przed wyjazdem z Omska udało mi się dobrą bluzę wojskową, którą miałem z PCK wymienić na około 3 garnce ziemniaków, kawał mięsa i garniec pszenicy. Przybywszy z bazaru wzięliśmy się z kolegą Józefem Makówką (urzędnikiem pocztowym) z Dębina do obierania kartofli. Obierzyny wyrzuciliśmy przez okno wagonu. Na zewnątrz wagonu zobaczyliśmy młodą kobietę z dwojgiem małych dzieci w wieku 4-6 lat. Zbierali te obierzyny. Dzieciaki pomagające matce wkładały surowe łupiny do ust, chciwie gryząc, by zaspokoić głód. Można sobie wyobrazić, kto był przyczyną głodu i nędzy w tak bogatym kraju.

W ostatnich dniach grudnia 1921 r. rusza nasz pociąg z Omska kierując się na północny zachód do miasta Tiumeń, czyli zbliżamy się do Uralu, granicy Europy i Azji. Pociąg jedzie dość dobrze, bez większych przestojów, tak że po dwóch czy trzech dniach przybyliśmy do Permu, położonego już w europejskiej części Rosji. Wieczorem, gdy pociąg zatrzymał się na stacji, jedni udają się za kupnem czegoś do zjedzenia, inni za wrzątkiem, jeszcze inni idą na ogromne poczekalnie stacyjne. Z naszego eszelonu niejaki Michalski ze Lwowa powrócił ze stacji i zaczął opowiadać nam, co na stacji widział: "Wszystkie poczekalnie są zajęte przez masy ludzi, wynędzniałych, obdartych, chorych, leżących pokotem, umarłych i umierających, tak starszych jako też i dzieci". Wybrałem się z kilkoma kolegami na stację, aby osobiście przekonać się o prawdziwości opowiadania Michalskiego. Rzeczywiście, jak tylko weszliśmy na poczekalnię, uderzył nas w nozdrza wielki fetor nie do zniesienia. Natychmiast musieliśmy opuścić tę straszną trupiarnię. Chcąc dowiedzieć się o przyczynie tak wielkiego zgrupowania ludzi, jak się wydawało biernie oczekującego na śmierć, zapytaliśmy napotkanego kolejarza. Odpowiedział, że przyczyną jest głód, który powstał w guberniach orenburskiej, ufińskiej, samarskiej i innych. Przed wojną, za czasów carskich zboża, mięsa i innych produktów żywnościowych było pod dostatkiem. Teraz przez różne zarządzenia, zabieranie, przymusowe kontyngenty, grabieże zgodnie z hasłem "co twoje to moje", rolnik przestał obsiewać pole bo nie miał czym. Uciekał w nadziei, że środki do życia znajdzie w innych częściach Rosji, np. na Syberii. Zdarzało się, że cała ludność poszczególnych wsi i miast opuszczała swoje domostwa i wlokła się do stacji kolejowych, oddalonych nieraz setki kilometrów, znacząc przebytą drogę trupami. W takich okolicznościach paręset ludzi znalazło się na poczekalni stacji kolejowej w Permie, mając nadzieję, że znajdą się odpowiednie władze i

dopomogą im przenieść się w miejsca mniej głodem dotknięte. Jednak tymi nieszczęśliwcami nikt nie interesował się. Między głodnych i wymarżniętych ludzi wdarł się tyfus i kosił niemiłosiernie. Co się z nimi stało? Tego nie wiem, bo na drugi dzień tę koszmarną stację opuściliśmy.

Następnie nasz eszelon kieruje się na Wiatkę-Wołogdę, gubernię obfitującą w wielkie lasy, tak że paliwa dla naszej lokomotywy jest pod dostatkiem. Na stacjach i stacyjkach staranie obsługiwanych można było dostać wrzątku do herbaty, pieczonych kartofli. W guberniach południowych było to nie do pomyślenia. Jedziemy dość szybko, tak że po kilku dniach przybyliśmy do Wołogdy a stamtąd w kierunku południowym na Moskwę. Zaraz na drugi dzień po przybyciu do Moskwy (21.1.1922 r.) zostaliśmy zaopatrzeni przez PCK w żywność na parodniowy postój w tym mieście. Dostaliśmy mąkę, soczewicę, słoninę i małą porcję chleba. Ponieważ przygotowania do dalszej podróży do granicy polskiej mają potrwać parę dni, postanowiłem razem z kilkoma kolegami zwiedzić niektóre obiekty Moskwy, m.in. Kreml, siedzibę carów. Kreml jest ogromną budowlą z cegły, obudowaną bardzo wysokim, grubym murem. Odgraniczony jest od starego miasta rzeką Moskwą. W pobliżu Kremla wybudowano wielki teatr państwowy, w którym miał okazję grać nasz skrzypek Feliks Dzierżanowski, który powracał razem z nami, jako jeniec 5 dywizji. Z boku przed wejściem do teatru na cokole stoi pomnik Minina i Pożarskiego, którzy dali hasło do powstania przeciw Polakom w 1612 roku. Godna uwagi jest cerkiew w pobliżu Kremla pod wezwaniem "Spasitiela Chrysta", wybudowana za czasów cara Iwana Groźnego. Jest prawdziwy cud - piękna. Tak urzekła swym pięknem cara, że aby nie powstało coś podobnego gdzie indziej, mistrza budowy kazał zamordować. Po wygładzie mieszkańców Moskwy można było sądzić różnie. Jedni porządnie ubrani, o pełnych twarzach, inni zaś w łachmanach, bladzi i wychudzeni. Kupić towaru nie można było Wcale, poza sacharyną. Przy studniach i wodociągach długie kolejki, długie nieraz na kilkadziesiąt metrów.

Po paru dniach postoju zostaliśmy zaprowiantowani na cztery dni, gdyż w ciągu tego czasu mieliśmy dojechać do granicy polskiej. Zaraz w pierwszym dniu po wyjeździe z Moskwy (było to około 25.1.1922 r.) przybyliśmy do Mińska i tutaj staliśmy około 20 godzin. Na postoju przychodziło do nas dużo młodych ludzi, przeważnie Polaków, których w rejonie Mińska była bardzo duża kolonia. Wszyscy narzekali na rząd polski, że ich zostawił na pastwę losu. Na te narzekania nie mieliśmy żadnej odpowiedzi ani rady, zbywaliśmy wszystkich milczeniem.

Z Mińska przybyliśmy do Orczy, do jednej z większych stacji przygranicznych. Stąd w czasie I wojny światowej szło całe zaopatrywanie frontu północno-wschodniego. Teraz z tego wszystkiego pozostały tutaj puste magazyny i wstrętne baraki służące do składania zmarłych wygnańców, uciekinierów i innych nieszczęśników, którzy chcieli dostać się do rodzinnych pieleszy, opuszczając raj bolszewicki.

Jak już wspomniałem przybyliśmy do Orczy, wielkiej stacji węzłowej. O jej rozmiarach świadczyła ogromna ilość torów kolejowych poplątanych w różne kierunki. Na torach stało dużo pociągów z wygnańcami z roku 1915, wypędzonych przez cofające się wojska rosyjskie. Nie wiadomo z jakich przyczyn władze rosyjskie (bolszewickie) zatrzymały te pociągi pełne powracających ludzi do Polski, nie dając im żadnej opieki, zostawiając ich na łasce losu, głodnych i obdartych. Szerzyły się wśród nich tyfus i inne choroby, dziesiątkując całe pociągi. Z takich guberni jak: samarska, ufińska, orenburska, taszkiencka ginęło około 80 % dzieci i starców. Widziałem na własne oczy, jak wynoszono z wagonów konające dzieci lub dzieci tulące się do konających matek, z niektórych wagonów wyrzucano zupełnie zamrożone trupy. Dzisiaj, gdy wspomnę sobie o tym, to dreszcz przechodzi po całym moim ciele.

Nasz eszelon również postawiono na bocznym torze obiecując, że zostanie odprawiony w dniu następnym. Podróż do granicy polskiej nie powinna wynieść więcej jak kilka godzin, gdyż odległość do stacji granicznej Pogorzelce wynosiła około 45 wiorst. Tak oczekując z dnia na dzień, przestaliśmy przeszło tydzień, żyjąc obietnicami. To jutro, to pojutrze, nie ma czym już ogrzewać wagonów, nie ma już co jeść. Co tu robić? Zebraliśmy się wszyscy, cały eszelon, a było nas około 1000 ludzi i uchwaliliśmy petycję, że jeżeli nam nie dadzą opału, jedzenia i nie odstawią do Polski, to wybieramy się na własną rękę. Co będzie to będzie, pójdziemy pieszo. Władze bolszewickie niekoniecznie przestraszyły się naszym ultimatum bo wiedziały, że połowa ludzi z naszego eszelonu nie jest zdolna do 50-kilometrowego marszu z braku obuwia, odzieży, a przede wszystkim ze względu na choroby. Jednak aby uspokoić nas, wydano nieco żywności i obiecano załatwienie naszego wyjazdu, zwalając całą winę na rząd polski, co było wierutnym kłamstwem. Niezależnie od tego obiecano dać nam pracę od następnego dnia. Tylko jak tu zatrudnić 1000 ludzi? Po większych targach ustalono, że do pracy przyjmą około 300 ludzi. A jakaż to praca? Jak już wyżej wspomniałem z powracających pociągów wyrzucano zmarłe zwłoki ludzkie, które przysypywane były śniegiem i tworzyły wielkie zaspę. Otóż do usuwania tych zasp i śniegu przeznaczano codziennie 300 ludzi. Tyle, ile posiadali łopaty do odrzucania śniegu. Podzielono nas na grupy. Jedni odkopywali trupy i usuwali śnieg z torów, inni zaś układali zwłoki na saniach i zwozili je pod magazyny, które podczas wojny służyły na różne składy. Jeszcze inni układali zwłoki w magazynach, w których miały przetrwać do wiosny, kiedy to po odmrożeniu ziemi łatwiej będzie je pogrzebać. Po trzech dniach takiej wstrętnej pracy dopominaliśmy się zapłaty, gdy zawezwano nas na stację kolejową i oznajmiono nam, że za dniówkę wypłacą każdemu 80.000 rubli. Za dowód, że ktoś pracował służyła łopata, którą przy wypłacie oddawało się magazynierowi. Zaznaczam, że aby dostać się do roboty, trzeba było wstać bardzo wcześnie i stanąć w kolejce, czekając na magazyniera wydającego łopaty. Ta praca trwała krótko bośmy zastrajkowali, ponieważ nie wszyscy dostali

przydział ze względu na brak łopat, a po wtóre za jeden funt chleba trzeba było zapłacić właśnie 80.000 rubli.

Bolszewicy widząc, że dalsze zatrzymywanie jeńców polskich w pobliżu granicy, może się źle skończyć, postanowili nas już nie zatrzymywać i odstawić nas do stacji granicznej Pogorzelce, leżącej na skraju Puszczy Białowieskiej. Było to 22.11.1922 r. Gdy eszelon przejechał granicę i stanął na ziemi polskiej, wszyscy kto żyw wyskakiwał z wagonów i jak na komendę całował ziemię. Następnie odśpiewano Rotę Konopnickiej. Radość była wielka, Ludzie płakali, uściskom nie było końca. Następnie podtoczony został pociąg polski na miejsce wycofanego bolszewickiego. A więc jesteśmy już w wagonach pociągu polskiego i ruszamy w kierunku zachodnim.

Pociąg pędzi szybko, jeżeli są przestoje to tylko kilkuminutowe. Około północy przyjechaliśmy do jakiejś stacji, której nazwy już nie pamiętam. Pociąg stanął. Przychodzi rozkaz by wziąć menażki i pójść na stację po obiad. Wchodzimy, ustawiamy się w kolejkę. W kuchni czysto, kucharze w białych kitlach. Jedni wydają chleb i kielbasę, inni wydają ryż okraszony sosem. Po skonsumowaniu obiadu powróciliśmy do wagonów i jazda dalej w kierunku zachodnim. Po obu stronach toru widać tylko sterczące kominy i kupy gruzów popalonych wsi z okresu I wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej. To znów kilometrami ciągną się zasieki z drutów kolczastych. Urzędy kolejowe mieściły się w wagonach kolejowych, w miejsce spalonych stacji. Mosty kolejowe tymczasowe, wybudowane z drzewa. Zniszczenia wojenne ogromne. Taki obraz zniszczeń przedstawiał się do samego Brześcia, do którego przybyliśmy 25.11.1922 r. Z Brześcia skierowano nas do Dębina na czterotygodniową kwarantannę dla izolowania chorych umieszczenia ich w szpitalach. Na stacji kolejowej w Dęblinie oczekiwał nas oddział wojska 15 pułku piechoty z orkiestrą, sztabem pułku z pułkownikiem na czele. Powitanie w bardzo pięknych i wzruszających słowach wygłosił ksiądz kapelan. Po odegraniu hymnu odprowadzono nas do obozu, który przygotowany był dla powracających z Rosji. Zaraz na wstępie zaprowadzono nas do wielkiej łaźni z ciepłą i zimną wodą, natryskami i wannami. Kto miał przydługie włosy strzyżono mu je. Całe ciało pędzlowano jakimś płynem i wydawano każdemu kawałek mydła i ręcznik. Każdy mył się ile chciał, mycie szło szybko i sprawnie i nie trwało dłużej jak dwie godziny. Po wyjściu z łaźni pod okiem lekarza wydawano każdemu bieliznę i umundurowanie. Mundury po większej części wojskowe przenoszone i poprawione. Po wymyciu i umundurowaniu się rozmieszczono nas w bardzo porządnym barakach o piętrowych pryzkach, na których były przygotowane sienniki i koce, których w Rosji nie spotykało się. Jedzenia mieliśmy pod dostatkiem, cztery razy dziennie.

W jednym z baraków urządzono świetlicę, w której można było wypożyczyć książki i poczytać gazety. Życie zaczynało być pełne nadziei, tylko ta kwarantanna wydawała się za długa.

Po kilku dniach pobytu w obozie zaczynają nas odwiedzać krewni, znajomi, czy po prostu ciekawscy. Jak wynika z rozmów, jedni zadowoleni byli z powstania Polski, inni nie. Zależy jak kto ceni powstanie i niepodległość Polski i w jakiej sytuacji się znajduje. Jednym słowem poznawało się, z kim się ma do czynienia. Mnie również odwiedził Jan Sudoł, który jechał do Warszawy posłować.

Nareszcie kwarantanna ma się ku końcowi. Wszystkich według specjalności dzielią na grupy i odsyłają do różnych pułków. Mnie razem z wieloma odsyłają do 82 pp. W Brześciu n/Bugiem, którego dowódcą był pułkownik Ankowicz., były dowódca 3 pułku 5 dywizji na Syberii. Po przybyciu do Brześcia umieszczono nas w koszarach, w których spotkaliśmy dużo znajomych oficerów, podoficerów i szeregowych przybyłych wcześniej z Syberii, a którzy byli załóżkiem 82 pp. Do zakończenia prac Komisji Likwidacyjnej, do której i mnie powołano zeszło około 8 dni. W międzyczasie w godzinach wolnych od pracy wychodziliśmy na rynek, po rosyjsku zwanym "barachołką", a po polsku giełdą albo handlem starzyzną w celu zorientowania się o życiu w powstałej Polsce. Pierwsze, o dziwo! Zauważyłem budki z chlebem, wędlinami - normalnie, tak jak przed wojną po wszystkich miastach i miasteczkach w Galicji. Ludzie dobrze ubrani i weseli, rozmawiają głośno, nie boją się, że ich podsłuchuje jakiś "czekista" (enkawudzista). Na rynku wielki ruch i jak zwykle pełno Żydów nawołujących i zachwalających swoje towary. Ja mając około 20 tys. marek polskich zdawało mi się, że posiadam wielki majątek. Gdy jednak zobaczyłem ceny, przetarłem oczy. Za spodnie, które kupiłem zapłaciłem 2 tys., za czapkę 500 marek polskich. Jednak nie dziwiła mnie ta drożyzna i mała wartość pieniądza, bo w Rosji przyzwyczajeni byliśmy do karkołomnego spadku rubla i milionowych obliczeń.

W dniu 31.III. 1922 r. po wypłacie "lemingu" każdy otrzymał zaświadczenie demobilizacyjne, bilety kolejowe i jazda do domu. Największą grupą była grupa małopolska, do której i mnie przydzielono. Jechaliśmy przez Warszawę i Kraków. Po drodze grupa stawała się coraz mniej liczna, tak że do Rzeszowa przybyło nas zaledwie kilkunastu. Około godz. trzeciej, czwartej wyszedłem ze stacji kolejowej w Rzeszowie i udałem się w kierunku Głogowa. Była to niedziela, dzień pochmurny ale bez opadów. Szedłem zwawym krokiem. Zdawało mi się, że wszystko jest po staremu. Żadnych zniszczeń wojennych nie zauważyłem. Natomiast spostrzegłem ziemne prace, jak również nowo wznoszone budynki pod mającą powstać trasę kolejową Rzeszów - Kolbuszowa - Tarnobrzeg. Przeszedłszy Głogów i las stykowski, skręciłem na drogę prowadzącą do Widelki. Minawszy ostatnie zabudowania wyszedłem na gościniec zwany "Maziarskim". Wchodzę do lasu zembrzańskiego. Zaraz na skraju w miejscu, gdzie w roku 1895 stała karczma wyrósł gęsty olszowy las i zaciemnił gościniec tak, że miałem trudność odnalezienia go. Po krótkim namyśle zorientowałem się i wyszedłem właściwą drogę i miejsce, w którym przed z góry siedmiu laty spostrzegłem prze-

biegającego zająca, gdy brat Paweł odwoził mnie na ćwiczenia wojskowe. Miejsce to uwidocznione było resztką spróchniałej figury, na której umieszczona była Męka Pańska.

Przeszedłszy las zembrzański wyostałem się na pola dzikowieckie i doszedłem do granicy pól lipczańskich tzw. za Szosą. Na końcu naszego pola postawiony był krzyż przez moją babkę w 1841 r. Zobaczywszy ten krzyż ukląknęłam dziękując Bogu, że dopomógł mi powrócić z tej strasznej niewoli. Podniosłem się i skierowałem się do wsi.

Wspomnienie z deportacji do ZSRR z lat 1940-1946

Urodziłem się w 1931 r. w Staszówce, przysiółku wsi Hucina w powiecie kolbuszowskim, w województwie lwowskim, jako pierwsze dziecko Bronisława i Agnieszki Wrażeń, rolników. Ojciec mój pochodził z powiatu mieleckiego i przyszedł do Staszówki na niewielkie gospodarstwo żony, mojej matki. W 1933 r. urodził się mój młodszy brat Kazimierz. W 1937 r. rodzice moi sprzedali gospodarstwo w Staszówce, a kupili większe gospodarstwo w osadzie Smigłowo, polskiej kolonii, położonej w odległości 6 km od Zaleszczyk, tuż przy przedwojennej granicy polsko-rumuńskiej. Osada ta liczyła około pięćdziesięciu mieszkańców. Pojechała tam z nami babcia, matka mamy. W roku szkolnym 1938-39 zacząłem naukę w szkole powszechnej. We wrześniu 1939 r., po agresji niemieckiej na Polskę, pamiętam przejazdu Polaków, wojskowych i cywilów, a raczej ucieczkę ich do Rumunii. Około 20 września przysła do nas Armia Radziecka. Nowe władze popierały Ukraińców, a odnosiły się niechętnie do Polaków. W szkole zaczęto uczyć po ukraińsku. 10 lutego 1940 roku przybyło do Śmigłowa wojsko czy NKWD i zabrało wszystkich jego mieszkańców do Zaleszczyk. Każdy wziął z sobą, w pośpiechu, to co mógł, trochę odzieży, pościeli, żywności. Niektóre kobiety zabrały ze sobą "głowy" maszyn do szycia, licząc że będą im one potrzebne.

Na stacji w Zaleszczykach sformowano transport Polaków z tego miasta i okolicy, mający być wywieziony do ZSRR. Załadowano ich, a wśród nich i moją rodzinę, do pociągu towarowego liczącego czterdzieści czy pięćdziesiąt wagonów. W każdym wagonie było po pięć, sześć, czy więcej rodzin. W zamkniętych wagonach, pod konwojem wojskowym, dostając raz na dzień kawałek chleba i parę łyżek zupy-wody, wieziono nas, przetrzymując godzinami na bocznicach, na Syberię. Niektórzy ludzie umierali już w drodze. Przywieziono nas do Krasnejarska, dużego miasta w środkowej Syberii. Tu, kiedy wyszliśmy wreszcie na powietrze po miesiącu jazdy w mrozie, w lodowatych wagonach, podzielono nas na grupy po 60 rodzin i rozwieszone te grupy w różne strony. Grupę, w której znalazła się moja rodzina, wieziono połowę dnia samochodem ciężarowym, a następnie trzy doby saniami w tajgę, w bezludną okolicę, do jakiegoś obozu. Umieszczono nas w jednym, dużym baraku, wszystkie 60 rodzin, kazawszy zostawić przed barakiem przywiezione rzeczy. Miało się je zostawić niby do rana. Spaliśmy na podłodze baraku, w zimnie i ciasnocie, w tym co mieliśmy na sobie. Gdy rano

wstaliśmy, nie znaleźliśmy przed barakiem naszych rzeczy. Nie można się było o nie dopytać i przepadły. W baraku, w kabinie na podwyższeniu, siedział przez jakiś czas, dniem i nocą, uzbrojony żołnierz i pilnował porządku. Nie pamiętam nazwy miejscowości, w której stał ten barak. Pamiętam, że po paru dniach wszystkich dorosłych i zdrowych wypędzono do lasu, do pracy przy ścinaniu drzew. Starzy zostawali z dziećmi. Brygady do pracy prowadzili uzbrojeni konwojenci. Pracujący dostawali dwa razy dziennie po niecałym kilogramie czarnego, ciężkiego chleba i trochę zupy. Niepracujący, to jest starsi i dzieci, nie dostawali takiego przydziału i ich krewni, pracujący dzielili się z nimi swoimi porcjami. Przez większą część roku żyło się w zimnie, a zawsze w głodzie i beznadziejności. Tak żyliśmy przez trzy lata. Ludzie szukali pożywienia gdzie mogli. W lecie jedli różne trawy, pokrzywy, zbierali ziarnka zboża. Panowała epidemia tyfusu i innych chorób. Ludzie wymierali całymi rodzinami. Nam, tam w tym baraku, umarła babcia. Pogrzebało się ją, tak jak i innych, niedaleko za barakiem.

W 1941 r. zaczęła się wojna niemiecko-radziecka. W 1942 r. wobec braku siły roboczej władze obozu udzieliły więźniom przepustek i pozwoliły przenosić się do pracy w niedalekim kołchozie. Mogło tam być trochę więcej jedzenia. Moja rodzina też się tam przeniosła. Zamieszkaliśmy w jednej chacie z drugą rodziną polską, posiadającą niemieckie nazwisko Hetnar. Rodzice poszli do pracy w polu, a i ja też trochę pomagałem przy pasieniu krów.

Ojciec mój już w jesieni 1941 r. dowiedział się o tworzeniu w ZSRR Armii Polskiej gen. Andersa. Chciał do niej wstąpić, ale nie widział możliwości zabrania nas do niej z sobą. Potem żałował, że nie poszedł do niej i kiedy w 1943 r. dowiedział się o powstaniu Związku Patriotów Polskich i tworzeniu przez niego nowego Wojska Polskiego, zgłosił się do niego. Myślał, że zabierze i nas do jakiegoś większego miasta, gdzie są przedstawiciele władz polskich. Ale pojechał do tego wojska i przepadł. Nie dostaliśmy od niego żadnej wiadomości. Zostaliśmy sami z mamą przy rodzinie Hetnarów. Mama pracowała w kołchozie, pożywienie podtykała nam, o siebie nie dbała tak jak powinna i w parę miesięcy po wyjeździe ojca, na wiosnę 1944 r. zachorowała i zmarła. Było to dla mnie i dla brata straszne przeżycie. Mama miała zaledwie 35 lat. Ja i brat musieliśmy trzymać się Hetnarów. Zostałem przyjęty do pracy w kołchozie. Jeździłem koniem po chleb do niedalekiego miasteczka. Nazwy jego jednak nie pamiętam.

Potem przyszła wiadomość o zakończeniu wojny. Powracali do domów Rosjanie, byli żołnierze. Polacy, będący wywiezieni do ZSRR, pragnęli wracać do odrodzonej Polski. Organizowali się w większe grupy, starali się o przyznanie im specjalnego, ewakuacyjnego pociągu. Mieli dostać wreszcie ten pociąg. Hetnarowie suszyli chleb na drogę, zbierali nieco tłuszczu, cukru. Ja robiłem to samo. Poszedłem do naczelnika kołchozu, powiedziałem o wyjeździe, a on dał mi na drogę czerwienca, czyli dziesięć rubli. Szklanka

mleka kosztowała wtedy pięć rubli. Jednego dnia zabraliśmy się na kołchozowy samochód, jadący do Krasnojarska po jakiś towar. Przybyliśmy na tamtejszą stację, gdzie pod drzewami biwakowało dużo Polaków, oczekujących na pociąg. Nie wszyscy z nich byli ludźmi uczciwym. Jednej nocy nie dopilnowałem mojej walizki, w której miałem dokumenty, suszony chleb i czerwienca. Ktoś mi ją ukradł. Nie mieliśmy z bratem już niczego. A tu na nasze nieszczęście podstawiono pociąg do Polski. Żołnierze wyczytywali i wpuszczali do wagonów ojców rodzin i ich najbliższych. Hetnarowie weszli do wagonu, a mnie i brata żołnierz nie wpuścił. Nie pomógł płacz i krzyk. Zamknięto drzwi wagonu i pociąg odjechał. Z bratem zostaliśmy w obcym mieście. Postanowiłem nie wracać już do kołchozu, od którego dzieliła nas daleka droga przez olbrzymie lasy. Pobyt w Krasnojarsku to nie było życie, tylko jedna wielka męka. Spaliśmy w nocy na stacji kolejowej, jedliśmy resztki, pozostawione w restauracji dworcowej przez podróżnych i podkradaliśmy jedzenie świniom, chowanym przy tej restauracji. Było tak przez trzy tygodnie. Jednego dnia zauważyła nas pewna podróżna. Była to Polka, pracująca w jakimś organie ZPP. Zabrała nas z sobą, wykapała, przebrała i wystarała się o to, że odesłano nas do polskiego Domu Dziecka, działającego z ramienia ZPP w miejscowości Porog, nad rzeką Angara, na północ od Krasnojarska, niezbyt daleko od ujścia tej rzeki do Jeniseju. Ja, niestety, nie starałem się dowiedzieć i zapamiętać nazwiska tej kobiety, naszej dobrodziejki.

W Domu Dziecka było około sześćdziesięcioro dzieci polskich i parę ukraińskich, pozbawionych rodziców. Kierownikiem domu był pan Wroblewski, leśniczy spod Łowicza, higienistką zaś pani Mikołajczyk. W miejscowości tej, w której był dom Dziecka można było znaleźć czasem, wśród piasku, małe ziarenka złota. Pan Wroblewski wysyłał nas na poszukiwania tych ziarenek i mówił, że za nie pojedziemy do Polski. Oddawaliśmy mu wszystko, co znaleźliśmy, a pod wpływem opowiadań o Polsce budziła się w nas tęsknota za nią i nienawiść do Rosjan.

Wkrótce, bo w marcu 1946 r., nasz Dom Dziecka został ewakuowany do Polski. Jechaliśmy pociągami. W podróży mieliśmy znowu przykrą przygodę. Już za Uralem pociąg nasz stanął na stacji. Gromadka nas, ze dwudziestu chłopców, pobiegliśmy do stacyjnej studni po wodę. Jeden z naszych kolegów miał na sobie polski, wojskowy pas, pamiątkę po ojcu. Koło studni znalazł się jakiś żołnierz radziecki i chciał zabrać koledze ten pas. My go broniliśmy. Pobiliśmy żołnierza i jego kolegę, ale przyszli inni i zabrali nas na jakiś posterunek. Tam przesłuchiowano nas i nawet grożono rozstrzelaniem za napad na żołnierza w czasie pełnienia służby. My tłumaczyliśmy się i po jakimś czasie nas puszczono. Niestety, nasz pociąg już odjechał. Zostaliśmy sami na stacji. Wnet jednak jechał pociąg osobowy w tym samym kierunku, co i nasz pociąg pojechał, więc postanowiliśmy jechać nim, bez biletów i gonić nasz pociąg. Dogoniliśmy nasz pociąg po przeszło tygodniu

podróży. Po tym wypadku nasza nienawiść do Rosjan jeszcze się powiększyła. Jechaliśmy bowiem o głodzie. Zjedliśmy tyle, ile uzbieraliśmy u podróżnych. A tam ludzie sami biedni, nie są chętni dzielić się z drugim.

Po miesiącu podróży przekroczyliśmy granicę polską w Brześciu n/Bugiem. Skierowano nas do Domu Dziecka w Gostyninie. Tu zajęli się nami ludzie z Polskiego Czerwonego Krzyża. Zdezynfekowano nas. Potem odesłano do miejscowości Bardo Śląskie koło Wałbrzycha i umieszczono w Domu Dziecka znajdującego się w poklasztornym budynku. Razem z bratem spędziłem tam lato. Gromada nas, chłopców, w czasie zabawy odkryła pozostawiony przez Niemców mały skład karabinów. Zostawiliśmy sobie ich kilka, a o reszcie zawiadomiliśmy milicję. Razu pewnego zaczęliśmy z tej broni strzelać do dwóch żołnierzy radzieckich. Znowu mieliśmy kłopoty i zabrano nam broń.

Tymczasem nasz Ojciec poszukiwał nas przez Czerwony Krzyż. Przeszedł szczęśliwie szlak I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki Ludowego Wojska Polskiego i zamieszkał u swojego brata w Chrzastkowie koło Mielca. Odnalazł nas i zabrał do stryja. W 1947 r. otrzymał dwa hektary pola z reformy rolnej w Orłowie, gmina Borowa. Ja poszedłem uczyć się w Gimnazjum. Po szkole średniej dostałem się na Wydział Technologii Drewna Uniwersytetu w Poznaniu. Skończyłem studia w latach pięćdziesiątych i dostałem nakaz pracy do tartaku w Długim Kącie w powiecie biłgorajskim. Pracowałem tam do 1960 r. Jeszcze w 1956 r. ożeniłem się ze Stanisławą Frask. Urodzili się dwaj synowie, Andrzej i Wiesław. Rok pracowałem w tartaku w Chmielowie koło Tarnobrzega, a od 1961 r. pracuję jako technolog w Rzeszowskiej Fabryce Mebli w Sędziszowie Młp. Mieszkam w tym samym mieście. Jestem bezpartyjny. Synowie zdobyli wyższe wykształcenie i usamodzielnili się. Z odznaczeń posiadam: Złoty Krzyż Zasługi, Medal XXXX Lecia i Odznakę Zasłużony dla Województwa Rzeszowskiego.

*Opracowała i podała do Rocznika Kolbuszowskiego
Halina Dudzińska*

Wspomnienie z deportacji do ZSRR /1944-1946/

Urodziłam się 15 sierpnia 1921 r. w Kolbuszowej Dolnej koło Kolbuszowej, jako jedno z dzieci Ignacego i Joanny Augustyn, rolników. Miałam kilkoro starszego rodzeństwa i młodszego brata Jana. Rodzice moi wyjechali, przed rokiem 1910, na emigrację zarobkową do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a powrócili do kraju po otrzymaniu przez Polskę niepodległości. Za pieniądze zarobione w USA, kupili osiem hektarów ziemi w swojej wsi, w Kolbuszowej dolnej, przy drodze do Zarębek i zbudowali nam drewniany, rodzinny dom. W odrodzonej Polsce, w II Rzeczypospolitej, panowały inflacja i różnorodne trudności, zwłaszcza gospodarcze i Ojciec wkrótce, po urodzeniu się, w 1923 r., brata Jana, pojechał z powrotem, za pracą do USA. My, dzieci, pozostałyśmy z Mamą. Władysław, jeden z braci, urodzony w 1911 r., pomagał jej w prowadzeniu gospodarstwa. Stanisław, starszy od niego, chodził do kolbuszowskiego Gimnazjum. Wstąpił on potem do stałej służby wojskowej, ale zginął z rąk Sowietów w 1941 roku we Lwowie, gdzie pozostał po wrześniu 1939 r. Ja, skończywszy przepisaną ilość klas szkoły powszechnej, także uczyłam się przez dwa lata w Gimnazjum, ale przerwałam naukę, zniechęcona pewnymi trudnościami z matematyki. Pozostałam w domu. Wnet wybuchła II wojna światowa.

W czasie wojny pracowaliśmy na gospodarstwie. W drugiej połowie wojennych lat bracia moi, Władysław i Jan, zostali członkami Armii Krajowej (AK), konspiracyjnego Wojska Polskiego, powołanego do życia przez Rząd Polski, powstały na emigracji w Europie Zachodniej. Działalność konspiracyjna w Kolbuszowej Dolnej była szeroko rozwinięta. Najpierw, prawie że od początku wojny szerzył ją Adam Rychel, starszy przodownik Polskiej Policji, od końca 1939 do jesieni 1942 komendant posterunku PP w Kolbuszowej. Mieszkał z rodziną, z żoną i dwojgiem dzieci, w naszym sąsiedztwie. W jego domu zamieszkali, w 1943 r., aktywni członkowie AK, Michał Mokrzycki "Orlik", "Bartnik", referent prasowy Komendy Obwodu AK w Kolbuszowej, oraz Tadeusz Rożek "Sawa", używający wtedy nazwiska Ościak. Ten niezwykle odważny młody człowiek, przybyły z Rzeszowa, organizował w Kolbuszowej i okolicy, akowskie grupy dywersyjne, mające wywoływać akcje antyniemieckie. Adam Rychel i jego lokatorzy wciągali mężczyzn do organizacji. W jesieni 1943 roku Adam Rychel zmarł, ale dom jego pozostał ważnym ośrodkiem akowskiej pracy. Brała w niej udział

Władysława Rychel, wdowa po Adamie, pseudonim "Warta", wciągnięte były do niej i jej dzieci, Maria i Tadeusz, nie mający jeszcze wtedy po osiemnaście lat. Ja nie składałam przysięgi organizacyjnej, ale wiedziałam o pracy i czasem uczestniczyłam w niej, spotykając się z kolegami braci czy pełniąc rolę łączniczki. Wtedy poznałam Kazimierza Klinke, będącego do roku 1943 polskim policjantem, ukrywającego się potem przed Niemcami i Leszka Braitera, młodego przybysza do Kolbuszowej, który pracował jako instruktor w Baudeienst-cie w Świerczowie i był zapalonym akowcem, pod pseudonimem "Brzoza". W stodole Rychlów Michał Mokrzycki drukował, od drugiej połowy 1943 r., akowskie pismo "Na Posterunku", a czasem czynił to i w naszym budynku gospodarczym. Mieszkaliśmy na uboczu i miejsce było dobre na spotkania kolegów.

Potem przyszedł rok 1944. W lipcu akowcy realizowali plan "Burza", w sierpniu ziemię naszą załała armia radziecka. Pod osłoną tej armii komuniści, inspirowani przez Józefa Stalina, obejmowali władzę w naszym kraju i przystępowali do unieszkodliwiania, do aresztowania przeciwników, zwolenników Rządu na emigracji w Londynie, członków AK i w ogóle osób, podejrzanych o posiadanie broni. Głównymi narzędziami walki władzy komunistycznej z "reakcją" były wojewódzkie i powiatowe urzędy bezpieczeństwa publicznego i posterunki milicji obywatelskiej. Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego PUBP, w skrócie UB) powstał i w Kolbuszowej.

Do nas, po zakończeniu akcji "Burza", Leszek Braiter przyniósł dwa czy trzy niemieckie karabiny, automaty. Wtedy akuratnie były żniwa i bracia rzucili tę broń pod stawiany, na podwórzu, stóg snopków zboża. Potem przyszli do nas Sowieci na kwaterę. Po jakimś czasie zakładając telefon, przesunęli stóg w inne miejsce. Znaleźli automaty i zabrali je, nikomu nic nie mówiąc.

Aresztowania akowców w Kolbuszowej ubowcy razem z funkcjonariuszami NKWD rozpoczęli w ostatnim dniu września 1944 r. W tym dniu wzięli trzech Lenartów: ojca Wojciecha, leśniczego i jego synów Jana i Stanisława, z leśniczówki pod Werynią. Wzięli i - przepadło. Słuch po tych ludziach zaginął i do dzisiaj nie wiadomo, co się z nimi stało. W dniu 1 października zabrali ubowcy Władysławę Rychlową. Chcieli koniecznie ująć "Sawę". Przyszli po niego w dniu 4 października i zastali go w domu Rychlów. Uciekł, ale strzelali za nim i gdy przeskakiwał płot, dosięgła go seria z karabinu maszynowego, raniąc śmiertelnie w brzuch. Ja, na odgłos strzałów u Rychlów, niepotrzebnie tam pobiegłam. Ubowcy przyglądali mi się i zapamiętali. Przez przeszło miesiąc nic się działo. Dopiero w dniu 7 listopada trzech ubowców przyszło, po południu, do mojego domu. Zastali braci i mnie i zabrali nas ze sobą, mówiąc że nas biorą na przesłuchanie. Pogoda była wtedy jeszcze ładna. Miałam na sobie niezbyt ciepłą bieliznę i sukienkę, na nogach płytke buty. Wzięłam kurtkę i chustkę na głowę. Bracia też byli lekko ubrani. Nie spodziewaliśmy się tego, co nas spotkało. Szliśmy do Kolbuszowej, do budynku PUBP przy ulicy 3 Maja, dzisiaj

przy ul. Obrońców Pokoju 1, trzema parami. Najpierw mnie prowadził, pod rękę, Tadeusz Wiśniewski, Białorusin, który przybył do powiatu kolbuszowskiego w 1943 roku, jako sowiecki partyzant, skoczek spadochronowy i rozpoznawał tutejsze struktury AK. Był w mundurze polskiego porucznika. Dzisiaj wiem, że ten mundur był własnością Jerzego Marii Tyszkiewicza, właściciela kolbuszowskiego majątku ziemskiego, aktywnego akowca, który do dnia 7.11 też już był aresztowany przez UB-NKWD. Białorusin ustroił się w mundur polskiego porucznika i odgrywał Polaka. Za nami brata prowadził Stanisław Winiarski, kolbuszowianin, rówieśnik i szkolny kolega Jana, który wstąpił na służbę do PUBP w Kolbuszowej i wiernie służył NKWD, znając ludzi i pomagając ich wyłapywać. Ten Stanisław Winiarski był jedynym kolbuszowianinem, który służył w kolbuszowskim PUBP przez wszystkie lata jego istnienia. W 1945 roku przyjął on nazwisko - Dzyndra. W jesieni 1944 r. zdobył on sobie opinię wielkiego szubrawca, zbira. W trzeciej parze szedł z moim bratem Władysławem, któryś z braci Osetków, chyba także Władysław, też drań wysokiego rzędu. Wymienieni mężczyźni przyprowadzili nas do budynku PUBP i zamknęli każde z nas w innym pomieszczeniu. Jeszcze tego samego wieczoru byliśmy przesłuchiwani, też każde z osobna. Na pierwsze przesłuchanie wzięto mnie do jakiegoś dużego pokoju. Przy stole siedziało dwóch Sowietów, oficerów NKWD i dwóch Polaków - ubowców, nieznanych mi. Kazano mi usiąść na stołku, niedaleko od stołu, położono mi miednicę z wodą na kolana, a dwóch innych ubowców stanęło obok mnie po obu stronach ramion. Pytania stawiał ubowiec siedzący przy stole. Pytał mnie, jaki mam pseudonim, od kiedy należę do organizacji Armia Krajowa, jakich ludzi znam, z kim spotykam się w tej organizacji, nazywał mnie narzeczoną "Sawy", pytał się, co o nim wiem, z kim on się spotykał i gdzie, w moim domu, jeszcze jest ukryta broń? Odpowiadałam, że nie należę do organizacji, że nie mam pseudonimu, że nie jestem narzeczoną "Sawy", że o nikim nic nie wiem. Za każdą odpowiedź ubowcy, stojący obok mnie, bili mnie zaciśniętymi pięściami po głowie, twarzy i plecach. Krew pociekła mi z nosa, więc wsadzili mi głowę do miednicy, którą przytrzymywali na moich kolanach. Po godzinie czy więcej, gdy byłam już pokrwawiona i nie mogłam mówić, ubowcy, stojący obok mnie, wzięli mnie pod ręce i zawlekli po schodach na strych budynku, gdzie nikogo nie było. Rzucili mnie na podłogę. Na strychu spędziłam dwa tygodnie. Było mi zimno w tej mojej sukience i kurtce, no i głodno. Jako pożywienie dawano mi, raz na dzień, kawałek chleba i trochę zupy - wody w kubku. Drugie przesłuchanie, odbyte po tygodniu, było podobne do pierwszego. Powiedziałam podczas niego, że jest mi zimno. Ubowcy nie zareagowali na moje słowa, ale jeden z Sowietów przyniósł mi później, na strych, stary, cuchnący, zawoszony kozuch. Brzydziłam się ale przykryłam się nim jednak, żeby było mi cieplej. Jakoś szczęśliwie nie przeziębiam się na tym strychu.

Po dwóch tygodniach kazano mi jednego wieczoru wyjść na podwó-

rze. Było tam dużo mężczyzn, a wśród nich znajomi z Kolbuszowej i Kolbuszowej Dolnej. Braci wtedy nie zauważyłam. Na ulicy, przed budynkiem, stały dwa czy trzy samochody ciężarowe. Po pewnym czasie kazano nam wchodzić na paki tych samochodów i siadać na deskach, na spodzie pak, jeden więzień pomiędzy rozsuniętymi kolanami drugiego. Byłam jedyną kobietą w samochodzie. Ruszyliśmy w drogę. Pilnowali nas ubowcy z bronią w ręku.

Jazda trwała ze dwie godziny. Wreszcie stanęliśmy przed dużymi budynkami. Mężczyznom kazano zejść, mnie zostawiono na pace pod strażą kierowcy samochodu. Miałam wtedy możliwość ucieczki. Kierowca pozwolił mi zejść z paki i odejść na bok, za potrzebą. Myślałam o ucieczce, powinnam była uciekać i ukryć się gdzie, ale było ciemno, nie wiedziałam, gdzie jestem - i nieszczęsna, wróciłam do samochodu. Wnet potem przyszedł ubowiec i zaprowadził mnie do jakiegoś budynku, do salki, gdzie stały łóżka. Położyłam się na jednym z nich i przestraszona, smutna, zdezorientowana - zasnęłam.

Rano ubowcy przyprowadzili do izby dwie kobiety. Zaczęłyśmy rozmawiać. Były z Rzeszowa. Jedna z nich nazywała się Bartosik. Pani ta jakiś czas siedziała w więzieniu WUBP w Rzeszowie w jednej celi z Władysławą Rychel. Opowiadała o krwawych przesłuchaniach, jakie Rychłowa przechodziła, o konfrontacjach jej z członkami AK. Dowiedziałam się, że jestem w Przemyślu, i że pewnie wywiozą nas do ZSRR.

Z Przemyśla następnie przewieziono nas do baraków w Bakończycach, znajdujących się przy przedwojennych koszarach polskiej artylerii. Tu dołączono nas do grupy kobiet. Były wśród tych kobiet kolbuszowianki, moje znajome: Natalia Babko i Zofia Gruszka - nauczycielki, Maria Dudzińska, Zofia Januszewska, Zofia Golniewicz, Anna Kić - urzędniczka, Zofia Kotlarek, moja kuzynka Z. Golniewicz, Aniela Mielcuszny, Stefania Opalińska - żona piekarza i Zofia Wildhirt. Później poznałam Annę Pękalską z Raniżowa. Gdy nas policzono, okazało się, że jest nas czterdzieści z całego województwa rzeszowskiego. Trzymano nas razem dwa czy trzy dni, dając do jedzenia, raz na dzień, kawałek chleba i garnuszek zupy. Dano nam też po sztuce niemieckiego płaszcza wojskowego lub bluzie od munduru. Jednego dnia wzięto nas też do publicznej łaźni, gdzie z rozkoszą wykapałyśmy się. Następnie zaprowadzono nas do koszar w Bakończycach, gdzie odbyło się przekazanie nas w ręce funkcjonariuszy NKWD i przyłączenie do rzeszy zgromadzonych mężczyzn. Zaraz potem zawieziono nas wszystkich samochodami na stację kolejową w Przemyślu i załadowano do wagonów towarowych. Później dowiedziałam się, że było nas w przygotowanym transporcie prawie dwa tysiące ludzi.

Nas, czterdzieści kobiet, umieszczono w jednym wagonie. Wagonie zimnym i pustym. Były to ostatnie dni listopada. W wagonie był żelazny piecyk i otwór w podłodze, czyli - latryna. Po jakimś czasie pociąg ruszył,

wioząc nas w nieznane. Niektóre z nas denerwowały się, płakały, pragnęły wracać do domu. Nie było jednak odwrotu. Gdy po pewnym czasie jazdy pociąg zatrzymał się, przed wjazdem na stację, któraś z kobiet powiedziała - a może nas rozstrzelają? Ale pociąg ruszył w dalszą drogę. Niedaleko przed Lwowem pociąg znowu stanął i usłyszałyśmy strzały. Stał z godzinę. Już w ZSRR dowiedziałyśmy się, że stanął on dlatego, że z jednego wagonu zaczęli wyskakiwać więźniowie. Jednemu stopa wpadła pod koło i mimowolnie *zaczai krzyczeć* z bólu. Krzyk usłyszał konwojent, siedzący w budce na dachu wagonu, zatrzymał pociąg i strzelał do uciekających. Część uciekających złapano, kilku jednak zbiegło, korzystając z ciemności. Wśród tych co uciekli, byli dwaj mężczyźni z powiatu kolbuszowskiego, z Porąb Kupieńskich: Władysław Miazga i inż. Jan Zdzisław Skrzypek.

Pociąg nas jechał, a czasem stał w polu całymi godzinami. W wagonie było zimno. Z czasem na ścianach wagonu osiadł szron. Wiedziałyśmy, że przejechałyśmy Lwów. W późniejszych dniach, na którymś z postojów, otwierano drzwi wagonów, zamkniętych od zewnątrz i wsuwano do środka kawałki chleba w jakimś koszyku, garnek czy miednicę zupy, a czasem i wiaderko ciepłej wody, zabarwionej zielem. I parę łyżek. Kilka razy była i kasza. Raczyłyśmy się po kolei, każda po łyżce, dwóch czy trzech. Pociąg stał, aż naczynia, w wagonach zostały opróżnione i oddane. Zupą była najczęściej grochówka, ugotowana na marynowanych śledziach, słona. Chciało się po niej bardzo pić. Ciepłej wody - kipiateru, było mało i nie było jej codziennie. Po kilku dniach jazdy lizałyśmy szron ze ścian wagonu, chociaż miał on przykry zapach i smak. Nie mając wody, nie myłyśmy się, ale któraś z nas miała grzebień, więc czesałyśmy się. Zawinięte niemieckimi płaszczami wojskowymi, zbiłyśmy się w gromadę na podłodze wagonu i rozgrzewały, jedna od drugiej. Rano i wieczór modliłyśmy się. Czasem wspominałyśmy coś ze swojego życia.

Jechałyśmy w nieznane dwanaście dni i tyle samo nocy. Zimno było coraz większe. Z głodu, cierpianego już od kilku czy kilkunastu tygodni straciłyśmy siły. Tak samo było z mężczyznami w innych wagonach. Aż wreszcie, jednego popołudnia, pociąg stanął, po czym, po pewnym czasie, otworzono drzwi wagonów i kazano nam wysiadać. Zebrano nas przed budynkiem stacji o nazwie Borowiczi. Po naszymu - Borowicze. Dzisiaj wiem, że było to dosyć duże i uprzemysłowione miasto, leżące w połowie drogi pomiędzy Leningradem a Moskwą, w obłastcie leningradzkim, na linii Wielkiego Nowogrodu. W tym mieście i wokół niego znajdowały się obozy przymusowej pracy dla różnorodnych więźniów, jeńców wojennych i dla takich jak my, jak później dowiedzieliśmy się, internowanych, zatrzymanych.

My wszyscy, wypuszczeni z wagonów, byliśmy brudni, bezsilni, spragnieni. Mężczyźni nosili brody. Niektórzy mieli już odmrożone różne części ciała. Większość z nas od razu rzuciła się na śnieg i lizała go. Przeszka-

działa temu, z krzykiem i biciem, obsługa transportu, dotychczasowi nasi, sowieccy konwojenci. Przyszedł im z pomocą nowy oddział enkawudzistów, mający duże psy, wilczury, na smyczach.

Zaczęto odczytywać nasze nazwiska, sprawdzano obecność. I ja dopiero tam, wśród panującej już nocy, dowiedziałam się, że w transporcie są też moi bracia, Jan i Władysław. I dużo mężczyzn z Kolbuszowej, Kolbuszowej Dolnej i z innych miejscowości powiatu kolbuszowskiego. Razem kilkaset ludzi.

Nie pamiętam, ile czasu zabrało sprawdzanie naszej obecności. W pewnej chwili kazano nam stawać czwórkami, po "cietyre czołowieka", obstawiono enkawudzistami z psami i kazano - iść. Najpierw szliśmy przez miasto. Spotykaliśmy ludzi, tubylców. Ci, zwłaszcza młodzież, obrzucali nas pogardliwymi spojrzeniami i wołali "Polaczki - buntowszczyki, sukinsyny, mikołaczyki". A my szliśmy, skostniaли, słaniając się ze zmęczenia. Szliśmy przez noc, przebywając dziesięć czy piętnaście kilometrów, zaśnieżoną drogą. Już rano stanęliśmy przed obozem, łagrem, zespołem baraków, otoczonych rzędami drutu kolczastego, przy którym wznosiły się wieże wartownicze, prawie takie same, jakie były u nas w niemieckich obozach koncentracyjnych. Tylko nad bramą wejściową wisiała olbrzymia, czerwona gwiazda. Otwarto tę bramę i wpuszczono do obozu nas, kobiety i pewną ilość starszych mężczyzn z transportu. Innych mężczyzn popędzono dalej. Byli wśród nich i moi bracia.

My, pozostawieni w pierwszym obozie, czekaliśmy dosyć długo, zanim wyszli ludzie z obsługi obozu i przyjęli nas. Później dowiedzieliśmy się, że obóz ten nosił nazwę - Szybotowo. Polacy nazwali go - Szepetowo. Znajdował się on na podmokłej, bagnistej dolinie, nie posiadającej, w zasięgu wzroku, ani drzew, ani krzewów. W barakach obozowych długich na około piętnaście metrów, szerokich na pięć metrów, byli już ludzie. Byli Polacy od Warszawy i Lubelszczyzny, Niemcy i Węgrzy. Gdy obsługa obozu przyjęła nas, dano się nam napić ciepłego, nawet gorącego "kipiatoku". Kilka łyków ożywiło nas. Następnie wzięto nas do baraku - łaźni (bani), kobiety osobno, mężczyźni osobno. Banię obsługiwali mężczyźni, a my musiałyśmy całkowicie się rozebrać i oddać naszą odzież do dezynfekcji. Nam, wychowanym we wstydlivości, to rozebranie się przy mężczyznach, było bardzo przykre. W łaźni nie było kąpieli, tylko mycie się, pochłapanie ciała ciepłą wodą z drewnianych korytek. Potem czekając na zwrot odzieży, wysychałyśmy. Gdy ubrałyśmy się, zostałyśmy przyprowadzone z powrotem do baraku. W baraku była jedna długa izba, zastawiona piętrowymi pryzkami z desek. Prycze tutaj nazywały się nary. Izba była lodowato zimna, chociaż stał na środku żelazny piec i leżało przy nim świeże drzewo z lasu, razem z gałęziami. Należało nim palić w piecu. W baraku zastałyśmy pewną ilość Niemek, które nie chodziły do pracy. Nam, nowo przybyłym dano kilkudniowy odpoczynek. Była to tak zwana kwarantanna. Dawano nam przez

te dni trzy razy dziennie po trochę zupy, ugotowanej na marynowanych śledziach z kiszonych liści kapusty czy buraków, oraz po kawałku czarnego, ciężkiego i lepkiego chleba. Jako naczynia na zupę używałyśmy puszek po konserwach. Powoli poznawałyśmy życie obozowe. Napisy nakazujące to czy tamto, czy zabraniające tego czy tamtego, zrobione były w języku rosyjskim i niemieckim. Komendantem obozu był oficer, chyba Rosjanin, który mówił po rosyjsku, po polsku i po niemiecku. My mieszkając w tym baraku przez cztery miesiące, nie rozmawiałyśmy z Niemkami.

Po kilku dniach kwarantanny oglądnięto nas i podzielono na grupy, jakby brygady (zawód). Każdy zawód miał przywódczynię. Jedne zawody skierowano do pracy w kuchni, inne w pralni, w szwalni czy w magazynie, gdzie sortowało się poniemiecką odzież. Z powodu tego, że pracowałyśmy w budynku pod dachem, położenie nasze było lepsze, niż położenie mężczyzn, którzy chodzili do pracy na dworze, na drogach czy w lesie. Była to przecież rosyjska, surowa zima. Praca w kuchni dawała możliwość zjedzenia czegoś po kryjomu, nawet schowania czegoś dla kogoś znajomego, a praca w magazynie pozwalała zdobyć coś z sortowanej odzieży, coś do ubrania się, do położenia na gołych deskach pryczy. Gdy człowiek się zadomowił, poznał jak rozwijał się w obozie handel wymienny. Nie posiadałyśmy nic poza pryczami i jakimś stołem, ale z czasem każda z nas zdobyła jakiś woreczek czy węzełek i trzymała w nim coś swojego, puszkę z konserw służącą za garnuszek i talerz, jakąś zdobytą odzież, czy kawałek gazety.

W każdej pracy wyznaczona była dzienna norma do wykonania i po dniu wce "normirowszczyk" sprawdzał wykonanie normy. Od jej wykonania zależało otrzymanie normy dziennego pożywienia. Kto nie wykonał normy pracy, nie dostał i normy pożywienia.

Moją pierwszą pracą była praca w pralni obozowej. Rano "normirowszczyk" przydzielał każdej z nas piętnaście sztuk odzieży do wyprania przez dzień. Pralnia i suszarnia mieściły się w oddzielnych barakach. W obydwóch paliło się w piecach, w pralni dla zagrzania wody do prania, w suszarni, żeby wyprane *rzeczy* szybciej schły. Prało nas kilkanaście kobiet. Rzeczy przeznaczone do prania były bardzo brudne, prałyśmy je w niezbyt ciepłej wodzie na drewnianej tarce, pocierając mydłem. Proszku nie dostawałyśmy. Bielizny nie gotowałyśmy i po naszym praniu była ona ciemna, szara, prawie ziemista, a schła tygodniami. Zawsze pilnował nas jakiś żołnierz. Po ośmiu godzinach pracy wieczorem "normirowszczyk" oceniał jej wynik. W barakach było światło elektryczne.

Do Szybotowa przywieziono nas na początku 1944 r. Po kwarantannie i kilkunastu dniach pracy były Święta Bożego Narodzenia. Pierwsze na deportacji. W święta pracowałyśmy normalnie jak w dni powszednie. Jednak koleżanki pracujące w kuchni starały się zorganizować po jakimś ziemniaku czy łyżce cukru. Wieczór, po pracy, śpiewałyśmy kolędy.

Po świętach brano mnie wraz z innymi kobietami do palenia w izbach barakowych, w których były przechowywane ziemniaki, gotowane głównie dla radzieckiej obsługi obozu i czasem w zupie dla nas, do mycia beczek po kapuście czy kiszonych liściach buraczanych. Wtedy można było zdobyć coś do zjedzenia. Pod wiosnę przebierałyśmy ziemniaki i marchew. Konwojent, poproszony, pozwolił czasem ugotować ziemniaków czy marchwi w zdobytej puszcze po gazmasce. Dostawało się po ziemniaku czy po dwa, upieczone razem ze skórą. Czasem sprzątało się w głównym magazynie żywnościowym i wtedy coś zawsze skorzystało się dla siebie. Jeszcze raz podkreślam, że sam fakt że pracowało się pod dachem był dobrodziejstwem. Korzystało z tego dobrodziejstwa i część mężczyzn: rzemieślnicy, krawcy, szyjący odzież dla obsługi obozu, szewcy, naprawiający stare obuwie czy robiący dla kogoś z "naczalstwa" nowe buty, ślusarze dokonujący różnych napraw. Warsztaty były w osobnych barakach. Wszelkie kontakty męsko - damskie "interniowanych" były surowo zabronione. Najgorzej było tym, którzy pracowali poza obozem, w kopalniach, lasach, na drogach. Pytaliśmy się nie raz lepszych naszych nadzorców, za co zostaliśmy tu przywiezieni i kiedy powrócimy do domów? Dawali różne odpowiedzi. Jeden mówił, że jesteśmy tu dlatego, że "chcieli my Polszu od morza do morza". Ale dawali nadzieję na dzień powrotu.

W marcu 1945 r. słońce mocniej przygrzewało i zaczynała się robić wiosna. Chyba wtedy zmarł w obozie w Szybotowie Jerzy Maria hrabia Tyszkiewicz, potomek dawnych właścicieli kolbuszowskiego majątku ziemskiego. Był w naszym transporcie i zostawiono go, w grudniu 1944 r., w obozie w Szybotowie. Kolbuszowianki pracujące w kuchni, jak Natalia Babko, Zofia Gruszkówna i Januszewska, starały się dostarczyć mu trochę więcej pożywienia, ale i tak rozstał się z życiem. Umierali i inni. Grzebano zmarłych płytko, w zamrzniętej ziemi, właściwie w lodzie. Pobyt w Szybotowie był bardzo smutny.

Była już wiosna, gdy Sowieci dokonali wymiany nas, więźniów z Szybotowa i więźniów z obozu, położonego kilka czy kilkanaście kilometrów na północ. Miejscowość tamta nosiła nazwę Jegolsk, a Polacy nazywali ją Jogłą. Przybyli wtedy do Szybotowa kolbuszowianie, którzy w grudniu od razu byli zaprowadzeni do Jogły. W czasie tej wymiany, w Szybotowie, spotkałam się z moimi braćmi i dowiedziałam się, że podali się za szewców, chociaż nimi nie byli i dostali pracę w warsztacie szewskim. Sprawilo mi to radość.

Obóz w Jegolsku był o wiele większy niż w Szybotowie i bardziej zaludniony. Także leżał na terenie bezdrzewnym, ale na wzgórzu, nad szeroką, chociaż płytką rzeką Mstą. Niektóre baraki wkopane były w ziemię, stanowiąc ziemianki o małych okienkach.

W drodze do tego obozu spotykałyśmy domy tubylców, drewniane chaty. Po podwórzu nie kręcił się żaden człowiek, ani nie wyglądał oknem. Jedy-

ny dowód, że w domach żyją ludzie, stanowił dym, unoszący się z kominów. Nawet dzieci nie było widać.

Niedaleko, po kilkanaście kilometrów w różnych kierunkach, znajdowały się inne obozy przymusowej, niewolniczej pracy. Były to Kawanka, Szachta (obóz koło kopalni nisko kalorycznego węgla) i Ujście.

W Jegolsku (Jogle) przeżyłam, jak i większość moich towarzyszek i towarzyszy niedoli, prawie rok. Mnie znowu przydzielono do pracy w pralni. Przywożone całe samochody ciężarowe niemieckiej odzieży wojskowej, czasem z zakrzepłymi plamami krwi. Sortowaliśmy to wszystko i prałyśmy. W szwalni latało się potargane sztuki. Były okazje do schowania czegoś odpowiedniego dla siebie. Przerabiało się to potem na bluzki, sukienki, kurtki.

Na początku pobytu w tym obozie przeżyliśmy Wielkanoc. Niedaleko od obozu znajdowała się dawna cerkiew, użytkowana jako magazyn zbożowy. Któryś z Polaków znalazł w jakimś jej kącie szaty kapłańskie. Wśród Niemców był ksiądz katolicki. On wiedział w jakim dniu przypada Wielkanoc i urządził nam w jednym z baraków świąteczne nabożeństwo. Postarał się nawet o zrobienie, w porozumieniu z kucharkami, opłatków i udzielił nam rozgrzeszenia i Komunii św. Wnet potem przyszła wiadomość, że wojna w Europie została zakończona. Był to już maj. Rosjanie mówili, że już niedługo wrócimy do domów. W serca wstąpiła otucha.

Na wiosnę czasami brano nas do oczyszczania dróg ze śniegu, a gdy ona zrobiła się na dobre, prowadzono nas, głównie w niedzielę, do siania jarzyn w okolicznych sowchozach i kołchozach.

Ciekawa byłam, jak żyją ludzie, tubylcy, w spotykanym to tu, to tam domku. Nie wolno nam było wchodzić do nich, ale ja raz, ukradkiem weszłam do jednego domku. Domek miał dwie małe izby czyściutko utrzymane. Podłoga była prawie, że biała. W domku była kobieta z kilkorgiem dzieci. Smażyła jakieś placki. Szybko podała mi jeden placuszek i kazała iść. Powiedziała, że nam nie wolno wchodzić do domów, a im rozmawiać z nami.

W lecie mieszkanie w ziemiankach było nawet przyjemne. Reżim obozowy nieco zelżał i pozwolono nam urządzić męsko - damski występ "kulturalny", przedstawienie. Pozawiażywały się pomiędzy rodakami znajomości a nawet i sympatie. Ale nasi mężczyźni, cierpiący na awitaminozę, zjadłszy coś niewłaściwego, napiwszy się nie przegotowanej wody, chorowali na czerwonkę i umierali. Było to bardzo smutne.

Także lato na Syberii jest bardzo krótkie. We wrześniu była już pełna jesień. Znowu prowadzono nas, w niedzielę, do sowchozów, kopać marchew, ziemniaki, wycinać kapustę. Ziemia była tam bardzo urodzajna. W krótkim czasie warzywa te urosły duże. Myśmy o tyle korzystali, że mogliśmy sobie upiec ziemniaków, czy czasem schować jakieś jarzyny do kieszeni. Nieraz, przy wejściu do obozu robiono nam rewizję osobistą i zabie-

rano znalezione rzeczy. Niekiedy udało się jednak coś przenieść i skorzystać z tego w obozie.

Dreńczyła nas tęsknota za domem, za rodzinami, brak jakiejś wiadomości od nich. Bardzo bolało gruboskórne wzywanie konwojentów do pracy słowami: "dawaj dziwki na rabotu". Znowu przyszła zima, śniegi i mrozy i były drugie, w internowaniu, święta Bożego Narodzenia. Pracowałam wtedy w obozowej kuchni i po świętach przeżyłam bardzo ciężkie chwile. Same przecinałyśmy piłą drzewo, przeznaczone do palenia w piecach, a piła w obozie była tylko jedna i z kuchni pożyczali ją sobie mężczyźni na swoje ziemianki. Raz, gdy zabrali piłę, nie pomyślawszy, skoczyłam po nią do męskiego bloku. Było to surowo zabronione. Wzięłam piłę i zamieniłam kilka słów z mężczyznami, gdy nagle weszli do tego bloku dwaj Rosjanie i złapawszy mnie na "wielkim przestępstwie" wykrzyczeli mnie, chwycili i wepchnęli za karę do karceru, nazywanego "bunkrem". Była to mała, cementowa piwnica, bez okna, bez łóżka czy krzesła. Nawet szczury tam nie żyły. Oczywiście nie miała ogrzewania. Gdy mnie do niej wrzucono, zdenerwowana, usiadłam na podłodze, na cemencie i zaczęłam płakać. Tam spędziłam trzy doby. Raz na dzień wsuwano mi, przez szparę pod drzwiami, kawałek chleba i puszkę zupy. Zdawało mi się, że albo uduszę się w tym zamknięciu, albo umrę ze strachu i rozpacz. Przeziębłam się do szpiku kości, ale doczekałam się wypuszczenia. Nienawiść moja do rosyjskich potworów spotęgowała się, jednak pragnęłam przetrwać i wrócić do domu.

Po zamknięciu w bunkrze zachorowałam z przeziębienia. Dano mnie do "bolnicy", szpitala obozowego, gdzie lekarz leczył mnie, stawiając mi trzy posiadane bańki. Poleżałam, odpoczęłam w jakim takim cieple i wróciłam do baraku. Słabowałam dalej. Nie miałam sił pracować. Byłabym tam skończyła się, została na zawsze w tamtejszej, jakże obcej ziemi, ale w lutym przyszedł dla mnie i dla nas wszystkich Polaków szczęśliwy moment - powrót do domu. Mróz wtedy był czterdziestostopniowy, śniegi duże. One to sprawiły, że "naczalstwo" obozowe nie wysłało nas do stacji kolejowej w Borowiczach na piechotę, ale odwieziono nas tam samochodami ciężarowymi z demobilu. Załadowano nas, kobiety i mężczyźni oddzielnie, znowu do zimnych wagonów towarowych. Nie wszystkie wracałyśmy, bo niektóre pozostawiono jeszcze na rosyjskiej ziemi. Byłyśmy szczęśliwe. Jechały też z nami dwie dziewczynki, niemowlak, urodzone w obozie w Jogle, Świetlana Bartosiewicz i Barbara Pękalska. Pociąg znowu miał przestoje przed uzyskaniem wjazdu na stację. Znowu raz na dzień wsuwano nam do wagonu naczynie z chlebem, zupą-wodą i "kipiatkiem". Teraz łyżki miałyśmy swoje. Wiozłyśmy do domów, na pamiątkę, drewniane łyżki, które robili nam nasi znajomi mężczyźni w obozie. Jechałyśmy całe dwa tygodnie, ale teraz każdy odcinek drogi zbliżał nas do kraju, do swoich i radość dodawała nam sił.

Ja miałam chory kręgosłup, ale jakoś jechałam. W Białej Podlaskiej, już w Polsce, mieszkańcy witali nas bardzo serdecznie. Chcieli nas karmić wszystkim, co mieli najlepszego. Musieliśmy jednak jeść ostrożnie, żeby powoli przyzwyczajać się do normalnego odżywiania. W tym mieście dano nam też papier ze zdjęciem, będący tymczasowym dowodem tożsamości, uprawniający do bezpłatnego skorzystania ze środków lokomocji w drodze do domu. Była w nim uwaga, nakazująca zgłosić się w miejscu zamieszkania, do tamtejszych władz bezpieczeństwa.

Wróciłam z obydwojoma braćmi do Matki i do domu. Wysłano mnie zaraz do sanatorium przeciwgruźliczego. Ojciec przysłał z USA potrzebne lekarstwa. Brałam bolesne zastrzyki w kręgosłup i powoli wyzdrowiałam. W ponad rok później wyszłam za mąż za Kazimierza Klinke. Z czasem zostałam matką dwojga dzieci, córki i syna. Bezprawną, bestialską deportację do ZSRR wspominam jako zły sen.

Post scriptum:

W tym samym transporcie co i Maria Skowrońska zostały wywiezione z Kolbuszowej, w listopadzie 1944 roku, do łagrów w ZSRR, w okolicę Borowicz następujące kobiety: Natalia Babko, nauczycielka, Maria Dudzińska, gimnazjalistka, Zofia Golniewicz, gimnazjalistka, Zofia Gruszka, nauczycielka, Zofia Januszevska, Anna Kić, pracownica

Kolbuszowskiego magistratu, Zofia Kotlarek, gimnazjalistka, Aniela Mielcuszny, gimnazjalistka, Stefania Opalińska, żona Ludwika, piekarza, który dostarczał chleb członkom AK w czasie akcji "Burza", Zofia Wildhirt, gimnazjalistka. Wszystkie te osoby były członkami AK. Z Raniżowa została wywieziona w tym transporcie Anna Pękalska. W drugim transporcie, wysianym do Stalinogorska, z kobiet była tylko Władysława Rychłowa.

Maria Skowrońska- Klinke, urodziwa, wysoka, szczupła, czarnowłosa, bardzo szlachetna osoba, zmarła w lecie 1989 roku mając tylko sześćdziesiąt osiem lat. Mąż, Kazimierz Klinke, zmarł wcześniej. Żyją ich dzieci i wnuki. Córka Barbara, za mężem Ungert, mieszka w Kolbuszowej. Syn Andrzej jest utalentowanym skrzypkiem Orkiestry Symfonicznej w Krakowie.

Halina Dudzińska

*Wspomnienie z pobytu w lagrach Związku Radzieckiego
w latach 1944-1946*

Urodziłem się w 1909 r. We wsi Trzęsówka, w powiecie kolbuszowskim, jako pierwsze z jedenaściorga dzieci Michała Magdy i Honoraty z Wołowców, rolników na pięciu hektarach piaszczystej, ubogiej, puszczańskiej niegdyś ziemi. Dzisiaj Trzęsówka należy do gminy Cmolas. Nas, z rodzeństwa wychowało się dziewięć osób, dwie siostry i siedmiu braci. Rodzice nasi byli bardzo pracowici, uczciwi, a nawet i patriotyczni. Duży wpływ na nas mieli właściciele trzęsowskiego pałacu i folwarku, znajdujących się niedaleko od naszego domu. Lata wczesnego mojego dzieciństwa przypadły na czas pierwszej wojny światowej. Wojna ta przyniosła odbudowanie niepodległego państwa polskiego, co obudziło entuzjazm większości Polaków. Po wsiach jednak, a i w miastach, panowała duża bieda.

W Polsce już skończyłem sześć klas szkoły powszechnej i pomagałem rodzicom. Wyrosłem wysoki i dosyć mocny. Chciałem pracować i dorobić się czegoś w życiu. W latach 1926-1928 byłem trzy razy na "saksach", czyli na robotach sezonowych, letnich, w Niemczech koło Hamburga. Pracowałem w gospodarstwach rolnych. Nauczyłem się trochę języka niemieckiego. W roku 1929 pojechałem do pracy do Francji. Dostałem się do zakładów metalurgicznych koło Metzu. Byłem tam przez trzy lata i zarobiłem trochę pieniędzy. Zbliżał się dla mnie czas służby wojskowej, więc wróciłem do domu. Tutaj zaraz wzięto mnie do służby w 22 pułku artylerii lekkiej, stacjonującego na Bakończycach, jak się mówiło, za Przemyślem. Skierowano mnie do podoficerskiej szkoły łączności. Po jej ukończeniu dostałem stopień kaprała. Poznałem koszary, życie w nich, ale nie spodziewałem się, że będę w nich później jeszcze raz. Po stażu wojskowym w 1934 r. przyjechałem do domu i wnet, na Boże Narodzenie ożeniłem się ze Stefanią Czachor z mojej wsi. Przeniosłem się do jej domu i gospodarstwa, trochę dalej od folwarku. Gospodarowałem na roli, a dodatkowo nauczyłem się robić koła do chłopskich wozów. Zajmowali się tym wtedy liczni mężczyźni z Trzęsówki. Zaczęły przychodzić na świat dzieci.

W 1939 r. wzięto mnie na ćwiczenia wojskowe i dano po nich stopień plutonowego. 30 sierpnia 1939 r. znowu wezwano mnie do Bakończyc, teraz już na wojnę, 1 września Niemcy napadli na Polskę. Zaczęła się wojna. Byłem radiotelegrafistą, ale mój szlak bojowy był krótki. Niemcy

dopadli nas pod Kamionką Strumilową i rozbili. Dostałem się do niewoli. Napastnicy przyprowadzili nas do koszar w Bakończycach. Potem wieźli do Niemiec. Uciekłem z pociągu i wróciłem do domu.

W 1940 roku podjąłem pracę w niemieckiej firmie budowlanej HackerFritz z Mielca. Wnet Niemcy ogłosili wysiedlenie Trzęsówki, jak i innych okolicznych wsi. Pozwolili nam jednak pozostać w domach. Mężczyźni z Cmolasu i Ostrów Tuszowskich organizowali konspirację wojskową. Zostałem piątym członkiem grupy w Trzęsówce i przyjąłem pseudonim "Piątek". Później, w 1943 r., zorganizowałem w Trzęsówce pluton Armii Krajowej (AK) "Trzcina". Należeli też do niego i moi bracia. Uczestniczyłem w jego szkoleniu. W lipcu 1944 r. uczestniczyłem w akcji "Burza" w Porębach Kupieńskich i w Kolbuszowej, w plutonie "Huragan". Pod koniec "Burzy" komendant "Boryna" polecił mi udać się do Trzęsówki i Kosowów i rozdzielić pomiędzy ich mieszkańców zboże, pozostałe po niemieckim baurze. Tego bauera oczywiście już nie było. Przyszła armia radziecka, Armia Czerwona. Spełniłem polecenie "Boryny" jednak nie wszyscy dostali tyle, ile sobie życzyli.

Potem było życie w obecności Rosjan i pod rzekomo polskim "prawicielstwem", czyli w powstającej Polsce Ludowej. Władzę obejmowali komuniści. Tworzyli władze administracyjne i polityczne. Ważną władzą polityczną był Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, mający wyszukiwać i unieszkodliwiać "wrogów klasowych" komunistów. W Kolbuszowej stworzono taki Urząd Powiatowy (PUBP), nazywany w skrócie UB. Milicja Obywatelska (MO) zastąpiła policję. Wnet nowy, komunistyczny rząd polski wezwał mężczyzn do służby w Ludowym Wojsku Polskim. Mężczyźni nie zgłaszali się. Ubowcy i enkawudyści, radzieccy policjanci, towarzyszący armii frontowej, rozpoczęli aresztowania. My, akowcy, nie mieliśmy uczucia wrogości do przybyłych i ciągle napływających żołnierzy radzieckich, chociaż byliśmy żołnierzami polskiego rządu emigracyjnego, działającego w Londynie i chcieliśmy odbudowania Polski o ustroju kapitalistycznym, związanej sojuszem z państwami zachodnimi. A tu nowe "prawicielstwo" wiązało nas z Rosją, znanym, odwiecznym wrogiem wolnej Polski. Pragnęliśmy, aby armia radziecka, walcząca z Niemcami, naszym wspólnym wrogiem, żeby przeszła przez naszą ziemię do Niemiec i nie mieszała się w nasze sprawy. Tymczasem było inaczej. Powróciliśmy z akcji "Burza" do domów pełni rozczerowania i niepewności. Niektórzy Sowietci od razu okazywali nam niechęć. My pocieszaliśmy się tym, że ci Sowietci nie znali przecież naszych nazwisk i miejsc zamieszkania, więc nie dotrą do nas i nie będą nam szkodzić. Nie spodziewaliśmy się, że ci obcy przybysze znajdą donosicieli i współpracowników wśród naszych ludzi, wśród Polaków, że zostaniemy wydani wrogom.

Po powrocie z akcji "Burza" pracowałem w domowym gospodarstwie, nadrabiając stracony czas. Nie interesowałem się zbyt polityką, chociaż

zapoznałem się z treścią Manifestu PKWN i przyglądałem się temu, co się działo wokół. Słyszając o zamierzonym poborze do LWP, miałem zamiar pójść do tego wojska i dalej walczyć z faszyzmem. Tymczasem w moim domu znalazła pomieszczenie radziecka kuchnia kompanijna i spalała kupione przeze mnie drzewo. A ja miałem sześcioro małych dzieci. Jedno dopiero się urodziło.

W pierwszych dniach października odwiedził mnie Wojciech Lis, stary znajomy, dzielny wojenny partyzant i pogromca Niemców w tutejszych stronach. Też akowiec, po akcji "Burza" wstąpił do MO w Mielcu, ale przed odwiedzeniem mnie porzucił tę pracę, gdyż jak mówił - NKWD, UB i MO miały podjąć aresztowania byłych żołnierzy AK. On postanowił, że nie da się ująć, że ukryje się w lesie. Ostrzegał, że przyjdą i po mnie i namawiał, żebym poszedł z nim do lasu. Odpowiedziałem, że on jest kawalerem i nie ma gospodarstwa, ja mam żonę, dzieci i gospodarstwo, musiałem być z nimi. Zresztą - za co mieliby mnie aresztować. Należałem do AK, chciałem walczyć z Niemcami o wolność Polski, ale po przyjsciu Sowietów nie prowadziłem żadnej działalności konspiracyjnej, pracowałem w domu, nie zajmując się polityką. W naszej, zniszczonej wojną wsi było tak dużo do roboty.

Ale nie długo cieszyłem się pracą w mojej wsi, w oswobodzonej ojczyźnie. W dniu 1 grudnia 1944 r. przyszli do mojego domu trzej obcy ludzie razem z naszym sołtysem, Kazimierzem Magdą i zabrali nas - mojego ojca Michała, mnie i dwóch młodszych braci, Jana i Czesława. Demolowali mieszkanie, szukając broni i dokumentów konspiracyjnych. Nic takiego nie znaleźli. Wzięli więc moją książeczkę wojskową i papiery z Francji. Zawieźli nas do Urzędu Bezpieczeństwa (PUBP) w Kolbuszowej. Zaraz rozpoczęto przesłuchania. Potem wepchnięto nas do piwnicy. Drugie przesłuchanie miałem po dwóch dniach. Wtedy ubek rzucił mi taboret w plecy, bo nie pamiętałem "kak moje pseudo". Pytał mnie o to oficer NKWD. Pytano mnie dalej, kto należał do plutonu "Trzcina" w Trzemeszynie, z jakimi ludźmi, o jakich pseudonimach się spotykałem. Gdy znowu nie pamiętałem, dostałem w twarz od leutnanta - enkawudzisty. Gdy próbowałem mówić byle co, usłyszałem, że "breszę" i "idy w czortu".

Mojego brata Czesława, jeszcze małoletniego, puszczono do domu. Nas trzech, ojca, brata Jana i mnie załadowano, w dniu 12 grudnia, razem z innymi mężczyznami z powiatu kolbuszowskiego, często znajomymi, na samochody ciężarowe i zawieziono do więzienia w zamku w Rzeszowie. I znowu wrzucono nas do suterenu. Był grudzień, Cele były zimne. Spaliśmy na siennikach na podłodze. Ale co to było za spanie, gdy w nocy, dwa albo trzy razy wywoływano każdego i prowadzono na przesłuchanie do budynku wojewódzkiego UB. Przesłuchiwali dwaj Sowieci, major i porucznik. Polski porucznik był tłumaczem. I tam, pomimo różnych szykan, niczego sobie nie przypominałem. Jeść dawano nam dwa razy dziennie, rano i

wieczorem, po kawałku jęczmiennego, razowego chleba i po garnuszku ciepłej wody, ozdobionej kilkoma ziarenkami przypalonego jęczmienia.

Jednego dnia zabrano nas z suterenu do sali na drugim piętrze. Było w niej już około czterdzieści osób ale i tak było tutaj lepiej niż w piwnicy. Przez duże okna był widok na miasto i Wisłok. Spanie i jedzenie było takie same, jak w suterenu. Robiono nam często rewizje, to za nożem, którym krzesano ogień w celu zapalenia papierosa, to za ołówkami, służącymi do pisania kartek do najbliższych, czasem przemycanych na zewnątrz.

W dniu 5 stycznia 1945 r. zwolniono mojego sześćdziesięcioletniego ojca. Gdy wrócił do domu i powiedział, gdzie jestem z bratem, żona zaraz przywiozła mi świeżą bieliznę, bochen chleba- i trochę machorki. Chleb został podzielony pomiędzy wszystkie osoby w celi. Bardzo smakował. Machorką częstowaliśmy się, jeden papieros na trzech. Był kłopot z ukryciem dymu.

W dniu 13 stycznia ubowcy wyprowadzili nas na dziedziniec więzienny, załadowali na ciężarówki i wieźli na wschód. Każdy z nas myślał, jakby uciec, ale na każdej platformie samochodowej siedziało trzech uzbrojonych ubowców - konwojentów. Wieziono nas w kilku samochodach przez Łańcut, Przeworsk i Jarosław do Przemyśla. Przy szosie, co sto pięćdziesiąt, dwieście metrów, stał uzbrojony żołnierz radziecki. Przywieziono nas do znajomych mi już koszar wojskowych w Bakończycach. Tutaj pożywienie było trochę lepsze, fryzjer, Niemiec, pozbawił nas naszych kilkutygodniowych czupryn i bród. Można też było pochodzić po podwórzu, po powietrzu, czego byliśmy spragnieni.

Chyba w dniu 15 stycznia zabrano nas i zaprowadzono, pod konwojem Sowietów, na miejscową stację kolejową. Tam wepchnięto nas do stojących wagonów towarowych. Osiemdziesięciu mężczyzn do jednego wagonu. Mój brat i inni znajomi byli ze mną. Okienka wagonów były zakratowane drutem kolczastym. Czuliśmy się bardzo źle, nie wiedząc, dokąd nas wieziono. Niektórzy z nas, chociaż mężczyźni, byli wyczerpani psychicznie i płakali.

Gdy na stacji rozbłysły wieczorne światła lokomotywa stuknęła o wagony i ruszyliśmy w nieznaną drogę. Osoby bardziej energiczne starały się dostać do okienka i próbowali obserwować mijaną trasę. Wiedzieliśmy, że w nocy minęliśmy Lwów. Pociąg jechał, zatrzymując się co jakiś czas i przesuwając na "przetok", bocznice, gdy nie miał wolnej drogi. A droga wiodła na północny wschód. Rano, w czasie postoju, otwierano zamknięte drzwi wagonu i wsuwano do niego nasze "pożywienie" - kilogram chleba na osiemdziesiąt osób i dwa wiaderka "kipiatoku", gorącej wody, zabarwionej pewną ilością jakichś ziół, mięty, rumianku czy innych. Czasem, wieczorem, dawano nam także trochę "kapustniaku", to jest wody, lekko po-maszczonej z odrobiną kwaśnej kapusty. Wrzucano do wagonu i po parę okrągłaków świeżego drewna, do palenia w żelaznym piecyku. Okrągłaki trzeba było łupać leżącym kilofem, ale i tak palić nimi było trudno. Była

rosyjska zima, mróz. Ściany wagonu oblepiał szron. Jego podłogę stanowiła jedna tafla lodu. A my musieliśmy układać się na niej do snu. Zimno nie dawało spać. Potrzebę naturalną załatwiała się przez otwór zrobiony w jednym z kątów wagonu. Na zewnątrz wagonów, na ich dachach, w specjalnych budkach siedzieli wartownicy, konwojenci, pilnujący nas. Zmieniali się dwa razy w ciągu nocy. W czasie zmiany warty konwojenci wchodziłi do wagonów i sprawdzali, czy jesteśmy wszyscy. Było to bardzo męczące. Pociąg to jechał, to przystawał. Przez zadrutowane okienko zobaczyliśmy czasem promień słońca, także mijane wielkie pola i lasy. Popalone wsie świadczyły o ciężkich, przebytych w zeszłym roku, walkach z Niemcami. Gdzieś tam stały szkielety zniszczonych lokomotyw i wagonów.

W Kijowie staliśmy tylko godzinę. Pomyślałem, że był tu niegdyś Bolesław Chrobry, polski książę i miał uderzyć mieczem w Złotą Bramę. Pociąg wolno sunął przez most na Dnieprze. Pan Socha, artysta malarz z Gorlic zastanawiał się, z której strony pociągu zobaczymy jutro słońce. Jeżeli z lewej, to będzie znak, że jedziemy na południe, jeżeli z prawej, to będziemy jechać na północ. Lepiej byłoby jechać na południe, w cieplejsze strony. Ale następnego dnia zobaczyliśmy promień słońca z prawej strony. Stwierdziliśmy, że wiozą nas na północny wschód. Pewnie według odwiecznej tradycji - na Sybir. Serca nam zamierają. Cisną się myśli o opuszczonej rodzinie. Czy się do niej powróci? A pociąg stale zatrzymuje się i na coś czeka. Minęło już dwa tygodnie naszej ciężkiej, o głodzie i zimnie, jazdy w nieznane. Kolega Jan Bator z Rzeszowszczyzny, czytający po rosyjsku, dopuszczony do okienka, nie może odczytać napisów, umieszczonych na mijanych stacjach. Duże stacje przejeżdżamy przeważnie w nocy. Wreszcie przeczytał nazwę dużej stacji - "Orzeł". Orzeł. Jedziemy więc, stwierdził, w stronę Moskwy. Wleczeni się, nie jedziemy. Nie jesteśmy jeszcze bardzo daleko od domów. W normalnych warunkach, normalnym pociągiem, można by przebyć tę drogę w parę dni. A nas tak męczą. Czasem nie dawano nam drzewa do palenia. Warstwa szronu na ścianach była coraz grubsza. Grudki jego spadały czasem na twarz albo za kołnierz.

Gdy minęło dwadzieścia dni jazdy, pan Bator przeczytał nazwę stacji - Tuła. Pociąg stanął. Podobno Tuła leży na południe od Moskwy. Znowu przetoczono nas na bocznice, ale nie kazały wysiadać. Mróz był duży. Śnieg poza wagonem także. Otworzono drzwi wagonu i dano nam, na powitanie, po kawałku chleba i po kilka łyżek "kipiatoku". Staraliśmy się ruszać w miarę możliwości, żeby nie zamrznąć. A staliśmy, całą noc. Rano wrzucono nam parę drewna do palenia, ale nie dano nic do jedzenia. Potem zmieniono lokomotywę i znowu ruszyliśmy. Tym razem jechaliśmy niezbyt długo. Wnet stanęliśmy w polu. Odjęto lokomotywę. Dano do wagonu po małej porcji suszonego chleba, bez "kipiatoku". Po paru godzinach otwarto drzwi wagonu i kazano wychodzić. Zobaczyliśmy ze stu wojskowych mężczyzn

z bronią w rękę i psami na smyczach. Był silny mróz i wiatr. Zatykało oddech. Sformowano nas w kolumnę marszową. Padła komenda -"krukom marsz". Ruszyliśmy. Popatrzyłem przed siebie i do tyłu. Zobaczyłem smutny widok zesłańców idący po rosyjskiej ziemi, ludzi wynędzniałych, brudnych i zarośniętych. Przypomniła mi się pochód Żydów, prowadzonych przez esesmanów w 1943 r., z Mielca do Złotnik na rozstrzelanie. Pomyślałem, że może i my idziemy na stracenie. Inna myśl mówiła, że gdyby miano nas stracić, to zrobiono by to bliżej ziem polskich, nie musiano by wieźć nas tak daleko.

Szliśmy, pod konwojem, dwa czy trzy kilometry. Na olbrzymim terenie nie było wiosek, mieszkań tubylców. Były tylko więzienne obozy pracy. Były baraki, czy inne budynki, otoczone drutami kolczastymi i stojącymi, wśród drutów, wieżami wartowniczymi. Obozy, tak bardzo podobne do niemieckich obozów koncentracyjnych. Nad bramami wejściowymi widniały gwiazdy, godła ZSRR. Ale to zobaczyliśmy później. Bo gdy przyprowadzono nas do jednego z obozów, z niemiecka łagru, było już ciemno. Później też dowiedzieliśmy się, że te łagry znajdują się na wschód od Tuły i mniejszego miasta Stalinogorska, na terenie Podmoskiewskiego Okręgu Przemysłowego, że będziemy tutaj pracować, że w tych obozach żyją w nędzy i pracują tysiące więźniów różnej narodowości, głównie jednak Polacy i Niemcy. Dzisiaj Stalinogorsk nazywa się Nowomoskowsk.

Zaprowadzono nas do obozu numer trzynaście. Wzięto nas do "stołowaji" na posiłek. Było w niej prawie tak samo zimno, jak i na zewnątrz. Ściany były oszronione. Dano nam trochę kapuśniaku, ugotowanego na śledziu i po dwie, trzy łyżki kaszy manny. Kapuśniak był kwaśny i smaczny, ale wszystkiego było mało. Przecież każdy z nas był tak bardzo wygłodzony. Nie było mowy o dostaniu drugiej porcji. Wnet zaprowadzono nas do głównego budynku obozu, do dużej i piętrowej sali, hali. Była to hala dawnej, prywatnej fabryki. Stały w niej dziesięciopiętrowe prycze -nary, z gołych desek, bez sienników, poduszek i kocy. Mieliśmy na nich spać. Ja i brat Janek zajęliśmy sobie miejsce wysoko, prawie w ostatnim rzędzie, licząc, że wyżej będzie cieplej. Bo i tu było zimno jak w lochu. Nie zważając na nic, wyczerpani, rzuciliśmy się na deski, ściągawszy tylko buty. Położyliśmy je sobie pod głowy, z obawy przed "kupcami". Zasnęliśmy i spaliśmy nawet dobrze, już nie kolebiąc się w pociągu.

Ze snu zerwano nas wcześniej rano. Kazano znaleźć sobie jakieś naczynie na zupe. W kącie obozu leżała sterta puszek po konserwach. Tam znaleźliśmy sobie "miski" na zupe. Dano nam jej, raczej ciepłej wody i po kawałku czarnego, lepkiego chleba. Po tym śniadaniu wzięto nas, brudnych i zarośniętych, do "parikmachera", czyli fryzjera, a potem do - "bani". W tej łaźni nie było wanien, tylko drewniane korytka do mycia, z ciepłą wodą. Pochlapaliśmy się w nich, jeden po drugim, stojąc na golasa. Nasze ubrania zabrano do odwszalni i dezynfekcji. Gdy je odebraliśmy, wróciliśmy do hali.

Potem mieliśmy sześć dni kwarantanny i odpoczynku. Wzywano nas tylko do prac porządkowych wewnątrz obozu, do odgarniania śniegu, obierania ziemniaków, z których połowa była zgnita, dostarczania drzewa do kuchni. Po sześciu dniach stanęliśmy przed komisją, która podzieliła nas na grupy, według wieku i stanu zdrowia. Do I i II grupy zaliczono osoby młode i przeznaczono je do pracy w kopalni węgla. Osoby nieco starsze, z III grupy, zostały "pastroicielami", budowniczymi. Osoby najstarsze, z IV grupy, miały pracować tylko dla obozu.

Ja zostałem przydzielony do "pastritielskiego zawoda", do grupy budowlanej. Wnet zaprowadzono nas do obozu numer 16, oddalonego o kilka kilometrów, bliżej Stalinogorska. Dzień był piękny, mroźny, ale słoneczny. Dużo śniegu leżało dookoła. Naszą kolumnę prowadził silny, oczywiście uzbrojony konwój Sowieców. Do nowego obozu przyszliśmy w południe. Było tam kilkanaście drewnianych baraków, otoczonych strażnikami i ogrodzonych drutem kolczastym. Zaprowadzono nas do jednego z baraków i znowu każdemu przydzielono prycę. Tym razem nie było ze mną brata Jana. Jego przeznaczono do pracy w kopalni.

Następnego dnia podzielili nas na "zawody", brygady robocze i pozwolono wziąć trochę cieplejszej odzieży - stary, wojskowy, niemiecki albo rosyjski płaszcz i czapkę, a gdy ktoś miał kiepskie buty, to mógł sobie wybrać na skórzaną albo drewnianą podeszwie. Drugiego dnia raniutko, prawie jeszcze po ciemku, musieliśmy stanąć na "prowierce" - apelu, na którym sprawdzano obecność. Następnie konwojenci zaprowadzili nas do pracy w tartaku, oddalonego o jakiś kilometr. Wyładowywaliśmy tam duże kłocę drzewne z wagonów kolejowych, sortowaliśmy je i układali w duże pryzmy. W obozie pozostali tylko członkowie IV grupy, przeznaczeni do pracy w nim oraz "bolni" - chorzy. Ci, co zostawali do pracy w obozie dostawali sanie bez koni i sami je ciągnąc w dziesięć osób, przywozili na nich węgiel z niezbyt odległej kopalni. W całym obozie był tylko jeden kiepski wóz i para małych, włochatych koników. Przywoziły one do obozu prowiant. Gdy później śnieg stopniał i nie można było jeździć saniami, obóz dostał drugi wózek i drugą parę koników do wożenia węgla.

Każdemu więźniowi, gdy zaczynał pracować, ogłoszono na "prowierce" wiadomość, że musi wykonywać dzienną normę pracy. Normę wyznaczał "normirowszczyk". Gdy więzień wykonał normę pracy, dostawał - dzienną normę wyżywienia. Norma wyżywienia wynosiła: 60 dekagramów chleba, 80 dekagramów kapusty, 50 dekagramów ziemniaków i niewielkie ilości cukru, mąki, kaszy i soli. Kto nie wyrobił dziennej normy pracy dostawał połowę dziennej normy wyżywienia. Wykonanie normy sprawdzał, po dniu pracy, "normirowszczyk". Prawie żaden więzień nie wykonał nigdy dziennej normy pracy i dostawaliśmy codziennie rano, przed wyjściem do pracy i wieczór, po powrocie z pracy, z kuchni, trochę kapuśniaku na rybie i po dwie łyżki kaszy. Było to prawie nic, a praca, na powietrzu, była bardzo ciężka. Szybko chudliśmy i siły nasze wyczerpywały się. Dręczyła nas

tęsknota za krajem, domem, rodziną, nurtowało poczucie krzywdy. Ze starych gazet, kupowanych za duże pieniądze na papier do tytoniu, tytoniu zdobywanego z wielkim trudem, dowiadaliśmy się o sukcesach armii radzieckiej na frontach, o zdobyciu przez nią Warszawy, Poznania, o zdobywaniu Wału Pomorskiego. Przyjmowaliśmy te wiadomości z mieszanymi uczuciami, i z radością oraz nadzieją i ze smutkiem. Myśleliśmy, że Polska, nasza ojczyzna dostaje wolność, a my, cośmy walczyli o tę wolność, jesteśmy w niewoli, na obcej ziemi, w tak ciężkich warunkach, nie wiadomo na jak długo. I za co? Czy nasza działalność konspiracyjna przeciwko Niemcom była przestępstwem, czy musimy za nią pokutować, pracując jak niewolnicy, w obcym kraju, w głodzie i zimnie, bez wiadomości od rodzin, w niepewności jutra? Nikt nie dawał odpowiedzi na nasze pytania. Nie wolno było pisać do domów. Niektórzy z nas, zwłaszcza ci pracujący w kopalniach węgla, chorowali i umierali.

Ja pracowałem w tartaku, przy budowie baraków, przy odśnieżaniu dróg i torów kolejowych. Gdy przyszła wiosna i śnieg stopniał, w niedziele - dni naszego odpoczynku, zaczęto nas wysyłać w polew sąsiednim kołchozie, do siania marchwi, sadzenia ziemniaków i kapusty. Wysyłano nas oddziałami, liczącymi około dwustu pięćdziesięciu mężczyzn, najpierw ze sztychówkami, zrobionymi ze starej blachy z kopalnianych wózków, do rycia ziemi, potem do siania czy sadzenia. Praca była ciężka. Miejscami ziemia, na niewielkiej głębokości, była zamrznięta, a najczęściej pola były twardym ugiem, na którym pasły się kozy. My, nie odżywieni, byliśmy słabi. Nie mieliśmy siły kopać grudy tępymi sztychówkami. A tutaj także musieliśmy wykonywać dzienną normę, żeby dostać normę żywienia. Jednak ugię powoli stawał się urodzajnym czarnoziemem, gotowym do zasadzenia w nim czegoś, najczęściej ziemniaków. Czasem ziemia była skopana tak płytko, że nie było czym przykryć włożonego w nią sadzeniaka. Myślałem, że z tej naszej roboty nic nie wyjdzie. Myliłem się. Ziemniaki, chociaż niedbale plewione i oporządzane po zejściu, rosły bujnie, udały się.

W pewną sobotę po posadzeniu ziemniaków w polu, należącym do obozu, po mizernym, jak zawsze wieczornym posiłku, sam naczelnik obozu, zrobił nam zebranie w stołówce. Powiedział, że jutro jest niedziela, dzień odpoczynku, jednak naród radziecki nie ma odpoczynku, on będzie pracował, i my musimy mu pomóc, że jutro rano przyjadą po nas samochody z niedalekiego kołchozu i zabiorą nas na pole, siał marchewkę. Nie sprzeciwiliśmy się. Następnego dnia, jeszcze nie zjadłszy naszego раннего posiłku, samochody już były. Kierowcy pospieszali nas słowami - "dawaj skoro na maszynę". Wsiadliśmy i jechaliśmy prawie godzinę przez pustkowia i pola. Pogoda była ładna, okolica również. Mieliśmy urozmaicenie. Zobaczyliśmy wieś, małe drewniane domki, murowany, nieużywany kościół, stawy bez wody i wreszcie szerokie, niby zaorane pole. Mieliśmy na tym polu siał marchew. Samochody zatrzymały się. Kazano nam

wysiąść, więc wysiedliśmy. Pole było zaorane w wielkie skiby pomiędzy którymi znajdowały się tak głębokie dołki, że można było się w nich schować. Ktoś z naszych powiedział - jak można siać marchew na takim polu? Trzeba je najpierw kultywatorować, zabronować, ale czym? Na razie nie widzieliśmy nikogo z kołchozu, więc czekaliśmy co będzie dalej.

Wnet pełną drogą, pełną wybojów, przyjechała z kołchozu parokonna furmanka. Zsiadł z niej stary, brodaty dziadek, pokazał nam dwa worki nasion marchwi oraz małe, niezgrabne motyczki. Pokazał, że motyczkami należało robić w ziemi dołki i wkładać w nie po parę nasionek marchwi. Miało to więc być sadzenie nie sianie. Ja, rozweselony, podszedłem do kołchoźnika, przywitałem go i zapytałem się, czy nie ma trochę machorki na skręta. Miał machorkę, ale nie miał "bumagi" (papieru) do skręcenia papierosa. Miałem kawałek gazety "Prawda", poczęstowaliśmy się więc nawzajem. On wyjął trochę tytoniu z kieszeni i wysypał mi go na dłoń. Starczyło mi go do wieczora. Przy "zakurce" zapytałem się go, jak będziemy sadzić marchew w taką brylastą, nie zabronowaną ziemię? Czy nie mają w kołchozie kultywatora, brony, żeby rozbić skiby. Dziadek zastanowił się i powiedział: "Niczewo, u nas, w kołchozie jest mnogo kultywatorów, są ruskie, polskie germańskie, rumuńskie, ale wsie nic nie stoją. Najlepszyj jest staroj rusko-kultiwator i ja jewo skoliko priwiedu". Czekaliśmy co będzie. Dziadek zaś poszedł w pobliskie krzaki, a za chwilę przy-wlókł z nich sporą wiązkę gałęzi. Zrobił tak jeszcze dwa razy. Potem wyciągnął z wozu kawał drutu, związał nim gałęzie w dosyć płaską całość, zaprzągnął do nich włochate koniki, położył na wiązce posiadany na wozie worek, wypchany ni to sianem ni słomą - i ruszył z tym "kultywatorem" w pole. Przeciągał gałęzie po polu, wśród tumanów kurzu, w kierunku poprzecznym do orki i - roztarł trochę skiby. My przystąpiliśmy z motyczkami do sadzenia marchwi. Wieczorem samochody odwiozły nas do obozu.

Za pracę w obozie, poza nim i na kołchozowych polach nie dostawaliśmy ani grosza. Mówiono nam, że ZSRR za naszą pracę wysyła do Polski zboże, bydło i inne towary. Z czego korzystają i nasze rodziny. Nie wiedzieliśmy, jak to naprawdę z tym jest. Słyszeliśmy, że wojna już się skończyła, a nas trzymają jako więźniów. Pytaliśmy się konwojentów, dlaczego nas przywieźli do Sowieckiego Sojuza, za co nas to spotkało, dlaczego oderwali nas od rodzin? Pytani różnie odpowiadali. Ale mówili, że przyjdzie dzień odjazdu. Czekaliśmy na ten dzień z utęsknieniem.

Aresztowani i przywiezieni do obozu nie mieliśmy nic własnego poza odzieżą. Jednak każdy człowiek instynktownie pragnie zdobywać coś, dorabiać się czegoś, coś kupić czy sprzedać. Nielegalny, potajemny handel rozwijał się w każdym obozie koncentracyjnym. Mając pieniądze można było kupić u kucharzy kawałek chleba, papieros, starą gazetę na skręcenie papierosa. Szukało się źródeł zdobycia kilku rubli. Ci, co pracowali w warsztatach czy na budowach, usiłowali zdobyć, zabrać, ukraść, jakiś

młotek, piłkę do metalu, stare naczynie czy kawałek zardzewiałej blachy. Z kawałka blachy można było zrobić coś potrzebnego, grzebień, nóż, łyżkę, garnuszek, kociołek, a kupcy na to byli. W tamtejszym prymitywie wszystko się przydawało.

Ja w lecie 1945 r. pracowałem na Bobriej Górze przy budowie baraków. Pracowaliśmy cały tydzień, a w niedzielę robiliśmy na kołchozowych polach przy żniwach, potem w jesieni, brano nas do kopania ziemniaków i wycinania kapusty. Przyjeżdżały po nas samochody z- różnych kołchozów. Zabierały od razu po dwieście osób. Na wielki łan ziemniaczany dawał kołchoz dwie pary koni z radłami. Radła rozkopywały rządk i wyrzywały ziemniaki z ziemi, my je zbieraliśmy i sypaliśmy na paki samochodów ciężarowych. Samochody odwoziły ziemniaki do stołówek czy innych miejsc, zsypując je od razu, bez przebierania, do ziemianek. Zbieranie ziemniaków przy ładnej pogodzie było przyjemne, tym bardziej że konwojenci pozwalali, żeby jeden człowiek z każdej brygady palił ognisko i piekł ziemniaki, dla nich i i dla nas. Jak zawsze i tutaj był kłopot z wykonaniem normy. Ziemniaki były zadziwiająco ładne, a my, w pierwszym dniu pracy, staraliśmy się dokładnie je pozbierać. Samochody nie zdążyły zawieść ich do stołówek i trochę pozostało na dwóch przyzmach na noc. Pracowaliśmy tak uczciwie, a tu, wieczorem, przyszedł z kołchozu "normirowszczyk", żeby obliczyć naszą wydajność. Zmierzył wykopane pole, coś poobliczał i -stwierdził, że "płochę nasze dzieło", że wykonaliśmy tylko sześćdziesiąt pięć procent tego, co powinniśmy byli wykonać. Zapisał to na papierku i oddał paperek konwojentowi do obozu, dla "normirowszczyka" obozowego, żebyśmy dostali odpowiednią normę pożywienia. Pracując cały dzień nie jedliśmy nic, poza paroma upieczonymi ziemniakami. Każdy schował sobie prawie po pół wiaderka ziemniaków do nogawek spodni, zawiązanych na dole, z nadzieją na upieczenie ich w piecu w izbie barakowej, ale do upieczenia było daleko, a głód dokuczał. Tymczasem "na przechodno", to jest przy wejściu do łagru, zrobiono nam rewizję i - odebrano zdobycz. W obozie dali nam nędzną kolację, a po niej zrobiono "prowierkę" (apel) i naczelnik obozu skrytykował naszą "płochą" pracę. Było nam bardzo przykro, bo naprawdę pracowaliśmy rzetelnie. Na drugi dzień posłano nas do tej samej roboty. Przyjechaliśmy na pole przed kołchoźnikami z końmi i radłami. Gdy oni przybyli, podeszliśmy do nich na pogawędkę. Powiedzieliśmy im, że wczoraj tak dokładnie zbieraliśmy wykopane ziemniaki, tak się staraliśmy, a "normirowszczyk" zaliczył nam tylko sześćdziesiąt pięć procent normy i dostaliśmy mało jedzenia. Znany nam już dziadek powiedział: "Ot, Polaki - duraki. Wy nie umiejcie zbierać kartoszek. Ja wam pokazu". Wziął wiaderko, podszedł do nierozradzonego rządka, rozgrzebał go nogami, wybrał kilka ziemniaków, a resztę przysypał ziemią i zaczął robić to samo dalej. Powiedział, że tak trzeba robić, żeby wykonać normę. Dodał, żeby jedni zbierali ziemniaki za radłem, a inni rozkopywali rządk

nogami. Byliśmy zdumieni. Mówiliśmy, że przy takiej robocie dużo ziemniaków pozostanie w ziemi, że ich szkoda, bo jak przyjdzie mróz, to zmarzną, że przecież lepiej, żeby były zebrane i mieli je ludzie. Kołchoźnik odpowiedział, z filozoficznym spokojem - "niczewo". One i tak zgniją. Zgniją w ziemniakach i ludzie niewiele z nich skorzystają. Trzeba rozkopać jak najwięcej rządów, żeby wykonać normę. Robiliśmy według jego rady i w tym dniu samochody zwiozły wszystkie wykopane ziemniaki do miejsc przeznaczenia. "Normirowszczyk" zaś, gdy przyszedł wieczorem i obliczył rozkopane pole, był zadowolony z naszej "nie płóchej" już pracy. Powiedział, że wykonaliśmy 125% normy. Dał odpowiednią "bumagę" do obozu i obiecał za dobrą pracę, że następnego dnia, w którym też mieliśmy kopać ziemniaki, przywiezie nam obiad z kołchozu. Pracowaliśmy znów dobrze, aby wykonać normę. Pod wieczór przyjechała furmanka z kołchozu z naszym obiadem. Szukaliśmy na niej oczami kotłów z zupą i kaszą, ale na darmo. Leżały na niej tylko jakieś pełne worki. Nasi konwojenci zrobili zbiórkę. Podchodziliśmy do wozu i każdy z nas dostał jako obiad niedużą kromkę czarnego chleba, dwie surowe marchewki i jedną małą cebulę.

Wnet po wykopkach, jednego pogodnego dnia nie posłano nas do pracy i coś nienormalnego działo się w obozie. Enkawudyści biegali od biura do biura i poza bramę. Zastanawialiśmy się co to znaczy. Wreszcie około godz. 9⁰⁰ zrobiono zbiórkę na placu obozowym. Naczelnik obozu stanął przed nami i najpierw wyczytywał nazwiska większości spośród nas, a potem powiedział, że wycytani pojedą do domów, do Polski. Mnie serce zamarło, bo wśród wyczytanych nazwisk było nazwisko mojego brata Jana i innych i innych z którymi mnie tutaj przywieziono, ale nie było mojego nazwiska. Czyżbym miał tu jeszcze zostać, gdy inni, moi towarzysze, pojedą? Ogarnęła mnie rozpacz. Pobieglem szybko do obozowego biura z zapytaniem, dlaczego ja nie jadę do Polski, do żony i dzieci, na których utrzymanie nie ma kto pracować? Polityczny poczęstował mnie papierosem i odpowiedział, że dla wysłania wszystkich Polaków do kraju na razie brakuje wagonów, że najpierw wysyła się chorych, że lada dzień przyjdą zamówione wagony, to wszyscy Polacy wyjadą, bo Rosjanom są już oni niepotrzebni. Dodał: "Na dniu ujeżdżasz w Polsce. Daję słowo czesne, jak ja oficer". Co miałem zrobić? Musiałem się pogodzić z tym co jest. Tymczasem wycytani, a wśród nich i mój brat, odeszli już z konwojem na stację kolejową. Pozostał ze mną Jan Bator i trochę znajomych. Zrozumieliśmy, że spędzimy w tym obozie drugą zimę. Baliśmy się jej, ale postanowiliśmy dbać o siebie, starać się nie zachorować i doczekać do powrotu do kraju. Dalej pracowałem tak, jak mi kazano.

Jednego dnia, pewnie w październiku, zostałem wezwany do naczelnika obozu numer 23. Prowadził mnie tam konwojent kilkanaście kilometrów. Obóz ten leżał na północ od Stalinogorska, obok "Fenolzawodu", fabryki kwasu karbolowego. Jego naczelnik szukał "koleśnika", kołodzieja,

bo w tym obozie rozsypał się ostatni posiadany wóz. Ktoś podał temu naczelnikowi mnie, jako kołodzieja. Gdy przyszedliśmy na miejsce, naczelnik kazał dać mi coś zjeść, poczęstował papierosem i zapytał się, czy potrafię zrobić koła i i naprawiać wóz. Odpowiedziałem, że w mojej wsi, w Polsce, chłopci sami robili koła, że mogę spróbować je zrobić, ale do tego potrzeba materiału i narzędzi. On odpowiedział, że materiał u nich jest, a o narzędzia on się postara. Zapisał sobie jakie mają być te narzędzia i kazał mi rano następnego dnia zabierać się do pracy. Zapytał jeszcze, ile ja tych kół zrobię za dzień. Popatrzyłem się na niego, czy on jest mądry i powiedziałem, że za dzień nie zrobię ani jednego koła, że najpierw przygotuję sobie materiał, a potem zrobię razem cztery koła. Zgodził się, a ja poszedłem spać na obce, obozowe nary.

Na drugi dzień mój konwojent odszedł, ja dostałem innego konwojenta, oraz zażądane pomocnika i narzędzia: piłę, nóż, młotek, i dębowe kłocę drzewa. Piła była tępą, ale nie było pilnika do jej naostrzenia. Była jednak ziemianka - stolarnia, gdzie dwóch niemieckich jeńców, stolarzy, robiło okna i drzwi do baraków. Korzystałem więc trochę z ich narzędzi. Powoli przygotowałem drewna na piasty, szprychy i obwód kół. Pod wieczór naczelnik przyszedł to pooglądać. W następnych dniach ciosałem toporem piasty i szprychy. Nie było tokarki, żeby je otoczyć. Dostałem dłuto i dwa świdry. Wydlubałem otwory w piastach i wbilem w nie ostrugane szprychy, tworząc "kozły". Gdy naczelnik je zobaczył, ucieszył się i kazał kucharzowi dać mi repetę kapuśniaku. Potem szły obwody kół. Te cztery koła robiłem dwa tygodnie. Zrobione trzeba było okuć. Nie było jednak obręczy. Naczelnik wyszukał kowala i z jakiegoś żelastwa zrobiliśmy obręcze, łącząc je nitami grubymi na palec. Naciągnęliśmy je na koła, okuliśmy piasty i założyliśmy koła na stare osie do wozu. Zaprzężono do niego dwa małe, gniade, obozowe koniki. Przy okazji zaglądnąłem do ich stajni. Zobaczyłem smutny widok. Stajnia nie miała żłobu ani drabiny, gdzie konie dostawałyby jedzenie. Pod ich przednimi nogami leżały łupiny z ziemniaków, siano i jęczmienna słoma. Zreperowany wóz zaraz pojechał do "Fenolzawoda" po węgiel na opał. Wnet ludzie, z kołchozu i innych obozów, dowiedzieli się o mojej sztuce kołodziejskiej i chcieli mnie sobie wypożyczyć. Naczelnik obozu nr 23 kazał mi robić szybko cztery następne koła. Przydzielił mi jednego Niemca do pomocy mówiąc: "Polaczki ujadut w Polszu, a Germańce ostanutsia. Budut rabotać".

Po zrobieniu czterech następnych kół skierowano mnie na "Posobnyj Chadzajstwo Fenolzawoda". Naczelnikiem był tam Białorusin, mówiący dobrze po polsku, porządny człowiek. Dał mi przepustkę i pozwolił chodzić swobodnie, bez konwojenta, od godziny 6 rano do 18 po południu. W zakładzie też był warsztat stolarski bez tokarki. Kazano mi wyremontować bryczkę, wóz i parę sani. Odkryłem dużą stertę starych bryczek, wozów i sań, połamanych kół. Kombinowałem, sztukowałem, łączyłem części z

różnych wehikułów w jedną całość. Ze znalezionej dosyć dużego kawałka starej blachy zrobiłem dwa garnki i sprzedałem je po trzydziści rubli. Tu dostawałem trochę więcej jedzenia, ale była już zima i marzłem na polu. Staralem się zdobyć jakiś kawałek metalu, zrobić z niego sprzęt i sprzedać a za otrzymane pieniądze kupić u kucharki kawałek chleba. Zdobyte ruble trzymałem w cholewie od buta.

W jakieś święto po Bożym Narodzeniu byłem słaby i strasznie głodny. Dostawszy ranną porcję, kupiłem sobie aż cztery porcje chleba. Dwie z kupionych jedną po drugiej zjadłem po śniadaniu razem z "kawą", wodą, zabarwioną skórą przypalonego chleba. Trzeci kawałek kupiony zjadłem po kolacji, czwarty chciałem sobie schować na rano. Ukryłem go w posiadanym tłumoczku, razem ze zdobytą łyżką cukru. Po rozmowach z kolegami, wieczór położyłem się spać, ale absolutnie nie mogłem zasnąć. Nie dawała mi zasnąć myśl o tym, że mam chleb i cukier. Ciągnęło mnie, żeby jeszcze to zjeść. Myślałem, że tyle już zjadłem tego dnia i wciąż byłem głodny, co to będzie, jak wrócę do domu. I nie zasnąłem, aż wstałem i zjadłem posiadany chleb z cukrem, jak gdybym był dzieckiem. Zapaliwszy papierosa, myśląc, że nie mam już chleba, zasnąłem.

Przez pierwsze, zimowe miesiące 1946 r. pracowałem dalej jako kołodziej, ale w zimie z 1945 na 1946 r. przemarzły mi nogi i zachorowałem. Teraz wzięto mnie do "bolnicy". Było tam dosyć dużo osób, cierpiących na różne schorzenia. Nie tyle nas leczono, co pozwalano wyleżeć się pod jakimś przykryciem. W kwietniu zebrano nas, około tysiąc chorych Polaków, podwieziono do pociągu i ruszyliśmy w drogę. Wieziono nas na południe i zawieziono, o głodzie, aż do Odessy nad Morzem Czarnym, gdzie było cieplej, rzekomo na dalsze leczenie. Jechaliśmy w wagonach towarowych, ale były w nich prycze do spania. W Odessie ulokowano nas w sanatorium "Arkadia Berik", ale zamiast leczyć, skierowano nas znowu do pracy. Pracowałem przez trzy tygodnie przy odgruzowywaniu odesskiego portu, po czym znowu poczułem się gorzej, nie mogłem chodzić, nie miałem siły poruszać się. W czerwcu wzięto mnie do szpitala i zaczęto coś leczyć. W szpitalu przebywałem do września. Powoli wracałem do sił.

We wrześniu zorganizowano transport do kraju grupy Polaków, liczący tysiąc pięćset Polaków. Ja, szczęśliwie, znalazłem się w nim. Jechaliśmy wagonami towarowymi, o głodzie i chłdzie, przez Kijów do Białej Podlaskiej. Przez Lwów było o wiele bliżej, ale punkt repatriacyjny był w Białej Podlaskiej. Dostałem tam kartę repatriacyjną i w krytycznym stanie, w dniu 20 października 1946 r. - wróciłem do domu. Miałem się jeszcze meldować co tydzień w najbliższym posterunku Milicji Obywatelskiej.

Wróciłem do rodziny, pomniejszonej o najmłodsze dziecko, małego synka. Był żal w sercu, ale trzeba było żyć dla tych, co szczęśliwie przeżyli. Zebrałem coś pieniędzy i zaniósłem do księdza z prośbą, żeby odprawił, w mojej intencji, Mszę Świętą dziękczynną. Dzisiaj, gdy wspominam deportację

tysięcy Polaków, w czasie II wojny światowej, do ZSRR, myślę - za co nas to spotkało? Dlaczego? Jakim prawem? Gdy później, przez całe lata trzeba było wysłuchiwać propagandy komunistycznej o państwie socjalizmu, niby najbardziej rozwiniętym kraju świata i największym przyjacielem Polski, ja dobrze wiedziałem, jak naprawdę z tym jest.

Post scriptum:

Wróciwszy do domu Antoni Magda, rolnik z Trzęsówki, podleczył się i zajął pracą w gospodarstwie. Pięcioro jego dzieci i trzeba było posyłać je do szkół, dostosowywać do nowych warunków w ojczyźnie, w Polsce Ludowej, budującej socjalizm. Gospodarstwo, obciążone obowiązkowymi dostawami dla państwa, nie dawało potrzebnych dochodów. O pracę wówczas, w naszych stronach, było ciężko. Honorowego Antoniego denerwowały -obowiązek ciągłego meldowania się na MO i stosunek niektórych rodaków, którzy uwierzyli komunistom, że członkowie AK, a zwłaszcza ci, co zostali wywiezieni do ZSRR, byli - bandytami. Pojechał więc, dowiedziawszy się o takiej możliwości, do pracy w kopalni węgla na Śląsku. Pracował przez kilka lat, oddając zarobione pieniądze rodzinie. Gdy wrócił, znalazł sobie jeszcze zajęcie w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu. Dzieci pokończyły szkoły, pozakładały rodziny. Władze francuskie podjęły wypłacanie znacznych rent Polakom, którzy pracowali w ich kraju przed II wojną światową. Antoni Magda dostał rentę za pracę w młodości koło Metzu. Jako uczestnik wojny obronnej Polski we wrześniu 1939 r. został przyjęty do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Dostał odznaczenia za tę wojnę i za przynależność do AK. Spisywał swoje przeżycia. Udostępniał je historykom. Nie doczekał się upadku ustroju socjalistycznego. Zmarł w 1987 r. i spoczywa na cmentarzu w Trzęsówce.

Wspomnienie Antoniego Magdy z deportacji do ZSRR opracowała i podała do Rocznika Kolbuszowskiego

Halina Dudzińska

Rozdział III

Moja mała i wielka ojczyzna "POLSKA"

Halina Dudzińska
Rodzina Bytnarów

Zdzisława Józefa Rechul - Bytnar
Moja rodzinna ulica - kolbuszowskie
Nowe Miasto w początkach obecnego stulecia

Pierwsze lata Prywatnego Gimnazjum
w Kolbuszowej (1911-1916)

Rodzina Bytnarów

W latach 1901-1994 żyła, najpierw w Kolbuszowej, potem głównie w Warszawie, Zdzisława Józefa z Rechulów Bytnar (Bytnarowa, jak Ona najczęściej mówiła i pisała), wspaniała Kolbuszowianka, nauczycielka, żona Stanisława Bytnara, legionisty z I Brygady, matka Jana Bytnara "Rudego", bohaterskiego warszawskiego harcerza z okresu II wojny światowej, zamordowanego przez Niemców w marcu 1943 r. i matka córki Danuty, później młoda po Stanisławie, również zgładzonym przez Niemców w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, bojowniczką o wolność Polski, Działaczką społeczną, która uzyskała zaszczytne miano "Matki Polskich Harcerzy". Zdzisława Bytnar odwiedzała po II wojnie światowej Kolbuszowę, miasta swojego urodzenia i dzieciństwa, a w ostatnich latach długiego życia wędrowała do niego myślami i pisała różne wspomnienia. Trzy z tych wspomnień przysłała do Kolbuszowej, do autorki niniejszych słów, która miała zaszczyt zdobyć jej przyjaźń. Wspomnienia należało zachować, uchronić od zniszczenia. Zostało to zrobione. Dwa wspomnienia dotyczą Kolbuszowej z dziecinnych lat Pani Zdzisławy, trzecie mówi o Janku Bytnarze "Rudym" i jego Kolegach. Wszystkie trzy zostają, staraniem członków Zarządu Towarzystwa Kultury im. J.M. Goslara wydrukowane poniżej, w Roczniku Kolbuszowskim, a ja poprzedzam je wstępem.

Zdzisława Józefa Rechul urodziła się w dniu 12 marca 1901 r. w Kolbuszowej, w rodzinnym domu przy ulicy Nowe Miasto 10, jako czwarte dziecko Józefa i Józefy z Markusiewiczów. Przyszła na świat u schyłku niewoli austriackiej naszej ziemi, poznała trochę życie w niej, a potem była świadkiem zmartwychwstania Polski. W walce o Polskę zginął w Legionach, w 1916 r. jej brat, Roman Julian Rechul, najstarszy z rodzeństwa. Pani Zdzisława Rechul była drobną, delikatną osobą o jasnych w dzieciństwie i w młodości włosach oraz niebieskich oczach. Po rodzicach otrzymała wiele talentów, a przede wszystkim - wielką chęć życia, ciekawość i miłość świata i ludzi, dobrą pamięć i olbrzymią pracowitość. Bardzo wcześnie, bo już w wieku siedmiu - ośmiu lat postanowiła pójść drogą, wiodącą poprzez gimnazjum, ówczesną szkołę średnią, do zawodu nauczycielskiego. Zaczęła nią kroczyć w wieku 11 lat by potem służyć krajowi i bliżnim.

Otwartość i życzliwość wobec ludzi odziedziczyła Zdzisława Rechul po rodzicach. Ojciec jej Józef przybył do Kolbuszowej z ziemi sokołowskiej, ze

wschodniej części ówczesnego powiatu kolbuszowskiego. Był synem biednej kobiety, mającym piękne kaligraficzne pismo i ambicję dojścia do czegoś w życiu. Mając parę klas szkoły ludowej dostał w Kolbuszowej, najpierw pracę w majątku ziemskim Zdzisława hrabiego Tyszkiewicza, potem w Urzędzie Skarbowym, w dziale podatków. Będąc urzędnikiem utrzymywał liczną rodzinę jedynie ze swojej pensji. W stworzeniu prawdziwej rodziny pomagała mu wiernie żona Józefa z Markusiewiczów, córka Jana, rzemieślnika i Marii Mierzejewskiej, kolbuszowianki. Józefa Rechulowa urodziła, w latach 1896-1916, dziesięcioro dzieci. Dwoje z nich, córka Janina, urodzona w 1899 r. i syn Edward, urodzony w 1904 r., zmarło w dzieciństwie. Ośmioro - cztery córki i czterech synów wychowało się. Z tych czterech synów dwóch odeszło jednak ze świata w wieku dwudziestu lat. Byli to wspomniany już Roman Julian, pierworodny, poległy w Legionach Polskich nad Stochodem i Marian, zmarły wskutek przeziębienia w roku 1930. Zostały cztery córki: Maria, Zdzisława, Joanna i Emilia oraz synowie: Lesław i Tadeusz. Wszyscy oni jednak, dorośli, opuścili Kolbuszowę i poza nią zakładali swoje rodziny. *Józefa* Rechulowa pracowała dla rodziny, cicho i ofiarnie, od świtu do nocy, zgodnie z ówczesnymi przykazaniami dla kobiet: "Mów w milczeniu, kochaj w spojrzeniu, cierp w westchnieniu, żyj w poświęceniu". Ustępowała we wszystkim mężowi, który był bardzo rozumnym człowiekiem i obywatelem kraju, dobrym mężem i ojcem, zainteresowanym sprawami życia, pracy, nauki i kultury.

Zdzisława Rechul w latach 1907-1911 uczęszczała do szkoły ludowej, Szkoły Żeńskiej, która znajdowała się przy ulicy 3 Maja, nazywanej ulicą Pańską. Obecnie jest to Szkoła Podstawowa Nr 2. Dyrektorem szkoły był Ignacy Łukaszewicz, a nauczycielkami były: pani inspektorowa Welfowa, pani Swobodowa, Szlamówna i inne. Nauka nie sprawiała Zdzisi najmniejszych trudności, a już wtedy podniecał ją fakt, że niektóre starsze od niej nieco koleżanki, jak sąsiadki: Maria Jabłońska i Janina Siekierska, szły na dalszą naukę do gimnazjów, czy seminariów nauczycielskich w innych miastach. We wrześniu 1907 r. rodzice jej posłali syna Romana do Gimnazjum w Łańcucie. Zdzisława zachwyciła się wizją nauki, tchnieniem wielkiego świata, jaki ta nauka wносиła do gimnazjalno-uczniowskich domów i postanowiła, że ona też będzie się, jak wtedy mówiono, kształcić.

Józef Rechul chciał wykształcić syna Romana Juliana. O kształceniu córek nie myślał. W Kolbuszowej nie było gimnazjum. Na początku 1911 r. wziął on dużą pożyczkę i na wiosnę przystąpił do burzenia starego i ciasnego rodzinnego domu, tego na Nowym Mieście i do budowania, na jego miejscu, nowego, większego.

Zdzisia lała, jak pisze we wspomnieniu, "ręśiste łzy", pragnąc uczyć się w gimnazjum. I los, przeznaczenie, przyszły jej z pomocą. W tamtym czasie państwowe, rządowe gimnazja i seminaria nauczycielskie, w których nauka była prawie że bezpłatna, istniały tylko w dużych miastach. W

małych miastach inteligencji, pragnący kształcić swoje dzieci, nie wysyłając ich do innych miast, gdzie były narażone, jak mówiono, na utratę zdrowia fizycznego i moralnego, starali się o pozwolenie i zakładali gimnazja prywatne, utrzymywane przez rodziców uczniów, zorganizowanych w odpowiednie towarzystwo. Gimnazja były wtedy ośmioklasowe. Nauka w takich szkołach prywatnych kosztowała o wiele więcej, miesięcznie, niż w gimnazjach rządowych. W Kolbuszowej, w 1910 r., inspektor Henryk Welfe, mający synów do kształcenia, ks. Jan Markiewicz, dziekan i proboszcz i inni inteligenci utworzyli Towarzystwo Szkoły Gimnazjalnej i starali się, we Lwowie, w Radzie Szkolnej Krajowej, o pozwolenie na otwarcie, u siebie, gimnazjum rozwojowego, zaczynającego się od pierwszej klasy. Dostali pozwolenie i z dniem 1 września 1911 r. rozpoczęła się, po południu, w budynku kolbuszowskiej Szkoły Męskiej, pod kościołem, nauka z zakresu I klasy gimnazjalnej. Towarzystwo Szkoły Gimnazjalnej nie miało budynku i kwalifikowanych nauczycieli szkoły średniej, ale zaczęło naukę. Zgłosiło się do niej dwudziestu dwóch chłopców i jedenaście dziewcząt. Jedną z dziewcząt była - Zdzisława Rechul.

Józef Rechul nie miał w planie posłania Zdzisi do gimnazjum. Zajął się budową domu, oddając, na jej czas, starsze dzieci, na "przechowanie" do sąsiadów. Zdzisławę wzięli do siebie Wiktor i Wiktoria Winiarscy, zamożni, a bezdzietni małżonkowie. Wzruszyło ich pragnienie jej, uczenia się, jej "rzęsiste łzy" i dali jej pieniądze na dokonanie wpisu do kolbuszowskiego Gimnazjum.

Zdzisława Rechul skończyła w Kolbuszowej, do wiosny 1914 r., trzy klasy gimnazjalne. W sierpniu tego roku wybuchła I wojna światowa. W roku szkolnym 1914-1915, wobec inwazji Rosjan/ nauki nie było. Późną wiosną 1915 r. Rosjanie odeszli i powróciły władze austriacko-galicyjskie. We wrześniu tego roku podjęto, w bardzo ciężkich warunkach materialnych, naukę szkolną. Na wiosnę 1916 r. Zdzisława Rechul i jej koledzy skończyli czwartą klasę gimnazjalną, składając egzamin z jej zakresu w Rządowym Gimnazjum w Mielcu. Pisze ona o tym w swoim wspomnieniu. Było to dla niej wielkie przeżycie. Potem, w Kolbuszowej, nie otwarto piątej klasy gimnazjalnej i Zdzisława, jakoś, dostała się na naukę do Gimnazjum w Krakowie. Było to, chyba, bardzo kosztowne. Ale wtedy rodzice jej nie nakładali już pieniędzy na naukę syna, Romana Juliana, który zginął w Legionach. Żeby zmniejszyć wydatki, Zdzisława usiłowała uczyć się, w roku 1916 czy 1917, w Gimnazjum Męskim w Mielcu. Wróciła jednak do Krakowa. Tutaj przeżyła listopad 1918 r., w którym powstała -wolna Polska.

Powstaniu wolnej Polski, II Rzeczypospolitej towarzyszył wybuch entuzjazmu, radości i wielkich nadziei większości Polaków, pragnienie pracowania dla dobra Ojczyzny. Zdzisława Rechul należała do tych Polaków. Chodząc do ósmej klasy gimnazjalnej, wstąpiła również na Kurs Pedagogiczny,

zorganizowany przez drą Henryka Rowida, Wybitnego naukowca i pedagoga. Realizowała swoje dziecinne marzenie zostania nauczycielką.

Na wiosnę 1919 r. złożyła egzamin dojrzałości i skończyła Kurs. Także zaręczyła się z poznanym na Kursie Stanisławem Bytnarem, byłym legionistą z I Brygady. Z dniem 1 września tego samego roku obydwójce młodzi udali się na swoje pierwsze miejsce pracy na ziemi kieleckiej. W czasie pierwszych, nauczycielskich wakacji, w 1920 r. wzięli, w Kolbuszowej, ślub.

W dniu 6 maja 1921 r. Zdzisława z Rechulów Bytnarowa urodziła, także w Kolbuszowej, w rodzinnym domu na Nowym Mieście, syna Jana, późniejszego "Rudego", wspaniałego harcerza, znowu zmuszonego do walki o niepodległą Polskę i zamordowanego z powodu tej walki.

Stanisław i Zdzisława Bytnarowie uczyli, przez kilka lat po ślubie, w Nieklaniu i Piastowie na Mazowszu, niedaleko Warszawy. W 1924 r. urodziła się im córka, Danuta. Obydwójce chcieli mieszkać i pracować w Warszawie. Stanisław dostał w niej stanowisko kierownika szkoły jeszcze przed rokiem 1926.

Pani Zdzisława ukończyła, w roku szkolnym 1926-1927, Państwowy Kurs Pedagogiki Specjalnej i też została kierowniczką stołecznej Szkoły Specjalnej Nr 6, szkoły dla dzieci głuchoniemych. Pracowała na tym stanowisku aż do początku roku 1940.

Wkrótce w życiu Stanisława i Zdzisławy Bytnarów pierwszą osobą stał się ich syn Janek. Fizycznie podobny do matki, drobny, jasnowłosy i niebieskooki, okazał się chłopcem bardzo inteligentnym, zdolnym, pracowitym, ciekawym, tak, jak i mama, świata i ludzi, pojmującym życie jako służbę dla innych. W szkole powszechnej przyjęto go od razu do drugiej klasy i wnet odesłano na naukę do Warszawy. Po ukończeniu szóstej klasy szkoły powszechnej skierowano do Gimnazjum im. Stefana Batorego na Mokotowie, gdzie uczyli się tylko bardzo zdolni uczniowie. S. i Z. Bytnarowie na Mokotowie kupili sobie również mieszkanie na drugim piętrze olbrzymiego gmachu, stojącego przy Alei Niepodległości numer 159/63. W mieszkaniu tym Zdzisława Bytnarowa przeżyła chwile szczęśliwe i nieszczęśliwe, a po latach, zakończyła swoje życie.

Janek Bytnar chodził do szkoły im. S. Batorego, zgodnie z wymaganiami programu, przez sześć lat. Cztery lata do gimnazjum i dwa lata do liceum o kierunku matematyczno-fizycznym. Był prymusem w klasie, chociaż mówił skromnie, że jest drugim uczniem, bo nazwisko jego było zapisane jako drugie w dzienniku lekcyjnym. Pierwszym zapisanym nazwiskiem było nazwisko Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, wspaniale zapowiadającego się poety, który zginął, w sierpniu 1944 r., w czasie Powstania Warszawskiego. Innymi uczniami klasy byli: Aleksy Dawidowski, nazywany Alkiem, syn dyrektora fabryki amunicji, Tadeusz Krzyżewicz, Jacek Tabęcki i Tadeusz Zawadzki, syn profesora - chemika z wyższej uczelni. Przystojnego T. Zawadzkiego, o bujnych, jasnych włosach, nazwali z czasem koledzy,

"Zośką". Janka Bytnara nazywali "Rudym". Chłopcy ci stali się członkami szkolnej, 23 Drużyny Związku Harcerstwa Polskiego (ZHP) i zapalonymi harcerzami. Drużynę nazywali, od pomarańczowych chust, "Pomarańczarnią", a swój zastęp "Buki". Uczyli się w szkole i ćwiczyli na zbiórkach, zdobywali sprawności, wędrowali na obozach, poznając kraj, uzyskiwali stopnie podharcemistrzowskie, byli opiekunami drużyn w szkołach powszechnych, wyrastali więc na przywódców. Hołdowali hasłom "Bóg, Honor i Ojczyzna" oraz "Przyjaźń i Służba". Przyjaźń sobie, służba Ojczyźnie. Mieli iść na wyższe studia.

Tymczasem w dniu 1 września 1939 r. Niemcy napadli na Polskę. Zaczęła się II wojna światowa. W zachodniej połowie Polski ustaliła się okupacja niemiecka. Wschodnią Polskę zajęli Rosjanie. I Niemcy i Sowieci starali się wyniszczyć jak największą ilość Polaków. Wprowadzili nędzne racje żywnościowe. Dawali głodowe płace za wykonywaną pracę. Arcysurowe przepisy miały zapobiec tworzeniu się polskiego ruchu oporu. Za złamanie przepisu przeważnie groziła kara śmierci. Wyroki śmierci wykonywano w organizowanych obozach zagłady, w więzieniach, w placówkach policji doraźnie, gdzie wypadło.

Tymczasem Polacy, wstrząśnięci klęską wrześniową i rozbiorem Polski, chcieli bić się z zaborcami. Walkę głosił i organizował Rząd Polski, powstały na emigracji w Europie Zachodniej.

W strefie okupacyjnej niemieckiej kobiety zameżne nie pracowały. Zamknięto szkoły średnie ogólnokształcące i wyższe. Ziemie polskie i Polacy eksploatowani byli pod wszystkimi względami. Polskie życie kulturalne zamarło. Polacy organizowali antyniemiecką działalność konspiracyjną, Ruch Oporu. Niemcy bestialsko go zwalczali. Za zabicie, w grudniu 1939r., w miejscowości Wawer pod Warszawą, niemieckiego żołnierza, *zaraz* powiesili, w tej miejscowości, stu Polaków.

Pani Zdzisława Bytnarowa, z początkiem 1940 r., została zwolniona z pracy. Pracowała później w Tajnym Nauczaniu, ale sprawa ta nie jest bliżej znana. Jan Bytnar uczył się w Wieczorowej Szkole Mechanicznej, mającej charakter półwyższy, razem ze swoimi kolegami i podejmował różne prace, żeby pomóc w utrzymaniu rodziny i domu. W nowej sytuacji zacieśniła się przyjaźń chłopców z niedawnego zastępu z ich byłymi zwierzchnikami. Kształtowało się tajne Harcerstwo, które otrzymało kryptonim "Szare Szeregi". Członkowie "Buków" wcześniej zostali wciągnięci do konspiracyjnego Ruchu Oporu. Najpierw mieli kontakt z Polską Akcją Niepodległościową, potem z Organizacją "Wawer". W ramach tej drugiej podjęli akcję "Małego Sabotażu". Polegała ona na zrywaniu niemieckich flag i afiszy, zarządzeń, na wykonywaniu, w miejscach publicznych, karykatur niemieckich przywódców, ośmieszających ich, na malowaniu litery P splecionej z kotwicą, znaku Polski Walczącej i sylwetki żołtwa, symbolu powolnej pracy dla Niemców, na przerabianiu niemieckich afiszy propagandowych,

w celu niekorzystnego dla nich brzmienia. W wykonywaniu tych prac przodował Jan Bytnar "Rudy". Przerobił napis "Niemcy zwyciężają na wszystkich frontach" na "Niemcy leżą na wszystkich frontach", albo napis na Arbeitsamcie (Urzędzie Pracy) - "Jedźcie z nami do Niemiec" na "Jedźcie sami do Niemiec". Napisy były w języku niemieckim i wysoko umieszczone. Szybki dostęp do nich i przemalowanie liter nie były łatwe. Zrobić niemiecki napis "Choć wełniane macie gacie, ale wojny nie wygracie". Też nie łatwo było zrobić.

Chłopcy z "Szarych Szeregów", a wśród nich "Rudy" walczyli z Niemcami. Rodzice szanując ich rzekomo dorosły już wiek, nie przeszkadzali im w tym. Janek trzymał w piwnicy swojego mieszkania szablony do wykonywanych napisów czy rysunków. Jakoś nie pomyślał, że Niemcy mogą je odnaleźć. A tak się stało. Niemiecka policja zawzięcie szukała sprawców uwłaczających im ekscesów i powoli odnosiła sukcesy.

Zanim Jan Bytnar "Rudy" dostał się w ręce niemieckie, w końcu 1942 r. on i jego koledzy stali się członkami Armii Krajowej (AK), tajnego Wojska Polskiego, organizowanego przez Rząd Polski na emigracji, w okupowanym kraju, do walki o Polskę. W szeregach harcerskich uzyskali stopnie harcmistrzów, w AK uczyli się na Kursach Podchorążych. Dostali stopnie podporuczników. Werbowali kolegów, tworzyli akowskie plutony, łączone w kompanie, a następnie w Bataliony. "Rudy" był dowódcą plutonu "Sad" w kompanii "Zośki" - Tadeusza Zawadzkiego. Zaczęli brać udział w poważnych akcjach antyniemieckich, m.in. w wysadzaniu pociągów wiozących żołnierzy i sprzęt na front wschodni.

Dzban zawsze nosi wodę do czasu. Chyba na początku stycznia 1943 r. wpadł w ręce Niemców Henryk Ostrowski, jeden z "Buków". W jego notesie gestapowcy znaleźli dane personalne "Rudego". Wnet przyszli po niego, Wtedy Jankowi udało się uciec im. Zsunął się po linie z okna swojego mieszkania i ukrył na podwórzu. Wówczas rodzina Bytnarów powinna była wyjechać z Warszawy, pod przybranymi nazwiskami. Oni jednak pozostali na miejscu. Gestapowcy przyszli po raz drugi nad ranem 23 marca 1943 r. Zdzisławy Bytnarowej i córki Danusi nie było w domu. Uniknęły aresztowania a może i śmierci. Stanisław i Jan Bytnarowie byli w domu. Zostali aresztowani i umieszczeni w Pawiaku, więzieniu przy ulicy Pawiej. Janka *zaraz* zabrano na przesłuchanie na Gestapo w budynku przy Alei Szucha. Przesłuchiowano go tam przez cztery dni, bijąc niemiłosiernie. On - Bohater - katowany, potrafił milczeć, nie zdradzić nazwiska żadnego ze swoich kolegów. Żaden z nich nie został aresztowany.

Danuta Bytnar zawiadomiła Tadeusza Zawadzkiego "Zośkę" o aresztowaniu ojca i brata w parę godzin po tym fakcie. On zaraz pomyślał o tym, żeby zorganizować kolegów i odbić Janka z rąk niemieckich. Takiej akcji, wtedy, nikt z konspiratorów nie przeprowadził jeszcze na ziemiach polskich. Zeszło trzy dni, zanim wywiad akowski dowiedział się, kiedy i w jaki sposób więźniowie Gestapo są przewożeni z budynku przy Al. Szucha

na Pawiak, zanim "Zośka" dostał pozwolenie akcji i zorganizował kolegów. Zorganizował dwudziestu ośmiu harcerzy - akowców. Połowa z nich brała bezpośredni udział w działaniu, druga połowa stanowiła ubezpieczenie. Jako miejsce akcji wyznaczono róg ulic: Bielańskiej i Długiej, teren przed starym Arsenalem, tym, na którym Polacy walczyli o wolność w chwili wybuchu Insurekcji Kościuszkowskiej i w Noc Listopadową.

Akcja pod Arsenalem, akcja odbicia Janka Bytnara "Rudego" z rąk gestapowców odbyła się w dniu 26 marca o godzinie siedemnastej. Trwała piętnaście minut. Polacy rozbili samochód, który wiozł, pod niemiecką eskortą, dwudziestu czterech więźniów. W akcji zginęli, z harcerzy Tadeusz Krzyżewicz "Buzdygan" i trzech czy czterech gestapowcy. Więźniowie zostali uwolnieni. Już po akcji zaalarmowani Niemcy śmiertelnie ranili Aleksego Dawidowskiego "Alka" i ujęli Herburta Lenka, którego również zamordowali.

Jan Bytnar "Rudy", uwolniony z rąk oprawców, był tak skatowany, że nie mógł poruszać się o własnych siłach. Wzięto Go do domu jednego z kolegów, sprowadzono do niego matkę. Potem postarano się o umieszczenie Go, pod przybranym nazwiskiem, w szpitalu. Ale zmiażdżone organy wewnętrzne nie funkcjonowały. "Rudy" zmarł w dniu 30 marca 1943 r. Koledzy pochowali Go na Wojskowym Cmentarzu Powązkowskim. Alek zmarł w tym samym dniu i także tam spoczął. Zdzisławę Bytnar przywieziono przed grób syna już po pogrzebie. Przy tym grobie znalazły się wkrótce mogiły i innych kolegów "Rudego". Dzisiaj stoi tam wstrząsający las brzozowych krzyży.

Po śmierci Janka Zdzisława Bytnarowa starała się o zwolnienie z więzienia męża. Nie udało się jej to. Stanisław Bytnar, mający lat czterdzieści sześć został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie wkrótce zmarł.

Autorka tych słów rozmawiała wielokrotnie z panią Zdzisławą o jej wojennych przeżyciach. Nie zapytała się jednak jej, jak ona żyła z córką, jak sobie dawała radę, po aresztowaniu męża. Jakoś pracowały i żyły. Było Tajne Nauczanie, była konspiracja wojskowa. Pani Zdzisława należała do akowskiej Wojskowej Służby Kobiet. Miała w niej -stopień podporucznika. Potem, z dniem 1 sierpnia 1944 r. przyszło tragiczne Powstanie Warszawskie. Dwa miesiące beznadziejnej, morderczej walki Polaków z Niemcami, zakończone klęską. Potem było wywożenie Warszawian w głąb Niemiec.

Po upadku Powstania Warszawskiego Zdzisława Bytnar została wywieziona do obozu dla kobiet - oficerów w Bergen Belsen, pod granicę niemiecko-francuską. Była też, przez jakiś czas w Mohlsdorfie, w Turynii. Przeżyła wyzwolenie obozu przez wojska amerykańskie i w jesieni 1945 r. powróciła do kraju, do swojego mieszkania, nie uległo całkowitemu zniszczeniu. Odnalazła córkę, która przebywała w innym obozie. Otrzymała pracę wizytatorki w Departamencie Oświaty Szkół Podstawowych w Ministerstwie Oświaty.

Córka studiowała architekturę, potem wyszła za mąż. Przychodziły na świat wnuki pani Zdzisławy. Pomagała je wychowywać.

Polska odrodziła się w latach 1944-1945, u schyłku II wojny światowej, nazwana Polską Ludową, potem oficjalnie Polską Rzeczypospolitą Ludową (PRL). Dzięki obecności wojsk ZSRR i polityce jego przywódców, władzę w niej objęli komuniści, kierowani z ZSRR i przesiąknięci okrutną nienawiścią do przedwojennych klas posiadających i nie uległym im inteligentów. Zwalczali oni bezwzględnie "reakcję" i "wrogów klasowych". Do pierwszych szeregów reakcji zaliczani byli członkowie AK. Nazywano ich tak, jak Rosjanie zawsze nazywali bojowników o wolną Polskę, to jest - bandytami i skazani zostali na "hańbę zapomnienia". Duch nienawiści, tyranii i zbrodni rozwinął się wśród komunistów pod wpływem Stalina, dyktatora ZSRR. Jednak Stalin zmarł w 1953 r. i Polacy powoli podnosili się z niewoli i upodlenia. Pierwszy przełom nastąpił w październiku 1956 r. Partia komunistyczna utrzymała się przy władzy, ale przyrzekła odnowę wolności i demokracji. Uznała drobną prywatną własność środków produkcji. Oczyszczała również AK od zarzutu "bandytyzmu" i pozwoliła wspominać jej ludzi.

Pani Zdzisława Bytnar przeszła w 1957 r., na własną prośbę, na emeryturę i podjęła się ochotniczej pracy nad odświeżaniem i upowszechnianiem, zwłaszcza wśród harcerzy, wiedzy o bohaterskiej, wojennej działalności chłopców z warszawskich "Szarych Szeregów", działalności Alka Dawidowskiego, Janka Bytnara "Rudego", Tadeusza Zawadzkiego "Zośki" i innych. Zbliżała się do odradzających się drużyn ZHP, do powstających związków tych drużyn, czyli szczepów, mówiła wspominała. Pod jej wpływem drużyny i szczepy harcerskie z całej Polsce poznały historię "Alka", "Rudego", "Zośki" i innych i zaczęły przyjmować ich imiona. Zdzisława Bytnar zaś stawiała się - Matką Polskich Harcerzy, żywych i poległych za Polskę.

Do Kolbuszowej przyjechała Zdzisława Bytnar, po raz pierwszy po wojnie, w 1960 r., odnowiwszy dawną przyjaźń z p. Eugenią Jabłońską za mężem, najlepszą przyjaciółką. Wyszła ona, także w 1920 r., za Jana Maciąga, legionistę z II Brygady, oficera odrodzonej Polski. W następnym roku urodziła syna Stanisława a następnie syna Włodzimierza. W II Rzeczypospolitej również mieszkała poza Kolbuszową. Wojnę przeżyła w Lublinie. Mąż jej, kapitan służby stałej WP dostał się do niewoli sowieckiej i zginął w ramach zbrodni, objętej wspólnym mianem Katynia. Syn Stanisław zginął w Oświęcimiu. Pani Eugenia w 1944 r. powróciła do Kolbuszowej. Od 1960 r. przyjaciółki spotykały się i nieprzerwanie korespondowały aż do zgonu Eugenii Maciąg, który nastąpił w 1987 r.

W 1960 r. Zdzisława Bytnar nawiązała kontakt z Dyrekcją i Gronem Pedagogicznym kolbuszowskiego Liceum Ogólnokształcącego oraz jego drużynami harcerskimi. Opiekunką żeńskiej, licealnej, Drużyny Harcerek była wówczas autorka niniejszego wstępu, opiekunem Drużyny Męskiej był

prof. Jan Skowroński, krewny p. Eugenii Maciąg, dobrze znany p. Zdzisławie z lat młodości. Zaczęła się przemiana łączności i współpraca pomiędzy panią Zdzisławą a harcerzami z Kolbuszowej. Trwała ona aż do śmierci Zdzisławy Bytnar.

Pierwszym owocem łączności, współpracy Zdzisławy Bytnar i kolbuszowskich harcerzy, a przede wszystkim współpracy z prof. J. Skowrońskim, radnym miejskim i wielbicielem harcerstwa, było nadanie imienia Jana Bytnara "Rudego", w 1964 r., nowopowstającej ulicy, przy której budowano gmach Zasadniczej Szkoły Zawodowej. W gmachu tym miało się też mieścić Liceum Ogólnokształcące. W jakiś rok później licealne Drużyny harcerskie, żeńska i męska, połączyły się w Szczep, który przyjął imię Jana Bytnara. Nieco później władze wzniosły dla Liceum Ogólnokształcącego osobny budynek. Pani Bytnar bywała w tym budynku, zwłaszcza w jego "Harcówce". Władze państwowe pozwoliły harcerzom na coroczne obchody w Warszawie "Dni Arsenalu", w ostatnich dniach marca. W czasie tych Dni odbywają się harcerskie biegi, marsze, spotkania, uroczystości. Kolbuszowscy harcerze biorąc w nich udział składali pani Zdzisławie Bytnar wizyty. Przyjmowała ich serdecznie w swoim małym pokoju, dawnym pokoju Janka. Powstało wtedy w całej Polsce ponad sto drużyn harcerskich, noszących imię "Rudego". Drużyny o imionach "Alka", "Zośki" czy "Szarych Szeregów" również powstawały. Nakręcono film "Akcja pod Arsenalem". Pani Zdzisława utrzymywała z wszystkimi Drużynami Szaro Szeregowymi kontakty korespondencyjne i osobiste. Jeździła na zloty, obozy, biwaki, opowiadała, wspominała. Z czasem straciła słuch, ale zawsze wiedziała o czym rozmawiają ludzie, zebrani wokół niej i umiała przemówić do nich godnie, patriotycznie, pięknie. Zaprzyjaźniła się z nią pani Barbara Wachowicz, autorka wspaniałych powieści historycznych, kultywująca pamięć Harcerzy Rzeczypospolitej, głównie tych z warszawskich "Szarych Szeregów".

Zdzisława z Rechulów Bytnar była w Kolbuszowej i w jej Liceum Ogólnokształcącym na wiosnę 1982 r., kiedy to na życzenie uczniów, szkoła ta otrzymała imię Janka Bytnara "Rudego". Po raz ostatni była w niej, z wnuczką, w 1988 r., gdy Zakład otrzymywał nowy sztandar. Pani Zdzisława trzymała się nadzwyczaj dobrze, drobna ciałem, olbrzymia duchem. Duchem miłości Ojczyzny i bliźnich. Duchem nieograniczonej dobroci, serdeczności i pracowitości. Będąc w Warszawie, wędrowała myślami po Kolbuszowej z lat dziecińczych, lat, z których rzeka ludzkiego życia bierze swój początek i kierunek. Napisane wspomnienia przysłała autorce niniejszych słów. Ona przechowała je i przekazała Państwu, Redaktorom "Rocznika Kolbuszowskiego".

*Moja rodzinna ulica - kolbuszowskie Nowe Miasto w początkach
obecnego stulecia*

Urodziłam się i wychowałam w Kolbuszowej, w domu, stojącym przy ulicy Nowe Miasto numer 10. Ulica ta powstała kilkadziesiąt lat wcześniej, otaczała okrężnie, półkoliście, miasto Kolbuszowa, skupione wokół rynku, ozdobionego kościołem parafialnym i wyciągnięte na południowy zachód wzdłuż dwóch głównych ulic, ulicy oficjalnie nazwanej ulicą 3 Maja, a nieoficjalnie Pańską i ulicy Sędziszowskiej. Ulica Pańska dzisiaj nazywa się ulicą Obrońców Pokoju, ulica Sędziszowska nazywa się ulicą Józefa Piłsudskiego, a Nowe Miasto pozostało Nowym Miastem i tworzy, tak jak tworzyło, jakby - zaścianek Kolbuszowej. Ludzie pobudowali na nim domy, swoje siedziby, z dwóch stron ulicy Nowe Miasto, zaczynającej się przy ulicy Sędziszowskiej, niewiele set metrów od rynku i idącej ku ulicy Pańskiej i ruszyli jeszcze nieco na południe od tej ulicy. Cała Kolbuszowa i jej okolice były niegdyś własnością bogatych panów feudalnych, Lubomirskich, Sanguszków i Tyszkiewiczów, spadkobierców Lubomirskich. Mieszkańcy miasta użytkowali ziemię tych panów i płacili im za to roczny czynsz. W połowie XIX wieku zostali zwolnieni od płacenia czynszu i miasto uniezależniło się od swoich dawnych dziedziców. Wnet najwyższą władzą stał się w nim starosta powiatowy. Tereny majątku książąt Lubomirskich i hrabiów Tyszkiewiczów oraz tereny innych, dużych sąsiednich majątków przynależnych do miast - Majdan, Raniżów i Sokołów, zostały zorganizowane w połowie XIX wieku, w powiat, okręg administracyjny ze starostą na czele. Po zniesieniu czynszów powstał w Kolbuszowej ustrój kapitalistyczny. Właściciele parcel i domów, mając dzieci, zostawiali im, odchodząc na zawsze, swoje posesje. Ci, albo spadkobiercy osób bezdzietnych albo użytkowali otrzymane posesje, albo sprzedawali je innym. Na Nowym Mieście hr. Zdzisław Tyszkiewicz, który zmarł niecałe dziesięć lat przed moim urodzeniem, oddał, jak powiadano, pewne kawałki urodzajnej tamtejszej ziemi, bujnie porosłej przez olbrzymie drzewa akacji, gminie miejskiej, magistratowi, który wydzielał z nich maleńkie działeczki i oddawał je do zamieszkania wdowom i innym biedakom, którzy w pocie czoła dorabiali się własnego dachu nad głową i utrzymywali się przy życiu. Ale większość mieszkańców Nowego Miasta w Kolbuszowej, z okresu mojego dzieciństwa, kupowała tam swoje większe czy mniejsze posesje. Moi rodzice także kupili, prawie w środku ulicy Nowe Miasto, z lewej

jej strony, mały stary dom, z kawałkiem ogrodu, na krótko przed moim urodzeniem, marząc o zbudowaniu nowego domu. A żyli tylko z wysiłku własnych umysłów i rąk. Nie mieli ani skrawka pola i nie chowali krowy, konia i drobiu, co wówczas robili prawie wszyscy kolbuszowscy mieszczenie. Rodzina moja żyła bardzo skromnie, bardzo oszczędnie, ale przeważnie szczęśliwie i nie miała tej powszechnie, wtedy panującej biedy, którą mieli inni.

Przyszłam na świat jako czwarte dziecko Józefa Rechula, przybysza do Kolbuszowej i Józefy z Markusiewiczów, kolbuszowianki. Ojciec był urzędnikiem niższego stopnia najpierw w majątku hr. Tyszkiewicza i jego spadkobierców, potem, już w odrodzonej Polsce, w Urzędzie Skarbowym. Mama była rodzicielką i gospodynią domową. Moim starszym rodzeństwem był brat Roman Julian i siostry, Maria i Janina. Po mnie, urodzonej w pierwszym roku XX wieku, rodzina nasza powiększyła się jeszcze o sześcioro drobiazgu. Z tego brat i siostra zmarli w dzieciństwie. Dorosło nas ośmioro. Z tego jednak jeszcze, niestety, dwaj bracia, Roman i Marian, odeszli na zawsze, licząc sobie tylko po dwadzieścia lat. Roman zginął w 1916 r. jako żołnierz Legionów Polskich, walcząc na Wołyniu o wolność Polski.

Nazwałam kolbuszowskie Nowe Miasto - zaściankiem miasta. Taki charakter ma ono do dzisiaj. Kolbuszowa miała, w czasach mojego dzieciństwa, ponad trzy tysiące mieszkańców, w połowie Polaków - katolików, w połowie Żydów. Żydzi mieszkali zwarcie dookoła rynku, w trzech otaczających go uliczkach i na południe od rynku, w dzielnicy, nazywanej Kąty. Utrzymywali się z wyszynku alkoholu, z handlu i częściowo z rzemiosła. Stanowili swój odrębny, egzotyczny świat. Byli także porozrzucani i w innych miejscach, wśród katolików, a zwłaszcza opanowali rogi ulic, gdzie w stawianych domach zakładali sklepy. Polacy - katolicy mieszkali przy innych ulicach, przy ulicy Pańskiej, Sędziszowskiej, na Nowym Mieście i na Zakościelu. Inteligentów było wśród nich niewielu. Byli to księża przy kościele, nauczyciele, urzędnicy. Trzon mieszkańców stanowili mieszczenie, trudniący się rzemiosłem i uprawiający, w charakterze pomocniczym, małe gospodarstwa rolne. W dawnych wiekach rzemiosłem, najbardziej uprawianym przez katolików było stolarstwo. W drugiej połowie XIX wieku stało się nim szewstwo. Władze austriackie chcąc pomóc biednym Galicjanom, zlecały im wyrabianie obuwia dla ich armii.

Ulica Nowe Miasto była, przez cały czas mojego dzieciństwa i wczesnej młodości, piaszczystym traktem, przez który rzadko, tylko we wtorki i piątki przejeżdżały jakieś furmanki. Dla mnie ta ulica zaczynała się od ulicy Sędziszowskiej. W połowie jej, z lewej jej strony, odbijała także piaszczysta droga, wiodąca w dalszą część Nowego Miasta przede wszystkim do stojącej tam i funkcjonującej - rzeźni miejskiej. Kilka domów, które stały przy tej drugiej, piaszczystej, nowomiejskiej drodze, przy rzeźni, albo niedaleko od niej, tworzyły jakby jakiś - przysiółek. Przysiółek Nowego Miasta.

Wtorek był kolbuszowskim dniem targowym i czasem przejeżdżały w nim, przez Nowe miasto, jakieś furmanki. Przeważnie zaś w piątek wozili na furmankach do rzeźni, katolicy i Żydzi, zwierzęta rzeźne, przeznaczone na dnie świąteczne, sobotni żydowski i niedzielny - katolicki. Od wiosny natomiast do późnej jesieni, wędrowały, przez ulicę Nowe Miasto, cztery razy dziennie, krowy jej mieszkańców, zbierane *przez* gminnego pastucha rano i po południu i pędzone, przez niego, na gminne pastwisko na Błonie, za miasto, w kierunku Nowej Wsi oraz przyprowadzane z powrotem w południe i wieczorem. Lubiłam patrzeć, jak krasule, zbliżając się do domów swoich gospodarzy, same, świadomie, odchodziły od stada i kierowały się ku swoim oborom.

Przy wylocie ulicy Nowe Miasto do ul. Sędziszowskiej, po prawej stronie stał dom rodziny Kozów a po lewej dom Żyda Berka, (zabudowania te należały do ul. Sędziszowskiej). W domu Władysława Kozy, ojca rodziny, znajdował się urząd pocztowy, a Władysław Koza był jego naczelnikiem, czyli jak wtedy mówiono, poczmistrzem. Kozowie byli przybyszami do Kolbuszowej. Posiadali duży ogród kwiatowy i warzywny, dzierżawili kawałek pola i chowali krowę. Obydwoje udzielali się społecznie, on jako członek różnych towarzystw, ona jako wyborna aktorka amatorskiego zespołu teatralnego, działającego przy Towarzystwie Gimnastycznym "Sokół". Towarzystwo to posiadało nowo zbudowany budynek przy ulicy Pańskiej. Kozowie mieli troje dzieci, córkę i dwóch synów i oczywiście chcieli je kształcić jak najwyżej. Dzisiaj w tym domu mieszkają ich wnukowie, Mazurowie.

Początek ulicy Nowe Miasto, pod domem Kozów, Berka i trochę dalej na zachód, leżał w pewnym obniżeniu i przez większość roku stało w nim trochę wody, tworząc - bajoro. Większe obniżenie było za posesją Berka. Porastała je łąka i ciekła jego środkiem struga. Łąka należała do rodziny Leśniowskich i stanowiła zakończenie łąk, otaczających Nowe Miasto od południowego wschodu, ciągnących się na południe i przechodzących w pola. Łąki i pola odgradzały Nowe Miasto i ulicę Pańską od ulicy Sędziszowskiej i od odłączającej się od niej w pewnym miejscu ulicy Krakowskiej. Ulica Krakowska, w czasach mojego dzieciństwa, też była piaszczystą, wąską drogą, dopiero się rodzącą. Wspomniane bajoro utrudniało mieszkańcom Nowego Miasta dostęp do ulicy Sędziszowskiej. Omijali je więc, zrobiwszy sobie przed nim dróżkę ku tej ulicy, za dwoma domkami, które stały za posesją Kozów, z zachodniej jej strony, przy wejściu do Nowego Miasta.

Pierwszy mały, drewniany domek, stojący za posesją pp. Kozów należał do Walentego Ozimka i jego rodziny. Wynajmowało sobie w nim również mieszkanie głuchonieme małżeństwo. Każde z tej pary skończyło Instytut Głuchoniemych we Lwowie, umiało *czytać* i pisać. On był fryzjerem, ona zdolną krawczynią. Ubierała się gustownie i szyła modne kreacje z wiedeńskich żurnali, głównie młodym Żydówkom. Ja chodziłam do tego fry-

zjera co sobotę, z kartką od Ojca, wzywającą go do nas w każdy ranek niedzielny. Ogolił on naszego Tatę i podstrzygł to czy tamto dziecko.

Za domkiem Ozimka stał podobny domek, należący do Ogonków. Miał on dosyć szeroką sień i dwie izby po obydwóch jej stronach. Przez sień przechodziło się na przestrzał na tylne podwórko. Tak wtedy budowano. Izba po południowo-zachodniej stronie sieni była duża i w niej Ogonkowie mieszkali. Ogoniek był szewcem. W komorze, znajdującej się po przeciwnej stronie sieni, zadomowiła się jakaś samotna Żydówka, która prawie nigdy nie wychylała nosa na Boży świat. Jadzia Ogonkówna była moją miłą koleżanką, ale nasze drogi życiowe rozeszły się¹.

Za domem Ogonków przebiegała dróżka, ciągnąca -się od Nowego Miasta na północ, ku ul. Sędziszowskiej i rynkowi. Kończyła się ona pośród domów żydowskich. Nas, dzieci, zwłaszcza w jesienne wieczory, dziwnie korciło, żeby zrobić ich mieszkańcom chociażby małego, niewinnego psikusa. Zapukać w okno w ich piątkowy szabas, czy błysnąć w nie czymś świecącym i potem uciekać, ile sił w nogach.

Do osuszenia bajora, tworzącego się uparcie przy wejściu na Nowe Miasto, od ulicy Sędziszowskiej, przystąpiły władze miejskie chyba tuż przed I wojną światową. Wykopano długie, głębokie rowy, idące na wschód, przez Lancówkę, aż do rzeki Nil i ułożono w nich betony. Dzięki betonom podniósł się teren i odpływała z niego, z łąki Leśniowskich, woda. Gdy betony były ułożone, a jeszcze nie zakopane, my, dzieci, miałyśmy w nich mnóstwo zabawy. Przebiegałyśmy kilkakrotnie tunel, od wejścia do wyjścia, w ciemności, przełamując strach. Był to wyczyn nie lada. Ulica Nowe Miasto została wybrukowana dopiero w Polsce odrodzonej, w końcu 1918r. Droga idąca od niej do nowomiejskiego przysiółka do dzisiaj jest piaszczysta.

Za domem Ogonków stała duża stodoła Żyda, którego dom znajdował się przy ulicy Pańskiej, a posiadłość sięgała aż do Nowego Miasta². Teren tutaj był dosyć niski, a z lewej strony ograniczało go wzniesienie, jakby skarpa. Przycupnęła na tej skarpie mała chatka rodziny Szorców, biedaków. Wchodziło się do niej po dużych, obsuwających się głazach. Nie wiem, z czego żyli Szorcowie do roku 1911. Gdy w tym roku otwarto w Kolbuszowej Prywatne Gimnazjum, zrobiono starego Szorca jego stróżem, woźnym. Chłopcy - urwisy przezwali go - Sztorcem. Z czasem starsze dzieci Szorca powyjeżdżały, za chlebem, do Ameryki, najmłodsza zaś córka wyszła za mąż za Sobczyńskiego, szewca i potomkowie jej mieszkają na tym miejscu do dzisiaj³.

1 Później rodziny Ogonków i Ozimków połączyły się przez małżeństwo i dzisiaj miejsce po ich domach stanowią jedną parcelę. W głębi parceli stoi duży dom, należący do sióstr Heleny i Marii z Ozimków Mazurkiewiczowej i Janczykowej.

2 Dzisiaj ten teren należy do rodziny Rymanowskich.

3 Weronika, córka Szorcówny i Sobczyńskiego wyszła za mąż za Czyżewskiego. Czyżewscy postawili na miejscu dawnej chaty, piętrową kamienicę, wciśniętą pomiędzy parcele sąsiadów.

Za Szorcami zbudowali swój dom, przed moim urodzeniem, małżonkowie - Stanisław i Anastazja Gawronowie. On był przybyszem, ona kolbuszowianką z zamożnych Winiarskich. Dom ich był duży, zasobny, z okazałym gankiem, S. Gawron był bowiem urzędnikiem i z żoną nie posiadali dzieci. Wychowywali u siebie Janinę Siekierską, siostrzenicę pani Anastazji, którą odwiedzałam często po sąsiedzku. Obydwie chciałyśmy się uczyć, zostać nauczycielkami i dążenia te udało się nam zrealizować. Anastazja Gawronowa jako jedyna z kobiet na Nowym Mieście paliła papierosy. Uważano ją za zarozumiałą, bo nie zbliżała się do żadnej z mieszkanek ulicy, sąsiadek. Nigdy od nikogo nic nie potrzebowała, nikogo nie odwiedzała ani nigdy nie wyszła, letnim wieczorem, posiedzieć na ławce przed którymś z domów, pogadać, poplotkować, pośmiać się, co robiły inne kobiety. Zawsze była w głębi swojego domu, oddana jego sprawom, a czasem i lekturze gazety. Długo cieszyła się życiem i zdrowiem⁴.

Za Gawronami była posesja Aleksandra Winiarskiego, stolarza, nazywanego Ksandziem, albo, po ojcu - Walciem. Był bowiem synem Walentego i Julii z Mazurkiewiczów. Mazurkiewiczowie i tenże Walenty Winiarski byli stolarzami - artystami. Znali i wykonywali sztukę intarsji, pięknego ozdabiania mebli mozaikowymi wzorami z kawałeczków różnokolorowego drewna. Meble kolbuszowskie słynne były w XVII i XVIII i jeszcze w XIX wieku na wszystkich ziemiach polskich i poza nimi. Parę ich sztuk mieli najpierw Lubomirscy, potem Tyszkiewiczowie w kolbuszowskim dworze, a pewnie i w innych pałacach. Mazurkiewiczowie i Winiarscy robili je, potem konserwowali. Walenty Winiarski mieszkał z rodziną obok miejskiego folwarku Tyszkiewiczów, folwarku nazywanego Podsobnim, przy obecnej ulicy wiodącej w kierunku Rzeszowa. Może on, a może Ksandziu, kupił sporą parcelę na Nowym Mieście i pewnie Ksandziu wybudował na niej, przy ulicy, trzyizbowy dom. Izby były w amfiladzie, wzdłuż, jedna obok drugiej. W czasach mojego dzieciństwa pan Ksandziu mieszkał w dwóch izbach od strony zachodniej. Wchodziło się do nich przez mały, dobudowany ganek. Ojciec jego już nie żył i matka mieszkała, na Nowym Mieście, razem z nim. W domu przy ul. Rzeszowskiej pozostało młodsze rodzeństwo p. Ksandzia. On, mając z sobą matkę, długo się nie ożenił. Pracował, był bardzo sympatyczny, łagodny, ludzki, pobożny, chodził na wszystkie odpusty do okolicznych miejscowości i należał do Bractwa Różańcowego oraz do Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół". Miał zdjęcie w mundurze sokolim, tak jak i mój Ojciec. Warsztat posiadał wybudowany w podwórku. Okna izb mieszkalnych ozdobił sobie grupkami wyrzeźbionych ptaszków, kolorowo pomalowanych. My, dzieci, podziwialiśmy je. Natomiast mój Ojciec lubił wpadać, wieczorami, zwłaszcza jesiennymi, do warsztatu pana Ksandzia na pogawędkę o polityce i o sprawach miasta. Znajdował tam chwilę spokoju od domowego harmidru.

4 Dzisiaj dawny dom Gawronów należy do Jana Ziółkowskiego, przybysza z Przedborza.

W pierwszej z izb domu Aleksandra Winiarskiego mieszkał, w czasach mojego dzieciństwa, Michał Winiarski, stryj pana Ksandzia z liczną rodziną. Miał on przydomek, przezwisko — Swierczek i niby był stolarzem, niby szewcem, ale, najchętniej, nic nie robił. Miał zaś oryginalną jedną z córek, Wiktorię Ludwikę, przeszło dziesięć lat starszą ode mnie, dosyć urodziwą. W wieku piętnastu czy szesnastu lat, zamiast siedzieć w domu z macochą i bawić przyrodnie rodzeństwo, wyruszyła - na podbój świata. Miała ona bowiem w sobie wzmożone siły bioenergetyczne, które pozwalały jej, nieraz, przepowiedzieć coś z przyszłości, czy coś niewidzialnego dla innych. W Kolbuszowej robiło ją to dziwną osobą. W świecie okazało się to użyteczne. Wiktoriana pojechała najpierw do Wiednia. Znalazła tam kulturalnego, zasobnego opiekuna, inżyniera, który, podobno, zabrał ją w podróż do Indii, gdzie poznała czarodziejskie praktyki i zrobiła się jasnowidzącą oraz chiromantką, osobą wróżącą ludziom z ich pisma. Zapożyczyła sobie imię - Gizela od arcyksiężniczki austriackiej, córki "miłościwie nam panującego" cesarza Franciszka Józefa I. W Kolbuszowej nazywano ją szaloną Gizią albo - kabalarką. Po paru latach zjawiała się tutaj z wizytą u ojca. Przyjechała fiakrem, ubrana elegancko, niczym hrabina, w kapeluszu ze strusim piórem, w jedwabnej, szumiącej sukni i w lakierkach. Sprawiała ojcu porządną garnitur, melonik na głowę i obwoziła go swoim powozem po okolicy. Miała kartę wizytową z napisem "Madame Gizela". My, dziewczątka z Nowego Miasta, wyczekiwałyśmy chwili, gdy wychodziła z domu, żeby zobaczyć ją z bliska, napawać się oglądaniem jej stroju i fryzury. Inna gawiedź miała temat, na dłuższy czas, do plotkowania. Później, już w II Rzeczypospolitej, Gizia kupiła ojcu i jego rodzime dom, także na Nowym mieście. Wtedy mieszkała ona w Krakowie, była wziętą chiromantką i podobno, lubianą osobą. Była dobrym człowiekiem. Nie wyszła za mąż, pomogła zaś niejednemu z rodzeństwa i z dalszej rodziny ułożyć sobie życie, wyjść, jak się wtedy mówiło, na ludzi⁵.

Za domem Aleksandra Winiarskiego była znowu posesja, która sięgała od ulicy Pańskiej do ulicy nowe Miasto. Była dosyć szeroka, a należała do mężczyzny o nazwisku Józef Buczek i jego żony Franciszki. Małżeństwo to przyjechało z Rzeszowa i nie miało dzieci. Józef Buczek cieszył się powszechnym szacunkiem, było bowiem wiadomo, że w młodości uczestniczył w walce o Polskę w Powstaniu Styczniowym. Ubierał się jeszcze po szlachecku, w popielatą czamare do kolan, suto ozdobioną szamerunkami, na głowie nosił kołpak z czaplim piórem, na nogach buty z cholewami. Z postaci jego promieniowały szlachetność i patriotyzm. Popierał wszelką działalność społeczną. Należał do Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół" i był aktywny przy budowie gmachu "Sokoła", ukończonej w 1905 roku.

5 Aleksander Winiarski żył w latach 1869-1965. Nie miał dzieci. Posiadłość jego przejęli Stygowie, krewni jego żony, przybysze do Kolbuszowej.

W jego domu stojącym przy ul. Pańskiej znalazła pomieszczenie powstała Spółdzielnia Rolnicza "Pług", która po jego śmierci opanowała całą posesję. W moim dzieciństwie część tej posesji, przytykającą do ul. Nowe Miasto, porastały drzewa owocowe i była ogrodzona mocnym, wysokim płotem. W owym czasie chłopcy z mojego sąsiedztwa lubili wyprawiać się wieczorami na cudze jabłka, jednak ogród powstańca styczniowego omijali⁶.

Za ogrodem Józefa Buczka znajdowało się przy ulicy Nowe Miasto gospodarstwo Jana Jabłońskiego, ojca mojej najlepszej przyjaciółki, Gieni. On uchodził za jednego z najbogatszych, wówczas, mieszczan kolbuszowskich. Jego starszy brat Franciszek, nazywany Francem, mieszkał tuż w pobliżu niego, drugi zaś brat, Stanisław, miał posiadłość przy ulicy Sędziszowskiej. Jan uchodził za dumnego człowieka, niezbyt życzliwego, przychylnego ludziom. Był średniego wzrostu, w starszym wieku stał się otyły i nazywano go "Kotłem". Żonaty był z Anną Skowrońską i posiadał kilkoro dzieci. Najstarsza córka, Maria, urodziła się w końcu XIX wieku, najmłodszym dzieckiem był syn Henryk. Gienia Jabłońska była moją rówieśnicą, towarzyszką dzieciennych zabaw., koleżanką ze szkoły ludowej i z czterech pierwszych klas gimnazjalnych. Ona jednak, więcej niż ja, musiała pracować w domu i ja jej w tym chętnie pomagałam. Jan Jabłoński był rzeźnikiem, masarzem, handlował bydłem, zwłaszcza nierogacizną i posiadał duże gospodarstwo rolne. Pole miał częściowo blisko Nowego Miasta, częściowo dalej, w kierunku Błonia. Dom jego, stojący prawie naprzeciw mojego, posiadał - przedpokój od ulicy i trzy pokoje, kuchnię, komorę i dobudowany warsztat masarski od tyłu. Był więc dosyć duży i okazały. Za nim, w głębi podwórza, stały jeszcze większe zabudowania gospodarcze, z ciemnego, smolistego drzewa, stajnia dla konia, obora dla krów, chlewy, kurniki, stodoła z boiskiem, na którym dokonywano młócenia zboża. Z boku, bliżej domu stał wysoki, murowany, okazały spichlerz, podobny do takich, jakie bywały po dworach, jedyny tego rodzaju obiekt na Nowym Mieście. Przechowywał w nim, Jan Jabłoński, zboże, ale także, jak i w komorze, uležane słoniny i dosyć duże, okrągłe, powiązane bochny sadła. W opisywanym przeze mnie czasie, ludzie ze wsi lubili maścić kapustę podsuszonym, trochę woniejącym sadłem.

Jan i Anna Jabłońscy ubijali, co tydzień, dwie czy trzy świnie i cielęta, robili wędliny i sprzedawali je, w domu przed niedzielą, na straganie na rynku w Kolbuszowej w czasie wtorkowego jarmarku, w poniedziałek na jarmarku w Majdanie i chyba jeszcze na innych jarmarkach. Jan prowadził skup trzody chlewnej w powiecie dla bekoniarni w Dębicy. Pomagali mu w tym skupie zubożeni mieszczanie, rzeźnicy, przeważnie z rodu Winiarskich, czy mniej zamożnych Jabłońskich. Tych pomagierów, naganiaczy,

6 Józef Buczek miał przyjechać do Kolbuszowej z Rzeszowa. Zmarł tutaj w 1923 r. w wieku 85 lat. Istnieje tutaj jeszcze pewien ślad pamięci po nim.

nazywano z niemiecka "trajbrami". Kupcy bydła i nierogacizny bardzo się bogacili, kupowali bowiem sztuki "na oko", bez wagi, niewiele płacąc hodowcom - chłopom. "Trajber" kupując wieprzka, podnosił go do góry za ogon i określał jego wagę. Rzeźnictwo było zawodem najbardziej popłatnym. Stąd Jan Jabłoński, sam chyba nie umiejąc dobrze *czytać* i *pisać*, mógł kształcić, jak to robił, większość swoich dzieci. A posiadał on jeszcze duże gospodarstwo rolne. W polu pracował parobek, a w czasie żniw najmowano ludzi. W domu pomagała służąca.

Mania i Gienia Jabłońskie pomagały w domu. Doglądały młodszego rodzeństwa, czasem coś gotowały, pod nieobecność rodziców, sprzątały. No i dobrze się uczyły. Lubiłam im towarzyszyć i włączać się do ich pracy. Obierałam ziemniaki, pomagałam robić zacierkę na mleku. Gdy trzeba było iść w pole, zanieść obiady czy napoje osobom suszącym siano, albo żeńcom, pomagałam koleżankom. Czasem brałyśmy ze sobą młodszego rodzeństwo, a potem, z jaką uciechą, wracałyśmy, jadąc na furze ze snopkami *zboża czy z sianem*.

Trzymały się nas różne figle i psoty. Były to lata szczęśliwego dzieciństwa. W zimie miałyśmy choinki, chociaż nie zawsze były one ubrane cukierkami. Wieszalo się najwięcej kolorowych bibulek⁷.

Za domem Jana Jabłońskiego ulica Nowe Miasto skręcała w kierunku zachodnim. Przy zakręcie stał schludny domek rodziny Olszańskich. Przodkowie tej rodziny byli zamożnymi kolbuszowianami, pielęgnującymi tradycje szlacheckiego pochodzenia. W okresie mojego dzieciństwa Olszański był organistą parafialnym. Następnie wyjechał z rodziną gdzieś w świat. Domek kupił od niego Wiktor Winiarski, mający dom rodzinny nieopodal, z drugiej strony ulicy. Był on synem Michała, także zamożnego rzeźnika i kupca bydła. O domu Michała będzie mowa poniżej i o innych jego dzieciach, które były starsze ode mnie o około dwadzieścia lat. Dzięki wspomnianemu Wiktorowi Winiarskiemu i jego żonie, Wiktorii z Dudzińskich, ja spełniłam moje wielkie marzenie - zostałam uczennicą kolbuszowskiego Gimnazjum. Oni przyjęli mnie do swojego domu w czasie wakacji 1911 r., gdy moi rodzice budowali nasz nowy dom i dali mi - pięć koron, na wpisowe gimnazjalne. Byli małżeństwem bezdzietnym. Wiktor Winiarski został, pod koniec II Rzeczypospolitej, burmistrzem miasta Kolbuszowa. Wtedy mieszkał z żoną już w domu po ojcu Michale, a dom po prawej stronie ulicy Nowe Miasto, na jej zakręcie, kupiła od niego rodzina Jakuba Burkiewicza, szewca. Spalił się on, jak i kilka innych, sąsiednich, w wieczór dnia 9 września 1939 r., po bitwie polsko-niemieckiej.

Za domem Olszańskich znajdowała się duża parcela Franca Jabłońskiego, brata Jana. Dotykała na północnym wschodzie parceli J. Buczka, bar-

⁷ Gospodarstwo Jana Jabłońskiego na Nowym Mieście w II Rzeczypospolitej przejął jego zięć, Marian Chodorowski. Jego zabudowania spaliły się w dniu 9.IX. 1939 r. podpalone przez Niemców. Pozostał tylko spichlerz i stoi do dzisiaj.

dziej zaś na południe parceli ostatnio wymienionego Jana. Dom Franca Jabłońskiego i jego żony, nazywanej zawsze Francowa oraz ich dzieci, stał w północnej części parceli, blisko ulicy Pańskiej.

W moim rodzinnym domu żyło nas cztery córki i chłopcy, w domu Jana Jabłońskiego były cztery córki i chłopcy i w domu Franców także były cztery córki i chłopcy. Z mojego domu brat Roman i ja dostaliśmy wykształcenie średnie, z domu Jabłońskiego pięcioro dzieci, trzy córki i dwaj synowie dostali wykształcenie średnie, a jeden z tych synów dostał wykształcenie wyższe, prawnicze. Z domu Franciszka Jabłońskiego, jego żona, gdy została wdową, dała wykształcenie średnie dwóm córkom.

Franciszek Jabłoński był masarzem, kupcem nierogaczyny i właścicielem gospodarstwa rolnego, podobnie, jak i jego brat Jan. Życie w jego domu było prowadzone podobnie, jak i w domu Jana. Dzieci, dorastając, pomagały rodzicom. Miał trzech synów. Żona jego, Konstancja Nowicka, pochodziła z zamożnego domu. Była bardzo godną, zacną, dzielną i pracowitą kobietą. Mąż chyba nie dorównywał jej pod tym względem. W 1918 r., przy końcu I wojny światowej, przydarzyło mu się nieszczęście w interesie. Padło mu wielkie stado świń, w które zainwestował posiadane pieniądze i on - popełnił samobójstwo. Wielkiej i bogatej rodzinie Jabłońskich przyniosło to wielką plamę na honorze. Niektórzy szeptali, że powód samobójstwa był inny. Konstancja Francowa została z siedmiorgiem dzieci i z dużym gospodarstwem rolnym. Dalej prowadziła masarstwo, uprawiała ziemię i prowadziła dom. Wtedy to dwóm młodszym córkom dała wykształcenie średnie. Gdy we wrześniu 1939 r. spalił się jej dom i zabudowania gospodarcze, zbudowała sobie, z synami, drugi, mniejszy. Janina, jej córka, została moją bratową⁸.

Za posesją Jabłońskich, już pod bokiem ulicy Pańskiej, stały, nieco oddalone od ulicy Nowe Miasto, bokiem do niej, dwa żydowskie domy. W jednym starsza już kobieta, Naftulka, prowadziła sklep z artykułami spożywczymi i towarami gospodarstwa domowego. Przed domem jej i drugim, stojącym naprzeciw, był dosyć duży pusty teren porośnięty murawą, przecięty wydeptaną ścieżką. We wtorki na plac ten zjeżdżały się chłopskie furmanki, które przywoziły nabiał, drób, zboże. Chłopi sprzedawszy swoje towary, kupowali u Naftulki to, co potrzebowali z jej sklepu. W drugim domu mieszkała jakaś rzemieślnicza rodzina żydowska.

Za wymienionymi domkami, w poprzek do ulicy Nowe Miasto, stały jeszcze dwa kolejne małe budynki. W jednym mieściła się akcyza i mieszkał naczelnik Nowosielski z rodziną. Akcyzą nazywano podatek, płacony od kupowanych towarów. Płacili go, chyba, właściciele sklepów. Elżunia Nowosielska była moją koleżanką ze szkoły ludowej. Czasem zapraszała ona mnie do siebie, gdy zdobyła jakieś szmatki, resztki materiałów, na

⁸ Posesja ta dalej należy do rodziny Jabłońskich.

stroje dla lalek. Byłam, w tym względzie, pożądaną osobą, gdyż umiałam, wówczas, i bawić się i modnie ubierać lalki. Gdy skończyłyśmy czwartą klasę szkoły ludowej i wybierałyśmy się do gimnazjum, Elżunię wysłano do krewnych w Przemyślu i tam chodziła do szkoły średniej. Przyjaźń nasza rozwiązała się. W drugim domu mieszkał Żyd Nussbaum z rodziną, handlował zbożem i drzewem. Domy te, w II Rzeczypospolitej przestały istnieć. Na ich miejscu powstała narożna kamienica adwokata Kotuleckiego.

Przedstawiłam domy, które stały, w czasach mojego dzieciństwa, z prawej strony piaszczystego traktu, nazywanego ulicą Nowe Miasto i ich mieszkańców. Teraz przedstawię domy i niektórych ludzi z lewej strony ulicy nowe Miasto, również zaczynając od ulicy Sędziszowskiej.

Wspomniałam już, że na lewym rogu ul. Sędziszowskiej i Nowego Miasta znajdowały się dom i zabudowania Żyda Berka, sklepikarza. Dom miał blaszany dach i chłopcy - łobuzy dziwnie lubili rzucać w ten dach kamieniami⁹. Potem była łąka Leśniowskich. Dzisiaj ta łąka jeszcze jest. Prawym jej brzegiem szła ścieżka, początkowo równoległa do ulicy Nowe Miasto. Skraciała ona drogę do rzeźni miejskiej, stojącej w południowo-zachodniej stronie Nowego Miasta, w grupie domów, które nazwałam przysiółkiem tego miasta. Dzisiaj ścieżka ta nie istnieje. Następnie stał dosyć duży, oczywiście drewniany jak inne, dom nie mający podwórka ani ogródka. Mieszkał w nim Edward Boroński, szewc, z rodziną. Rodzina przybyła ze Lwowa. Michalina Borońska, żona Edwarda była akuszerką. On miał duży warsztat, ona zarabiała, w domu ich był prawie, że dobrobyt. Mieli pięcioro dzieci. Troje z nich, córki Maria i Natalia oraz syn Wacław, byli starsi ode mnie, zaś Elżbieta i Edward byli nieco młodsi. Staliśmy się gronem serdecznych przyjaciół. Borońscy chcieli kształcić wszystkie dzieci w szkołach średnich. I wykształcili. Córki ich i syn Wacław zostali nauczycielami. Razem z Wacławem poszedł do Gimnazjum w Łańcucie mój brat Roman. W parę lat później razem zgłosili się jako ochotnicy do Legionów Polskich. Wacław długo w nich nie był, mój brat był i zginął w nich, niestety. Starsi Borońscy wnet dorobili się i kupili dużą parcelę przy ulicy Pańskiej, obok Szkoły Żeńskiej, po czym wybudowali na niej porządny, okazały dom z gankiem. Dom na nowym Mieście sprzedali. Kupił go Michał Czochara, jakiś krewny mojego Ojca, pochodzący, tak jak i mój Ojciec, od Sokołowa, nazywanego dzisiaj Małopolskim. Nasza przyjaźń z Borońskimi trwała. Gdy w 1921 r. zostałam matką synka Janka, Wacław Boroński był jego chrzestnym ojcem¹⁰. Michał Czochara dostał pracę woźnego w starostwie. Służąc w wojsku austriackim był kucharzem, a w Kolbuszowej najmował się do przygotowywania uczt weselnych. Miał kilkoro dzieci, młodszych ode mnie.

⁹ Dzisiaj na miejscu domu Berka stoi murowany dom Winiarskich.

¹⁰ Wacław Boroński pracował w II Rzeczypospolitej na Kresach Wschodnich i zginął w 1940 r. w ZSRR, w ramach zbrodni, określonej wspólnym mianem Katynia. Dawny jego dom rodzinny przeszedł, przez małżeństwo panny Czochara w ręce Narowskich.

Za domem Borońskich - Czocharów znajdowała się posiadłość rodziny Turków i Biesiadeckich. Stary Turek był też przybyszem do Kolbuszowej i pewnie trudnił się masarstwem. Pewnie miał synów, ale dorósłszy, zdobyli oni inne domostwa, gdzie indziej. Parcela Turków była mała, miała kilka czy kilkanaście arów. Szczególnie wąska była przy ul. Nowe Miasto, potem, na lewo od niej, ku łące Leśniowskich, trochę się rozszerzała. Za mojej pamięci żyli na tej parceli - trzy siostry Turkówny, Maria, Ludwika i Katarzyna oraz Wojciech Biesiadecki, mąż Katarzyny i przychodziły na świat dzieci Katarzyny i Wojciecha Biesiadeckich. Początkowo wymienione osoby mieszkały w małym domku, stojącym przy ulicy, pozostałym po starych Turkach. Katarzyna Biesiadecka była Krawczynią i szyla odzież dla żydowskiej biedoty. Maria, starsza od Katarzyny, jeszcze w ostatnich latach XIX wieku wyszła za mąż za Franciszka Żelichowskiego i miała córkę. Mąż i to dziecko zmarli tragicznie. Maria była drobną kobietą, tak jak i jej siostra Ludwika. Gospodarowały one razem. Maria najczęściej posługiwała u Borońskich, gdy Borońska chodziła lub wyjeżdżała do pólógów, Ludwika zaś starała się o mięsne podroby i kości w rzeźni czy u znajomych masarzy i robiła z nich kiszki - kaszanki oraz studzieninę (galaretę), które sprzedawała w kramie na rynku i gdy ktoś przyszedł do niej do domu. Z początkiem XX wieku Wojciech Biesiadecki, nazywany "Kwaśnym", zburzył stary dom i zbudował, na jego miejscu, nowy. Ponieważ parcela była wąska, postawił dosyć duży dom, ale krótszym bokiem do ulicy. Wtedy Maria, nazywana Mańcią i Ludwika zapragnęły posiadać własny dom na stare lata, nie mieszkać u szwagra. Pracowały, składały grosz do grosza i skleciły sobie dwuizbowy domek w południowej części parcelki, liczącej chyba trzy ary ziemi, tuż przy łące Leśniowskich. Osoby te żyły bardzo cicho i pracowicie, a my, dziewczęta, biegałyśmy do nich po "sztrulki", kostki z nówek wieprzowych, które służyły do specjalnej gry, często wtedy uprawianej wśród dzieci¹¹.

Zaraz za domem Turków - Biesiadeckich stał przy ulicy Nowe Miasto, frontem do niej, dom wdowy Golińskiej i jej syna Ignacego. Dom był Dom był tradycyjny, mieszczański, z sienią na przestrzał i z dwoma izbami po obydwóch stronach sieni. Z sieni wchodziło się po drabinie przez odpowiedni otwór na strych. Zmarły mąż Golińskiej był szewcem, zaś syn pracował jako polowy na błoniu, czyli stróż tamtejszego terenu. Błonie, wielki obszar ziemi za miastem, od strony zachodniej, podarowała niegdyś, w XVIII wieku, kolbuszowskiej gminie miejskiej, księżna Lubomirska w celu wspomżenia biednych mieszczan. Część ziemi, z kraju, od drogi, użytkowana była jako pastwisko. To tutaj pasły się krowy, czasem i konie miesz-

¹¹ Domek Marii i Ludwiki Turek przejął, po ich zgonie, Marian Biesiadecki, jeden z synów Wojciecha i Katarzyny. Jego wnuk dobudował do niego połowę kamienicy. Dom zbudowany przez W. Biesiadeckiego kupiła w II Rzeczypospolitej Gizela Winiarska. Dzisiaj mieszka w nim jej przyrodnia siostra Janina Golisowa z córką.

czan, zbierane, także z Nowego Miasta, przez pastucha gminnego. Dalsza część ziemi podzielona była na kilkunastoarowe działki, nazywane stajaniem czy stajenkami i oddawane w dzierżawę, pod uprawę, starającym się o to mieszkańcom. Dzierżawić mogli tylko kolbuszowscy mieszkańcy z dziada pradziada, czyli "pniakom". Połowy, opłacany przez gminę, pilnował porządku na Błoniach, żeby nikt nie poniósł tam żadnej szkody. Był on dumny ze swojej funkcji, bardzo służbisty i mało otwarty dla ludzi, stąd jego przeciwnicy nazywali go "Chamynek", co tłumaczyli jako - więcej niż cham. Golińska chowała jedną krowę i kilka kur¹².

Za domem Golińskich stał duży dom, przedzielony sienią na dwie połowy. Musiał on powstać jako zamożny, mieszczkański dom, ale nie wiem czy on był. W moich, kolbuszowskich czasach mieszkały w nim dwie, biedne już siostry oraz syn jednej z nich ze swoją rodziną. Siostry były już w podeszłym wieku. Jedna nazywała się Golisowa. Miała dzieci w Ameryce, a utrzymywała się z wykonywanego ludzom prania. Druga, Marianna Burkowa, szyła tandetę, to znaczy brała od Żydów skrojoną bieliznę, zszywała przykrojone kawałki, wykańczała, przyszywała guziki i dostawała nędzną zapłatę od sztuki. Obydwie te kobiety nie umiały czytać i pisać i ja czytałam im listy, przychodzące od ich dzieci ze świata i pisałam na nie odpowiedzi. Na ostatnią niedzielę każdego miesiąca robiły one specjalne porządki w swojej izbie, gdyż w tę niedzielę odbywały się w niej - zmiany tajemnic Bractwa Różańcowego, żeńskiego. Schodziła się tutaj pewna ilość starych kobiet, pomodliły wspólnie i wymieniały, pomiędzy sobą, kartki z modlitwami. Otrzymałą modlitwę odmawiały codziennie wieczór przy pacierzu. Po zmianie tajemnic, w letniej porze, wylegały na ławki wynoszone przed dom i kończyły spotkanie zwyczajnym plotkowaniem na temat swoich bliźnich. Z drugiej strony domu mieszkał, w dwóch izbach, Bolesław Burek, syn Marianny, z rodziną. On nawet nie mieszkał, bo w opisywanym czasie pojechał do Lwowa w poszukiwaniu pracy. Znalazł pracę w tramwajach, chciał zabrać do siebie żonę i dzieci, ale młoda Burkowa nie bardzo chciała jechać. Ona zajmowała się także krawiectwem i utrzymywała, prawie że sama, czwórkę dzieci. Syn jej, Walerek, był moim rówieśnikiem i także lubił, tak jak i ja, uczyć się i czytać książki. Żartobliwie łączono nas w parę. Jednak Burkowa w końcu pojechała z dziećmi do Lwowa i moje koleżeństwo z Walerkiem skończyło się. Dzisiaj tego domu Golisów i Burków już nie ma. Pozostała po nim pusta parcela.

Za budynkiem przedstawionym wyżej, znajdował się, przy ulicy Nowe Miasto - mój rodzinny dom. Najpierw była to mała i stara chata, potem nowy, czteroizbowy dom, przykryty dachem z blachy, zbudowany w rekordowym tempie, w ciągu wakacji 1911 r. Za domem był spory kawałek podwórka i ogrodu. Z prawej jego strony, od ulicy, znajdował się również skrawek ogródka kwiatowego. W domu tym żyło nas przeważnie dziesięć-

12 Parcelę po Golińskich kupił p. Szafraniec, wnuk M. Biesiadeckiego.

cioro czy dziewięcioro osób, a najważniejszą z nich był oczywiście nasz Ojciec. On tylko pracował zarobkowo na utrzymanie rodziny, był jej głową, panem i dobrodziejem. Matka nasza pracowała w domu od świtu do zmroku, chowała nas, gotowała, prała, szyła ale jej pracy się nie liczyło. Liczył się tylko Ojciec, który utrzymywał nas ze swojej pensji i był bardzo pracowitym, dobrym, życiowo mądrym, światłym, czytany, otwartym dla wszystkich człowiekiem.

Czasem, przed różnymi świętami z siostrami wyczyściliśmy wszystkie buciki, jakie były w domu, co najmniej ze dwadzieścia par, a Ojciec, popatrzawszy na nie, mówił z frasunkiem "i to ja jeden muszę na to zarobić". Kochaliśmy go za to, staraliśmy się nie robić Mu kłopotów, przykrości, nawet hałasu, kiedy był w domu. Ale przecież, różnie to bywało. On pracował w biurze, poza domem, od godziny ósmej rano do godziny osiemnastej wieczorem. Przynosił ze sobą jeszcze coś do zrobienia, jakieś papiery, jakieś podliczania niekończących się, opętanych szeregów liczb, czy pisanie protokołów. W razie powiększenia się wydatków w domu, szukał dodatkowego zajęcia. Zapracowywał się dla nas do siódmego potu i miał ambicję, żeby wychować nas na porządnym ludzi. Mając piękne, kaligraficzne pismo, pełnił funkcje sekretarza w różnych instytucjach. Pracował także społecznie. Był członkiem Ochotniczej Straży Pożarnej. W razie jakiegoś pożaru ubierał się w jej mundur, wkładał kask, przypasywał pas z toporkiem, zabierał konia Janowi Jabłońskiemu, żeby ciągnął beczkowóz i szedł na wzywający go głos trąbki. Ojciec był członkiem Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół". Zachowało się jego zdjęcie w mundurze sokolim. Uczestniczył w pracach "sokołów". Należał do amatorskiego zespołu teatralnego przy "Sokole" i grywał w nim jakieś role.-Robił coś w komitetach rodzicielskich szkół, w których pobieraliśmy naukę. Kochał książki i gazety. Prenumerował gazetę "Ilustrowany Kurier Codzienny". Przynosił ją do domu listonosz Kuraś i Ojciec codziennie, wieczór, ją czytał. Pismo to posiadało, w sobotnim numerze, dobry dodatek literacko-kulturalny. Nasz Ojciec zbierał te dodatki, zszywał je, składał, jak i jakieś książki, do domowej biblioteczki. Kazał nam je czytać, ale pilnował, żebyśmy je nie poroznosili. Mówił nam o Polsce. Gdy w święta państwowe trzeba było dekorować okna portretem "miłościwie nam panującego Franca Józefa I" i oświecać portret świecami, Ojciec zawsze pilnował, żeby obok portretu stał krzyż Chrystusowy. Z książek kupił nam Ojciec sensacyjne wówczas powieści Rinaldo Rinaldini, Marietta, córka galernika i inne. Zaspokajały one nasz głód wiedzy, przygód, erotyki, estetyki. Co drugą niedzielę, po południu, po nieszpórach, odwiedzali Ojca koledzy, żeby pograć w karty i porozmawiać. Przychodzili: Andrzej Lisiak, mąż jednej z Dudzińskich z ul. Sędziszowskiej, Bazyl Borecki, Naja, Franciszek Brandt, Swoboda, urzędnicy, a gdy brakło gracza do kompletu, wzywano mnie. Grano w preferan-sa. Mama przygotowywała na to spotkanie herbatę i jakiś placek. Skrom-

nie, żeby nie nadwreźżyć domowego budżetu. Ojciec strzegł tego budżetu z ołówkiem w rękę. Nie wolno nam było zaciągać długów. Ojciec zawsze nam mówił, na co zostanie wydana przyniesiona przez Niego pensja. Uczył nas szanowania wszystkiego, co posiadaliśmy i cieszenia się tym.

Ojciec starał się, żeby dzieciństwo nasze było szczęśliwe. Regulował sprawy naszej nauki, pomocy dla domu i rozrywki. W zimie mieliśmy sanki, na letnie dni huśtawkę w ogrodzie. W gorące dni lata nalewał ojciec, przed pójściem do pracy, wody do blaszanej wanny, żeby ogrzała się w słońcu, a my mogli zażywać kąpieli. Mieliśmy w domu piłkę, gry, jak domino, warcaby, kręgle. Jednak od wiosny do jesieni, najlepsze były nasze zabawy na polu. Przed drugim domem za nami, domem Franciszka i Jana Markusiewiczów, naszych krewnych była porządna, betonowa studnia, a wokół niej znajdował się mały placyk. Placyk ten był ulubionym miejscem naszych, zwłaszcza wieczornych, zabaw. My, dziewczęta, bawiłyśmy się w ojca Wirgiliusza, w ciuciubabkę, w farby, w komórki do wynajęcia i w wiele innych. Chłopcy bawili się w "przerywane wojsko", biegali za fajerką lub jakimś kołem. Ich jednak, przede wszystkim, interesowali prawdziwi żołnierze, węgierscy huzarzy, którzy stacjonowali w kasarniach - koszarach, na folwarku Kłodniczkówka obok ulicy Sędziszowskiej. Byli to mężczyźni dobrani, dobrze odżywieni, pięknie odziani, pełni dobrego humoru. Chłopcy biegali oglądać ich. Ale grywali także w kiczki, w guziki, w palanta. Wieczorne zabawy przerywali rodzice, wołając nas do domu, do spania. Rozchodziliśmy się z żalem, żegnając do następnego dnia. W domach zaraz zasypialiśmy kamiennym snem¹³.

Dopełnieniem szczęścia mojego dzieciństwa było to, że na wiosnę 1911r. spełniło się moje marzenie i zostałam zapisana do kolbuszowskiego Gimnazjum. Nauka w nim odbywała się poza Nowym Miastem. W tym zaś wspomnieniu chcę pisać tylko o domach i ludziach z tego zaścianka czy przysiółka, z moich dziecinnych lat.

Za moim rodzinnym domem stała chata z małymi okienkami, przykryta słomianym dachem. Mieszkała w niej samotnie wdowa Budzyńska. Jej dzieci także wyjechały do Ameryki. Czasem napisały list, a ona była niepiśmienna. Czytałam jej więc przychodzące do niej listy i odpisywałam na nie. Pani Budzyńska nie żyła długo. Gdy zmarła ktoś zburzył jej dom a drzewo z niego rozprzedał na opał. Miejsce po tym domku długo było puste. Dopiero po II wojnie światowej powstał tu jakiś budynek.

Potem był dom Franciszka Markusiewicza, a właściwie już jego syna Jana. Był nieduży, ale dobrze utrzymany. Dzieci i Franciszka i Jana, którzy pewnie byli szewcami, powyjeżdżały do Ameryki. W Kolbuszowej pozostała jedna córka Jana, niewiele ode mnie starsza, która później wyszła

13 Z. Rechul- Bytnar i całe jej rodzeństwo wyjechali z Kolbuszowej. Józefa z Markusiewiczów Bytnarowa zmarła w Kolbuszowej, Józef Rechul zmarł, w Polsce Ludowej, u córki Marii w Dębicy. Dom ich kupiła rodzina Sidorów.

za mąż za Stanisława Dudzińskiego, fryzjera i mieszkała na ul. Sędzi-szowskiej. Jeden z jej braci powrócił, w odrodzonej Polsce do kraju, ale zamieszkał w Bydgoszczy, gdzie otworzył duży sklep z konfekcją damską i męską. Sklep szedł dobrze i syn pomagał ojcu. Jan Markusiewicz był poważnym, pełnym godności obywatelem, z sumiastym wąsem, zapalonym strażakiem. Przed jego domem była studnia, przy której bawiliśmy się. Za domem Markusiewiczów i stojącym naprzeciw niego, z drugiej, północno-zachodniej części ulicy Nowe Miasto, ulica ta półkoleście zakreślała w prawo. Natomiast *zaraz za* płotem tego domu była piaszczysta droga, która wiodła do rzeźni miejskiej i grupy domów, które na początku wspomnienia nazwałam - przysiółkiem. Domy tam przeważnie były bez ogródków, ukryte pośród olbrzymich drzew starych akacji. Ziemia tam była żółto-popielato-piaszczysta, gdzieś tam porośnięta ubogą trawą. Mieszkańcy chowali tam kozy.

Zaraz za płotem posesji Markusiewiczów, od jej strony wschodniej znajdowała się dosyć duża parcela, a na niej stary już dom Michała Winiarskiego i jego żony. Michał był również masarzem i kupcem nierogaczyn, a więc zamożnym człowiekiem, w czasach mojego dzieciństwa już nie młodym. Miał czworo dzieci, ale w omawianym czasie każde z nich było już na swoim chlebie. Nie wiem, które z dzieci były starsze, córki czy synowie, ale wiem, że starszy syn Marian Antoni urodził się w 1880 r. i w czasie mojego dzieciństwa był już nauczycielem w kolbuszowskiej Szkole Męskiej. Był nauczycielem bardzo szanowanym, surowym, wymagającym. Mieszkał on wtedy w tym samym nowomiejskim przysiółku, w drugim domu od domu rodzicielskiego. Miał dwie siostry. Jedną z nich, Albina, była wydana za Antoniego Nowickiego, kowala, zamieszkałego na skraju wsi Kolbuszowa Górna. Konstancja Nowicka, za mężem Francowa Jabłońska, o której już wcześniej wspominałam, była siostrą tego Antoniego. Jednym z dzieci Antoniego i Albiny Nowickich była Leontyna, Lola Nowicka, wnuczka Michałostwa Winiarskich, moja koleżanka szkolna.

Nie wiem z jakiego domu pochodziła Michałowa Winiarska, ale była to godna, poważna kobieta, bardzo szanowana. Mąż jej też był szanowany. Mieli pole, chowali krowy. Gdy potrzebowali pracowników w pole, do suszenia siana, żniw czy kopania ziemniaków, ona wychodziła na ulicę i głośno to oznajmiała. Zaraz usłyszeli to sąsiedzi, przyszli w pole Winiarskich i zrobili co było potrzeba. Obydwaj synowie Michałostwa nie mieli dzieci. Miały je córki. I te wnuki Winiarskich przychodziły do nich, zwłaszcza wnuczki, wracając ze Szkoły Żeńskiej. Ja chodziłam do nich z Lola. Babcia Loli hojnie karmiła nas jajecznicą, wędliną, ciastem, a na obiad smażonymi kurczętami. Dla mnie to była uczta, bo w domu jedliśmy skromnie. Jaką smutną było sprawą, gdy tacy wspaniali ludzie wymierali, jak inni¹⁴.

14 Dzisiaj posesja po Michale i jego synu Wiktorze Winiarskich należy do Matuchów.

Zaraz na prawo, za domem Michałostwa Winiarskich, za jego płotem, stał mały, dwuizbowy domek wdowy Anny Żelichowskiej i jej córki Marii, za mężem Widuchowskiej. Stał w cieniu olbrzymiej akacji. Mąż A. Żelichowskiej pracował na folwarku Tyszkiewiczów, ale młodo zmarł, zostawiając już dwojgiem dzieci, z synem Franciszkiem i córką Marią. Franciszek ożenił się ze wspomnianą Marią Turkówną i też, bardzo młodo zmarł. Anna Żelichowska zarabiała na utrzymanie siebie i dzieci, sprzedając na rynku, na wiosnę nasiona, później owoce. Jakoś uzbierała trochę pieniędzy i wybudowała sobie omawiany domek, pokryty gontowym dachem. Jej córka Maria jeszcze jako dziecko poszła do Żyda nauczyć się krawiectwa. Została specjalistką od szycia męskich koszul. Szyla też ładnie i sukienki. W siedemnastym roku życia wyszła za mąż za Jana Widuchowskiego, kolbuszowianina. Pierwsze ich dziecko, córka Wilhelmina, była niewiele młodsza ode mnie. Drugim dzieckiem był chłopiec. Widuchowski wkrótce pojechał za pracą do Ameryki. Widuchowska, osoba wysoka, przystojna, czarnowłosa, dbała o przyzwoity wygląd siebie, dzieci i domu. Brała za szycie tanio, a robiła modne kreacje. Zwracało się do niej, w sprawie szycia, dużo Żydówek. Ona była bardzo pobożna i honorowa. Miała silny i bardzo ładny głos. Gdy śpiewała w kościele, słyhać ją było w całej świątyni¹⁵.

Za domem Żelichowskiej szła dróżka do jednego domu, stojącego bardziej na południe. Mieszkała w nim rodzina Szkurów. Szkura był urzędnikiem i swoje dzieci, nieco starsze ode mnie, kształcił poza Kolbuszową. Córki zostały nauczycielkami. Za dróżką, obok domu Żelichowskiej, stał dom rodziny Jabłońskich, nazywanych "Dziadziśiami". Ojciec i synowie w tej rodzinie byli szewcami, ale stugębna plotka głosiła, że nie prowadzą się porządnie, pili wódkę i grali hazardowo w karty. Dziewczęta wcześniej wysłano na służbę. Dom dwustronny, czteroizbowy, z sienią pośrodku. Sień miała, jak zawsze wówczas, drzwi z jednego i drugiego końca. W jednej z izb z południowej strony domu wynajmowała sobie mieszkanie Julia Czyżewska, biedna, samotna osoba, nazywana "Dyćkówną", która utrzymywała się, podobnie jak wspomniana wyżej Ludwika Turkówną, z wyrobu i sprzedaży kiszek - kaszanek i studzieniny. Za domem tych Jabłońskich znajdowała się rzeźnia miejska.

Rzeźnia miejska była długim budynkiem, ogrodzona wysokim parkanem z desek. Miała dwie hale rzeźne i mieszkanie dla stróża. W jednej hali zabijano zwierzęta dla kolbuszowian - katolików, w drugiej, koszernej, rytualnej, zabijano krowy czy woły dla Żydów. Stała również jakaś obora dla chwilowego przechowania zwierząt, przeznaczonych na ubój. Ścieki z ubojni niby spływały do szamb, ale ciągle przelewały się przez nie i spływały ku łąkom, powodując nieprzyjemny fetor, zwłaszcza w lecie¹⁶.

¹⁵ Dzisiaj na miejscu tym stoi wspaniała kamienica Rzepków.

¹⁶ Władze miejskie zlikwidowały rzeźnię na Nowym Mieście w początkach II Rzeczypospolitej, a zbudowały nowy jej budynek przy ul. Sedziszowskiej, za drogą na stadion sportowy. W Polsce Ludowej i tę rzeźnię zlikwidowano. Zwierzęta przeznaczone na spożycie kolbuszowian zabija się w Dębicy.

Za rzeźnią stał jeszcze, przy drodze, mały domek starej panny, noszącej nazwisko - Wojewoda. Miała ona mały płachetek pola, który uprawiała i chowała kozy. Biedne, żydowskie dzieci z miasta, chore na gruźlicę, przychodziły do niej i piły kozie mleko, świeżo udojone, gdyż uważano je za lecznicze.

Drogę przez przysiółek Nowe Miasto zamykał domek Piotra Zielińskiego, stojący w poprzek do drogi, w kierunku południowo-zachodnim. Zieliński - ośmielił się przyjść do miasta, kupił tu, z pewnością, kawałek pola, wybudował się na nim, na reszcie gospodarował, chowając krowę, czy nawet dwie. Później z córką jego ożenił się Henryk Niezabitowski, szewc. Dzisiaj Niezabitowscy dalej mieszkają w tym miejscu.

Za domem P. Zielińskiego znowu stały trzy czy cztery domy, frontem do piaszczystej drogi, z prawej jej strony, przeciwległej do tej, po której stała rzeźnia. Ciągnęły się one w kierunku ulicy Nowe Miasto. Najpierw był mały, stary domek pod gontowym dachem, biało pobielony, należący do rodziny Koczoniów, nazywanych "Tobiaszami". Miał sień i z lewej strony izbę, a z prawej komorę. Gliniana polepa w sieni, zamiast podłogi, znajdowała się nisko i próg domu leżał wysoko. Drzwi były niewielkie, jedno skrzydłowe, zamykane na skobel tak, jak to bywało we wszystkich starych domach. Domek otaczały wysokie akacje. Mężczyźni w nim znowu byli szwecami, kobiety pasły krowę i kozy, robiły w polu. Jedna z dziewcząt, młodsza ode mnie, nazywana "Czarną Helą, została w późniejszym czasie krawczynią. Z domu tego dochodziły odgłosy kłótni, przekleństw i ludzie ci byli dla nas nieciekawi¹⁷. Nie pamiętam, czy obok "Tobiaszów" był już wtedy dom Biesiadeckich, w którym na początku II Rzeczypospolitej ożenił się Stanisław Winiarski, szewc. Dzisiaj ten dom należy do córki Stanisława i jej potomków. Nieco dalej stał dosyć duży i okazały na owe czasy dom drewniany, pokryty chyba blachą, w którym mieszkał wspomniany już wcześniej Marian Antoni Winiarski, syn Michała, z żoną Anną. Popularnie nazywano go "Antosiem". Był on, w okresie mojego dzieciństwa, bardzo ambitnym i młodym nauczycielem Szkoły Męskiej i działaczem społecznym. Działał w Towarzystwie Szkoły Ludowej (TSL), w Towarzystwie Gimnastycznym "Sokół", w Towarzystwie Mieszczańskim "Przyjaźń", współreżyserował przedstawienia i wygłaszał prelekcje w czasie uroczystości państwowych czy patriotycznych. Żona jego była, podobno, naturalną córką Zdzisława hr. Tyszkiewicza i dostała spory posag. Modnie, gustownie się ubierała i odgrywała rolę wytwornej damy. W stosunku do otoczenia była miła i uprzejma.

Małżonkowie "Antosiewie" Winiarscy nie mieli dzieci. Zapraszali więc do siebie siostrzenice pani "Antosiewej", dziewczynki Przywarówny z Kolbuszowej Dolnej. Najczęściej bywała u nich urodziwa Janina, która poszła

17 Dzisiaj na miejscu domku Koczoniów stoi wielka kamienica pp. Ziębów. Zajęła ona także część drogi publicznej.

do gimnazjum, a potem, już w II Rzeczypospolitej, wyszła za mąż za pana Darłaka, kolegę "Antosia", urzędnika wyższej rangi. Ja chodziłam do omawianego domu z Lola Nowicką bawić się. Miałam respekt przed gospodarzem, jako nauczycielem i podziwiałam dom, na owe czasy dobrze urządzony. Miał on salon z miękkimi mebelkami, pokój gościnny, kuchnię, jadalnię, sypialnię. "Antoś" przygotowywał dziewczęta do Seminarium Nauczycielskiego, ale wcześniej, w sierpniu 1914 roku, współdziałał w werbowaniu ochotników do Legionów i odwiózł ich do Lwowa. Był wśród nich mój brat Roman. Do seminarium zaś, za mojej pamięci, przygotował -Marię i Gienię Jabłońskie, Elżbietę Borońską, Jankę i Józię Siekierskie i Lolę Nowicką¹⁸.

Obok domu "Antosia" Winiarskiego była posesja Michała Saramy i jego rodziny. Przy domu Winiarskiego rozciągał się i do dzisiaj rozciąga się ogród posesji Saramów. Dom Saramów stał i stoi nadal w północnej jej części, na rogu piaszczystej drogi, która prowadziła do rzeźni i ulicy Nowe Miasto. Dom dosyć duży, czteroizbowy stał frontem do ul. Nowe Miasto. Od tyłu miał dobudowane, z lewego boku, dwie izby, znajdujące się obok siebie, wzdłuż. W domu Saramów mężczyźni znowu byli szewcami, a córki, starsze ode mnie, szyły tandetę. W dwóch dobudowanych izdebkach mieszkały jakieś dwie kobiety, ale nie pamiętam, jak one się nazywały i z czego żyły. Żyły biednie, jak inni¹⁹.

Za domem Saramów były zabudowania gospodarstwa Stanisława Dudzińskiego, nazywanego "Kulawym", bo miał kulawą nogę, albo "Woźniakiem". Zdaje się, że przed Stanisławem mieszkał w tym miejscu człowiek o nazwisku Woźniak. Stanisław był szewcem i miał trochę ziemi, którą uprawiał. Miał dwa domy. Jeden, w którym mieszkał stał i do dzisiaj stoi w pewnym oddaleniu od ul. Nowe Miasto, w głębi podwórzy, za domem Saramów. Teraz dom ten ma ze dwieście, albo i więcej lat. Osobliwością jego było to (i jest dalej), że obora dla dwóch czy trzech krów mieściła się pod jednym dachem z izbami mieszkalnymi ludzi. W domu tym coś dzieci zmarło, chociaż biedy nie miały, a czterech żyjących chłopców było w wieku mojego starszego i młodszego rodzeństwa. Drugi dom Stanisława stał przy ul. Nowe Miasto, bokiem do domu Saramów. Wynajmowano go lokatorom za miesięczny czynsz. Był on nowszy i lepiej wyposażony. Za mojego dzieciństwa wynajmowali go Jan Grabowski i Siekierski, pracownicy Urzędu Skarbowego. Stanisław Dudziński zmarł w początkach I wojny światowej, a wdowa po nim męczyła się gospodarstwem i nauczaniem trzech młodszych synów ojcowskiego rzemiosła. Kazimierz Józef, najstarszy syn,

18 Marian Antoni Winiarski wyjechał, w II Rzeczypospolitej do Brześcia nad Bugiem, gdzie pracował w Kuratorium Oświaty. Dom na Nowym Mieście sprzedał. Kupił go Żyd Ollbaum (czyt. Elbaum), właściciel mydlami. Dzisiaj w domu tym, przerobionym mieszkają Gindowie.

19 Dzisiaj mieszka w tym domu Saramówna za mężem Chechelska z rodziną.

był już w czasie tej wojny żołnierzem, najpierw austriackim, potem polskim. Został podoficerem²⁰.

Za nowszym domem Dudzińskich stała dosyć duża drewniana willa, otoczona ogrodem, dobrze zagrodzona, z zawsze zamkniętą furtką. Nie było w niej moich rówieśników i moja osoba dostępu do niej nie miała. Pewnie mieszkali w niej Żydzi. Bo willa stała już prawie na rogu Nowego Miasta i ulicy Pańskiej. Na samym rogu był jeszcze jeden dom żydowski, niezbyt duży. Jego właściciel prowadził warsztat szewski.

Na zakończenie moich dziecinnych wspomnień z Nowego Miasta w Kolbuszowej, chcę wspomnieć o kolbuszowianach - Żydach. Dzisiaj nie chce mi się wierzyć, że nie ma ich tam, ani na lekarstwo. W dawnych czasach stanowili połowę mieszkańców miasta i byli bardzo inni od nas. Żyli w swoich domach, jak w zamkniętych twierdzach, niechętnie odnosząc się do gojów, czyli do obcych. Prawdą jest, że różni niepoważni, czy nawet nieuczciwi Polacy ich nie szanowali, nie uważali za przestępstwo wyrządzenie im szkody, przykrości. Tak było od wieków, a w Kolbuszowej, rozbestwieni chłopci dokonali, w dniu 6 maja 1919 r., wielkiego pogromu tej nacji, zabijając kilku czy kilkunastu z nich i rabując ich sklepy. Stąd Żydzi byli nieufni i niechętnie wpuszczali goja za próg swojego mieszkania. Musieli ich wpuszczać do sklepów, bo żyli głównie z prowadzenia handlu. Domy żydowskie znajdowały się zwarcie w rynku i w ulicach otaczających rynek, gdzie indziej zaś, w innych ulicach, były porozrzucane wśród domów katolickich i katolicy mogli obserwować ich życie codzienne. Także świąteczne. Ja też, zawsze, ciekawie im się przyglądałam. Mężczyźni żydowscy na co dzień jeździli za towarem, a w domach i sklepach pracowały Żydówki. Sklepy miały połączenie z domem mieszkalnym oraz dzwonki nad drzwiami. Żydówki przebywały w domu, wykonując czynności gospodarskie, gdy dzwonek, poruszony otwieranymi drzwiami, zadzwonił, wychodziły, z domu do sklepu i obsługiwały klienta. Był to najtańszy, najbardziej ekonomiczny handel na świecie. Żydówki były cichymi, skromnymi kobietami, oddanymi rodzime. Gdy brały ślub, obcinano jej włosy i robiono z nich perukę. Potem prawowierna Żydówka również miała mieć ogoloną głowę. Na co dzień nosiła chustkę, na święto zakładała perukę. Mężczyźni nosili chałaty, długie czarne suknie, na głowie zaś najpierw mieli małe, okrągłe czapeczki, nazywane jarmułkami a z niemiecka - myckami, na nich zaś czarne kapelusze. W zimie ubierali się w czarne, długie płaszcze. Na nogi najczęściej zakładali półbuty i dziwne, białe pończochy. Byli, przeważnie, śniadej cery, pociągli na twarzach. Starsi nosili długie, wcześnie siwiejące brody. Jadali dużo cebuli i czosnku i zalatywały od nich zapachy tych warzyw. U biednych Żydów, a tych było najwięcej, pościel była źle

20 Starszy dom S. Dudzińskiego stoi do dzisiaj. Mieszka w nim jego syn Mieczysław z rodziną. Młodszy dom, który stał przy ulicy, spalił się w dniu 9.IX. 1939 r. Spaliły się też wtedy domy, które stały poza nim na Nowym Mieście i domy przy ul. Pańskiej.

utrzymana, i pierze przedostawało się im we włosy. Mężczyznom zwisały znad uszu skręcone loki, nazywane pejsami. Święte religijne księgi żydowskie pisane były w języku hebrajskim i tego języka uczono małych Żydów w szkole, czy raczej w przedszkolu, nazywanym hederem, a popularnie -hajderem. Na co dzień, w Polsce, a chyba i w całej Europie, Żydzi mówili językiem jidisz, będącym gwarową, zniekształconą niemczyzną. Mężczyźni żydowscy, często spotykający się małymi grupkami, czarno ubrani, z brodami, pejsami, szwargocący niezrozumiałym językiem, stanowili postrach dla dzieci katolickich i może dlatego rodziła się w tych dzieciach chęć dokuczenia im. Trzeba także zaznaczyć, że wszyscy Żydzi bardzo przekrećali, kaleczyli język polski, gdy nim mówili. Dlatego nie szanowano ich, naśmiewano się z nich, nazywano kacapami, parchami.

Dniem żydowskiego święta, nazywanego popularnie szabasem (a właściwie szabatem) była sobota. Święto zaczynało się w piątek, po zachodzie słońca. Na święto to z pietyzmem się przygotowywali. W piątek wieczór musieli mieć rybę na słodko, z cebulą i rodzynekami i słodką bułkę, chałę, a w sobotę na obiad rosół z kury. Czasem wypili po kieliszku "pejsachówki", najczęściej lekkiej śliwownicy. Szabas zaczynali głośnym uderzeniem w modły. Mężczyźni zakrywali przy tym głowy szalami o białych i czarnych pasach. Oni też szli w sobotę do bożnicy, ich świątyni. Żydówki szły do bożnicy dwa czy trzy razy do roku. Robiły to w jesieni, na Sądny Dzień. Na szabas zakładały na głowę i szyję biżuterię, różne diademy, łańcuchy. W przekłute uszy wkładały ciężkie, kosztowne kolczyki. Na głowę zakładały czarne, koronkowe, przetykane srebrem szale. Żyd nie wziął w święto pieniędzy do ręki, a wiele Żydówek nie wzięło, w sobotę, nawet zapałki do ręki. Mały Żydek w ósmym dniu życia był obrzezany, w piątym roku życia chodził do chederu, potem szedł do polskiej szkoły. Skończywszy osiemnaście lat mógł się żenić, czy nawet miał już obowiązek się żenić. Małżeństwa były u Żydów swatane przez specjalnych, opłacanych swatów. Przeważnie były one traktowane jako interes rodzinny. Ślubu na ogół udzielał rabin, będący jak gdyby żydowskim kapłanem. Młodzi stawali pod baldachimem, najczęściej na wolnym powietrzu, na podwórzu, czy w ogrodzie. Ponieważ żydowskie ogródki bywały małe, nieraz baldachim stawał obok śmietnika czy nawet gnojowiska, które bywały przy każdym domu. Młodzi przyrzekali sobie wspólne życie. Ważnym aktem było stłuczenie przez nich szklanych kieliszków. Potem odbywało się przyjęcie i tańce. Tańce miały charakter korowodów w kole, z różnymi zwrotami i wysuwaniem rąk i nóg. Rodzice zakładali młodemu małżeństwu jakiś interes i - mieli żyć.

Większość Żydów w Kolbuszowej w czasach mojego dzieciństwa była biedna, ale i tutaj trafiali się bogaci Żydzi, mający hurtownie towarów, dzierżawiący monopole, czyli prawo sprzedawania spirytusu czy tytoniu. W dużych miastach było więcej takich bogaczy. Byli oni już w Rzeszowie, którego Polacy żartobliwie nazywali Mojżeszowem. Niektórym katolikom podobały się Żydówki i trafiało się, że katolik ożenił się z Żydówką, która

brała chrzest. Odwrotnie chyba nigdy się nie zdarzyło. Matki Żydówek wychodzących za mąż za katolików bardzo ciężko to przeżywały. W Kolbuszowej zdarzyło się, że śliczna Miriam, córka Żydówki, posiadającej centralną trafikę (hurtownię tytoniową) w mieście, miała romans z kolbuszowianinem, przyjęła wiarę katolicką i wzięła z nim ślub. Matka Miriam nie mogła tego przeżyć i utopiła się w studni.

Takie to były różne wydarzenia w Kolbuszowej i na jej Nowym Mieście w okresie mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Szczęśliwe to dzieciństwo przerwał wybuch I wojny światowej, który nastąpił z początkiem sierpnia 1914 r. W parę dni później były organizowane, w Krakowie i we Lwowie, Legiony Polskie, mające walczyć o odbudowanie państwa polskiego. Mój brat Roman udał się do nich, razem z innymi kolbuszowianami. W miesiąc później zbliżały się do nas wojska rosyjskie, Moskale. Propaganda austriacka głosiła, że są to bardzo okrutni ludzie i urzędnicy oraz zamożne osoby uciekały przed nimi na Podkarpacie czy dalej, do Austrii. Jan Jabłoński uciekł z rodziną. Moja rodzina nie uciekała. Widziałam przybyłych Moskali. Sotnie kozackie pędzące na koniach po naszych ulicach. Po jakimś czasie odeszli i znowu przyszli na kilka miesięcy. Już za pierwszym pobytem rozbili spichlerz Jana Jabłońskiego, brali z niego sadła i słoninę i gotowali, tak że na Nowym Mieście brakowało, po domach - garnków. Za drugim ich pobytem zaczęły się - głód i choroby zakaźne. Później powrócili Austriacy. Jeszcze później dowiedzieliśmy się o śmierci naszego Romka w Legionach. W domu zagościł smutek. Potem powstała - Polska. A ja -przestałam być dzieckiem.

Pierwsze lata Prywatnego Gimnazjum w Kolbuszowej /1911 - 1916/

W XX wieku rozpoczęła się w świecie wielka rewolucja naukowo-techniczna. Postępował rozwój nauki i techniki i upowszechnianie ich wśród ludzi. Zamożne czy zamożniejsze osoby pragnęły kształcić swoje dzieci w szkołach średnich i wyższych. Tendencje te przyszyły i do Kolbuszowej, małego, ale powiatowego, galicyjskiego miasta, ukrytego pomiędzy lasami, do którego można się było dostać tylko konnymi furmankami. Dzieci zamożniejszych osób, urzędników, bogatszych mieszczan i chłopów były, wtedy, posyłane na naukę do gimnazjów albo seminariów nauczycielskich w Krakowie, Dębicy, Rzeszowie, Łańcucie, a od 1905 r. i w Mielcu. Było to jednak uciążliwe dla rodziców pod względem materialnym i napawało ich troską o dzieci, oddane z domu w obce środowisko, o ich zdrowie moralne. Rewolucja naukowa postępowała i sprawiła, że w 1910 r. kolbuszowscy inteligenści postanowili utworzyć i w Kolbuszowej własną szkołę średnią, prywatne, klasyczne, ośmioklasowe, jak wtedy obowiązywało, Gimnazjum. Na czele tych inteligentów stanęli: Henryk Welfe, inspektor szkolny i ks. Jan Markiewicz, miejscowy dziekan i proboszcz. Gimnazjum w Kolbuszowej musiało być prywatne, czyli utrzymywane z miesięcznych opłat, uiszczanych

przez rodziców uczniów za ich naukę. Nauka w prywatnej szkole była droga, jednak i tak bardziej się opłacało, niż posyłanie dzieci do wyżej wymienionych miast, gdzie były prawie że bezpłatne szkoły rządowe. Do ośmioklasowego gimnazjum szedł uczeń po czwartej klasie szkoły ludowej.

W 1910 r. w Kolbuszowej grono inteligentów powołało do życia Towarzystwo Szkoły Gimnazjalnej Męskiej, które starało się u władz krajowych we Lwowie o pozwolenie na otwarcie, w ich mieście, z dniem 1 września 1911 r. Prywatnego Gimnazjum. Towarzystwo dostało, z początkiem 1911 r., pozwolenie na otwarcie, z dniem 1.IX. pierwszej klasy gimnazjalnej i ogłosiło do niej wpisy. Mówił o tym ksiądz na ambonie i ogłaszały to afisze. Towarzystwo nie miało jednak lokalu i wykwalifikowanych nauczycieli. Nauka jednak rozpoczęła się 1.IX., po południu, w jednej z klas Szkoły Męskiej. Przystąpiło do niej kilkudziesięciu chłopców i - jedenaście przyjętych, jednak dziewcząt. Ja byłam jedną z nich.

Z nauczaniem dziecka w szkole średniej, w gimnazjum, wchodził wtedy do jego domu, razem z językiem łacińskim i greckim, nowy, wielki świat. Wchodziła kultura. Ja odczułam to we wczesnym dzieciństwie, gdy Rodzice posłali mojego brata Romana na naukę w Gimnazjum w Łańcucie. Poszły się uczyć, na nauczycielki, moje starsze koleżanki: Maria Jabłońska i Janina Siekierska. Ja wtedy także postanowiłam, że zostanę nauczycielką i na dowód tego nosiłam zawsze, przy sobie, podręcznik brata Romka, z języka łacińskiego z I klasy gimnazjalnej. Ale nasza rodzina żyła z jednej tylko, niewysokiej urzędniczej pensji Ojca i Rodzice nie myśleli o kształceniu innego dziecka, poza pierworodnym synem Romanem. Myśleli o budowie nowego domu w miejsce posiadanego, starego, małego i ciasnego. Ja pokrzyżowałam im szyki w jedenastym roku mojego życia. Zapisalam się do nowo otwieranego, kolbuszowskiego Gimnazjum.

Na wiosnę 1911 r. Ojciec nasz przystąpił do burzenia starego domu i budowania nowego. Poprosił sąsiadów o przyjęcie do siebie, na czas budowy, nas, starszych jego dzieci. Mnie wzięli do siebie bezdzietni - Wiktor Winiarski, masarz, z żoną Wiktorią z Dudzińskich. Powiedziałam im o swoim pragnieniu uczenia się w gimnazjum i oni starali się mi pomóc. Dali mi łaskawie - pięć koron, potrzebne na opłacenie wpisowego i obiecali wspierać w dalszej nauce. Bez wiedzy rodziców zapisałam się do pierwszej klasy gimnazjalnej, złożyłam pomyślnie, egzamin i zostałam do niej przyjęta. Gdy uradowana, powiedziałam o tym rodzicom, wybuchła burza. Ja lałam rzęsiste łzy - i zostałam w nowej szkole. A zapisałam się do niej i składałam egzamin z Gienia Jabłońska, moją sąsiadką, rówieśnicą i najserdeczniejszą przyjaciółką.

W roku szkolnym 1911-1912, pierwszym roku istnienia kolbuszowskiego Gimnazjum, nauka odbywała się, jak już wspomniałam, po południu w sali Szkoły Męskiej, koło kościoła. Kierownikiem naszym był pan Michał Mróz, kierownik Szkoły Męskiej, a uczyli nas jej nauczyciele, z panem

"Antosiem" Winiarskim na czele. W jesieni i zimie klasa była wyziębiona po rannym paleniu i nie zamieciona po dopołudniowych zajęciach. Posiadała czarną tablicę, nad nią krzyż i portret cesarza Franciszka Józefa, stół na podium, zwany stopniami, dla nauczyciela i ławki. Ławki dla uczniów długie, cztero- czy pięcioosobowe, stare, wysłużone. Spotkałyśmy się w nich, po raz pierwszy w szkole, z chłopcami. Oprócz mnie i Gieni Jabłońskiej z dziewcząt w klasie były: Jadwiga Augustynowicz, Janina Biedów-na, Maria Bielecka, Anna Gawęcka, Maria Januszewska, Maria Kaczor, Emilia Łuczyńska, Maria Rozmus i Fanny Sontag. Chłopcy byli od nas, przeważnie, rok, dwa, czy trzy lata starsi. Jednym z nich był Leopold Markusiewicz, mój kuzyn, drugim - Władysław Niezgoda, mój późniejszy szwagier. Mieliśmy trochę podręczników, mapy monarchii austriackiej i mapy Europy. Nauczanie było, właściwie, kursem przygotowawczym do drugiej klasy gimnazjalnej. Religii uczył nas ks. Józef Chrzaszcz, a kilku przedmiotów Stanisław Przybyło, wtedy już mąż Marii Borońskiej.

Na rok szkolny 1912-1913, drugi rok naszej gimnazjalnej nauki Zarząd Towarzystwa wynajął dla Gimnazjum, mającego już dwie klasy, pierwszą i drugą, osobny budynek szkolny, porządny dom Marcina Osiniaka, stojący na skraju Kolbuszowej Dolnej i uzyskał dyrektora i dwóch profesorów dla szkoły. Budynek stał prawie naprzeciw początku drogi do Weryni. Dyrektorem szkoły został Franciszek Sołtysik, a profesorami - Marian Bielawka, kolbuszowianin i Henryk Moese, przybysz, jak i F. Sołtysik. Koło budynku znajdowało się spore podwórze - łąka, ciągnące się do rzeki Nil. W roku szkolnym 1913-1914, gdy byłam już w trzeciej klasie, przybył prof. Polcyn. Jednak nadużywał on alkoholu i wkrótce musiał opuścić nasze progi. Był też prof. Dubanik.

Ja bardzo lubiłam się uczyć i każdy dzień, spędzony w murach szkolnych i potem, w domu, przy książkach, sprawiał mi olbrzymią radość. Ale wnet, bo w sierpniu 1914 r. wybuchła pierwsza wojna światowa i zdeorganizowała całe nasze życie. Władze austriackie zabierały mężczyzn do wojska. Niedługo, bo we wrześniu, ludzie uciekali w popłochu na południe przed inwazją Rosjan. Rosjanie przyszli i byli przez kilka miesięcy. Zabierali żywność i inne rzeczy. Drzwi, okna wielu domów i sprzęty z nich rąbali na opał w jesieni i zimie.

W roku szkolnym 1914-1915 w naszym Gimnazjum nie było nauki. Panowały marazm i smutek. Przyszła wiadomość, że prof. Aleksander Dubanik zginął w działaniach wojennych. Wcześniej, bo jeszcze w sierpniu 1914 r. kilku naszych kolegów -gimnazjalistów zgłosiło się ochotniczo do Legionów Polskich, mających walczyć o wolną Polskę. Mój brat Roman także się zgłosił i już nie wrócił.

Na wiosnę 1915 r. Rosjanie odeszli. Powróciły władze austriackie i galicyjskie. We wrześniu tego roku szkoły zaczęły u nas pracować. Moja czwarta klasa gimnazjalna była nieliczna. Brakło kilku chłopców. Przybyli,

nowy dyrektor dr Tadeusz Mendrys i prof. Michał Wołowicz, bardzo przystojny człowiek, utalentowany wykładowca geografii. Ale w 1916 r., na początku drugiego półrocza, została zachwiana organizacja naszej szkoły. Władze szkolne we Lwowie nie przyznały jej, z niewiadomego bliżej powodu - prawa publiczności. Dzięki temu prawu Gimnazjum mogło wydawać świadectwa, dowody ukończenia roku szkolnego. Nie mając prawa publiczności, nie mogło wydać takich świadectw. Władze szkolne wskazały, jako wyjście z zaistniałej sytuacji, możliwość ukończenia przez nas tego roku szkolnego i zdawanie egzaminu sprawdzającego z przepracowanego materiału w gimnazjum państwowym w którymś z pobliskich miast.

Gimnazjum w Kolbuszowej liczyło wtedy czterdziestu uczniów w czterech klasach. Ja byłam w czwartej, najstarszej wówczas klasie. Żeby dać nam możliwość ukończenia naszych klas, *zarząd* Towarzystwa Szkoły gimnazjalnej i Dyrekcja naszej szkoły zwrócili się, z prośbą o przeegzaminowanie nas, do Dyrekcji Gimnazjum Państwowego w Mielcu. Dyrekcja ta wyraziła zgodę. Na wiosnę 1916 r., przy końcu roku szkolnego zostaliśmy zawiezieni na furmankach do Mielca, gdzie byliśmy egzaminowani pisemnie i ustnie z każdego przedmiotu szkolnego. Przedmiotów było kilka, więc i egzamin musiał trwać kilka dni. Nie mogliśmy także jeździć codziennie do Mielca. Dyrektor mieleckiego Gimnazjum, mający akuratne nazwisko Tyran, postąpił łaskawie wobec nas i część naszej gromady umieścił, na dni egzaminu, w Bursie tej szkoły, dla reszty zaś nas znalazł kwatery w domach prywatnych, u rodziców swoich uczniów. Ja mieszkalam w domu prywatnym, co było dla mnie dodatkową atrakcją. Mielczanie - rodzice byli dla nas bardzo mili, natomiast profesorowie Gimnazjum byli, w czasie egzaminów, niezmiernie urzędowi. Egzaminowali nas bez uśmiechu, czy nawet łagodnego, weselszego drgnienia oka. Byliśmy jednak dobrze przygotowani i, chyba, nikt z nas nie "oblał". A mieliśmy, nie raz, "duszę na ramieniu". Był z nami prof. Wołowicz. Dostaliśmy oryginalne świadectwa Państwowego cesarsko-królewskiego Gimnazjum mieleckiego.

W tym samym, bardzo ciężkim dla nas roku, nie utworzono w Gimnazjum w Kolbuszowej, we wrześniu, klasy piątej i my, uczniowie i uczennice, mający uczyć się w tej klasie, znaleźliśmy się w sytuacji kryzysowej. Stało przed nami pytanie, co robić dalej, żeby nie zmarnować dotychczasowych czterech lat nauki. Jednych z nas rodzice przenieśli do szkół w sąsiednich miastach. Innych przygotowywał, prywatnie, nauczyciel Marian Antoni Winiarski, do wstąpienia do Seminarium Nauczycielskiego w Rzeszowie czy gdzie indziej. Mój drogi, wspaniały Ojciec znalazł jakichś znajomych w Krakowie i - posłał mnie tam do Gimnazjum. W tym roku mój brat Roman zginął w Legionach, a cesarze Niemiec i Austrii ogłosili, że utworzą, po wojnie, z ziem polskich, odebranych Rosji, Królestwo Polskie. W Polaków wstępowały nowe nadzieje.

Państwo polskie, II Rzeczypospolita powstała, nie z łaski obcych cesarzy,

ale z woli narodu polskiego, w listopadzie 1918 r. Ja w następnym roku, na wiosnę, skończyłam Gimnazjum i Kurs Nauczycielski i zostałam nauczycielką. Gimnazjum w Kolbuszowej, dalej prywatne, odbudowywało się w nowych warunkach i dźwigało na wyższy poziom, będąc jedyną szkołą średnią w powiecie, ośrodkiem nauki i kultury, tak potrzebnej niepodległej Polsce, cudem zmartwychwstałej z półtorawiekowej niewoli.

Rozdział IV

Artykuły i recenzje

Anna Marut

Zarys działalności Ludowego Zespołu
Sportowego "Werynianka" w latach 1946 - 1995

Marian Piórek

Dr Kazimierz Aleksander Skowroński - historyk, nauczyciel i
regionalista 1907 - 1974

Marian Piórek

Recenzja książki Krzysztofa Ożoga, Dzieje parafii
Górno 1599-1999

*Zarys działalności Ludowego Zespołu Sportowego
"Werynianka" w Weryni*

Rozwój sportu wiejskiego w kraju i powiecie kolbuszowskim
w latach 1946-1995

Nie małą rolę w rozwoju kultury fizycznej na wsi odegrał poza związkiem Młodzieży Wiejskiej RP "Wici" ruch ludowy. Podczas V Kongresu Stronnictwa Ludowego w styczniu 1946 roku dyskutowano również nad sprawą objęcia polskiej wsi kulturą fizyczną. Wśród przyjętych wniosków postulowano m.in. do Rady Ministrów o wydanie ustawy na podstawie której w każdej gminie wydzielono by odpowiedni teren pod boisko sportowe¹.

Przełomowe znaczenie w upowszechnianiu kultury fizycznej na wsi stanowił dekret Prezydium Krajowej Rady Narodowej z dnia 5 stycznia 1946 roku o powołaniu urzędów i rad wychowania fizycznego oraz przysposobienia wojskowego. Tym samym na Związek Samopomocy Chłopskiej (ZSCH) nałożono obowiązek zajęcia się kulturą fizyczną na wsi. W ten sposób w skład Państwowej Rady Narodowej Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego znalazł się przedstawiciel ZSCH. Jednym z wytycznych programu było opracowanie ogólnych założeń rozwoju wychowania fizycznego i sportu na wsi, propaganda i agitacja kultury fizycznej, organizowanie LZS i ich rejestracja².

W Zarządzie Powiatowym ZSCH w Kolbuszowej sprawy te prowadził przez kilka lat Skrzypczak³. Pierwszym powołanym do życia LZS w powiecie kolbuszowskim w 1947 roku był LZS Werynia i LZS Dzikowiec⁴. W tym samym czasie powstały LZS-y: w Siedlance w 1949, Raniżowie, Górnio, Woli Raniżowskiej, Kolbuszowej Górnej, Mechowcu w 1950, Przedborzu w 1951, Trzebosi w 1953⁵.

Organizacją LZS-ów zajęli się działacze wiejscy pracujący w różnych

1 Zarys historii sportu wiejskiego na Podkarpaciu w latach 1946-1996, pod red. J. Ciupki, Krosno 1996, s. 12-13.

2 Tamże, s. 13.

3 Wywiad z Janem Jamrozem, zam. w Weryni (w zbiorach prywatnych autorki).

4 Tamże oraz wywiad z Bronisławem Kuczyńskim z Dzikowca (w zbiorach prywatnych autorki).

5 Informacje zebrane przez Michała Franczyka, nauczyciela Szkoły Podstawowej nr 2 w Kolbuszowej, zam. w Kolbuszowej, ze zbiorów prywatnych.

organizacjach społeczno-politycznych tego okresu, jak: ZMW RP "WICI", Ochotnicze Straże Pożarne (OSP) i ZSCH.

Do pełnego rozwoju LZS-ów przyczyniła się znacznie przyjęta przez II Zjazd ZSCH w marcu 1946 roku uchwała "o przyznaniu na kulturę fizyczną i sport jeden procent swego budżetu"⁶. Wytyczne Zarządu Głównego ZSCH z lipca 1947 roku zawierały koncepcje wytyczające zadania z zakresu upowszechniania kultury fizycznej na wsi, tzw. "Akcja usportowienia wsi na lata 1947-1949"⁷. Do realizacji tych wytycznych potrzebni byli w terenie ludzie w pewnym stopniu przygotowani, a takich było w owym czasie brak. Sprawę kultury fizycznej na wsi zepchnięto na dalszy plan. Dopiero w marcu 1947 roku Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych wspólnie z Ministerstwem Obrony Narodowej wydało zarządzenie o połączeniu przysposobienia rolniczego z przysposobieniem wojskowym w tzw. Przysposobienie rolniczo-wojskowe⁸. Ustawą z dnia 25 lutego 1948 roku "O powszechnym obowiązku przysposobienia wojskowego młodzieży oraz organizacji spraw kultury fizycznej i sportu" powołano do życia Powszechną Organizację "Służba Polsce" i Główny Urząd Kultury Fizycznej⁹. Działacze tej organizacji poprzez hufce docierali do wszystkich wsi, pomagając w budowie boisk sportowych, organizowaniu różnych imprez i zawodów sportowych. W ramach tzw. "trydniówek" podejmowane były prace społeczne ukierunkowane na budowę boisk sportowych, szczególnie do piłki siatkowej i nożnej. Organizowano zgrupowania gminne młodzieży, gdzie w programie przewidziano m.in.: strzelanie, musztra, biegi i gry sportowe. W takich zgrupowaniach brała udział młodzież także z Weryni. Zgrupowania te stanowiły zaczątki organizowania masowego sportu na wsi¹⁰.

W grudniu 1948 roku Główna Rada Sportu Wiejskiego zatwierdziła regulamin dotyczący działalności LZS-u. Równocześnie powołano strukturę organizacyjną tj. komórki w województwach, powiatach i w większości gmin. Zadanie ich sprowadzało się m.in. do organizowania różnych imprez i zawodów sportowych (biegi narodowe, marsze jesienne, festyny ludowe, itp.)¹¹.

Po zjednoczeniu ruchu młodzieżowego i powstaniu Związku Młodzieży Polskiej (ZMP) w 1948 roku do programu wprowadzono w życie nowe rozwiązania w sporcie wiejskim¹².

W grudniu 1950 roku sprawami kultury fizycznej na wsi zajął się Główny Komitet Kultury Fizycznej. Najpierw LZS-y podporządkowano tej instytucji, a od 1952 roku opiekę powierzono Powszechnej Organizacji "Służba Polsce". W tej sytuacji Zarządy Powiatowe ZSCH przekazały protokolarnie akta i obiekty sportowe LZS-ów. Znalazły się one w użytkowaniu tej

6 Zarys historii sportu... , s. 13.

7 Tamże.

8 Tamże, s. 13-14.

9 Tamże, s. 14.

10 Wywiad z Janem Jamrozem ...

11 Zarys historii sportu... , s. 14.

12 Tamże.

organizacji i stanowiły własność gromadzkich rad narodowych. W 1952 roku powołano rady powiatowe LZS. Pierwsza Rada Powiatowa "Zrzeszenia" LZS w Kolbuszowej powstała w 1952 roku. Jej zadaniem było przeszkolenie na kursach specjalnych wychowania fizycznego organizatorów i instruktorów wychowania fizycznego. Koła LZS były jedyną organizacją zajmującą się sportem młodzieży wiejskiej, a również i dorosłych mieszkańców wsi. Poza LZS-ami upowszechnianiem kultury fizycznej na wsi zajmował się ZMP, a od 1957 roku ZMW.

W 1953 r. I Krajowa Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza "Zrzeszenia" LZS przyjęła statut, który m.in. określał strukturę władz zrzeszenia i metody działalności, poczynawszy od najwyższych do najniższych władz, a także obowiązki i prawa członka, zwoływania zebrań plenarnych poszczególnych szczebli, a ponadto sposób dysponowania majątkiem zrzeszenia. Od 1953 r. rozpoczyna się na wsi budownictwo sportowe siłami społecznymi w ramach tzw. czynów społecznych. W taki sposób powstały liczne w pełni urządzone stadiony, dysponujące płytą boiska sportowego (boiska do piłki nożnej i siatkowej), urządzeniami do lekkiej atletyki¹³. Tym sposobem społecznym przy zaangażowaniu młodzieży i społeczeństwa wybudowano stadiony m.in. w Dzikowcu, Weryni, Raniżowie¹⁴.

Problemy sportu wiejskiego przez wiele lat podejmowane były przez czasopisma sportowe m.in. "Przegląd Sportowy", przeznaczony dla wsi, a także Polskie Radio, nadające specjalną audycję pod nazwą "Sportowcy wiejscy na start".

Dużą rolę w rozwoju sportu wiejskiego odegrały gminne rady zrzeszenia LZS (lata 1954-1955). Trzeba stwierdzić, że w naszym kraju okres lat 1952-1955 stanowił etap charakteryzujący się intensywnym rozwojem organizacyjnym i ilościowym kół LZS. Dotyczy to również powiatu kolbuszowskiego. Powstają kolejne koła LZS m.in. w Zielonce, Niwiskach, Majdanie Królewskim, itp. Prowadzone były rozgrywki drużynowe w piłce siatkowej i nożnej, a reprezentacje powiatowe brały udział w zawodach wojewódzkich w Rzeszowie w takich dyscyplinach jak: lekkoatletyka, marsze patrolowe i biegi narodowe¹⁵.

Dalszy program rozwoju kultury fizycznej na wsi został wytyczony przez II Zjazd Krajowy "Zrzeszenia" LZS - 21/22 kwietnia 1955 r. w Warszawie. W 1955 r. rozwiązano Powszechną Organizację "Służba Polsce"¹⁶.

Wydarzenia w kraju w 1956 roku miały także duży wpływ na dzieje sportu na wsi. Temu zagadnieniu poświęcił uwagę Zjazd Krajowy "Zrzeszenie" LZS odbywający się w Warszawie w dniach 16-17 kwietnia 1957 r. Wówczas to do statutu wprowadzono poprawkę dającą możliwość powoływania

¹³ Tamże, s. 15.

¹⁴ Wywiad z Janem Jamrozem i Bronisławem Kuczyńskim...

¹⁵ Wywiad z Janem Jamrozem i Bronisławem Kuczyńskim...

¹⁶ Zarys historii..., s. 16.

ludowych zespołów sportowych (LKS-ów). Nowa polityka rolna także sprzyjała upowszechnianiu kultury fizycznej na wsi. Na miejsce ZMP odrodziła się nowa organizacja młodzieżowa ZMW - Związek Młodzieży Wiejskiej. Wspólnie z LZS-em podejmowały pracę nad turystyczną działalnością na wsi. W środowisku wiejskim pojawił się sport wyczynowy (m.in. piłka nożna, podnoszenie ciężarów, lekkoatletyka i kolarstwo)¹⁷.

Następny krajowy zjazd LZS-ów pogłębił tę tematykę uzupełniając działalność turystyczną na wsi. Turystyka i krajoznawstwo znalazły swoje miejsce w działalności w najniższych ogniwach LZS, tj. w kołach LZS.

W latach 1960-1967 rozwinął się mocno ruch spartakiadowy, czego rezultatem było wiele zorganizowanych imprez i turniejów sportowych. Nastąpił wzrost zainteresowania tymi problemami w PZPR i ZSL. Z rozwojem kultury fizycznej wiązała się także działalność sportowo-rekreacyjna w zakresie sportu kwalifikowanego i wypoczynku, a także działalność kulturalno-oświatowa. Przykładem łączenia sportu z turystyką była impreza "Złoty Kask" mobilizująca do sportu wiejskiego.

Na odbytym w 1963 roku V Zjeździe Krajowym delegaci z całego kraju (z LZS-ów) wiele miejsca poświęcili m.in. tworzeniu Rad Przyjaciół LZS. W większym stopniu partie: PZPR i ZSL kładły nacisk na gromadzenie środków finansowych na rozwój kultury fizycznej, wypoczynku, sportu i turystyki. Duży wpływ na rozwój bazy materialnej na wsi miała spółdzielczość, m.in. CRS "Samopomoc Chłopska" czy Spółdzielnie Mleczarskie.

Okres lat 1968-1975 charakteryzował się decentralizacją finansową kultury fizycznej i sportu na wsi. Wiele środków finansowych wprowadzono do budżetu wojewódzkiego i powiatowego komitetów kultury fizycznej i turystyki. Uważano, że w terenie działacze są najbardziej zorientowani w potrzebach w zakresie budowy bazy materialnej i te środki będą racjonalnie wykorzystane. Następuje dalszy ilościowy wzrost kół LZS, sekcji sportowych oraz umocnienie i polepszenie działalności organizacyjnej. Widoczną pomoc wykazują Państwowe Ośrodki Maszynowe (POM-y), Gminne Spółdzielnie "SCh", Spółdzielnie Kółek Rolniczych (SKR-y).

Uchwalenie przez Sejm PRL w 1975 r. ustawy o reformie administracyjnej rozpoczyna nowy okres działalności sportowej na wsi w latach 1975-1995. Nastąpiła likwidacja powiatów i ukształtował się dwustopniowy podział administracyjny kraju. Działalność LZS-ów w dużym stopniu została uzależniona od jednostek gminnych - administracji państwowej. Przez wiele lat trzeba było szukać nowych sponsorów nie tylko we władzach samorządowych, ale także w powstających firmach i zakładach prywatnych.

Obecnie LZS-y przeżywają pewne trudności finansowe, co zmusza działaczy wiejskich do ustawicznego szukania funduszy.

17 Tamże.

Początki działalności sportowej w Weryni

Dla mieszkańców wsi Werynia i pobliskiego miasta Kolbuszowej - tutejsza osada - ze względu na pobliski las nazywany "Zwierzyniec" albo "Zwierznik" była atrakcyjnym miejscem organizacji zabaw towarzyskich, wypoczynku i turystyki. Informacje zamieszczane w prasie rzeszowskiej z przełomu XIX i XX wieku, a także z okresu międzywojennego dostarczają nam wiadomości o urządzaniu takich form rozrywkowych przez młodzież mieszczańską i dworską.

Przed samą drugą wojną światową na terenie parku, jego właściciel zorganizował nawet boisko do tenisa ziemnego na otwartym powietrzu, na którym rozgrywane były spotkania towarzyskie.

Dynamiczny rozwój sportu zaznaczył się dopiero po zakończeniu drugiej wojny światowej. Warto tu przytoczyć wypowiedź młodego mieszkańca wsi (z tego okresu) Feliksa Wrońskiego, obecnie emerytowanego pułkownika Wojska Polskiego mieszkającego w Warszawie: "...Po wojnie jako syn nauczyciela byłem jedynym, który posiadał dwie piłki skórzane do gry w piłkę nożną. Miałem je od ojca z czasów przedwojennych. Kopaliśmy ją z chłopcami we wsi Werynia. Miejscem rozgrywek był plac obok rzeki"¹⁸. I dalej mówi: "W czasie uczęszczania do gimnazjum byłem królem strzelców drużyny piłki koszykowej w Kolbuszowej. Należałem do wyróżniających się zawodników. Była to druga klasa licealna. Miałem wzrost wysoki i budowę sportowca"¹⁹.

Tenże Feliks Wroński założył klub sportowy - Ludowy Zespół Sportowy "Zrzeszenie" w październiku 1947 r. pod nazwą LZS Werynianka. W tej sprawie pojechał do Rzeszowa do nowopowstającej Rady Wojewódzkiej LZS i tam go zarejestrował. Równocześnie dzięki pomocy pracownika Gminnej Spółdzielni "Samopomoc Chłopska" w Kolbuszowej pana Skrzypczaka otrzymał 15 par butów, koszulki, spodenki i skarpety. Na owe czasy "była to wielka rzecz"²⁰.

Było to możliwe, gdyż większość chłopców w 1947 r. reaktywowała koło Związku Młodzieży Wiejskiej RP "Wici", a jej odnowicielem był Marian Jamróz, późniejszy długoletni działacz i prezes koła LZS²¹. W tej działalności pomagał mu brat Jan Jamróz, późniejszy organizator Rady Powiatowej LZS i kół LZS w Kolbuszowej i powiecie kolbuszowskim²².

Pierwszym osiągnięciem organizacyjnym było powołanie drużyny piłkarskiej. W jej skład weszli:²³

18 Wywiad z Feliksem Wrońskim, lat 70, zam. w Warszawie (w zbiorach prywatnych autorki).

19 Tamże.

20 Tamże.

21 Wywiad z Marianem Jamrozem, lat 70, zam. w Weryni (w zbiorach prywatnych autorki).

22 Wywiad z Janem Jamrozem, lat 67, zam. w Weryni (w zbiorach prywatnych autorki).

23 Wywiad z Feliksem Wrońskim...

bramkarze: Opięta Józef
 Jamróz Jan
 Pytlak Henryk
 obrońcy: Szypuła Jan ^{x/1}
 Antos Józef
 atory Franciszek
 Biesiadecki Leon ^{x/2}
 Starzec Stanisław
 Matuła Ludwik
 pomocnicy: Szypuła Franciszek
 Szypuła Stanisław ^{x/3}
 Gorzelany Stanisław ^{x/4}
 Gil Jan
 atak: Jamróz Marian
 Wroński Feliks
 Wiącek Karol

x/1 - zginął podczas odbywania służby w LWP

x/2 - pochodził z Kolbuszowej Dolnej

x/3 - grał tylko do chwili powołania do służby wojskowej

x/4 - pochodził z Kolbuszowej Górnej.

Zawodnicy ci uprawiali równocześnie piłkę nożną i koszykową, a później siatkową²⁴. Dzięki staraniom miejscowego koła ZMW RP "Wici" wygospodarowano z Państwowego Funduszu Ziemi skrawek pola znajdujący się na obszarze dworskiego parku. Aby jednak można było rozgrywać mecze piłkarskie należało teren uporządkować. W ramach czynu społecznego i szarwarku działacze ówczesnego LZS - zbudowali boisko z prawdziwego zdarzenia nie tylko do piłki nożnej, ale również do koszykówki i siatkówki. Trzeba było włożyć dużo wysiłku i pracy w celu wyrównania płyty boiska po tranzejach i okopach z czasów ostatniej wojny. Wcześniej na mieniu wiejskim zbudowano bieżnię, boisko do gry w siatkówkę na podwórku Batorego, a w okresie zimy trasy biegów narciarskich w miejscowym lesku.

Pierwsze rozgrywki były wielką atrakcją dla młodzieży i starszych mieszkańców. W dni świąteczne wypełniały się te place sympatykami sportu. Był wówczas niesamowity entuzjazm, zamięłowanie i duże zaangażowanie młodych organizatorów sportu. Były to lata 1948-1949. Feliks Wroński tak wspomina: "... Koło Łańcuta - nie pamiętam miejscowości - w czerwcu i lipcu odbywał się turniej wojewódzki drużyn LZS w piłce nożnej. Z ramienia powiatu wysłano drużynę z Weryni. Graliśmy - pamiętam- z Tarnobrzegiem i po dogrywce przegraliśmy 2:3 w drugiej rundzie"²⁵. Był to okres początkowej organizacji i działalności LZS-ów na terenie powiatu kolbuszowskiego. Sami działacze ustalali mecze. Istniały już, oprócz Weryni

²⁴ Tamże

²⁵ Tamże.

drużyny: w Dzikowcu, Przedborzu (organizatorem był Kielb - późniejszy dziennikarz warmiński), Kolbuszowej Dolnej i Raniżowie.

W latach 1950-1952 drużyna "Werynianka" rozgrywała przeważnie mecze towarzyskie z zespołami z sąsiednich miejscowości: Kolbuszowa Górna, Dzikowiec, Raniżów, Kolbuszowa, Sokołów Młp. i Majdan Królewski. Dopiero po zorganizowaniu rozgrywek w klasie "C" można było "na poważnie" spróbować swych sił. "Werynianka" wówczas wygrała tę klasę rozgrywek, ale awansowała do klasy "B" dopiero w 1957 r.²⁶

Tabela 1

LZS Werynianka w latach 1957-1962 w piłce nożnej²¹.

Rok Podokrę	PZPZ	Klasa	Miejsce w tabeli		Ilość spotkań	Punkty	Stosunek bramek
			k	P			
1	2	3	4	5	6	7	8
1957	Tarnobrzeg	B	IX	10	18	10	20:46
1958	Tarnobrzeg	B	X	11	18	6	10:63
1959	Rozwadów	C	II	5	8	18	13:12
1960	Rozwadów	C	III	8	14	8	53:24
1961/62	Rozwadów	C	II	8	8	14	15:21
1962/63	Rozwadów	C		8	skreśl.	za	walkower

Franciszek Mazur tak wspomina: "W latach 1955-1957 byłem uczniem starszych klas Szkoły Podstawowej w Weryni. Mieszkalem wraz z rodzicami obok stadionu (boiska sportowego) znajdującego się w parku. Od młodych lat pasjonowałem się grą w piłkę nożną. Wówczas, była to dla mnie wielka satysfakcja, poproszono mnie abym był gospodarzem drużyny. Funkcję gospodarza przyjąłem z wielką radością. Do moich zadań należało m.in.:

- przygotowanie sprzętu do zawodów piłkarskich,
- odbiór sprzętu po każdym zawodach,
- konserwacja.

Otrzymałem pastę do konserwacji butów. Robiłem to społecznie, za darmo. Pamiętam, że ojciec mój woził furmanką drużynę Werynianki do Sokołowa Młp. odległego o ponad 20 km"²⁸.

Wówczas to drużyna LZS Werynia grała m.in. z Chorzelowem, Radomyślem Wlk., Chmielowem i Majdanem Królewskim. W drużynie tego okresu występowali następujący zawodnicy:

26 Komunikaty ROZPN w Rzeszowie z lat 1957-1958 (w zbiorach prywatnych Michała Franczyka - nauczyciela Szkoły Podstawowej nr 2 w Kolbuszowej).

27 Tamże.

28 Wywiad z Franciszkiem Mazurem, lat 55, zam. w Weryni (w zbiorach prywatnych autorki).

1. Stanisław Stachnik
2. Józef Antos
3. Franciszek Szypuła
4. Józef Szlachetka
5. Michał Koń (Opaliński) z Kolb. Górnej
6. Stanisław Kapusta z Zarębek
7. Wołoch z Kolbuszowej Dolnej
8. Józef Wroński
9. Józef Koń
10. Henryk Pytlak
11. Franciszek Mazur
12. Tadeusz Zuba z Kolbuszowej Górnej
13. Jan Ryło
14. Jan Ryło z Dzikowca
15. Jan Kasica z Raniżowa
16. Bolesław Pastuła z Dzikowca
17. Lis z Raniżowa
18. Stanisław Plis z Kupna
19. Leon Biesiadecki z Kolbuszowej Dolnej
20. Marian Czachor
21. Władysław Bajor
22. Marian Jamróz
23. Józef Bieleń
24. Bronisław Wroński
25. Stanisław Szlachetka
26. Wojciech Tokarz
27. Józef Dziedzioch

Wielu z zawodników przyjezdnych grało "na lewo", byli zarejestrowani w swoich macierzystych klubach, które już tam działały. Najwybitniejszym zawodnikiem, a zarazem trenerem drużyny był Józef Dziedzioch. Zajmował się grą i trenerką drużyny Werynianki w okresie gdy była w klasie "B". Przyjechał z Raciborza, gdzie wcześniej grał w Unii Racibórz i znał rzemiosło piłkarskie²⁹.

Na początku lat 60-tych zaznaczył się kryzys w drużynie LZS Werynia. Przyczyną były następujące czynniki:

- duża ilość zawodników z innych miejscowości przywożonych na mecze dorywczo,
- zamknięcie stadionu z uwagi na rozbudowę infrastruktury Zespołu

²⁹ Informacja ta została sporządzona na podstawie wywiadów z najstarszymi byłymi zawodnikami LZS Werynianka, m.in. Franciszkiem Mazurem, Henrykiem Pytlakiem, Władysławem Stachnikiem (w zbiorach prywatnych autorki).

Szkół Rolniczych w Weryni, właśnie w tym miejscu, gdzie zlokalizowany był stadion (boisko sportowe),

- brak młodzieży chętnej do uprawiania tej dyscypliny sportowej,
- brak funduszy na działalność sportową.

W latach 1957-1958 do rozgrywek została zgłoszona drużyna juniorów m.in. do klasy "B" - grupa Tarnobrzeg (dwukrotnie), ale nie startowała³⁰.

Rozwój bazy sportowej

W latach 50-tych w Weryni podjęto próbę lokalizacji nowego stadionu sportowego z uwagi na fakt, że wcześniej czy później, szkoła rolnicza będzie rozbudowywana i zostanie ograniczony dostęp do tego obiektu. Zarząd miejscowej Spółdzielni Produkcyjnej (tzw. Kołchoz) w 1954 r. podjął decyzję o budowie stadionu sportowego na tzw. "Chmielami" - terenie położonym na początku wsi, pod lasem. W tym celu zlecono opracowanie dokumentacji technicznej. Z drugiej strony kilku działaczy tej spółdzielni (w tym księgowy Michał Mytych) zaczęło robić wszystko, by do tej inwestycji nie doszło, ponieważ grunty orne dobrej klasy glebowej leżały w pobliżu ich gospodarstw. Ostatecznie nie wyraził na to zgody nowy prezes Spółdzielni Produkcyjnej Tadeusz Poborca³¹.

Szukanie nowej lokalizacji stadionu trzeba było zacząć od nowa. Mówi o tym Jan Jamróz: "Szukałem innej działki. Wpadłem na pomysł, aby to zrobić na stawach w lesie, które należały do Przedsiębiorstwa Lasów Państwowych z siedzibą dyrekcji w Przemyśle. Zwróciłem się do nich z pisemną prośbą o wyrażenie zgody. Dyrekcja nie zgodziła się. Napisałem odwołanie do Ministra Rolnictwa i Lasów Państwowych. Minister zwrócił pismo do Przemyśla w celu ponownego rozpatrzenia. I znowu załatwili odmownie. Odwołałem się do ówczesnego prezesa Rady Ministrów Józefa Cyrankiewicza. Podtrzymał decyzję odmowną. Wreszcie napisałem do I sekretarza KC PZPR Wiesława Gomułki. Tenże wydał polecenie - do pozytywnego załatwienia i przekazania terenu. Trwało to *przez dwa lata*"³².

Powierzchnia działki przeznaczonej pod budowę nowego stadionu wynosiła 1,92 ha. Położona była przy drodze państwowej Kolbuszowa - Sokołów Młp. i przylegała do niej od strony północno-wschodniej. Od strony północno-zachodniej i południowo-zachodniej graniczyła z terenem lasów państwowych. Co planowano? Projekt zakładał wybudowanie:

1. boiska sportowego o wymiarach: 64,0 x 100,0 m.,
2. bieżnię prostą czterotorową,
3. bieżnię ogólną dwutorową,
4. widownię ziemną, trójrzędową (wg projektu inż. Hoffmana) z 459 miejscami siedzącymi,

30 Komunikaty ROZPN w Rzeszowie z lat 1957-1962.

31 Wywiad z Janem Jamrozem...

32 Tamże.

5. pawilon sportowy (szatnie dla sportowców), obiekt parterowy o wymiarach 9,70 x 12,22 m., wg projektu indywidualnego. Pawilon sportowy miał obejmować dwie szatnie z natryskami dla sportowców, umywalnię i we. Ponadto miał się tu znajdować pokój dla sędziego i trenerów, magazyn podręczny na sprzęt sportowy i hydrofornia. Obiekt został zaprojektowany w konstrukcji mieszanej - ściany z bloków gazobetonowych, stropodach wentylowany żelbetowy, prefabrykowany z elementów typowych. W budynku projektowane były instalacje wodno-kanalizacyjne, c.w. grzewcza, elektryczna (3-fazowa), odgromowa. Pobór wody ze studni kopanej, odprowadzenie ścieków do bezodpływowego zbiornika ścieków. Poza tym planowano:

- a) ubikacje dla publiczności,
- b) boisko do koszykówki i siatkówki o nawierzchni mineralnej z żużlu paleniskowego,
- c) miejsce do rzutu oszczepem, kulą i dyskiem,
- d) chodnik o nawierzchni utwardzonej żwirem, prowadzony od wejścia na boisko do trybuny,
- e) parking o nawierzchni utwardzonej, żwirowej zlokalizowany pomiędzy drogą Kolbuszowa - Sokołów Młp. a ogrodzeniem działki boiska³³.

Mimo świetnych założeń planu budowy stadionu jego realizacja budziła wiele emocji, wątpliwości i zastrzeżeń zarówno u działaczy LZS Werynia, jak i u mieszkańców wsi i miasta Kolbuszowej. Całą inwestycję finansowała Rada Wojewódzka "Zrzeszenie" LZS w Rzeszowie, która pokryła w całości jego koszty³⁴. Gminna Rada Narodowa w Kolbuszowej Górnej jedynie niewielkie środki finansowe przeznaczyła na jej dokończenie³⁵.

Wykonawca tej inwestycji opóźniał jej realizację, sprzeniewierzył środki finansowe, za co w ostateczności sprawa ta znalazła swój epilog na wokandzie sądowej i skończyła się wyrokami sądowymi. Do dzisiejszego dnia wiele z tych projektowanych zadań inwestycyjnych nie zostało zrealizowanych, a pieniądze w części zmarnotrawione. Mecze piłkarskie na tym stadionie zaczęto rozgrywać w 1970 roku. Obecnie istnieje jedynie boisko i szatnia. W 1998 r. cały ten obiekt został skomunalizowany i administracyjnie podlega burmistrzowi i Zarządowi Miasta i Gminy w Kolbuszowej. Korzysta z niego nie tylko LZS Werynianka, ale także Klub Sportowy "Kolbuszowianka" z Kolbuszowej. Obecnie na tym obiekcie rozgrywane są mecze piłkarskie i od czasu do czasu różne organizacje społeczne i grupy ludzi organizują imprezy sportowo-rekreacyjne. Wszyscy biorący udział w tych zawodach (sportowcy i publiczność) twierdzą, że obiekt ten jest zlokalizowany w bardzo ładnym miejscu.

33 Realizacyjny plan zagospodarowania terenu boiska sportowego w Weryni, Rzeszów, marzec 1976 (zbiory Władysława Stachnika, zam. w Weryni).

34 Wywiad z Janem Jamrozem...

35 Tamże.

Finanse i działalność gospodarcza

W latach 1966-1970 jedynym źródłem otrzymywania środków finansowych na działalność Ludowego Zespołu Sportowego w Weryni były zabawy ludowe, organizowane przez działaczy Rady Koła. Według sprawozdań finansowych ich organizacja była uzależniona od realizowania zadań sportowych, szczególnie dotyczących rozgrywek w piłce nożnej klasy "C" czy "B". Nie było w tym zakresie żadnych dotacji czy innej formy pomocy finansowej. Jedynie w 1960 r. Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Kolbuszowej Górnej przełała 1.000 złotych dotacji dla LZS-u. Były próby sprzedawania biletów na zawody odbywające się w Weryni (np. w dniu 12.09.1971 r. - uzyskano tylko 354 zł, w 1972 r. ze wstępów na mecz z Dzikowcem uzyskano 60 zł, zaś 20 maja 1973 r. ze zbiórki za bilety - 163 zł). Ta forma zbierania funduszy nie przyjęła się na stałe, była tylko stosowana dorywczo. W 1974 r. Rada Koła zwróciła się z pismem do SKR w Kolbuszowej Górnej o przekazanie pewnej kwoty z nadwyżki budżetowej. Podobną prośbę wystosowali do Państwowego Ośrodka Maszynowego w Kolbuszowej o przekazanie "składki na popieranie działalności LZS Werynia"³⁶.

Tabela 2

Organizacja zabaw ludowych przez Radę Kola LZS w Weryni w latach 1966-1979 ³⁷.

Data organizacji zabawy	Nr pozycji w książce budżetowej	Dochód [zł]
1	2	3
20.09.1966	1/66	2.036.20
01.08.1967	12/67	2.937.50
12.05.1968	4/68	2.575.00
10.08.1969	6/69	1.334.00
06.06.1971	5a/71	6.106.50
15.08.1971	10/71	2.412.00
30.04.1972	9/72	2.389.00
02.07.1972	22/72	1.320.00
29.04.1973	3/73	4.560.00
zabawa dożynkowa	30/73	4.000.00
1974 r.	16/74	6.802.00
1979 r.		17.170.00

36 Zbiór dokumentów z działalności finansowej i gospodarczej Koła LZS Werynia od 1966 roku (niekompletne), Władysław Stachnik, zam. w Weryni)

37 Rejestr dochodów i rozchodów LZS Werynia w latach 1966-1979 (w zbiorach prywatnych Władysława Stachnika, zam. w Weryni).

*Tabela 3**Dochód i rozchód środków finansowych Rady Kola LZS Werynia w latach 1966-1974³⁸.*

Rok	Kwota dochodu	Kwota rozchodu	Stan kasy na końcu roku
1966	2.036.20	970.00	1.066.20
1967	4.203.70	3.792.20	411.50
1968	2.986.50	2.721.70	264.80
1969	2.930.80	3.682.80	762.00
1970	—	1.760.00	2.512.00 / minus
1971	12.848.50	13.891.00	1.042.00 / minus
1972	13.129.00	13.059.00	70.00
1973	10.223.00	9.114.00	1.109.00
1974	6.802.00	brak końcowego	rozliczenia

Tabela 3 obrazuje działalność gospodarczo-finansową Koła LZS w Weryni w latach 1966-1974. W latach 1970-1971 do kasy nie wpłynęło tyle środków finansowych, które by pomogły w lepszej realizacji działalności sportowej. Doszło nawet do tego, że saldo końcowe kasy Klubu było minusowe. Do tej działalności musieli dołożyć pieniądze miejscowi działacze. Z tego impasu wyszli dopiero w 1972 r., organizując wówczas dwie zabawy ludowe w Weryni.

W latach następnych także głównym źródłem dochodu były pieniądze otrzymane z zabaw ludowych, organizowanych przez działaczy i samych sportowców. Czasami zazębiała się współpraca z Ochotniczą Strażą Pożarną, gdy wspólnie obie organizacje wypracowały środki finansowe. Zmieniło się dopiero po reformie administracyjnej w 1975 r. Rada Sołecka wsi Werynia po otrzymaniu środków na swą działalność gospodarczą, corocznie na działalność LZS-u przeznaczala 5-10 min. zł (obecnie od 500 do 1000 zł). Poza tym powołana Fundacja Kultury w Kolbuszowej przeznaczała na początku lat 90-tych znikome fundusze na działalność tego Klubu, m.in. pokrywała delegacje sędziego i od czasu do czasu koszt przejazdu autokarem. Działacze ustawicznie szukają sponsorów w celu wygospodarowania środków na swą działalność.

Tabela 4.

Zakup sprzętu sportowego w latach 1966-1979 w Kole LZS Werynia ³⁹,

Data	Wartość [zł]	Rodzaj sprzętu
1	2	3
23.09.1966	700.00	2 pary butów piłkarskich
01.04.1967	20.00	pasta do butów
09.09.1967	363.00	11 sztuk kostiumów sport.
14.09.1968	350.00	1 para butów piłkarskich
26.04.1969	2.218.00	11 par spodenek
		1 sztuka dresów bramkarza
		1 sztuka piłka nożna
		3 pary butów piłkarskich
28.04.1969	332.00	1 para butów piłkarskich

W dniu 1 marca 1975 r. kasacji uległ następujący sprzęt: ⁴⁰			
1. Koszulki piłkarskie	szt.	13	546.00 zł
2. Piłka ręczna	szt.	1	254.00 zł
3. Buty piłkarskie	par	8	3.000.00 zł
4. Getry piłkarskie	par	12	1.000.00 zł
5. Korkotramпки	par	10	950.00 zł
Razem suma			5.770.00 zł
W dniu 12 czerwca 1975 r. wypisano ze stanu: ⁴¹			
1. Piłka nożna	szt.	1	314.00 zł
2. Spodenki	szt.	13	254.00 zł
3. Getry	par	12	1.176.00 zł
4. Buty piłkarskie	par	3	1.392.00 zł
5. Torba na sprzęt	szt.	1	292.00 zł
6. Korkotramпки	szt.	12	1.140.00 zł
Razem suma			4.782.00 zł

39. Zbiór rachunków z działalności finansowej LZS Werynia (w zbiorach prywatnych Władysława Stachnika, zam. w Weryni).

40. Tamże.

41. Tamże.

W dniu 28 czerwca 1975 r. w spisie inwentarza umieszczono następujący stan sprzętu:⁴²

1. Stół do tenisa stołowego	szt.	1	1.400.00 zł
2. Buty piłkarskie	par	2	750.00 zł
3. Korkotramпки	par	8	760.00 zł
Razem suma			- 1.910.00 zł

Stan sprzętu w 1997 r.:⁴³

1. Koszulki piłkarskie	szt.	26
2. Spodenki	szt.	26
3. Getry	szt.	12
4. Korkotramпки	par	12
5. Piłka do gry	szt.	3
6. Siatki do bramki	szt.	2
7. Stół do tenisa	szt.	1
8. Torba na sprzęt	szt.	1
9. Dresy bramkarza	szt.	2

Zakup sprzętu sportowego w dniu 23.08.1977 r.:⁴⁴

1. Piłka nożna	szt.	2	740.00 zł
2. Spodenki sportowe	szt.	12	660.00 zł
3. Getry	par	12	1.152.00 zł
4. Korkotramпки	par	12	648.00 zł
Razem suma			3.200.00 zł

Stan sprzętu w 1979 roku:⁴⁵

1. Koszulki piłkarskie	szt.	22
2. Spodenki piłkarskie	szt.	12
3. Buty piłkarskie	par	11
4. Korkotramпки	par	5
5. Getry	par	15
6. Piłki nożne	szt.	5
7. Siatki do bramki	szt.	2
8. Stół do tenisa stołowego	szt.	1
9. Torba na sprzęt	szt.	1
10. Dres bramkarza	szt.	1

Ogólna wartość sprzętu - 21.350.00 zł

⁴² Tamże.

⁴³ Tamże.

⁴⁴ Tamże.

⁴⁵ Sprawozdanie z działalności Koła za okres 1978/1979... .

Według oceny prezesa Koła LZS w Weryni znaczna część wyżej wymienionego sprzętu była w pewnym stopniu zużyta, a siatki na bramki i dres bramkarza były już w stanie praktycznie bezużytecznym. Zachodziła więc pilna konieczność uzupełnienia sprzętu poprzez zakup nowego, a w szczególności:

- | | |
|---------------------|---------|
| 1. Siatki na bramkę | 2 szt. |
| 2. Dresy | 2 szt. |
| 3. Spodenki | 11 szt. |
| 4. Buty piłkarskie | 5 par |
| 5. Piłki nożne | 5 szt. |
| 6. Korkotramпки | 5 par |

Szacunkowy koszt wyniósłby ok. 15 tyś. złotych. Jeśli chodzi o sprzęt, to drużyna piłki nożnej w Weryni znalazła się w kryzysie. Nie było w co ubrać zawodników. Na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym w 1979 r. prezes Koła LZS w Weryni Władysław Stachnik zaapelował do zawodników drużyny o większe poszanowanie powierzonego im sprzętu. Zwrócił uwagę na bieżącą konserwację i drobne naprawy we własnym zakresie: "każdego z zawodników to podstawowy obowiązek - obowiązek, który zapewni nam dłuższe użytkowanie posiadanego sprzętu, estetyczny wygląd każdego zawodnika podczas zawodów u nas i na wyjeździe, lepszą prezentację, co w obecnej dobie życia jest bardzo ważnym czynnikiem oceny przez środowisko i władze"⁴⁶.

Zarząd Rady Koła LZS zawsze zastanawiał się skąd brać fundusze na działalność, m.in. na zakup potrzebnego sprzętu. Klub był ciągle na łasce losu. Prośby i inne pisma, m.in. do Rady Wojewódzkiej LZS w Rzeszowie, Urzędu Miasta i Gminy w Kolbuszowej pozostawały bez odpowiedzi. W 1978 r. Urząd Gminy w Kolbuszowej przekazał 5.000 zł, a w 1979 r. otrzymało Koło LZS od tej instytucji 15 par butów i 5 piłek. Datki te w dużej części były wyblągane i niepewne, stanowiły znikomy procent potrzeb. Ten stan *rzeczy* utrzymywał się przez następne lata. Trzeba było dużo zabiegów, aby drużynę piłki nożnej wyposażyć w odpowiedni sprzęt i dobrze przygotować do spotkań piłkarskich. Duża zasługa w tym działaczy LZS-u i jej sympatyków.

Wyniki i osiągnięcia sportowe w latach 1966 • 1995

W okresie powojennym można jeszcze stwierdzić, że w Kole LZS Werynia oprócz piłki nożnej rozwijały się takie dyscypliny jak: koszykówka, piłka siatkowa, lekkoatletyka czy sporty obrotne. W drugiej połowie lat 60-tych sporty te zanikły, a upowszechniła się piłka nożna.

46 Sprawozdanie z działalności LZS w Weryni za okres 1978/1979...

Jak już wcześniej zostało wspomniane, w latach wcześniejszych 1962-1966 doszło do małego kryzysu w Klubie LZS Werynia. W konsekwencji nic się we wsi nie działo. Dopiero po przyjeździe z wojska byłych piłkarzy, jak np. braci Stachników - Stanisława i Władysława zaczęło się reaktywowanie sekcji piłki nożnej i odnowienie działalności Koła LZS⁴⁷. Stanisław Stachnik przez pewien okres czasu był pracownikiem Rady Powiatowej "Zrzeszenie" LZS w Kolbuszowej - instruktorem d.s. piłki nożnej w LZS-ach⁴⁸. Prezesem tej Rady był Jan Jamróz także z Weryni⁴⁹. Z ich inspiracji Władysław Stachnik, mieszkaniec Weryni, dał się przekonać o potrzebie wznowienia działalności LZS-u i zarejestrowania drużyny piłki nożnej w klasie "C"⁵⁰. Drużyna została zarejestrowana w lecie 1966 r. Tak zaczęła się kontynuacja piłki nożnej w Weryni pod nazwą LZS Werynianka. Informuje o tym tabela nr 5. W latach 1966-1996 Werynianka grała tylko w klasie "C" i "B" na przemian.

Tabela 5

Drużyna LZS Werynianka w piłce nożnej w latach 1966-1995⁵¹.

Rok	PZPN Podokręg	Klasa	Miejsce w tabeli		Punktacja		
			k	p	ilość spotkań	punkty	stosunek bramek
1	2	3	4	5	6	7	8
1966/67	Tarnobrzeg	C	III	6	10	12	29:25
1967/68	Tarnobrzeg	C	III	10	18	24	61:23
1968/69	Tarnobrzeg	C	I	10	18	33	68:12
1969/70	Tarnobrzeg	C	II	10	16	24	74:22
1970/71	Tarnobrzeg	C	I	10	18	32	59:11
1971/72	Tarnobrzeg	B	VIII	11	20	17	32:47
1972/73	Tarnobrzeg	B	VII	11	18	15	23:28
1973/74	Tarnobrzeg	B	VIII	9	24	22	37:44
1974/75	Stalowa W.	B	IX	12	20	9	23:64
1975/76	Stalowa W.	C	IV	10	18	19	41:32
1976/77	Rzeszów	C	VI	10	14	12	30:25
1977/78	Rzeszów - Mielec	C	III	9	12	12	30:29
1978/79	Rzeszów - Mielec	C	I	10	10	17	36:12
1979/80	Rzeszów - Mielec	B	VII	11	18	15	51:41
1980/81	Rzeszów - Mielec	B	X	12	20	8	23:49
1981/82	Rzeszów - Mielec	B	VII	12	22	22	40:46
1982/83	Rzeszów	B	XI	12	22	12	31:52
1983/84	Rzeszów	B	XI	12	22	15	33:50

47 Wywiad z braćmi Stanisławem i Władysławem Stachnikami...

48 Tamże.

49 Tamże.

50 Wywiad z Janem Jamrozem...

51 Komunikaty Rzeszowskiego Związku Piłki Nożnej w Rzeszowie od 1966 r. Zbiory prywatne Michała Franczyka, zam. w Kolbuszowej i zbiory prywatne Władysława Stachnika, zam. w Weryni..., Czasopisma: "Nowiny", "Przegląd Kolbuszowski", "Ziemia Kolbuszowska", "Korso".

cd. Tabela 5

Rok	PZPN Podokręg	Klasa	Miejsce w tabeli		Punktacja		
			k	p	ilość spotkań	punkty	stosunek bramek
1	2	3	4	5	6	7	8
1984/85	Rzeszów	C	IV	11	18	20	40:33
1985/86	Rzeszów	C	VI	10	16	15	brak
1986/87	Rzeszów	C	IV	8	14	17	24:25
1987/88	Rzeszów	C	III	6	10	10	27:17
1988/89	Rzeszów - Mielec	C	IV	12	16	18	40:33
1989/90	Rzeszów - Mielec	C	II	12	16	24	65:28
1990/91	Rzeszów	B	III	12	20	24	53:39
1991/92	Rzeszów	B	IX	12	22	17	38:48
1992/93	Rzeszów	B	VII	12	22	19	35:40
1993/94	Rzeszów	B	VII	12	22	19	37:55
1994/95	Rzeszów	B	VIII	9	22	19	37:51
1995/96	Rzeszów	B	IX	12	22	22	38:53

Wyjaśnienia:

1. k - końcowe (II runda) p - runda I
2. od sezonu 1987/88 wprowadzono decyzją PZPN rozgrywki jesień - wiosna.

Tabela 6

Okres pobytu LZS Werynianka w klasie "C" i "B"⁵².

<i>Lata</i>	Klasa
1	2
1966/1967 -- 1970/1971	C
1971/1972 1974/1975	B
1975/1976 1978/1979	C
1979/1980 1983/1984	B
1984/1985 1989/1990	C
1990/1991 1995/1996 i dalej	B

Walka o wejście do klasy "B" nie była łatwa. Oto kilka przykładów z dziejów klubu:

- a) 1968/1969 - Werynianka walczy w barażach o wejście do klasy "B" z LZS Żabno; wyniki - 3:2, 2:3, 1:1, a w rzutach karnych 1:4 dla LZS Żabno. Jak wspominają byli zawodnicy, w obu drużynach występowali zawodnicy spoza klubu - przyjezdni⁵³.
- b) 1969/1970 - Werynianka w meczu dodatkowym walczyła o awans do klasy "B" z LZS Dzikowiec, przegrała 0:2 i znowu awans został odłożony⁵⁴.

Dopiero zajęcie pierwszego miejsca w sezonie 1970/1971 w klasie "C" przez grupę tarnobrzeską dało możliwość występowania w klasie "B". Wynika to z tabeli 5. W tamtym czasie warunkiem występowania każdej drużyny w klasie "B" było zarejestrowanie drużyny juniorów i jej uczestnictwo w rozgrywkach.

Tabela 7
Drużyna LZS Werynianka w piłce nożnej w latach 1957-1975. Juniorzy⁵⁵.

Rok	PZPN Podokręg	Klasa	Grupa	Miejsce w tabeli		Punktacja		
				k	p	ilość spotkań	punkty	stosunek bramek
1	2	3	4	5	6	7	8	
1957	Tarnobrzeg	B	-	-	-	-	-	-
1957/58	Tarnobrzeg	B	-	-	-	-	-	-
1961/67	Tarnobrzeg	A	I	V	10	16	18	42:32
1972/74	Tarnobrzeg	B	I	IV	10	16	14	23:24
1973/74	Tarnobrzeg	B	I	XI	12	22	16	29:47
1974/75	Stalowa W.	B	II	VII	11	18	13	25:39

Wyjaśnienia:

k - runda II (końcowa)

p - runda I

Trzeba stwierdzić, że w latach 1971/1972 wzmogła się dobra praca trenerska z seniorami i juniorami, a rywalizacja w klasie "B" była duża. Świadczą o tym miejsca drużyny Werynianki w rundzie pierwszej i końcowej (tabela 6). Zaznaczyć należy, że do tego przyczyniła się dobra praca nauczyciela wychowania fizycznego w miejscowej Szkole Podstawowej - Stanisława Chorzępy z chłopcami klas starszych⁵⁶. Stanowili oni podporę drużyny juniorów, a później seniorów.

⁵² Tamże, tabela pomocnicza wynikająca z tabeli 5.

⁵³ Tamże.

⁵⁴ Komunikat ROZPN w Rzeszowie z 1969 r... .

⁵⁵ Tamże.

⁵⁶ Wywiad z Marianem Jamrozem i Władysławem Stachnikiem... .

Udział drużyny Werynianki w klasie "B" można uznać za okres dobrej pracy i osiągnięć w piłce nożnej. W następnych latach wyniki były słabsze i drużyna zajmowała miejsce w końcowej części tabeli, broniąc się nieraz przed spadkiem. Zastanawiające jest to, że działacze LZS Werynia nie mieli ambicji, aby ich drużyna weszła do klasy "A", jak np. uczynili to w sąsiednich miejscowościach, m.in. w Dzikowcu, Kolbuszowej Dolnej, Przyłęku, Niwiskach. W roku 1971/1972 drużyna juniorów była w klasie "A" tylko dlatego, że nie było niższej dla nich klasy.

Tabela 8

Tabela klasy "B" juniorów, grupa II tarnobrzaska, półmetek - runda jesienna 1973r.

1. LZS Mokrzeszów	11	18:4	33:6
2. LZS Padew	11	18:4	29:12
3. LZS Radomyśl Wielki	11	11:11	25:25
4. LZS Dzikowiec	11	11:11	16:16
5. LZS Wisła Baranów	11	10:12	21:24
6. LZS Werynia	11	10:12	20:23
7. LZS Kupno	11	10:12	17:22
8. LZS Orłów	11	10:12	17:24
9. Włókniarz Skopanie	11	10:12	20:29
10. LKS Majdan Królewski	11	8:14	19:23
11. LZS Tuszyna	11	8:14	15:24
12. LZS Rzędzianowice	11	8:14	15:19

Juniorzy LZS Werynianka na półmetku zajmowali 6 miejsce⁵⁷.

Tabela 9

Tabela klasy "B" seniorów, grupa tarnobrzaska, Półmetek, grupa II - runda jesienna 1973 r.

1. LZS Radomyśl Wielki	12	21	31:5
2. LZS Majdan Królewski	12	17	27:6
3. Stal II Nowa Dęba	12	16	29:10
4. LZS Mokrzeszów	12	17	30:15
5. LZS Rzędzianowice	12	15	26:22
6. LZS Tuszyna	12	13	31:29
7. LZS Orłów	12	12	30:31
8. LZS Padew	12	11	21:22
9. LZS Werynia	12	11	22:23
10. Włókniarz Skopanie	12	9	18:37
11. LZS Kupno	12	6	13:22
12. LZS Dzikowiec	12	5	15:26
13. LZS Wisła Baranów	12	4	9:35

⁵⁷ Komunikat ROZPN w Rzeszowie, Tarnobrzski Podokrąg Piłki Nożnej, nr 18/73 z dn. 10.11.1973 r. (w zbiorach Władysława Stachnika).

Seniorzy LZS Werynianka na półmetku zajmowali 9 miejsce⁵⁸.

Tabela 10

Tabela klasy "B" seniorów, grupa I, Mielec, na sezon 1993/1994.

1. LKS Team Przecław	22	37	64:16
2. LKS Tuszyna Przecław	22	33	67:28
3. LKS Cmolas	22	31	
4. LKS Ostrovia Jagodnik	22	26	57:36
5. LZS Przylęk	22	25	56:46
6. LZS Czarni Trześć	22	22	38:38
7. LZS Werynianka	22	19	37:55
8. LZS Rzochowianka Rzochów	22	18	40:47
9. LZS Kaskada Kamionka	22	18	45:62
10. LZS Wisła Gliny Małe	22	13	27:64
11. LZS Tuszów Narodowy	22	12	36:67
12. LZS Błękitni Jaślany	22	10	33:67

LZS Werynianka seniorzy, klasa "B" w sezonie 1993/1994 uplasowali się na 7 miejscu⁵⁹

Tabela 11

Tabela klasy "B" seniorów, grupa III, Rzeszów, półmetek - runda jesień 1994/1995.

1. LKS Trzcianka Trzciana	11	18	47:15
2. LKS Dąb Dąbrowa	11	18	37:20
3. LKS Kaskada Kamionka	11	15	26:19
4. LZS Rudniana Rudna	11	15	31:13
5. LZS Kłos Kawęczyn Sędz.	11	13	21:14
6. LZS Czarni Łąka	11	10	25:28
7. LZS Góra Ropczycka	11	10	26:37
8. Zorza Trzeboś Górna	11	9	22:22
9. Werynianka Werynia	11	9	19:30
10. LZS Palkovia Palikówka	11	9	18:29
11. LZS Rzemieślnik Strażów	11	8	21:37
12. LZS Plantator Nienadówka	11	3	9:28

LZS Werynianka - seniorzy na okres jesieni 1994 uplasowali się na 9 miejscu⁶⁰

58. "Nowiny Rzeszowskie" z dn. 06.12.1973 r., nr 336/7825.

59. "Przegląd Kolbuszowski", nr 32, 08.1994 r., s. 10.

60. "Przegląd Kolbuszowski", nr 37, styczeń-luty 1995 r., s. 9.

Tabela 12

Tabela ta obejmuje wycinkowo sędziów prowadzących spotkania w latach 1966-1979, których gospodarzem była drużyna LZS Werynianka.

Data	Nazwisko i imię	Miejscowość	Klasa	Z jaką drużyną?
1	2	3	4	5
<u>1966 r.</u>				
04.09	Pytlak Henryk	Kolbuszowa	C - "sen.	LZS Majdan Król.
02.10	Pytlak Henryk	Kolbuszowa	C - sen.	LZS Dzikowiec
16.10	Karski Mieczysław	Kolbuszowa	C - sen.	LZS Majdan Król.
<u>1967 r.</u>				
02.04	Karski Mieczysław	Kolbuszowa	C - sen.	LZS Raniszów
16.04	Pytlak Henryk	Kolbuszowa	C - sen.	LZS Trześć
23.04	Krajkowski Wacław	Nowa Dęba	C - sen.	Kolbuszowianka
23.04	Dygdoń Marian	Mielec	C - jun.	Kolbuszowianka
14.05	Karski Mieczysław	Kolbuszowa	C - sen.	Kolbuszowianka
20.08	Dygdoń Marian	Mielec	C - sen.	LZS Cmolasy
24.08	Piórek Marian	Dzikowiec	C - sen.	LZS Majdan Król.
29.08	Dygdoń Marian	Mielec	C - sen.	LZS Majdan Król.
10.09	Mazur Józef	Kolbuszowa Dolna	C - sen.	LZS Kosowy
17.09	Dygdoń Marian	Mielec	C - sen.	LZS Hucina
24.09	Mazur Józef	Kolbuszowa Dolna	C - sen.	LZS Przyłęk
15.10	Pytlak Henryk	Kolbuszowa	C - sen.	LZS Kupno
<u>1968 r.</u>				
09.06	Pytlak Henryk	Kolbuszowa	C - sen.	LZS Trześć
<u>1969 r.</u>				
07.09	Paź Józef	Stale	C - sen.	Stal II N. Dęba
<u>1972 r.</u>				
16.04	Żak Bolesław	Mielec	B - sen.	Wisła Baranów
16.04	Grygiel Jan	Tarnobrzeg	A - jun.	Wisła Baranów
30.04	Grygiel Jan	Tarnobrzeg	A - jun.	LZS Dzikowiec
30.04	Karski Mieczysław	Kolbuszowa	B - sen.	LZS Dzikowiec
07.05	Zygmunt Antoni	Kolbuszowa	B - sen.	LZS Chorzelów
27.06	Początek Tadeusz	Mielec	B - sen.	LZS Wojślaw
16.08	Karski Mieczysław	Kolbuszowa	B - sen.	LZS Chmielów
27.08.	Pytlak Henryk	Kolbuszowa	B - sen.	LZS
27.08	Pytlak Henryk	Kolbuszowa	A - jun.	LZS
<u>1973 r.</u>				
29.04	Początek Tadeusz	Mielec	B - sen.	LZS Orłów
23.04	Wiącek Władysław	Mielec	B - jun.	LZS Orłów
06.05	Solarski Kazimierz	Mielec	B - sen.	Kolbuszowianka
10.06	Duracz Stefan	Mielec	B - sen.	LZS Baranów
10.06	Kiełb Ignacy	Mielec	B - jun.	LZS Baranów
30.09	Żak Bolesław	Mielec	B - sen.	Stal II N. Dęba

cd. Tabeli 12

Data	Nazwisko i imię	Miejscowość	Klasa	Z jaką drużyną?
1	2	3	4	5
21.05 03.09 25.06	Barłóg Jan Dec Jan Furmanek Władysław	Kopcie Staniszewskie Mielec	C - sen. C - sen. C -sen.	LZS Wola Chorzel. LZS Trześć Gnojnica
<u>1979 r.</u> 26.08 28.10	Dec Jan Pytlak Henryk	Staniszewskie Kolbuszowa	B - sen. B - sen.	LZS Gawłuszowice LZS Borowa

Z tabeli nr 12 wynika, że spotkania piłkarskie najczęściej sędziowali sędziowie z Kolbuszowej i Mielca, m.in. Pytlak Henryk, Karski Mieczysław⁶¹.

Zasłużeni działacze i zawodnicy

Feliks Wroński, ur. 18 maja 1928 roku w Weryni, syn Wojciecha i Wiktorii z domu Kapusta. Ojciec jego był czynnym nauczycielem w latach 1918-1951. Był jedynym chłopcem we wsi, który po wojnie posiadał własną piłkę skórzaną. Dzięki niej rozbudził zainteresowania wśród młodzieży wiejskiej. Był głównym organizatorem Koła Ludowego Zespołu Sportowego w Weryni. Jako czynny zawodnik grający w ataku drużyny piłki nożnej był wyróżniającym się sportowcem i działaczem. Grał również w koszykówkę i siatkówkę.

Od roku 1949 do roku 1978 związał się na stałe z Wojskiem Polskim. Przeszedł przez wszystkie stopnie wojskowe od szeregowca do pułkownika dyplomowanego. Był specjalistą w zakresie wojsk saperskich. Mieszka na stałe w Warszawie. Obecnie jest na emeryturze. Często w ciągu roku przyjeżdża do swojej rodzinnej miejscowości nie zapominając o swojej "Weryniance"⁶².

Marian Jamróz, ur. 29 stycznia 1928 roku w Weryni, syn Stanisława i Józefy z domu Skóra. W 1949 roku ukończył Gimnazjum w Kolbuszowej. Po wojnie reaktywował Związek Młodzieży Wiejskiej RP "Wici" w Weryni. Z piłką nożną zetknął się jeszcze w czasie okupacji w Szkole Zawodowej w Kolbuszowej. Grał w grupie swoich rówieśników razem z prof. Zygmuntem Żytkowskim - głównym organizatorem tajnego nauczania w zakresie szkoły średniej w Kolbuszowej. Był on "duszą" tej dyscypliny sportowej. Pasję tę zapożyczył od swojego profesora i przeniósł na młodzież waryńską.

61 Delegacje sędziowskie (w zbiorach Władysława Stachnika).

62 Wywiad z Feliksem Wrońskim...

Grał nie tylko w piłkę nożną, ale i w siatkową. W latach 1949-1956 związał się na pewien czas z Wojskiem Polskim. W 1956 roku wrócił do swojej rodzinnej wsi Werynia w randze oficera rezerwy. W latach 1956-1989 zajmował się działalnością społeczną w Kole LZS Werynia, najpierw jako piłkarz czynny, a później pełnił na przemian funkcję prezesa albo wiceprezesa LZS-u. Pracując na różnych stanowiskach w okresie PRL-u, w różny sposób pomagał Klubowi, starając się o dotacje na działalność sekcji piłki nożnej. Ze względu na wiek i stan zdrowia oddał kierownictwo Klubu młodym działaczom, dalej pasjonując się ich grą⁶³.

Jan Jamróz, ur. 8 grudnia 1931 roku w Weryni, syn Stanisława i Józefy z domu Skóra. Szkołę Podstawową w Weryni ukończył w 1946 roku; w 1950 roku zdał małą maturę w Kolbuszowej. W latach 1950-1952 pracował w Komendzie Powiatowej Powszechnej Organizacji "Służba Polsce". Następnie w latach 1952-1953 odbywał zasadniczą służbę wojskową, kończy Skrócony Kurs Oficerów Rezerwy (SKÓR). Po przejściu do rezerwy pracuje w latach 1953-1956 w Radzie Powiatowej "Zrzeszenie" Ludowego Zespołu Sportowego w Kolbuszowej na stanowisku instruktora, a następnie prezesa. Włożył duże zasługi dla rozwoju LZS-ów i sportu na terenie powiatu kolbuszowskiego; przyczynił się do budowy jednocześnie kilku boisk sportowych m.in. w Weryni i Dzikowcu. Był przez wiele lat czynnym zawodnikiem LZS Werynianka, a od roku 1951 do 1962 sędzią piłki nożnej. Obecnie przebywa na emeryturze i mieszka w Weryni⁶⁴.

Władysław Stachnik, ur. 30 października 1938 r. w Weryni, syn Jana i Anny z domu Wesołowska. Szkołę Podstawową w Weryni ukończył w 1952 r., Liceum Ogólnokształcące w Kolbuszowej wraz z egzaminem dojrzałości ukończył w 1956 r., Technikum Rolnicze w Weryni i Pomaturalne Studium Ekonomiczne w Krakowie. W latach 1956-1996 pracował w Gminnej Spółdzielni "SCH" w Kolbuszowej. Służbę wojskową odbył w latach 1959-1961. Sport zaczął uprawiać od 1952 r. Grał w drużynie "Werynianki" aż do roku 1970. Równocześnie był działaczem Koła LZS, pełniąc funkcję na przemian wiceprezesa i prezesa oraz gospodarza. Jako działacz był ostoją drużyny. Włożył duże zasługi w poszukiwaniu środków finansowych na tę działalność, m.in. był głównym organizatorem zabaw ludowych, z których dochód przeznaczał na rozwój sekcji piłki nożnej. Miał swój współudział w budowie stadionu sportowego. Prowadził dość dokładną dokumentację LZS-u. W 1998 r. przekazał "pałeczkę działacza Klubu" młodszym od siebie kolegom. Dalej pasjonuje się piłką nożną⁶⁵.

Stanisław Stachnik, ur. 20 marca 1936 r. w Weryni, syn Jana i Anny z domu Wesołowska. Ukończył Szkołę Podstawową w Weryni w 1949r.,

63 Wywiad z Marianem Jamrozem...

64 Wywiad z Janem Jamrozem...

65 Wywiad z Władysławem Stachnikiem...

a następnie zdał małą maturę w Kolbuszowej. W latach 1956-1958 odbywał zasadniczą służbę wojskową. Przez kilka lat był pracownikiem Rady Powiatowej "Zrzeszenie" LZS w Kolbuszowej jako instruktor piłki nożnej. Zaczął się czynnie zajmować sportem od roku 1950. Będąc jeszcze uczniem klasy VII grał w drużynie "Werynianka" na pozycji bramkarza. W zespole występował aż do roku 1976 roku. Równocześnie za namową Jana Jamroza zaczął uprawiać boks; występował w tej dyscyplinie najpierw w KS "Start" Kolbuszowa, a później w LZS Kolbuszowa Górna. Walczył w klasie wojewódzkiej, brał udział w mistrzostwach okręgowych. Od 1986 r. do 1996 był czynnym sędzią piłki nożnej. Obecnie będąc emerytem jest nadal sympatykiem LZS Werynianki⁶⁶.

Henryk Pytlak, ur. W Gdyni. Przed samym wybuchem wojny wraz z rodzicami przeniósł się na stałe do rodzinnej miejscowości jego rodziców. W latach 1948-1949 grał na pozycji bramkarza w LZS Werynianka; w 1950 r. w Brzostku k/Jasła, a od 1951 ponownie, ale krótko w Weryni. W latach 1951-1953 odbywał zasadniczą służbę wojskową. Po przejściu do cywila w latach 1953-1954 grał w Kolbuszowej, a od 1955-1960 ponownie w Weryni. Po zakończeniu kariery piłkarskiej, w latach 1962-1992 był czynnym sędzią piłki nożnej. Obecnie przebywa na emeryturze⁶⁷.

Franciszek Mazur, ur. 28 stycznia 1943 r. w Weryni, syn Antoniego i Józefy z domu Krajewska. Szkołę podstawową w Weryni ukończył w 1957r., Technikum Rolnicze w Weryni w 1962 r., a studia rolnicze w 1967 r. uzyskując tytuł mgr inż. W latach 1967-1975 był nauczycielem w Technikum Rolniczym w Weryni, a naczelnikiem Miasta i Gminy w Kolbuszowej w latach 1981-1989. W piłkę nożną zaczął grać jeszcze w starszych klasach szkoły podstawowej. Grał w "Weryniance" w latach 1957-1975 na pozycji prawoskrzydłowego drużyny. W latach 1955-1957 pełnił społecznie funkcję gospodarza drużyny, wywiązując się z niej znakomicie. Obecnie jest nadal sympatykiem "Werynianki"⁶⁸.

Józef Szlachetka, ur w Weryni, syn Andrzeja i Anieli z domu Piórek. Po ukończeniu Szkoły Podstawowej w Weryni związał się na stałe z tą miejscowością. Podjął pracę w Zespole Szkół Rolniczych jako pracownik fizyczny. Równocześnie zaczął grać w piłkę nożną od lat 50-tych, był czynnym zawodnikiem LZS "Werynianka", grając na pozycji obrońcy. Był zawodnikiem nie do przebicia. Równocześnie był działaczem społecznym Klubu, zawsze chętnie pomagał w organizowaniu zabaw ludowych i pilnowaniu porządku w czasie rozgrywanych meczów. Obecnie przebywa na emeryturze i nadal pasjonuje się piłką nożną⁶⁹.

66 Wywiad z Stanisławem Stachnikiem.

67 Wywiad z Henrykiem Pytlakiem...

68 Wywiad z Franciszkiem Mazurem...

69 Wywiad z Józefem Szlachetką...

Stanisław Kapusta z Zarębek, był czynnym zawodnikiem LZS Werynia w latach 40-tych i 50-tych. Po ukończeniu studiów technicznych związał się na stałe z Hutą Stalowa Wola, gdzie przez kilka lat był jej naczelnym dyrektorem. Jednocześnie pełnił funkcję prezesa Klubu sportowego Stal Stalowa Wola⁷⁰.

Edward Bieleń, ur. w Weryni, szkołę średnią zdobył na tajnych kompletach w czasie okupacji niemieckiej. Po wojnie uprawiał piłkę siatkową i koszykową wspólnie ze swoimi rówieśnikami. Ukończył studia medyczne, uzyskując stopień doktora nauk medycznych. Obecnie jest na emeryturze i mieszka na stałe w Krakowie⁷¹.

Skład drużyny seniorów klasy "B" - 07.04.1974 r.:⁷²

- | | |
|------------------------|------------------------|
| 1. Tadeusz Broda | 7. Franciszek Wójcicki |
| 2. Jan Skóra | 8. Janusz Jurasz |
| 3. Roman Błat | 9. Antoni Dudziński |
| 4. Andrzej Jachyra | 10. Tomasz Koń |
| 5. Krzysztof Kuczyński | 11. Jan Blacharz |
| 6. Antoni Białek | 12. Czesław Matuła |

W sezonie 1978/1979 występowali w drużynie:⁷³

- | | |
|----------------------|------------------------|
| 1. Ryszard Kieska | 10. Grzegorz Bańkowski |
| 2. Wiesław Jachyra | 11. Antoni Białek |
| 3. Jan Gil | 12. Jan Kucharzyk |
| 4. Grzegorz Tereba | 13. Andrzej Bajor |
| 5. Jan Starzec | 14. Stanisław Kardys |
| 6. Zbigniew Starzec | 15. Czesław Bebło |
| 7. Ryszard Kołodziej | 16. Adam Wilk |
| 8. Bogdan Stachnik | 17. Andrzej Pistor |
| 9. Roman Błat | 18. Marek Małecki |

W sezonie 1993/1994 występował w drużynie:⁷⁴

- | | |
|-------------------------|-----------------------|
| 1. Paweł Stachnik | 8. Daniel Bańka |
| 2. Ernest Czachor | 9. Dariusz Opaliński |
| 3. Czesław Czachor | 10. Marek Okoniewski |
| 4. Robert Czachor | 11. Krzysztof Kwaśnik |
| 5. Wiesław Białek | 12. Wiesław Kurdziel |
| 6. Wiesław Antos | 13. Krzysztof Starzec |
| 7. Zbigniew Jagodziński | 14. Wiesław Stapor |

⁷⁰ Wywiad z Władysławem Stachnikiem...

⁷¹ Wywiad z Janem Jamrozem...

⁷² Wywiad z Władysławem Stachnikiem...

⁷³ Tamże.

⁷⁴ "Przegląd Kolbuszowski", nr 32, sierpień 1994, s. 10.

- | | |
|-------------------------|-------------------------|
| 15. Piotr Frysztak | 23. Stefan Szlachetka |
| 16. Władysław Zuba | 24. Robert Kurdziel |
| 17. Jacek Rząsa | 25. Mariusz Maciąg |
| 18. Grzegorz Stachnik | 26. Tomasz Kiwak |
| 19. Stanisław Kardyś | 27. Grzegorz Wesołowski |
| 20. Daniel Błat | 28. Henryk Słowik |
| 21. Jan Kabała | 29. Zbigniew Kolano |
| 22. Zbigniew Szlachetka | 30. Stanisław Mytych |

W sezonie 1994/1995 występowali w drużynie:⁷⁵

- | | |
|--------------------------|-------------------------|
| 1. Wiesław Antos | 16. Robert Kurdziel |
| 2. Mariusz Bańka | 17. Krzysztof Kwaśnik |
| 3. Wiesław Białek | 18. Mariusz Maciąg |
| 4. Tomasz Bieleń | 19. Stanisław Mytych |
| 5. Daniel Błat | 20. Marek Okoniewski |
| 6. Marek Chodorowski | 21. Dariusz Opaliński |
| 7. Ernest Czachor | 22. Wiesław Piórek |
| 8. Michał Franczyk | 23. Paweł Stachnik |
| 9. Witold Jadach | 24. Grzegorz Stachnik |
| 10. Piotr Frysztak | 25. Henryk Słowik |
| 11. Zbigniew Jagodziński | 26. Stefan Szlachetka |
| 12. Sebastian Jemioło | 27. Zbigniew Szlachetka |
| 13. Jan Kabała | 28. Grzegorz Wesołowski |
| 14. Zbigniew Kolano | 29. Władysław Zuba |
| 15. Stanisław Kardyś | 30. Dariusz Wróblewski |

Oprócz wyżej wymienionych zawodników w drużynie grali:⁷⁶

- | | |
|---------------------|------------------------|
| 1. Henryk Golis | 10. Henryk Białek |
| 2. Henryk Mazur | 11. Stanisław Błat |
| 3. Józef Plizga | 12. Jan Skowroński |
| 4. Adolf Rydz | 13. Dariusz Stachnik |
| 5. Stanisław Jadach | 14. Adam Ciepiela |
| 6. Jerzy Maziarz | 15. Kazimierz Rząsa |
| 7. Czesław Ryło | 16. Leszek Bąkaj |
| 8. Jan Błat | 17. Grzegorz Bańkowski |
| 9. Adam Jagodziński | 18. Stanisław Wroński |

⁷⁵ "Przegląd Kolbuszowski", nr 37, styczeń-luty 1995, s. 9.

⁷⁶ Na podstawie wywiadów z byłymi piłkarzami LZS Werynianka i komunikatów ROZPN w Rzeszowie.

Nie sposób dzisiaj jest wymienić wszystkich zawodników, którzy grali w drużynie LZS Werynianka, ale zapewne było ich wielu. W większości byli to piłkarze pochodzący ze wsi Werynia. Bliskość miasta Kolbuszowej i innych wsi pozwalała na to, że do gry w tej drużynie garnęli się różni chłopcy. Sprzyjała także młodzież z pobliskiego .Technikum Rolniczego, przekształconego później w Zespół Szkół Rolniczych. Zdawałoby się, że LZS Werynia posiadał niezłą młodzież do uprawiania piłki nożnej czy innych dyscyplin sportowych. Pytanie nurtuje do dzisiaj, dlaczego LZS nie stać było na awans do wyższej klasy, np. do klasy "A"? Zasadniczą przeszkodą była płynność kadry (zawodnicy przechodzili do innych klubów) i brak wiary we własne siły.

Dr Kazimierz Aleksander Skowroński - historyk, nauczycieli regionalista/1907- 1974/



Urodził się w Kolbuszowej w dniu 30 maja j 1907r. w rodzinie urzędniczej jako syn Władysława i Marii z Deców. Po ukończeniu szkoły ludowej w Kolbuszowej Dolnej uczył się nadal w prywatnym gimnazjum w Kolbuszowej i w pobliskim Mielcu. Tutaj złożył egzamin dojrzałości.

Tabela 1. Nauka szkolna K. Skowrońskiego w latach 1919-1925, świadectwa gimnazjalne o promocji do następnej klasy i ukończeniu¹.

Nazwa szkoły	Miejscowość	Klasa	Data wydania
1	2	3	4
Gimnazjum Prywatne	Kolbuszowa	II	28.VI.1919
Gimnazjum Prywatne	Kolbuszowa	III	31.1.1920
Państwowe Gimnazjum	Mielec	IV	1.II.1921
Państwowe Gimnazjum	Mielec	V	28.VI.1922
Państwowe Gimnazjum Koedukacyjne	Kolbuszowa	VI	28.VI.1923
Państwowe Gimnazjum	Mielec	VII	31.1.1924
Państwowe Gimnazjum	Mielec	VIII	28.VI.1924
Państwowe Gimnazjum	Mielec	VIII	31.1.1925
Państwowe Gimnazjum	Mielec	VIII	30.V.1925
Państwowe Gimnazjum	Mielec	Matura	9.VI.1925

W latach 1925-1930 podjął studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, gdzie uzyskał absolutorium, upoważniające go do ubiegania się o stopień doktorski. Uczyli go wówczas słynni profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego: Stanisław Kutrzeba - historyk prawa polskiego, Tadeusz Garbowski - filozof, Jan Dąbrowski - historyk średniowiecza, Wacław Sobieski - historyk, Włodzimierz Demetrykiewicz - archeolog, Józef Kallenbach - historyk literatury polskiej, Ignacy Chrzanowski -

1. Archiwum Historyczne Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej, Teczka: Dokumenty osobiste dr K. Skowrońskiego, nr inwentarza 264.

historyk literatury polskiej, Józef Feldman - historyk, Jan Nepomucen Łoś - językoznawca, Ludwik Piotrowicz - historyk starożytności, Stanisław Windakiewicz - historyk literatury polskiej, Roman Gródecki - historyk, Władysław Konopczyński - historyk, Władysław Semkowicz - historyk, Ludwik Kolankowski - historyk, Fryderyk Papee - historyk, dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej, Witold Taszycki - językoznawca, Stefan Szuman - psycholog, Fryderyk Zoil - prawnik².

W 1932 r. na podstawie przedłożonej pracy z zakresu historii pt. "Studia nad osadnictwem w dorzeczu Wisłoki i Sanu" uzyskał stopień naukowy doktora. Równocześnie z ukończeniem Kursu Pedagogicznego nabył prawo do nauczania historii w szkołach średnich.

Tabela 2. Uzyskane kwalifikacje, ukończone kursy³.

Nazwa uczelni organizator kursu	Miejscowość	Rodzaj dokumentu	Data wystawienia
/	2	3	4
Uniwersytet Jagielloński	Kraków	świadcstwo odbycia ćwiczeń	20.VI.1928
Uniwersytet Jagielloński	Kraków	absolutorium	5.VII.1930
Uniwersytet Jagielloński	Kraków	dypłom doktora filozofii	6.II.1932
Prezydium Państwowej Komisji Egzaminacyjnej	Kraków	dypłom nauczyciela szkół średnich	19.V.1933

Przez kilkanaście miesięcy (6 luty - 15 sierpnia 1933) był bezrobotnym i oczekiwał na posadę. Od 15 sierpnia 1933 do 31 sierpnia 1938 roku pracował w charakterze nauczyciela w Prywatnym Gimnazjum i Liceum w Turku k/Kalisza. W tej miejscowości był działaczem Polskiego Związku Zachodniego i prezesem Polskiego Towarzystwa Historycznego. Następnie w latach 1938-1939 pracował w Prywatnym Gimnazjum Kupieckim i Krawieckim Towarzystwa Szkoły Ludowej w Rzeszowie.

W okresie studiów związał się z Krakowskim Związkiem Literatów, potem z grupą intelektualistów o nazwie "Litart" w latach 1927-1934 a następnie "Wieś i jej Pieśń", gdzie opublikował wiele utworów poetyckich i artykułów. Ówczesna krytyka pozytywnie oceniała jego twórczość⁴.

Okupacja hitlerowska zastała go w swojej rodzinnej Kolbuszowej, gdzie związał się z miejscowym ruchem oporu. Był czynnym nauczycielem tajnych kompletów w zakresie szkoły średniej. Na początku wojny był także związany organizacyjnie z Władysławem Jasińskim ps. "Jędrus" i czasopismem konspiracyjnym "Odwet". Jako żołnierz ZWZ i AK używał następujących pseudonimów: "Stary", "Piotr", "Kowal". Za aktywną działalność

² Tamże, Indeks, nr inwentarza 266.

³ Tamże, Akta osobowe dr K. Skowrońskiego.

⁴ Wacław Górski, Kazimierz Skowroński, Tygodnik Powszechny, Kraków - 23.02.1975, s. 9.; Przedruk - Przegląd Kolbuszowski nr 26, 1994 r.

podczas wojny otrzymał w 1970 r. od zastępcy Dowódcy Armii Krajowej w Londynie odznaczenie bojowe - Medal Wojska (po raz 1,2,3,4 - nr legitymacji 16036)⁵. Także od 1957 r. był czynnym członkiem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Kolbuszowej (nr legitymacji - 7030)⁶.

Po opuszczeniu przez okupanta niemieckiego Kolbuszowej i okolic z upoważnienia władz lokalnych przystąpił do organizowania administracji oświatowej. Był pierwszym inspektorem szkolnym na tym terenie po drugiej wojnie światowej.

W latach 1944-1952 był dyrektorem i zarazem nauczycielem Prywatnego Gimnazjum i Liceum a następnie Państwowego Liceum Ogólnokształcącego w Kolbuszowej. Z dokumentów archiwalnych PPR wynika, że był jednym z wybitnych opozycjonistów "władzy ludowej" związany z Polskim Stronnictwem Ludowym (PSL), m.in. w 1947 r. był aresztowany przez władze bezpieczeństwa (UB). W 1952 r. na podstawie donosu grupy młodych działaczy Związku Młodzieży Polskiej (ZMP) działających w Liceum Ogólnokształcącym w Kolbuszowej został bez jego zgody przeniesiony do Państwowego Liceum Ogólnokształcącego w Mielcu. Zastosowano tutaj w stosunku do niego karę represyjną. Był to okres tzw. rządów stalinowskich i nasilenia metod ograniczania swobód obywatelskich szczególnie opozycjonistów.

Po rocznym pobycie w Mielcu (1.IX.1952 - 31.VII.1953) przeniesiono go do Państwowego Technikum Rolniczego w Weryni k/Kolbuszowej. Na stanowisku nauczyciela pozostawał aż do przejścia na emeryturę w dniu 1 maja 1972 r.

Tabela 3. Praca zawodowa w latach 1933-1972⁷.

Okres pracy	Nazwa placówki oświatowej	Miejscowość
<i>1</i>	<i>2</i>	<i>3</i>
15.08.1933 - 31.08.1938	Prywatne Gimnazjum	Turek
1.09.1938 - 31.08.1939	Prywatne Gimnazjum	Rzeszów
1.01.1940 - 31.07.1944	Weryfikacja	-
1.09.1944 - 30.09.1945	Prywatne Liceum Ogólnokształcące	Kolbuszowa
1.10.1945 - 31.08.1952	Liceum Ogólnokształcące	Kolbuszowa
1.09.1952 - 31.08.1953	Liceum Ogólnokształcące	Mielec
1.09.1953 - 30.04.1972	Technikum Rolnicze	Werynia

Nie zaliczono mu do stażu pracy okresu:

1. 1.09.1939 - 31.09.1939 w Gimnazjum Mechanicznym w Tarnopolu
2. 1.10.1939 - 31.12.1939 w tajnym nauczaniu w Kolbuszowej

⁵ Archiwum Historyczne...Akta osobowe, op.cit.

⁶ Tamże

⁷ Tamże

Obok pracy zawodowej z pasją oddawał się pracy społecznej i naukowo-badawczej regionu kolbuszowskiego. Od młodych lat należał do Związku Harcerstwa. Jeszcze w okresie międzywojennym przeszedł prawie wszystkie stopnie służby harcerskiej (Kolbuszowa, Mielec, Rzeszów) Uzyskał zaszczytny stopień "Harcera Rzeczypospolitej"⁸. Był także długoletnim członkiem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, następnie Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, Okręgowej Komisji Krajoznawczej, Opieki nad Zabytkami i Ochrony Przyrody a także Towarzystwa Miłośników Ziemi Mieleckiej.

Tabela 4. Działalność w organizacjach społecznych.

Nazwa organizacji	Rodzaj dokumentu, nr legitymacji	Rok
<i>1</i>	<i>2</i>	<i>3</i>
Związek Harcerstwa Polskiego (ZHP)	Zaświadczenie	1946
ZHP, Komenda Chorągwi w Rzeszowie	21/57	1957
ZHP, Komenda Chorągwi w Rzeszowie	krzyż harcerski	1946
Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze	1243	1964
Zarząd Główny PTTK	37/58, Odznaka Narciarska	1958
Wojewódzki Komitet Turystyczny w Rzeszowie	0003622	1956
Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki w Rzeszowie	39, przewodnik	1961
Towarzystwo Miłośników Ziemi Mieleckiej	-	1970
Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Kultury i Przyrody im. J. M. Gosłara w Kolbuszowej	1	1971

Działalność parlamentarna

W wyborach do Sejmu przeprowadzonych w dniu 20 stycznia 1957 r. przyszli posłowie Koła Znak odnieśli duży sukces. Siedmiu z dziesięciu otrzymało w swych okręgach wyborczych największą liczbę głosów. Wśród nich dr Kazimierz Skowroński w Stalowej Woli.

8 Tamże

A oto tabela 5⁹.

Nazwisko i imię kandydata	Okręg wyborczy
1	2
Stefan Kisielewski	Wrocław
Miron Kołakowski	Częstochowa
Paweł Kwoczek	Lublin
Zbigniew Makarczyk	
Wanda Pieniężna	Olsztyn
Stanisław Słomka	Kraków
Kazimierz Skowroński	Stalowa Wola

Druga kadencja Sejmu PRL trwała w latach 1957-1961. W okręgu wyborczym w Stalowej Woli (nr 79) otrzymał 97,42% głosów¹⁰. Jako parlamentarzysta poseł dr Kazimierz Skowroński należał do Komisji Kultury i Sztuki, Komisji Budżetu, Planu Gospodarczego i Finansów¹¹.

Zabierał głos dwukrotnie¹²:

- 11.11.1957 r. proponował uzupełnienie porządku dziennego wyborem delegacji Sejmu w celu powitania Skarbów Wawelskich;
- 21.XII. 1959 r. w dyskusji nad projektem ustawy budżetowej i uchwały o NPG na rok 1960 oraz sprawozdaniem RM z wykonania budżetu państwa za rok 1958.

Jego interpelacje dotyczyły¹³:

- 12.11.1959 r. do ministra komunikacji w sprawie przyspieszenia budowy linii kolejowej Rzeszów - Tarnobrzeg;
- 22.IV. 1959 r. do prezesa RM w sprawie aktywizacji gospodarczej Kolbuszowej i powiatu kolbuszowskiego;
- 22.IV. 1959 r. do ministra komunikacji w sprawie utworzenia przystanków pociągów pośpiesznych na stacjach Łańcut i Baranów Sandomierski;
- 18.VI. 1959 r. do ministra oświaty w sprawie reaktywowania Państwowego Instytutu Robót Ręcznych;
- 2.XII.1960 r. do ministra przemysłu ciężkiego w sprawie wykorzystania hałd urobisk i pozostałości po staropolskich okręgach przemysłowych;
- 2.XII.1960 r. do prezesa RM w sprawie ostatecznego ustalenia urzędowego brzmienia nazw miejscowości w Polsce, przywrócenia miastom i osiedlom historycznych godeł i podjęcie wydawnictwa słownika historyczno-geograficznego.

9 Maciej Łętowski, Ruch i Koło Poselskie ZNAK 1957-1976, Wydawnictwo Unia, Katowice 1998 r.

10 Tamże, s. 153

11 Tamże, s. 168

12 Tamże, s. 157

13 Tamże, s. 165

Jako historyk - regionalista dużo czasu poświęcił na badanie przeszłości nie tylko Kolbuszowej ale wielu miejscowości położonych na obszarze dawnej Puszczy Sandomierskiej. Równocześnie działał w Polskim Towarzystwie Archeologicznym i Polskim Towarzystwie Historycznym. Prowadził badania nad historią, językoznawstwem i etnografią wspomnianego terenu¹⁴.

Był jednym ze współorganizatorów Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przyrody i Kultury im. J.M. Gosłara w Kolbuszowej. Przeszłością tego regionu zajął się jeszcze podczas pisania rozprawy doktorskiej a następnie w okresie okupacji niemieckiej. W 1940 r. opracował monografię z dziejów miasta Kolbuszowej i powiatu kolbuszowskiego, która do tej pory nie została wydana. W oparciu o nią opublikował kilkanaście artykułów naukowych dotyczących tych okolic. Jest także autorem pierwszego spisu zabytków w powiecie kolbuszowskim. Jego prace omawiały wydarzenia historyczne z regionu kolbuszowskiego a dotyczyły m.in. osadnictwa w okresie średniowiecza, dziejów nowożytnych: najazdu szwedzkiego, powstań narodowowyzwoleńczych, okresu galicyjskiego, międzywojennego a w ostatnim okresie swojego życia opublikował zagadnienia dotyczące walki z okupantem niemieckim.

Wachlarz problemów poruszanych w tych artykułach jest bardzo szeroki i obejmuje nie tylko powiat kolbuszowski. Wiele kwestii przedstawionych stało się przyczynkiem do krytyki naukowej u licznych historyków a przede wszystkim regionalistów. Było to wynikiem jego nadgorliwości w ocenie tych faktów i nadmiernego patriotyzmu lokalnego. W jednym tylko przypadku epizod "Boju o Kolbuszowę" z września 1939r. znalazł akceptację u historyków wojskowych.

Jako nauczyciel - historyk regionalista należy do wybitnych popularyzatorów nie tylko dziejów powiatu kolbuszowskiego ale całej Rzeszowszczyzny. Najwięcej artykułów opublikował w tzw. Biuletynach - wydawanych z jego inspiracji przez Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przyrody i Kultury im. J.M. Gosłara, którego przez 18 lat był prezesem.

Dr Kazimierz Aleksander Skowroński zmarł 28 października 1974 r. w Kolbuszowej.

14 Eugenia Maciągowa, Sylwetki działaczy Towarzystwa - dr K. Skowroński, Sprawozdanie - 20-lecie działalności Towarzystwa Kultury im. J.M. Gosłara, Kolbuszowa 1979, s. 15-16.

Bibliografia dr K. Skowrońskiego

1. Skowroński K., Awanturnica, /Jadwiga Machówna/, Życie kulturalne Ziemi Rzeszowskiej, R. 2, 1956 nr 3, s. 8-9, 16.
2. Skowroński K., Bój o Kolbuszowę /8 i 9 września 1939 r./, Dziennik Rzeszowski, R. 1, 1945 nr 125, s. 3, nr 126-128, s. 2.
3. Skowroński K., Zegar idzie, Dziennik Rzeszowski, R. 2, 1946 nr /182/ 403 s. 2, nr /183/ 404 s. 2, nr /184/ 405 s. 2, nr /186/ 407 s. 2-3.
4. Skowroński K., Awantury polskiego Don Juana /o księciu Marcinie Lubomirskim/, Tygodnik Ilustrowany "Za i Przeciw", nr 46, 47, 487 1959 r.
5. Skowroński K., Z dziejów osadnictwa nad Wisłoka w XIV wieku /w:/ Księga pamiątkowa ku czci prof. J. Dąbrowskiego, Warszawa 1961.
6. Skowroński K., Wysiedlenia ludności polskiej w widłach Wisły i Sanu w latach okupacji 1939-1943, Studia nad okupacją hitlerowską południowo-wschodniej części Polski, TN i OKBZH w Rzeszowie, T. 1/ 1976 r.
7. Józef Półcwiartek i Kazimierz Skowroński, Puszcza Sandomierska w strategii polskich ruchów wolnościowych /do połowy XIX w. /w:/ Puszcza Sandomierska wczoraj i dziś /Zbiór rozpraw i artykułów pod redakcją Józefa Półcwiartka/, Towarzystwo Przyjaciół Regionu Lasowiackiego w Stalowej Woli, Rzeszów 1980

Pozostałe artykuły są zamieszczone w art. M. Piórka, Wydawnictwo Naukowe Towarzystwa Kultury im. J.M. Gosłara w Kolbuszowej do 2000 roku. Sesja naukowa 300 lat miasta Kolbuszowej, 6-7.X.2000r.

*Recenzja książki Krzysztofa Ożoga,
Dzieje parafii Górno 1599-1999*

Niedawno na półkach księgarskich ukazała się monografia historyczna parafii Górno k/Sokołowa Młp. Parafia ta położona w diecezji rzeszowskiej obchodziła 400-lecie swego istnienia. Jak sam autor K. Ożóg stwierdza we wstępie, że "...Jej długie, bo czterowiekowe dzieje nie zostały do tej pory opisane przez historyka". Jako rodak tej miejscowości - parafii Górno podjął zadanie przedstawienia jej dziejów przypadających na lata 1599-1999. Uważa, że "...pisanie o czasach nowożytnych i najnowszych w mikroskali było ...dużym wyzwaniem".

Książka składa się z dość dużego wstępu, siedmiu rozdziałów, aneksu, indeksu nazwisk, 32 dobrej jakości wykonanych zdjęć. Na stronie 244 podaje wykaz częściej używanych skrótów i spis map. Autor nie umieścił na końcu pracy bibliografii a ograniczył się tylko do podania przypisów i szczegółowych informacji o ludziach, cytaty ze źródeł łacińskich, komentarze do niektórych kwestii poruszonych w tekście. Wydawnictwo LIBRI RESSOVIENSES sp. z o.o. w Rzeszowie spełniło oczekiwania nie tylko autora, gdyż monografia ta została wydana na dobrym poziomie.

We wstępie autor omówił środowisko geograficzne Górna i przyległych wsi należących do parafii: Górno-Zaborze, Meszne, Dolega, Markowizna Duża i Mała i część wsi Krzywa Wieś a także Łowisko i Kamień. Dość szczegółowo analizuje bogatą literaturę ukazującą się od XIX w. aż po czasy współczesne a dotyczące dziejów Puszczy Sandomierskiej, w tym okolic parafii Górno. Wiele informacji autor uzyskał dzięki kwerendzie archiwaliów w Archiwum Kurii Metropolitarnej w Krakowie, Archiwum Archidiecezjalnym w Przemyśle i parafii Górno. W tej ostatniej zachowały się liczne źródła od 1780 r. i stanowią znakomite - jak sam stwierdza - "źródło do badań demograficznych społeczności wsi", należących do wspomnianej parafii. Dzieje współczesne parafii piszący opiera na informacjach opartych o liczne wywiady, relacje, wspomnienia i pamiętniki, kroniki; w tym u licznych członków swojej rodziny.

Rozdział I zatytułowany "Powstanie parafii" obejmuje takie zagadnienia, jak: początki Górna, Dołęgi, Łowiska i Kamienia; założenie parafii, fundatorzy i powstanie parafii w Jeżowym (Jeżowej Woli). Dla mnie osobiście jest to najciekawszy rozdział, gdyż autor podaje wiele informacji z okolic Górna nieznanych przeciętnemu regionaliście. Na mapce nr 1- Sieć

osadnicza we wschodniej części województwa sandomierskiego na przełomie XVI i XVII w. brak jest takich osad leśnych jak: Kłapówka, Widelka. Autor mało zaakcentował rolę parafii raniżowskiej w XVI w., a była to najbliższa dla tych okolic i najbardziej oddalona jednostka administracyjna Kościoła diecezji krakowskiej. Autor bardzo stanowczo odrzuca informacje dotyczące świątyni pogańskiej w Górnieniu, jak pisze o tym m.in. ks. Wojciech Michna i Franciszek Kotula - nie oparte o źródła, tylko o legendy (brak w tym przypadku odkryć archeologicznych).

W rozdziale II zatytułowanym "Dzieje parafii do I rozbioru Rzeczypospolitej" autor stara się przedstawić te kwestie w oparciu m.in. o protokoły z wizytacji duszpasterskich z XVII - XVIII w. Przedstawia takie zagadnienia, jak: Bractwo Szkaplerza Świętego, procesowanie się o przynależność do parafii wsi Kamień, powstanie osad leśnych Markowizny, Zaborza i Mesznego. Ten okres a szczególnie wiek XVII był niszczący nie tylko dla naszego państwa, ale także dla tych okolic, m.in. najazdy tatarskie, wojny ze Szwedami i najazd księcia Jerzego II Rakoczego w XVII wieku. Autor umiejętnie wiąże te fakty z obroną tutejszego ludu puszczańskiego, szczególnie w okresie "potopu szwedzkiego". Dużo przytacza informacji z opracowań takich historyków, jak: J. Półciwarka, K. Skowrońskiego, A. Dańczaka i wielu innych.

Rozdział III brzmi gromko "Burzliwe losy parafii górnieniejskiej na przełomie XVIII i XIX wieku". W tym okresie czasu nastąpiły duże zmiany w administracji kościelnej w związku z przyłączeniem tych terenów do państwa austriackiego (I rozbiór - 1772). Autor opisuje proces powstawania diecezji tarnowskiej na przełomie XVIII i XIX wieku i przynależności parafii Górno do diecezji przemyskiej. Odpowiada na pytanie: jak parafianie uczestniczyli w ruchach niepodległościowych? Bardzo interesująca jest postać (opisywana przez autora) majora Michała Mareckiego - rodaka z Górna. W tej sprawie niepodległości owej XIX w. dużą rolę odegrał Kościół katolicki.

W rozdziale IV noszącym tytuł "Dzieje parafii do odzyskania niepodległości w r. 1918" autor przedstawia sytuację parafii Górno w dobie autonomii galicyjskiej, utworzenie nowej parafii w Kamieniu, budowa nowej świątyni w Górnieniu, życie religijne w parafii w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku, dzieje parafii w okresie pierwszej wojny światowej.

Na przykładzie parafii Górno autor opisuje proces budzenia się świadomości wśród tutejszego ludu, szczególnie przynależności do narodu polskiego. Parafia, Kościół i księża to czynniki, które mają w tym okresie czasu największy wpływ na oddziaływanie parafian. Nadanie autonomii, czyli samorządu daje podstawy do wzmożenia działalności na rzecz poszczególnych wsi. Pokazuje autor sylwetki księży (kolejni proboszczowie) i ich pracę duszpasterską wśród tutejszego ludu. Dzięki temu na obszarze parafii powstaje nowa w Kamieniu, a w Górnieniu buduje się nowy kościół.

W poszczególnych wsiach powstają pod koniec XIX w. różnorodne organizacje i stowarzyszenia i notuje się tutaj także początki ruchu ludowego. Autor pominął w tym rozdziale działalność gminy jednostkowej w Górnio i w przyległych wsiach do parafii. Autor stwierdza, że szkoła w Górnio powstała w 1900 r. (str. 85). Według innych źródeł, które nie przytoczył autor: Sprawozdanie z czynności Rady Powiatowej Kolbuszowskiej za okres czasu od 22 Września 1867 do 22 Września 1892, Kraków 1892; na str. 11 znajduje się sprawozdanie z działalności gminy Górnio - gmina w 1891 r. na szkołę płaćła 12 złr. I 33 cetnarów.

Wybitną postacią tego okresu znaną we Lwowie był ks. Walenty Wołcz (1854-1914) z Górnio - o czym autor wspomina.

Autor w rozdziale V "Parafia w okresie międzywojennym i w czasie II wojny światowej" obejmującym lata od 1918-1948 nie uzasadnił dlaczego odbiega od przyjętej chronologii i kończy ten okres na 1948 r. Jest to pewne "novum" dla historyka, raczej nieuzasadnione. Cały okres powojenny nie tylko dla parafii ale dotyczy każdej wsi jest bardzo interesujący. Autor skupia się szczególnie na działalności parafii po odzyskaniu niepodległości, w okresie okupacji niemieckiej i lata 1944-1948 tj. w okresie utrwalania "władzy ludowej". Autor wskazuje na proces radykalizacji się ruchu ludowego w tej okolicy, w latach 30-tych zbliżanie się części tych działaczy do ideologii komunistycznej. W związku z tym nastąpiła wzmożona praca księży w zakresie duszpasterstwa (rekolekcje, odpusty, uroczyste wizytacje, itp.).

Trudne chwile przeżywa parafia i społeczeństwo w okresie okupacji niemieckiej. Na jej terenie Niemcy urządzają poligon ćwiczebny dla wojsk powietrznych "GROSSER LUFTWAFFEN - Ubungsplatz - Górnio". Ta sytuacja nie *zraża* ludzi i dość aktywnie działają ugrupowania konspiracyjne. Lata powojenne do r. 1948 autor określa jako bardzo trudne dla proboszcza i parafian. Częste nękanie ludności przez NKWD a później UB.

Rozdział VI "Losy parafii po roku 1948" to dalsza walka Kościoła i księdza Mieczysława Lachora (1948-1990) - proboszcza tutejszej parafii z systemem komunistycznym. Cały okres jego administrowania przypada na lata PRL. Autor stara się pokazać zmagania parafii z tym systemem, szczególnie w latach 50-tych i 60-tych. Mimo uciążliwości tego okresu z walki tej wychodzi zwycięsko. Dowodem na to były powstające nowe placówki duszpasterskie w Łowisku, w Markowiźnie i przy Sanatorium Przeciwgruźliczym w Górnio. Umacnia się proces katechizacji dzieci i młodzieży, buduje się inwestycje kościelne bez zezwolenia. Społeczeństwo parafialne umiejętnie opiera się przeciwko restrykcjom ze strony władz gminnych, powiatowych i wojewódzkich. W tym czasie powstaje duszpasterstwo NSZZ "Solidarność Rolników Indywidualnych", notuje się wiele powołań kapłańskich i śmierć ks. M. Lachora.

Ostatni rozdział VII zatytułowany "Współczesne losy parafii" jest po-

święcony przemianom w życiu parafian po 1990 roku (powstanie diecezji rzeszowskiej, utworzenie stałej Kapelani przy Sanatorium Przeciwgruźliczym i Domu Pomocy Społecznej, dalsze inwestycje kościelne, przygotowanie parafian do obchodów jubileuszowych).

Trzeba stwierdzić, że książka ta jest bardzo dobrze opracowana nie tylko pod względem merytorycznym ale także językowym. Mimo to można *znaleźć* kilka błędów, m.in. Maciej Skowroński nie ma tytułu doktora (str. 15), ma tytuł kustosa; ma być Zdeba a nie Zdebia (str. 221 - u dołu). Brak spisu zdjęć. Książkę tę urozmaicają liczne zdjęcia zawarte w tekście i kilka mappek.

Książka Krzysztofa Ożoga przynosi nowe i szerokie spojrzenie na problemy polskiej parafii i wsi. Zapewne spotkała się z dużym uznaniem nie tylko wśród regionalistów ale także w środowisku naukowym.

Fotografie ze zbiorów prywatnych pani Haliny Dudzińskiej.



Pani Zdzisława Bytnar w gronie kolbuszowskich harcerzy w roku 1985.



Maria ze Skowrońskich z mężem i dziećmi w dwadzieścia lat po powrocie z deportacji do ZSRR.



Wygląd środkowego fragmentu dużego grobu Poległych z 9 września 1939r., na cmentarzu w Kolbuszowej.



Obecny (1998r.) wygląd dużego grobu Poległych w dn. 9 września 1939 r., na cmentarzu w Kolbuszowej.

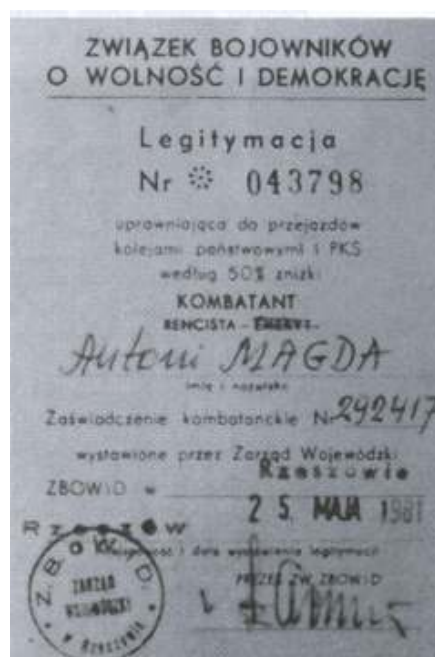


*Por. Andrzej Krawiec - d-ca 4
batalionu
fortecznego, który dn. 9
września 1939r.,
stoczył bitwę w Kolbuszowej.*

*Centralna część grobu
wojskowych
poległych w Kolbuszowej w dn. 9
września
1939 r. Wygląd obecny.*



*Legitymacja Antoniego Magdy, uprawniająca do przejazdów
kolejami i PKS.*





Pierwszy wygląd grobów wojskowych, poległych w Kolbuszowej w dniu 9 września 1939

